

Macpherson Camilla

Obrazki z wystawy



*Mojemu mężowi,
z wyrazami miłości*

Camilla Macpherson jest adwokatem.
Mieszka w Londynie z mężem i córką.
Obrazki z wystawy to jej pierwsza powieść.

Prolog

MŁODA KOBIETA I RÓŻE

Claire, nie przedłużaj. Jaki wynik? Pozytywny? Rob wyczekiwał pod drzwiami łazienki. Słyszała skrzypienie desek podłogowych, którego rytm odpowiadał niecierpliwemu przestępowaniu z nogi na nogę. Trzymała test w ręce, a właściwie ścisnęła go z całych sił. *Wynik pozytywny. Jestem w ciąży.*

Jak wypowie te słowa? Jaki tembr nada swemu głosowi? Nadszedł czas, gdy wyczekiwane frazy powinny wreszcie popłynąć, ale napotkały tamę, podobną do tej, która chciała zastopować pierwsze „kocham cię” zaadresowane do Roberta. Wyznanie, które powstrzymane zostało wahaniem, i świadomość jego znaczenia — wywołały trudne do opanowania drżenie strun głosowych. Wreszcie odważyła się otworzyć drzwi i podając test, rzuciła krótkie „tak”. Rob porwał ją w ramiona i wykonał radosny piruet, co spowodowało u obojga salwę śmiechu, która zdawała się nie mieć końca.

- Będziemy mieli dziecko - wydusił z siebie, gdy w końcu opadli na podłogę, mocno oszołomieni.

Udało mu się przerwać blokadę i wtedy z jej ust popłynął nieprzebrany potok słów.

- Będziemy mieli dziecko, będziemy mieli dziecko — powtarzała.

Wstał, pomógł jej się podnieść i znów otoczył ramionami.

- Trzeba to uczcić - orzekł.

Poprowadził ją w stronę salonu, po czym pobiegł po szampana, który chłodził się w lodówce. Na stoliku przed sofą stał wazon pełen kwiatów cieszących oczy lśniącem różem płatków. Wyciągnęła dłoń i zaczęła je odruchowo głaskać, uśmiechając się na myśl o ich niespotykanej delikatności, która jednak nie będzie mogła się równać z aksamitem skóry jej dziecka. Rob wrócił do salonu, w jednej ręce trzymając otwartą butelkę szampana, a w drugiej kryształowe kieliszki na specjalne okazje — już napełnione.

- Chyba nie powinnam - zaoponowała.

- Tylko mały łyczek - odpowiedział zachęcająco. - Nic ci nie będzie.

Zanurzył usta w kieliszku, po czym pocałował ją delikatnie, ale na tyle namiętnie, by pozwolić szampanowi zatańczyć na jej wargach. Gdzieś głęboko w swym wnętrzu poczuła podniecenie przypominające o pierwszych pocałunkach. Objęła go rękoma, a jej ciało zareagowało tak, jak miało w podobnych chwilach w zwyczaju - przywarło do niego ściśle i mogłoby się zdawać, że między nimi nie ma miejsca na rodzące się w jej łonie nowe życie.

Rob w końcu przerwał pocałunek i pochylił głowę ku jej brzuchowi, pozwalając, by jedna dłoń łagodnie na nim spoczęła. Przymknęła oczy, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych wpadających przez okno i intensywnym zapachem róż. Ciszę przerywał jedynie ledwo słyszalny szept.

- Co chcesz mi powiedzieć? — zapytała.

- Tylko tyle, że to dziecko będzie miało ogromne szczęście, że właśnie ty je urodzisz. I jeszcze to, że kocham cię bezgranicznie.

- Ja ciebie też kocham — odrzekła. — Ponad wszystko na świecie.

NOLI ME TANGERE - TYCJAN

Nie dotykaj mnie. *Noli me tangere*. Ni mniej, ni więcej, po prostu tylko tyle: Nie dotykaj mnie. Cóż za dziwny tytuł dla obrazu.

Claire doskonale wiedziała, że z tego zlepka słów sączy się jad, trucizna, z której na początku korzystała z pewnym wahaniem, by później sięgać po nią niemalże bezwiednie. Rob miał więc sporo czasu, by przyzwyczać się do tego cierpkiego smaku. Choćby dzisiejszego poranka, gdy jego delikatna, wciąż nieco rozleniwiona od snu dłoń powędrowała pod kołdrę w kierunku ciepłych piersi, usta kobiety otworzyły się tylko po to, by wypowiedzieć znamienne słowa: *Nie dotykaj mnie*. Lodowaty ton, który towarzyszył tej reakcji, wciąż potrafił ją samą zszokować. Rob natychmiast cofnął rękę. Leżeli bez ruchu, dzieląc łóżko i ciepło swoich ciał. Nie mieli nic do dodania. Nie musieli wykonywać żadnego ruchu. I tak z każdą sekundą oddalali się od siebie coraz bardziej.

Odwróciła się w stronę okna, desperacko poszukując chwili samotności. Ciężkie zasłony oddzielały ich od panującej na zewnątrz zimowej ciemności. Długo wsłuchiwała się w śpiew ptaków, które przedwcześnie dały się rozbudzić zwodniczemu, sztucznemu światłu ulicznych lamp. Gdy Rob wreszcie wygrzebał się spod kołdry i poszedł pod prysznic, miała nadzieję, że poczuje ulgę. Zapragnęła jednak, by przytulił się do niej i delikatnie muskał jej szyję słowami składającymi się

na opowieść o szczęściu, które niegdyś było ich udziałem. *To się musi niedługo skończyć* - pomyślała. *Przecież on już tego dłużej nie wytrzyma, ja zresztą też nie.*

Wcześniej wszystko wydawało się takie proste: ich życie, ich małżeństwo, w czasach gdy Rob niemal instynktownie wyczuwał, jak powstrzymać jej łzy, jak ją rozśmieszyć. Obserwowała znane im pary i całym sercem wierzyła, że w jej relacji z Robem jest coś wyjątkowego, że do ich poziomu porozumienia dusz nikt inny nie potrafiłby się w swoim związku zbliżyć. Teraz sama nie mogła siebie rozgryźć, kompletnie się w tym wszystkim gubiąc. Nabrała nawyku rozciągania palcami kącików ust i ten ruch powodował, że niemal każde jej spojrzenie zmieniało się w gniewny grymas. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni na jej twarzy gościł uśmiech, za to doskonale pamiętała, że wcześniej śmiała się tak często, iż wokół ust pojawiły się nawet załążki zmarszczek, charakterystyczne dla tych, którzy nie szcędzą sobie i innym radości. Wszystko to musiało się wydarzyć w epoce, którą nazwała „Przedtem”, bo też i wszystkie aspekty jej życia dzieliły się na te „Przedtem” i „Potem”, wcześniej i teraz.

Przecież nie minęło tak wiele czasu, tygodnie właściwie, może miesiące, gdy była szczęśliwie zakochana i świadoma, że Rob będzie przy niej już na zawsze. Słowa przysięgi małżeńskiej wciąż mile rezonowały w jej głowie, brzmiąc tak świeżo, jak gdyby naprawdę wypowiedziane były ledwie kilka dni, a nie kilka lat temu. Mieli się o siebie troszczyć. Tylko to się liczyło. Kłody rzucane pod nogi można było wspólnie usuwać, wspólnie też dzielić chwile wielkiej radości. Tak minęło tych pięć lat, od niepewności związanej z pierwszą, nerwową rozmową, przez ostrożny flirt w oczekiwaniu na coś więcej, po pełne ulgi momenty upewniania się wzajemnie w uczuciach, których świadkami były wzgórza winnic o zachodzie słońca. No i wakacje, najpierw w tanich

hotelikach, a później już w bardziej luksusowych miejscach, gdzie splecione ciała pozwalały zarówno oddawać się marzeniom, jak i mierzyć się z lękami.

Ale później Rob ją zawiódł. I to dokładnie w chwili, gdy najbardziej go potrzebowała. Pragnienie jego obecności, najprostszego z możliwych gestów, okazało się życzeniem nie do spełnienia. Rana związana z tą zdradą była głęboka i krwawiła tak obficie, że na koniec zostało jej już tylko owo znane poczucie - a przecież chciała wierzyć, że już dawno wypędziła je z siebie na zawsze — iż silniejsza pozostanie w samotności.

Tak bardzo się staram - powiedział pewnego dnia. Wiem, że ci to nie wystarcza. Wiem, że nie jestem w tym najlepszy, ale przecież tak bardzo się staram. Nie pomagają żadne moje słowa. Nic nie może pomóc. Zupełnie nic.

Zaledwie sześć miesięcy temu nie uwierzyłyby, że dziecko -do tego nienarodzone dziecko, które powinna dziś tulić w ramionach - byłoby w stanie im coś takiego zrobić, dwojgu dorosłym ludziom, których poziom szczęścia rósł harmonijnie w trakcie dwóch lat małżeństwa, tak jak wcześniej podczas trzech lat wspólnego mieszkania. Po tych pięciu latach weszli w etap, na którym nie tylko przyjaciele i rodzina, ale nawet obcy ludzie czuli się upoważnieni do pytania: *Czy myślicie już o potomstwie?*

W żadnym stopniu nie można obarczać winą dziecka, tego maleństwa, któremu zdążyła już nawet nadać imię Oliver, choć lekarz wciąż używał terminu „płód”. Oliver nie zrobił nic złego. Całe zło jest udziałem Roba, to jego należy winić. Oskarżenie go wydawało się oczywiste; przecież jeśli to nie on ponosił za wszystko odpowiedzialność, jedyną podejrzaną byłaby ona sama. Wciąż czuła się rozdarta w środku. Może to tylko złośliwa gra wyobraźni, a może jednak pielęgniarka powiedziała coś niewłaściwego, zanim ostatecznie potwierdziła, że ciało Claire wróciło do poprzedniego stanu. *Co to ma znaczyć?*— zapytała.

Czy teraz nie ma nawet śladu, że Oliver kiedykolwiek w niej był?
Pielęgniarka przytaknęła, odwracając wzrok.

Znów spojrzała na obraz zatytułowany *Noli me tangere*, zastanawiając się, co tak naprawdę chce w nim zobaczyć. Opis, podany czarnym tuszem na białej laminowanej kartce, był zwięzły i miał na celu pomóc niecierpliwym zwiedzającym w szybkim zrozumieniu przekazu, by niemal bez patrzenia na obraz przejść do następnego dzieła. Można się było z niego dowiedzieć, że oto Maria Magdalena odwiedza grób Jezusa po zmartwychwstaniu i zastaje pusty grobowiec. Początkowo zakłada, że ciało musiało zostać skradzione, lecz po chwili rozpoznaje zmartwychwstałego Chrystusa w osobie ogrodnika trzymającego w ręku motykę.

Jezus, przedstawiony tutaj w charakterystyczny sposób jako młodzieniec z gładką klatką piersiową, biodra przepasane ma białym sukniem, a na ramiona zarzuconą długą, falującą pelerynę w tym samym kolorze. Claire nie mogła się nadziwić, jak ktoś w ogóle mógłby wziąć tę niemalże nagą postać za ogrodnika. Jego ciało nie nosi już znamion niedawnej męki, nie widać śladów krwi, a bok nie jest przeбитo po brutalnym ciosie żołnierskiej włóczni. Na pewno nie była to scena powiązana z ukrzyżowaniem i Claire czuła z tego powodu swego rodzaju wdzięczność.

Gdyby nie list od Daisy nie wiedziałyby nawet, że drugą postacią jest Maria Magdalena. Zauważyłyby jedynie uderzające piękno kobiety. Miała ona na sobie prześwitującą bluzkę oraz długą, falującą suknię w kolorze krwistej czerwieni. A zatem ta kobieta to prostytutka, z którą żaden szanujący się mężczyzna nie zechciałby się pokazać za dnia, nawet jeśli po zapadnięciu zmroku miałby wobec niej całkiem innej zamiary. Na widok tej postaci maszerującej w południe ulicami mężczyźni wymownie odwracaliby głowy, by po ukryciu się w cieniu zaułka skinąć na nią lubieżnie. Maria Magdalena była antyczną wersją trędowatej nietykalnej, choć, paradoksalnie, właśnie przez

dotyk definiowała swoje jestestwo. Pragnęła miłości i szukała jej w ramionach kolejnych mężczyzn, choć w rzeczywistości znajdowała tylko pogardliwą pustkę. Dopiero ten chłopięcy z wyglądu Jezus udowodnił, że jednak komuś może na niej zależeć, być może tylko odrobinę, ale nawet ten okruch uczucia wystarczył. Pozwolił się jej dotknąć, gdy wszyscy patrzyli, dał obmyć swe stopy w jej pełnych współczucia łzach, a potem poczekał, aż kobieta wetrze w nie olejek i wysuszy własnymi włosami. To właściwie wszystko, co Claire zapamiętała z lekcji religii, choć i tak zdziwiła się na myśl, że wiedza zakopana w zakamarkach pamięci przez całe lata potrafi wypłynąć na powierzchnię dokładnie wtedy, kiedy jej potrzebujemy. Maria pokazana jest na obrazie, gdy klęczy przed Jezusem. Złote loki opadają jej na piersi, a ona zdaje się nie dbać o to, że włosy i suknia zbiorą brudny pył z ziemi, bo liczy się tylko oczekiwanie na dotyk, który upewni ją: *Jesteś jedną z nas. Twoje życie ma znaczenie.*

Jedną dłoń wyciąga ku Jezusowi, w drugiej trzymając dzbanek z olejkiem. Jest gotowa. I wtedy Chrystus odsuwa się. *Nie dotykaj mnie.*

Siła rażenia takiej reakcji jest nieporównywalna z niczym innym, nic nie mogło tej kobiety bardziej zranić. Claire doskonale to rozumiała, efekt tych słów znany był jej od dłuższego czasu. Zdawała też sobie sprawę, jak poczułaby się, gdyby to Rob użył tej broni przeciwko niej. Byłaby rozbita, załamana. Przyjrzała się bliżej twarzy Marii Magdaleny; szukała w niej ekspresji, która wyrażałaby szok związany z tak okrutnym odrzuceniem. Potem przestudiowała linie na delikatnej dłoni kobiety wyciągniętej ku Jezusowi. Claire chciała tam odczytać ślady desperacji, bezbrzeżnego bólu związanego z odrzuceniem Marii, która ponownie stała się nietykalna. Kobieta-wyrzutek społeczeństwa, która nie mogła przelotnie dotknąć męskiej dłoni podczas wizyty na targu czy poczuć silnego ramienia wokół talii bez

zastanawiania się, co ten gest mógłby znaczyć, ponownie zostaje sama, pozbawiona czułości i miłości. Claire chciała w jej twarzy ujrzeć choćby najprostszą z reakcji, czyli zażenowanie sytuacją. Przyniosła wszak ze sobą dzbanek z olejkiem, który w tej chwili pozostał jedynym dowodem na to, że doszło między nimi wcześniej do bliskiego kontaktu, a z drugiej strony świadczył o tym, jak błędne założenia przyjęła co do ich wzajemnej relacji. Odtrącona kobieta musiała to wszystko rozumieć, tak jak czuje to Rob za każdym razem, gdy słyszy druzgocące słowa: *Nie dotykaj mnie*.

Obraz pokazywał jednak coś zupełnie innego. Maria nie próbowała uczepić się szat Jezusa, nie zanosila się płaczem, nawet nie załkała. Zachowała dystans. Mimo desperacji, jaką na pewno czuła, mimo niewielkiej odległości, jaka ich dzieliła, nie dotknęła go, choć jego falująca szata była na wyciągnięcie ręki. Wystarczyła jej sama obecność Jezusa. O nic więcej nie prosiła. Umysł Claire wyświetlił w tym momencie film, na którym Rob po raz pierwszy występuje w roli człowieka naznaczonego rezygnacją, której pieczęć zdaje się już na zawsze przywrzeć do jego twarzy. Nie raz i nie dwa czuła potrzebę wykrzyczenia mu w twarz, że cały ten jego dystans, to ciche posłuszeństwo, brak odwagi, by cokolwiek z tym zrobić, jest potwornie żałosny. *Po prostu go dotknij*, zdawała się teraz podpowiadać Marii. *Zobacz, co się wtedy wydarzy. Czy naprawdę jest aż tak źle?*

Nic z tego. Maria, zupełnie jak Rob, zdecydowała się na posłuszeństwo, ostrożnie się wycofując. Claire nigdy nie poszłaby ' tą drogą. Przeciwwstawiałaby się i zdecydowanie wyciągnęła rękę, choćby tylko dlatego, że nikt nie miałby prawa jej tego gestu odmówić. Mając tę świadomość, zrozumiała, że łagodne spojrzenie Marii stało się swego rodzaju wyrzutem w stosunku do niej, a obraz zmienił w zwierciadło, w którym Claire mogła obejrzeć swe wady.

Oliver czasem odwiedzał ją we śnie - jako noworodek z pomarszczonymi rączkami i przykurczonymi nóżkami, leżący

przy jej boku z zamkniętymi oczami, separującymi go od świata zewnętrznego. W tym śnie wyciągała do niego dłonie, podkreślając intymną więź, jaka między nimi zaistniała. Chwilę później zniknął, a jej pozostawało już tylko spazmatycznymi ruchami przeszukiwać pustą przestrzeń i histerycznie krzyczeć: *Oddajcie mi syna!* Te słowa zdawały się nigdy nie wybrzmieć do końca, gdy zrywała się z pościeli w zanurzonej w mroku sypialni i złana potem po omacku szukała włącznika nocnej lampki, która mogła przynieść ukojenie swym jasnym światłem.

Jedno dotknięcie, tylko tyle chcę. Chcę poczuć jego usteczka, dotknąć nosa, policzyć te małe paluszki, jeden po drugim. Niech choć wtuli się we mnie, machając przy tym niezdarnie nóżkami, i poczuje kojące ciepło matki. Czyżby Tycjan wiedział, co to znaczy być tak nieodwracalnie odepchniętym, czyżby wiedział, jak to jest, niczego innego nie pragnąć, tylko dotyku kobiety, żony czy kochanki, porwanej przez niewzruszoną śmierć? A może doświadczył utraty dziecka - córki czy syna — które zmarło pokonane przez śmiertelną chorobę?

Czy jego udziałem stała się ta dręcząca świadomość - jak to ma miejsce w przypadku Claire — że być może istniała jakaś alternatywa, że gdyby coś zrobił inaczej, jego życie potoczyłoby się innym torem? Jeśli właśnie tego rodzaju uczucie Tycjan próbował przedstawić w swoim obrazie, to najwyraźniej potrafił przyjąć cierpienie w sposób, na jaki Claire nie było stać. Pomyślawszy to, raz jeszcze rzuciła okiem na opis. Malarz urodził się około 1490 roku, zmarł w 1576, a jako datę powstania dzieła wskazał rok 1514. Czyli był wtedy jeszcze bardzo młody i wszelkie rozczarowania, jakich mógł doświadczyć podczas swojego wyjątkowo długiego życia, na tym etapie mogły czekać na swoją kolej.

Dotknij Go, zachęcała Marię w myślach. Drugiej szansy może już nie być. Spójrz na mnie, ja nie dostałam ani jednej. Pochyliła się ku obrazowi. Sama zapragnęła dotknąć kobiety,

która najprawdopodobniej pojawiła się na obrazie, by pomóc w uchwyceniu ulotnej prawdy. Kątem oka zauważyła, że pracownik muzeum ruszył w jej stronę, a jego usta gotowe już były wydać stosowne ostrzeżenie. Cofnęła rękę i spojrzała mężczyźnie prosto w oczy, rzucając mu nieme wyzwanie, by wypowiedział słowa: *Nie dotykaj*. Strażnik nie wytrzymał jednak jej spojrzenia, najwyraźniej speszony rozpaczą, jaka biła z jej oczu. Odwrócił się, zawstydzony, mimo iż nie miał najmniejszego powodu, by tak się czuć.

Poczuła, jak wzbiera w niej fala smutku. Akurat zwolniło się miejsce, więc usiadła na drewnianej ławie. Nie oczekiwała, że będzie rozpierać ją nieopisane szczęście, ale pragnęła, by przynajmniej opuściło ją poczucie drążącej beznadziei. Szukała w swoim wnętrzu jakiegoś obiecującego pierwiastka, dowodu, że jej życie się jeszcze nie skończyło. Czowała się bardzo samotna w tym tłumie zdominowanym przez zakochane pary, matki pchające wózki i przepychające się dzieciaki ze szkolnych wycieczek, ubrane w znoszone mundurki i roztaczające wokół siebie atmosferę totalnego znudzenia. Nikt inny nie wydawał się zainteresowany *Noli me tangere*. Ci obcy ludzie przemykali obok obrazu, często nie obdarzając go choćby przelotnym spojrzeniem, *pędząc* ku większym i przedstawiającym bardziej dramatyczne sceny dziełom; albo zwyczajnie spiesząc się do sklepika z upominkami. Claire ogarnęło zgoła idiotyczne współczucie w stosunku do ignorowanego obrazu, wzięła głęboki oddech i ponownie skierowała na niego wzrok. Ostatecznie dla niego tutaj przecież przyszła. Nie powinna jeszcze wychodzić z muzeum.

Na środku obrazu, na drugim jego planie, znajdowało się drzewo pokryte ciemnozielonymi i brunatnymi liśćmi, które przykrywały fragment nieba zaciągniętego szarymi chmurami. Na niebie widać było złocistą poświatę, która miała zapewne dawać obietnicę zbawienia. Drzewo wcinano się pomiędzy

sylwetki Jezusa i Marii, niejako dzieląc obraz na dwie części. W tle znajdowały się jakieś zabudowania, a w dół kamienistej drogi schodził młody mężczyzna, może nawet chłopiec, któremu towarzyszył wierny pies. Ten niemy świadek wyraźnie nie zdawał sobie sprawy z wagi sceny, jaka rozgrywała się na pierwszym planie. Przy samej krawędzi obrazu zieleń łądy przechodziła w uderzający błękit morza. A przynajmniej tak to wyglądało, bo równie dobrze mógł to być efekt wizualny wywołany przez łzy, które napłynęły Claire do oczu. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę, pod palcami wyczuwając zmiętą kartkę. Był to list od Daisy, który wzięła ze sobą, wychodząc z domu. Napisany został co prawda sześćdziesiąt lat temu, ale jego przesłanie ani trochę nie straciło na aktualności.

Listopad 1942 rok

Droga Elizabeth! ,

Ostatnio sporo myślałam na temat zajęć plastycznych, które Twoja matka zorganizowała dla nas w Edenside. Bardzo nam się one podobały, choć nie jestem przekonana, czy wiele z nich wynieśliśmy. To było ledwie cztery lata temu, a wydaje się, że minęły wieki. Choć pewne wydarzenia zdają mi się tak świeże, jakby miały miejsce wczoraj. Weźmy choćby Charlesa i to, że tego lata obie się za nim uganiałyśmy jak szalone i to tylko dlatego, że był od nas dwa lata starszy. Spójrz, dokąd to mnie zaprowadziło. Niemal przed ołtarz! Byłyśmy wtedy ledwie podlotkami, czyż nie? A przynajmniej tak się zachowywałyśmy. Ja na pewno. I pomyśleć, że masz już dziecko...

Minęły już trzy lata od chwili, gdy rozstałyśmy się w Liverpoolu, a Twój kochany Nicky ma już sześć miesięcy. Wierzyć się nie chce! Jeszcze do niedawna myślałam, co by było, gdybyśmy wtedy razem ruszyły w podróż. Teraz nawet gdybym mogła się stąd ruszyć, chyba bym się nie zdecydowała. Mam zamiar wytrzymać w postanowieniu

i dotrwać tutaj do końca wojny, jak wszyscy wokół. Choć, z drugiej strony, miewam takie chwile, że nie obraziłabym się, gdyby ktoś pozwolił mi uciec jak najdalej stąd! Niech Ci nie przyjdzie do głowy myśl, że coś Cię omija. Wierz mi, życie tutaj to wieczny znój, na który składają się marudzenie, umieranie i walka o przetrwanie do następnego poranka. Pewnie masz tak samo dość wysłuchiwania tej samej melodii, jak i ja mam dość tańczenia do niej. I chyba to zmęczenie codzienną walką o życie pchnęło mnie ku rozmyślaniom na temat pięknych dni, jakie kiedyś były naszym udziałem. Miło jest od czasu do czasu z uśmiechem spojrzeć wstecz, miast ciągle marszczyć brew w trosce o dziś, jutro czy o przyszły rok.

Mam tutaj nowe zajęcie, które mnie znakomicie odrywa od rzeczywistości, i to ono jest głównym powodem, dla którego piszę do Ciebie. Nie ma ono absolutnie nic wspólnego z wysiłkiem wojennym — i dzięki Bogu, tak sobie myślę. Jak można się domyślić, Londyn jest obecnie pustynią pod względem sztuki. Wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, lata temu zostało zapobiegliwie ukryte przez nasz kochany rząd... i w sumie niestosownym by było gniewać się za to na władze. Cywile umierający na ulicach to koszt, na jaki można sobie pozwolić, ale już dobra narodowe puszczane z dymem to coś, na co nie możemy się zgodzić.

Mimo to coraz częściej się do tego tematu wraca — i to nawet w listach do „The Times”! — bo wszyscy tutaj pragniemy jakoś oderwać się na chwilę od wojennego oblędu (nie jestem w tym odczuciu sama), więc to nieugięte stanowisko odnośnie ukrywania wszystkich dóbr kultury zaczyna tracić poparcie. Od wielu miesięcy nie doświadczyliśmy w Londynie większego nalotu bombowego i podjęto decyzję, że National Gallery udostępni jedno dzieło sztuki każdego miesiąca, wystawiając je na widok publiczny, żeby gawiedź mogła nacieszyć oczy pięknem. Mówi się, że taka strategia ma podnieść morale (teraz chyba wszystko ma podnosić morale). A co tam, do diabła, z morale, ja już po prostu nie mogę się doczekać, aż

zobaczę coś, co nie będzie bilo po oczach kolorami maskującymi - zielonym, brązowym i khaki.

Solennie sobie przyrzekłam, że każdego miesiąca udam się na miejsce wystawy, nieważne, co akurat władze zechcą odkurzyć, i że po każdej takiej wyprawie napiszę do Ciebie list. Tym samym równocześnie znajdę w sobie siłę, by przetrwać do następnego miesiąca i utrzymam z Tobą kontakt. I na pewno wyjdzie mi to na zdrowie. Co o tym myślisz? Zawsze to coś bardziej ożywczego niż robienie skarpet na drutach lub zbieranie starych puszek, które potem przerobią na Spitfirey. Takim czynnościom poświęciłam już wystarczająco dużo mojego czasu, oby nie poszedł na marne. Ponadto dzięki temu nowemu zajęciu być może uda mi się nie myśleć zbyt długo o Charlesie, którego ostatnio nie widuję często. Ciągłe gdzieś przenoszą jego oddział, tu na tydzień, tam na miesiąc. Każą im maszerować przez wioski i trenować celność strzelania na królikach i lisach. Nie żebym narzekała. W tym świecie absurdu, w jakim przyszło nam żyć, normalne jest, że nie widzimy się z tymi, których kochamy najbardziej. Sama to zresztą wiesz najlepiej, skoro nawet Ci nie mówią, dokąd wysiali Billa.

Wróćmy jednak do sedna sprawy. Otóż zaczęłam już moją przygodę ze sztuką.

Pierwszy obraz obejrzałam zeszłej środy podczas przerwy na lunch. Obecnie pracuję w jednym z ministerstw w Whitehall, zajmuję się przepisywaniem dokumentów. Moi przełożeni twierdzą, że to jakieś ważne papiery, ale dla mnie pisanie to pisanie i specjalnej wagi swojej pracy nie odczuwam. Nie narzekam, bo zawsze to lepsze niż praca w fabryce amunicji.

Już samo dotarcie do National Gallery to wyczyn sam w sobie. Najpierw trzeba zastosować całą gamę uników, żeby nie dać się złapać tym wszystkim paniusiom, które na Trafalgar Square rozdają ulotki uczące, jak zrobić ciasto z ziemniaków, i równocześnie pouczające, czego nie wolno nam robić z amerykańskimi żołnierzami. Jeśli mam

być szczerą, to wolałabym się dowiedzieć, co TRZEBA zrobić z amerykańskim żołnierzem, a nie na odwrót. Nawet jeszcze z takim nie miałam okazji pogadać. Charlesowi by się to nie spodobało. Nelson dalej na to wszystko patrzy z góry. Jedyne różnica — przyodziano go w wielki sztandar, na którym wzywa się nas do „dołączenia do krucjaty”, cokolwiek to ma znaczyć. Zdaje się, że mamy wykupywać obligacje skarbu państwa. Chyba. Stara śpiewka.

Gdy popatrzymy na chaos panujący wokół, sama galeria wydaje się oazą spokoju. Pojawiłam się tam po długiej przerwie i na miejscu ogarnął mnie smutek. Kiedyś było to tak cudowne miejsce, a teraz niewiele z niego zostało, przynajmniej w kontekście sztuki. Można tam znaleźć obraz miesiąca i raz na jakiś czas okolicznościową wystawę. Warto jednak odnotować fakt, że codziennie w porze lunchu grają tam koncerty — pewnie o nich usłyszysz. Udaje im się przyciągnąć całkiem znane nazwiska, choć ci ludzie, zamiast zawodowo zajmować się muzyką, grają ubrani w mundury wojskowe. Większość pomieszczeń pozostaje jednak pusta. Zajrzałam do nich po drodze i okazuje się, że są wypełnione wielkimi, pustymi, połączanymi ramami, które pozbawiono obrazów i porzucono na podłodze, jak gdyby wyrzucono je na śmietnik historii. Z kolei na ścianach widać blade plamy, które przypominają cienie pozostałe po usuniętych dziełach sztuki. Okna są zabite po sam szczyt, co tylko czyni te pomieszczenia jeszcze bardziej ponurymi, a i tak nie można ukryć faktu, że w wielu miejscach szyby popękały i czyhają na nieostrożnego zwiedzającego.

Rzecz jasna w pomieszczeniu, w którym wystawiają obraz miesiąca, już tak cicho nie było. To tylko pokazuje, jak wiele czasu minęło, odkąd każdy z nas miał okazję popatrzeć na coś naprawdę godnego uwagi. Nic dziwnego, że myśl o obrazie, o którym nigdy wcześniej nie słyszeliśmy (a przynajmniej ja nie słyszałam), powoduje u nas takie szaleńcze zainteresowanie. Wspomniany obraz nie jest jakoś wyjątkowo stary — to dzieło Tycjana, musi być chyba

z jakiegoś powodu wyjątkowe. W końcu to jeden z bardziej uznanych włoskich artystów i nawet ktoś taki jak ja musi o tym wiedzieć. Pochodzi, zdaje się, ze zbiorów Medyceuszy.

Obraz ukazuje scenę z Jezusem i Marią Magdaleną, nosi tytuł „Noli me tangere”. Pora przypomnieć sobie lekcje łaciny! Trochę za dużo w tym pompy. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego od razu trzeba nadawać łaciński tytuł.

Pewnie uznasz to za niemądre, ale pierwsze, na co zwróciłam uwagę, to strój Marii. Ostatnimi czasy nie mogę się pohamować przed taksowaniem ubiorów innych kobiet i rozmyślaniem, ile kuponów reglamentacyjnych musiały na konkretny strój zużyć. Maria Magdalena ma na sobie tunikę, fale czerwonego sukna opasują ją obficie, a pod spodem nosi białą bluzkę. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam kobietę, która nosiłaby takie ilości materiału — tu jest w istocie cała jego masa. A nas zmuszają, byśmy sobie odpuściły falbany i kieszonki, co niestety tylko pokazuje, w jakim położeniu się znaleźliśmy. Nawet moja suknia ślubna nie będzie tak obfita. Przecież jeśli by nawet było mnie stać na tak fantastyczny strój, to uznano by go za nieprzyzwoity w tych mrocznych czasach. Dobra, tylko nie pytaj, daty jeszcze nie ustaliliśmy, Charlesa przecież nigdy nie ma. Gdy się już dogadamy, będziesz pierwszą, która się dowie.

Muszę przyznać, że podziwiam Marię za jej bezwstydną kobiecość, za te fałdy wirujące wokół piersi i opadające aż do ziemi. Jest w tym coś naprawdę imponującego. W tych czasach nie uświadczysz podobnego widoku, a przynajmniej nie w Londynie. Teraz w modzie jest noszenie spodni i zgrywanie się na twardsze od mężczyzn. Zakładam, że wielu facetom zasiałyśmy przez to w głowach niezły zamęt.

A zatem mamy tutaj Marię Magdalenę, na klęczkach, z wyciągniętą ku Jezusowi dłonią. Tak się zastanawiam, czy jakaś siła nie każe mu się delikatnie wycofać— i wcale nie dlatego, że ma jakieś złe intencje, tylko dlatego, że ona nie powinna Go dotykać. Widzisz, tak

to już jest w tej historii. Nikt nie może Go dotykać, bo on w zasadzie nie jest już normalną osobą, wszak najpierw umarł, a potem zmartwychwstał, zmierzając ku wniebowstąpieniu, co raczej nie stanie się naszym udziałem. Tak mi się zdaje, że gdyby Maria teraz Go dotknęła, to coś poszłoby nie tak i akcja z wniebowstąpieniem mogłaby się nie powieść, jak myślisz? Obok obrazu pokazano kliszę z prześwieconym dziełem, gdzie widać wyraźnie, iż Tycjan namalował najpierw inną wersję tego obrazu, na której Jezus bardziej zdecydowanie odwraca się i odchodzi. Finalna wersja jest nieco subtelniejsza, ale przekaz zostaje ten sam: „ Trzymaj się ode mnie z daleka”.

Całe to „nie dotykaj mnie” wydaje się nieco nierealne, gdy się o tym dłużej pomyśli. Spójrz, co się dzieje w naszych czasach, jak wygląda moralność współczesnego Londynu. Tutaj dotyk stał się powszechny, zwłaszcza ze strony żołnierzy na przepustkach, i nie każdy jego rodzaj jest mile widziany. Nie znasz dnia i godziny, gdy jeden z drugim postanowi cię obmacać, gdy tylko zgasną światła.

W bezradnym wyrazie twarzy Marii jest coś, co do mnie mocno przemówiło. Doskonale ją rozumiem, dlaczego chce tak desperacko przywrzeć do Jezusa. W końcu przecież zdążyła się już pogryźć w rozpacz po Jego śmierci, a tymczasem On, Bogu niech będą dzięki!, wraca do żywych i na ciele nie widać żadnych znaków tortury, której poddany był kilka dni wcześniej. To cud nad cudami, co znów przywodzi mi na myśl współczesny świat, też pełen cudów. Pomyśl tylko, jak my się tutaj czujemy podczas nalotów — tkwisz w punkcie, w którym znalazła cię syrena alarmowa, i nigdy nie wiesz, jak długo to wszystko potrwa, upchana razem z tłumem obcych ludzi, modląc się o przetrwanie. Gdy tylko alarm zostaje odwołany, wszyscy spieszą do domów, żeby odnaleźć bliskich. Równocześnie najstraszniejsze i najbardziej cudowne historie opowiadają o ludziach, którzy powrócili do swoich kamienic, by zastać je w gruzach, a po chwili z tego właśnie gruzowiska ktoś wyciąga ich córkę, syna czy żonę, ewentualnie nadbiegają oni z rogami ulicy,

cali i zdrowi. Albo weźmy te historie o naszych chłopcach, którzy znaleźli się za liniami wroga i zostali uznani za poległych, a którzy wiele miesięcy później pojawiają się w Dover po tym, jak przemierzili całą Francję. Pomyśl tylko, jak bardzo przywarłabyś do takiego żołnierza, gdyby się właśnie odnalazł! Wyobraź sobie, jak bardzo żywy by dla Ciebie był, gdybyś go już dawno zdążyła w myślach pochować dwa metry pod ziemią. Przypuszczam, że żadna siła nie oderwałaby Cię od niego.

W gazetach takich historii jest w bród. I rzeczywiście, nieco poprawiają ludziom humory, choć ja mam na temat tych artykułów i ich efektu własną opinię. Moim zdaniem dają one złudne nadzieje, a przecież wszyscy zdajemy sobie sprawę, że na jeden cudowny powrót przypadają tysiące smutnych historii, gdzie żaden cud się nie wydarzył. Uważam, że lepiej szykować się na najgorsze i szukać w sobie wewnętrznej siły do udźwignięcia straty. Mówię z doświadczenia, bo przecież, gdy Mama umierała, przykleiłam się do niej, jak gdyby jej i moje życie od tego wiernego trwania zależało, a i tak w końcu odeszła. Nie mogłam jej utrzymać przy życiu, mimo tak ogromnych starań. Być może jednak pewnego dnia odnajdę ją siedzącą w różanym ogrodzie...

Przepraszam, Droga Elizabeth. Chyba za bardzo smęcę. Może lepiej wrócę do obrazu i opowiem Ci nieco więcej o przedstawionej tam postaci Jezusa. Wiesz, kogo On mi przypomina? Rekruta, który staje przed komisją wojskową, lekko wystraszony i niezdarny. Pokazują coś takiego na plakatach zachęcających do zaciągania się do wojska. Bóg jeden wie, po co to w ogóle robią, bo nie ma już kogo powoływać i zostaje nam jedynie obowiązkowy pobór, nawiasem mówiąc, nawet dla dziewczyn. Nasi chłopcy wydają się ostatnio wąтли, budzą moje współczucie. Nie to, co Amerykanie, którzy zawsze wyglądają tak cholernie męsko, nie znajdziesz u nich tego zmęczonego spojrzenia, jakie u naszych jest powszechne. Brytyjscy chłopcy są trochę zazdrośni o jankesów i trudno ich winić, kiedy się

popatrzy, na co niektóre z naszych dziewczyn sobie z przyjezdnymi pozwalają. Obok mnie w biurze siedzi dziewczyna o imieniu Molly, ta nigdy nie owija w bawełnę — twierdzi na przykład, że to nie jankesów powinniśmy się obawiać, tylko Kanadyjczyków. Wyznała, że ci ostatni są trochę zbyt szybcy dla porządnych dziewczyn. Coś pewnie o tym wiesz, w końcu sama jesteś mężatką. Napisz mi, czy Molly ma rację, czy mam jej naprostować światopogląd.

Coś mi się wydaje, że ten Jezus z obrazu Tycjana nie wytrzymałby zbyt długo w wojsku, jest chyba fizycznie za słaby. Już bardziej widzę go w roli mężczyzny, który sprzeciwia się służbie wojskowej z powodu przekonań religijnych. Mógłby też zostać kapłanem polowym. W wojsku często dostaje się przydział, który nie odbiega daleko od tego, co robiło się w cywilu. Charles akurat jako cywil za wiele nie robił, więc zrobili go oficerem, pewnie dlatego, że skończył studia w Eton. Doszły mnie słuchy, że niezłe strzela, więc może te całe dni uganiania się za bażantami to jednak nie była aż taka strata czasu, jak zwykłam sądzić.

Tło obrazu jest doprawdy cudowne, mamy tam zielone wzgórza, błękit morza i, co chyba najistotniejsze, nie ma na tym obrazie wielu innych ludzi. Już prawie zapomniałam, jak to jest stać w szczerym polu, patrzeć na morze i widzieć tylko jedną czy dwie inne osoby. Tutaj nie da się uciec od tłumów — jakby mało ich było przez cały dzień, to czasem trzeba znosić ich obecność nawet w nocy. Mamy tu żołnierzy, uchodźców, ludzi wcześniej ewakuowanych, którzy wracają teraz znudzeni terenami wiejskimi — całe morze ludzi! Można by tu poczuć kosmopolityczną atmosferę, tyle że to czas wojny i na nic innego nie ma miejsca.

Napisz do mnie jak najszybciej i daj znać, czy też tak często myślisz o mnie, jak ja o Tobie. A tymczasem każdego napotkanego Kanadyjczyka będę pytać, czy przypadkiem nie zna Billa. Napiszę do Ciebie w przyszłym miesiącu, gdy tylko obejrzę kolejny obraz.

Daisy

- Przyszła do ciebie jakaś *paczka* - powiedziała do Roba przy kolacji. Tak to się zaczęło. Wyrzuciła z siebie słowa tak szybko, że można było odnieść wrażenie, że nic dla niej nie znaczą. Siedzieli na sofie w salonie, jedząc włoskie danie z organicznym sosem pomidorowym, podane na półmiskach, które ktoś (nie pamiętała już kto) podarował im w prezencie ślubnym.

- Sąsiedzi z dołu musieli wpuścić listonosza na górę, bo paczka jest zbyt duża i nie zmieściłaby się do skrzynki. Położyłam ją na stole w kuchni.

- Dzięki.

Ani na chwilę nie oderwał wzroku od telewizora. Wcześniej zrozumiałaby zmęczenie po wielu godzinach spędzonych w biurze, wtuliłaby się w jego ramię i pozwoliła, by delikatnie głaskał ją po głowie. Wysłuchałaby historii o ludziach, z którymi pracował, a których pewnie nigdy w życiu by nie poznała, dowiedziała się o podpisanych kontraktach i nieudanych projektach, o nagrodach, ale i złościwościach, jakie musiał znosić. Tymczasem wraz z Oliverem opuściła ją cierpliwość.

- Nie otworzysz?

- Nie spieszy się.

- Może to coś ważnego.

- Nie sądzę.

Pusty, głośny śmiech oraz krzyki ludzi występujących w jakimś durnym telewizyjnym show zagłuszyły głos, który chwilę wcześniej przemawiał w jej głowie. Zwolna obraz wyświetlany na ekranie wraz z dominującym hałasem zajęły jej percepcję na tyle, że gniew, który od jakiegoś czasu niezmiennie czyhał tuż pod powierzchnią, na chwilę został powstrzymany. Czasem wystarczyło, że Rob na nią spojrzał, a już gotowa była wybuchnąć.

Gdy program wreszcie się skończył, Rob sięgnął po program telewizyjny dołączony do niedzielnego wydania gazety i zaczął wertować strony.

- Nic nie ma, znów ten sam chłam, co zwykle - skomentował, ziewając. Wyłączył telewizor, nie pytając, czy może chciałaby coś obejrzeć. Następnie rzucił program na sofę, a ten, spadając, pogubił kilka naderwanych stron. Nawet się nie ruszył, żeby je podnieść.

Dobrze, pomyślała Claire, czując w sobie przyływ gniewu, teraz miała już powód do irytacji. Za chwilę sama pozbiera te luźne kartki i da mu sporo czasu na słowa podziękowania, które nie nadejdą.

- Kochanie, idę się położyć - powiedział, gdy akurat zaczęła porządkować porozrzucone karki. - Jutro muszę wstać, rano mam ważne spotkanie i muszę się do niego przygotować.

Była dopiero dziesiąta wieczorem. Nawet jej mama o tej porze jeszcze nie kładła się spać.

- O której konkretnie?

- Koło szóstej, może wpół do siódmej.

- OK - odpowiedziała, a jej głos przybrał surowy ton. Tak naprawdę chciała powiedzieć: *Co, znówu? Albo: Czy musisz pracować tak ciężko? Albo jeszcze lepiej: A może byś tak został dłużej w domu i zjadł ze mną śniadanie?* Tego typu wypowiedzi nie chciały jednak przejść jej przez gardło. A gdyby nawet zdobyła się na podobną wypowiedź, to co by jej odpowiedział? *Skoro tak bardzo mnie tutaj chcesz, to dlaczego wciąż mnie odpychasz?* Ale nie, tego od niego nie usłyszy. Nigdy nie wypowiedziałby na głos tego, co tak naprawdę oboje od dawna wiedzieli, a mianowicie, że kiedyś, przed Oliverem, tak ciężko nie pracował. Wcześniej pędził do domu, byle tylko jak najszybciej z nią być, zjeść razem kolację, napić się wina lub kochać, a później rozmawiać o przyszłości. Teraz o wiele łatwiej było po prostu wrócić na tyle późno,

by godziny spędzone w domu przeznaczyć głównie na sen. To wszystko jej sprawka, nie mogła ani temu zaprzeczyć, ani tego procesu zatrzymać.

Jednak z drugiej strony czasem budziła się w nocy i wracało do niej koszmarne wspomnienie o dziecku, które wypłynęło z niej wraz z krwią w jakimś obscurnym szalecie. I wtedy wracała myśl: *Właściwie dlaczego mam przestać? Niby dlaczego miałabym sif tak nie zachowywać? Mam wystarczające powody.*

Wstała i wróciła do kuchni, gdzie wciąż, pośród sterty brudnych naczyń, czekały na nią rondel i deska do krojenia. Odkręciła kran i pozwoliła wodzie ściekać po dłoniach w oczekiwaniu na właściwą temperaturę.

- Może to zostaw na razie, co? Możesz przecież pozmywać jutro rano.
- Rob zawołał do niej z sypialni.
- Nie mam ochoty robić tego ani dziś, ani jutro, ale ktoś to zrobić musi
- odpowiedziała rozdrażniona. Emocje, których źródłem była żaloba po dziecku, zatrzęsły jej głosem i ścisnęły żołądek, ale Rob usłyszał jedynie nutkę frustracji. Nie był w stanie wychwycić smutku, a może po prostu miał już w tym tygodniu dość jej kiepskiego nastroju. W każdym razie nic nie odpowiedział. Claire w końcu jednak zakręciła wodę i poczekała, aż spłynie - wciąż nie była wystarczająco ciepła. Już dawno powinni byli wymienić bojler, ale ją to zadanie przerastało, a Rob nigdy nie miał czasu. Opadła na jedno z drewnianych, składanych krzeseł - tylko takie pasowały do wystroju pomieszczenia - z silnym postanowieniem, że tym razem się nie rozplacze. Wiecznie ten sam cykl. Wściekłość. Frustracja. Rozpacz. Łzy. Zawsze tak samo. Czuła, że właśnie zbliża się ostatnia faza tego cyklu, ale tym razem udało się powstrzymać napływające łzy. Claire zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę dłoni. Jest już za późno na zbyt dobrze wszystkim znane przedstawienie.

Potrzebowała czegoś, co odwróci jej uwagę, i wzrok jej padł na leżącą na stole paczkę. Była wielkości pudełka do butów, ale ważyła mniej, niż można się było spodziewać, i chyba nie była w całości wypełniona. Potrząsnęła nią. W środku coś głucho dudniło. Rob nie ma racji, na pewno jest w niej coś interesującego. W każdej paczce jest coś interesującego. Była tego zdania od zawsze, a już na pewno od chwili, gdy nauczyła się, że na urodziny listonosz przynosi coś miłego, oraz gdy dowiedziała się, że jest coś takiego jak zakupy katalogowe, które można potem wysłać pocztą jako prezent na Gwiazdkę.

Przesyłkę nadano w Toronto, co już samo w sobie było intrygujące. To właśnie tam żyła babka Roba od momentu wyjścia za mąż, czyli przez pół wieku. Jej mąż utonął w jeziorze Ontario na skutek wypadku łodzi dziesięć lat temu, a ona sama zmarła na atak serca na początku tego roku. Tym samym oszczędziła kłopotu ojcu i wujowi Roba, którzy przenieśli się do Wielkiej Brytanii w latach sześćdziesiątych. Jej śmierć ostatecznie przerwała wszelkie więzy, które Rob mógł jeszcze mieć z Kanadą. Tak się przynajmniej Claire wydawało.

Ich adres został wydrukowany, a nie napisany ręcznie, na odwrocie znajdował się zwrotny adres nadawcy: Jankyns, Simpson & Strand LLP, Attorneys. A więc kancelaria prawnicza. Miała zamiar zapytać Roba przed pójściem spać, czy ich zna. Odłożyła paczkę na stół i poszła do łazienki, obserwując swoje odbicie w lustrze podczas mycia zębów. Nie ma wątpliwości, ostatnie doświadczenia mocno ją postarzyły. Otworzyła szafeczkę, by schować pastę. Buteleczka z pigułkami przetoczyła się i zatrzymała na samej krawędzi. Postawiła ją. Kwas foliowy. Już go nie potrzebowała. Z siłą nieco większą niż zaplanowana wyrzuciła buteleczkę do kosza; zderzenie z metalem było głośne. Następnie wyciągnęła wyblakłą piżamę, taką, której nigdy by nie włożyła przy Robie przed ślubem, i ruszyła w stronę

ciemnej sypialni. Rob już spał albo udawał, że śpi. W pomarańczowej poświacie lamp ulicznych, docierającej do pokoju poprzez szparę w zasłonach niedokładnie zaciągniętych przez jej męża, zobaczyła, że napięcie obecne na jego twarzy za dnia pomału zaczęło schodzić wraz z zanurzeniem się w sen. Trochę jej ulżyło. Położyła się i objęła ramieniem jego ciepłe ciało, pograżając się w smutnym współczuciu dla niego i wstydzie za samą siebie. Nie wiedziała, czy czuje jej obecność. Na zewnątrz, mimo że dochodziła północ, ptaki wciąż nie przestawały śpiewać.

Paczka leżała na stole nietknięta przez trzy dni, balansując na stercie listów i rachunków, których Claire nie zdążyła otworzyć, a których obecności Rob zdawał się wcale nie zauważać. Z każdym zjedzonym śniadaniem tę przypadkową instalację przyozdabiały coraz to nowe okruszki lub plamy soku pomarańczowego i przy okazji każdego posiłku wzrok Claire uparcie wracał do paczki. *Otwórz ją, otwórz ją*, przekonywał natarczywy, wewnętrzny głos, w końcu stając się tak nachalnym, że zaczęło jej się od tego kręcić w głowie.

— To od prawników babci - odparł, gdy w końcu zapytała go o firmę.
— Tata wspominał coś, że mogą się z nami skontaktować, bo zajmowali się jej testamentem. Coś mi tam zostawiła, chyba jakieś dokumenty czy inne papiery. Pewnie to znajdziemy w przesyłce.

Mówiąc to, wyrównywał węzeł w krawacie, a Claire wciąż siedziała w sypialni oparta na poduszkach. Lubiła na niego patrzeć w takich chwilach, gdy o poranku na kilka sekund zastygał w bezruchu, palcami wyczarowując węzeł krawatu, sprawdzając, czy koszula jest dobrze wpuszczona w spodnie, a spinki do mankietów właściwie dobrane. Widząc jego elegancję, poczuła coś w rodzaju dumy. Pod wpływem tych myśli przesłała mu całusa. Takie uczucia od pewnego czasu nie były w ich domu częstym gościem. Od czasu Olivera.

Dla niej to była jeszcze zbyt wczesna pora, by wstawać, w biurze musiała być dopiero wpół do dziesiątej, a poza tym coraz częściej zdarzało się jej spóźniać, co w czasie gdy się o tę pracę starała, wydawało się nie do pojęcia. W końcu chętnych do pracy w międzynarodowej organizacji charytatywnej nie brakowało. I choć obecnie o etat było coraz trudniej, ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, to codzienne oglądanie plakatów ukazujących uratowane, uśmiechające się dziewczynki czy chłopców. Marzyła o ucieczce.

—To jak długo ta paczka tu poleży, aż się nią łaskawie zajmiesz? Chciała uzyskać efekt nonszalanckiego sarkazmu, ale wyszło zupełnie inaczej. Zdawała sobie z tego sprawę.

- Kotku, błagam cię, jestem już spóźniony. - On z kolei nieudolnie próbował ukryć irytację. — Dziś już nic z tym nie zrobię. I nie chcę się spieszyć. Naprawdę to nie może poczekać do weekendu? To moja babka, moja spuścizna, moje nazwisko na przesyłce. Naprawdę nie ma to z tobą nic wspólnego.

- Skoro jesteśmy małżeństwem, to raczej ma.

Znów poczuła, jak łyzy ruszają w drogę po bardzo już wyżłobionych ścieżkach na jej policzkach. W sumie nawet ją to dziwiło, że one wciąż potrafią oddziaływać na Roba, mimo iż był ich świadkiem setki razy. Jego głos przybrał cieplejszą barwę, gdy w lustrze ujrzał znajomy grymas na twarzy żony. Odwrócił się do niej.

- Claire, kochanie, daj już spokój z tymi łzami, dobrze? Naprawdę muszę biec do pracy. Posłuchaj, może sama zajrzysz do środka, skoro to dla ciebie aż takie ważne? Nie mam nic przeciwko.

- Serio?

- Serio, serio - odparł. Cóż, wciąż potrafiła go doskonale rozszyfrować, nawet jeśli on zatracił tę umiejętność wobec niej. Wiedziała, że kłamie. Bez dwóch zdań on sam chciał być tym, który odpakuje przesyłkę i zajrzy, co znajduje się w jej środku.

Niewątpliwie uważał też, że ma do tego święte prawo. A mimo to pozwolił jej zawłaszczyć tę przyjemność. Cholernie szarmancki i przyzwoity, jak zawsze.

Jakaś niepohamowana siła wypchnęła ją z łóżka i nakazała, ku zdziwieniu obojga, obdarować Roba mocnym pocałunkiem prosto w usta, zarzucając ręce na szyję, na co automatycznie odpowiedział objęciem jej. Przez krótką chwilę, w tej dość niezdarnej, niedopracowanej intymnej scenie wróciły stare uczucia. Odsunęła się na chwilę, by osuszyć twarz, i znów się przysunęła, by go pocałować, ale było już za późno. Najwyraźniej jakaś myśl związana z dniem pracy zdążyła podstępem zająć jego umysł, bo pochwycił już neseser i po chwili zatrzaskał za sobą drzwi. Poczowała, jak mięśnie twarzy zaciskają się w miejscach, gdzie przed chwilą spływały łzy.

Wzięła prysznic i ubrała się, nie zajmując sobie głowy ani chwili dłużej poprzednią, dziwną sceną. Do wyjścia z domu pozostała jeszcze godzina, a jej ruchy napędzała nerwowość, której nie czuła od wiadomego dnia.

Dnia, w którym poroniła.

Tak, tak to się nazywa.

Po prostu to powiedz, zachęcała samą siebie. To przecież tylko zwykłe określenie.

Mimo to wciąż czuła w stosunku do niego niechęć. Brzmiało zbyt wulgarnie, zbyt medycznie. A i tak nie było najgorszym słowem, jakie usłyszała w szpitalu. Do tego doszły kolejne: „usunięcie”, „łyżeczkowanie macicy”, „powstrzymanie laktacji” i wiele innych. Wciąż miała przed oczami twarz lekarza wypowiadającego frazy, których w tamtym momencie nie rozumiała, a których znaczenie w końcu poznała. Wstrząsnęły nią dreszcze, więc spróbowała odsunąć mroczne myśli, by nie zapuściły korzeni w jej umęczonym umyśle. Podreptała do kuchni, stąpając po zimnych kafelkach. Wtedy na chwilę zawahała się,

rozkoszując się radosnym oczekiwaniem na to, co ma się zdarzyć za kilka sekund. Zaparzyła herbatę, czekając, aż torebka wypłynie na powierzchnię, po czym zepchnęła ją w dół filiżanki strumieniem mleka i patrzyła, jak dwa różne płyny ruszyły w miłosny taniec. Gdy już była gotowa, porwała paczkę ze stołu, zupełnie jakby właśnie podkradała ją jakiemuś nieobecnemu właścicielowi. Zaczęła zdejmować warstwy brązowego papieru, rozrywając na pół kartkę z imieniem Roba - a dokładnie pana Roberta Dawsona. Wewnątrz znajdowało się kartonowe pudełko, ale nie zwykłe pudło po butach, które ktoś na nowo wykorzystał, tylko pojemnik kupiony specjalnie na tę okazję. Podniosła wieczko.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, była srebrna, bogato zdobiona rama, tu i ówdzie naznaczona ciemnymi plamami, które nie zostały doczyszczone. Mieściło się w niej czarno-białe zdjęcie przedstawiające parę zakochanych. Mężczyzna był młody, mógł mieć dwadzieścia pięć lat, może trzydzieści. Wokół oczu można było zauważyć pierwsze zmarszczki, ale Claire uznała, że może to być jedynie efekt mrużenia oczu przed intensywnymi promieniami słonecznymi. Nosił tweedową marynarkę i rozpiętą koszulę, która mogła być białego koloru. Kobieta była jeszcze młodsza, wyglądała na nieco ponad dwudziestoletnią, miała na sobie sukienkę w kwiaty, która falowała na wietrze wokół jej gładkich, odsłoniętych nóg. Patrzyła wprost w obiektyw. Mężczyzna mocno obejmował ją w talii, para ściśle do siebie przywarła, praktycznie nie zostawiając między swoimi ciałami wolnej przestrzeni. Ze zdjęcia biła niewymuszona intymność. Matka Claire określiłaby pewnie tę parę jako „atrakcyjną”. Bohaterowie zdjęcia opierali się o balustradę promenady, za plecami mieli plażę i morze.

Gdy przyjrzała się im bliżej, zwróciła uwagę na pozostałe elementy zdjęcia. Z lewej strony, na wysokości plaży ujrzała linię drutu kolczastego oraz skomplikowaną instalację rusztowań,

które wystawały wprost z piasku niczym pocięte rury. Był tam też nieco zamazany napis, który rozszyfrowała jako „Niebezpieczeństwo”. Miała wrażenie, że podobny obraz gdzieś już widziała, chyba w jednej z licealnych książek. No tak, zdjęcie ukazywało instalacje obronne na brytyjskim wybrzeżu z czasów drugiej wojny światowej. Oznaczało to, że zdjęcie musiało zostać zrobione po wybuchu wojny, a więc po 1939 roku, a w bystrym spojrzeniu dziewczyny można się było dopatrzeć podobieństwa do ojca Roba. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Babka Roba urodziła się w Anglii, tego Claire była pewna. Z kolei jego dziadek, Kanadyjczyk, był tym, który sprawił, że przeprowadziła się do Toronto. Ale spotkali się tutaj, na Wyspach. Jeśli kiedykolwiek było jej dane znać imię dziadka, to na pewno nie mogła go sobie teraz przypomnieć i gdy tak patrzyła na jego twarz z fotografii, zrobiło się jej z tego powodu przykro. Rob opowiedział jej kiedyś historię pierwszego spotkania babci i dziadka. Dziadek przyjechał do Anglii na roczne studia, przywożąc ze sobą list dla rodziny Elizabeth od starej przyjaciółki z czasów szkolnych. Tak to się wtedy robiło. Został zaproszony na lunch, po zakończeniu którego udali się na spacer po ogrodzie i przybysz wyciągnął żądło pszczoły z palca Elizabeth. W tamtych czasach to już był powód, żeby się w sobie zakochać.

Postawiła ramkę ze zdjęciem na kuchennym stole, ale te dwa elementy do siebie nie pasowały — bogate zdobienia ramki tylko uwypuklały tandetę wykonania stołu. Przeniosła więc zdjęcie do salonu, stawiając je obok wazonu z różowymi, trochę pomarszczonymi już tulipanami. Rob kupił je tydzień wcześniej, zdążyły już pochylić główki, jakby zawstydzone procesem wędnięcia i upuszczaniem pyłku na półkę z książkami. Powinna wyrzucić te kwiaty, ale-miała nadzieję, że jeśli potrzyma je wystarczająco długo, to może znowu zrobi jej przyjemność. Rany boskie, cóż za gierki rozgrywa w ostatnich czasach, zresztą

głównie z samą sobą. Chce jego kwiatów, ale nie jego ciała. Żąda miłości, nie dając nic w zamian. Nienawidzi go i potrzebuje jednocześnie. Niesłychana komplikacja egzystencji.

Znów skoncentrowała uwagę na fotografii. Oto przykład miłości w swej najprostszej formie, uchwyconej we właściwej chwili i odartej z trudności, jakie nakłada na nią codzienne współistnienie. Oboje się uśmiechają, a nawet więcej - kobieta wręcz się śmieje w głos i widać, że jej rozbawienie udziela się towarzyszowi. Na jednej ze ścian mają podobne, czarno-białe i przepełnione radosnym uśmiechem zdjęcie, na którym właśnie zjechali z narciarskiego stoku. Pozowali do zdjęcia objęci, patrząc radośnie wprost w obiektyw. Pomyślała, że miłość chyba musi się tak zawsze zaczynać, że chłonie się ją z promieniejącym obliczem w rytm czułego objęcia. I czy ktoś może przewidzieć, jak się skończy?

Wróciła do kuchni, żeby sprawdzić resztę zawartości pudełka. Znalazła tam zwitek kartek owiniętych jedwabną wstążką, która w czasach swej świetności mogła być koloru niebieskiego. Znajdował się tam też list napisany przez kogoś na grubej, kremowej papeterii oznaczonej znakiem wodnym, kto zapewne nie był tak ważny jak panowie Jenkyns, Simpson czy Strand.

Szanowny Pan Dawson

Dotyczy: spadek po zmarłej, Pani Elizabeth Julii Dawson.

Jak zapewne Pan wie, jesteśmy wykonawcami ostatniej woli zmarłej i w tej chwili rozdzielamy poszczególne elementy spadku po Pani Dawson. Niniejszym załączamy w tej korespondencji następujące:

jedno czarno-białe zdjęcie w srebrnej ramie, przedstawiające Panią Dawson wraz z jej zmarłym małżonkiem,

pakiet listów napisanych do Pani Dawson przez jej kuzynkę, Panią Daisy Milton, datowanych na początek lat 40., kiedy ta ostatnia przebywała w Londynie.

Miałem niewątpliwy zaszczyt poznać Panią Dawson osobiście przed jej śmiercią. Nadmienila, że bardzo się lubiły z Panią Milton, gdy były młodymi pannami, a ponieważ wraz z Zoną mieszkają Państwo w Londynie, to mogą Państwo uznać ową korespondencję za godną uwagi.

Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał Pan potwierdzić otrzymanie wyżej wymienionych przedmiotów na adres podany powyżej.

Pozostaję w poważaniu.

Mogą Państwo uznać ową korespondencję za godną uwagi. Prawnik użył dokładnie takich słów, taka była wola zmarłej babki Roba. Tak jest, pomyślała, mogę tak uznać. Coś w tej całej historii niezmiernie ją zaintrygowało. Wystarczyła sama data wydarzeń. Wczesne lata czterdzieste dwudziestego wieku. A zatem druga wojna, trzyma w rękach fragment historii. Do tego listy, zupełnie jak paczki, zawsze oznaczały coś wyjątkowego, przynajmniej w czasach, w których dorastała.

Później listy pisane do przyjaciół ustąpiły oficjalnej korespondencji, wydrukom z banku i rachunkom, ale wciąż pamiętała te czasy, gdy każdego poranka można było wyczekiwać — nawet jeśli to wyczekiwanie rzadko było wynagradzane — na listonosza, który przyniósł pocztówkę od ojca, aktora niezmiernie zaczynała się od „Kochanie”, i kończyła wyrazami dozgonnej miłości do córki.

Ostrożnie pociągnęła za wstążkę, która łagodnie wyslizgnęła się z jej palców. Claire wzięła do ręki pierwszy z brzegu list. Było coś niesamowicie elektryzującego w momencie, gdy obracała w palcach kopertę, czując pod nimi jej delikatne pofałdowanie i widząc wyblakły, fioletowy stempel króla Jerzego VI. Zresztą może to nie był Jerzy VI, ale na pewno był to któryś z Jerzych. Wyobraziła sobie, jak otwiera kopertę i wyciąga list, na którym wciąż znajduje się kurz ze zbombardowanego Londynu i który sypie się na podłogę w jej domu po otwarciu listu. Wiedziała,

że musi się z nim obchodzić ostrożnie, bo po tak długim czasie papier mógł jej się dosłownie rozpaść w rękach.

Przez krótką chwilę rozważała, czy nie lepiej by było poczekać na Roba, w końcu to część jego osobistej historii, a nie jej. Nie omieszkała tego podkreślić. Związku z nią to nie ma żadnego. Ale, z drugiej strony, przecież pozwolił jej na otwarcie korespondencji... Do tego jego babka wyraźnie zaznaczyła, że te listy mogą zainteresować ich oboje. Tak czy inaczej, nie potrafiła się powstrzymać. Postanowiła przeczytać tylko jeden list, inaczej znów spóźni się do pracy.

Jej wzrok przyciągnęła data na wybranym liście. Listopad 1942, ponad sześćdziesiąt lat temu. Brak adresu. Tusz przybrał kolor brązowy, choć można zakładać, że pierwotnie był czarny.

Zaczynał się od słów: *Droga Elizabeth! Ostatnio sporo myślałam...*

Przeczytała go od deski do deski, od „Droga” do „Daisy”, podpisu skreślonego pewną, wyrazistą linią. Następnie przeczytała go raz jeszcze, uważając, by przekładanie stron nie spowodowało dezintegracji listu. Dotyk papieru, znacznie cieńszego i bardziej delikatnego od papeterii, na której znajdował się list od prawnika, stał się dla niej niczym wrota do alternatywnego świata. Ale nie tylko o sam papier chodziło, bo do tego doszła myśl o osobie, która napisała ten list.

Daisy.

Daisy.

Gdzieś tam, w innym miejscu i w innym czasie, autorka tego listu ścisnęła pióro i pochylała się nad kartką, biegnąc palcami po kolejnych kartkach. Tajemnicza Daisy.

Piękne, kwieciste imię, przywodziło Claire na myśl promyki słońca rozświetlające łąkę w czasach, gdy nietrudno było jeszcze takie miejsca napotkać, i morze kolorowych kwiatów, które drobne ręce zrywały i ostrożnie tkwały w naszyjniki. Nigdy wcześniej nie słyszała, by Rob wspominał o kimś noszącym takie imię,

na pewno nie słyszała go też z ust jego rodziców. Ani też od jego babki, z którą Claire widziała się tylko raz, na tyle jednak długo, by wyjść ze spotkania pod wrażeniem osoby uprzejmej i promieniującej doświadczeniem nabytym podczas długiego życia. Rozpoznała za to postać Nickiego z listu - to ojciec Roba, do którego obecnie wszyscy mówią per „Nick”. W 1942 musiał być jeszcze bardzo małym dzieckiem. Do tego Bill. Tak mawiano na dziadka Roba. Krótkie imię pasujące do kogoś, kto jest niczym skała i na kim można polegać.

Tego dnia Rob wrócił z pracy później niż zwykle, później, niż by sobie tego życzyła, i nawet nie zapytał, jak minął jej dzień. Ale i tak mu opowiedziała, wspominając o tym, że do pracy dotarła dopiero przed dziesiątą, bo były jakieś techniczne problemy na linii metra Victoria, i że była na lunchu z koleżanką. Najlepsze, czyli opowieść o stercie listów przewiązanych niebieską wstążką i zdjęciu w salonie, zostawiła na koniec. Rob nawet nie zauważył obecności zdjęcia, musiała mu je wskazać palcem. W jego oczach ujrziała iskierkę zainteresowania, co więcej, zdawała sobie sprawę, że jej własne oczy — bez wyrazu w ostatnich tygodniach — świeciły podobnym blaskiem.

- Przeczytałaś je? - zapytał. Wiedziała, że będzie rozczarowany, jeśli odpowie twierdząco i tym samym okaże się, że nie poczekała na niego.

— Oczywiście, że nie. Nie miałam czasu. — I dodała, zupełnie szczerze: - Przeczytałam tylko jeden z nich, pierwszy z brzegu.

I po chwili rozpoczęła opowieść o obrazie miesiąca, pracy Daisy i jego ojcu, który w tamtym czasie był jeszcze dzieckiem. Rob uważnie słuchał. Przez chwilę wytworzyło się między nimi coś na kształt prawdziwej konwersacji, w której żaden z interlokutorów nie zmusza się do uczestnictwa, bez toksycznych słów padających z ust Claire i bez zniecierpliwionych westchnień

Roba. Siedzieli przy stole kuchennym, a ich dłonie zbliżyły się do siebie na jodłowym, podrapanym blacie.

- Mam zamiar obejrzeć wszystkie obrazy, które ona opisała w swoich listach - zapowiedziała. — To będzie ciekawe oderwanie od rzeczywistości. Twoja matka wspomniała przecież, że powinnam sobie znaleźć nowe zajęcie, które pozwoli mi nie myśleć o przeszłości. Może i miała rację. Na początku każdego miesiąca przeczytam jeden list, a potem pójde obejrzeć obraz. Tak jak to robiła Daisy.

Wpadła na ten pomysł w biurze podczas żmudnej analizy datków i wydatków fundacji. Takie wyliczenia wszystkim się później podobają, choć pewnie nikt nie zada sobie trudu, żeby się z nimi bliżej zapoznać. Ostatnio często otrzymuje tego typu zadania, swego rodzaju wyraz współczucia, ponieważ wtedy jakoś łatwiej zapomnieć o żyjących, oddychających dzieciach, które kryją się za tymi liczbami. Jak to ujęła Daisy? Oglądanie kolejnych obrazów da jej siłę, aby przetrwać do następnego miesiąca. Czegoś takiego właśnie potrzebowała. Powodu, by trwać. Chciała poczuć to dawno nieodczuwane napięcie związane z czekającą przygodą, które będzie tak bardzo różne od tępego bólu i obezwładniającej paniki.

Gdy roztaczała swoją wizję, unikała kontaktu wzrokowego z Robem. Chciała uniknąć pytań, nawet tych niemych, wyrażonych jedynie oczami, dlaczego w ogóle chce to robić. Nie potrzebowała pouczeń, że przecież kompletnie nie zna się na sztuce -nawet jeśli to prawda — i że być może część z tych obrazów nie jest już wystawiana w National Gallery. Nie o to chodziło, żeby ktoś na głos wyraził jej własne wątpliwości. Sama musiała się już wcześniej z nimi zmierzyć tego dnia w pracy, analizując zawartość listu tak szczegółowo, jakby wciąż trzymała go w rękach. Tymczasem Rob nie poruszył żadnego z tych trudnych wątków, zapytał jedynie, kiedy ma zamiar zacząć swoje eskapady.

— Jutro. Nie mam żadnych innych planów.

No może poza przebywaniem w twoim towarzystwie, pomyślała, czytaniem gazet w ciszy, zastanawianiem się, dokąd biegną twoje myśli przy akompaniamencie szeleszczących szpalt papieru zawierających bloki druku z wciąż tymi samymi wiadomościami.

- Pierwszy list jest datowany na listopad 1942 roku. Jeśli zacznę już teraz, to będę oglądać te obrazy dokładnie tego samego miesiąca co Daisy. - Już zwracała się do niej po imieniu, zupełnie jakby знаła się z nią bliżej, a Rob nie.

- Wiesz, że jeśli tylko tego sobie zażyczysz, chętnie będę ci towarzyszył.

Czy tak naprawdę chciał powiedzieć coś w stylu: *Czy mogę dołączyć?* A może po prostu znów był jedynie uprzejmy? Kiedyś byli ze sobą szczerzy, ale te czasy skończyły się w dniu, kiedy pożegnali się z nadzieją na lepsze jutro. Nawet nie poprosiła, żeby sprecyzował swoją wypowiedź.

- Wiem. - Tylko tyle z siebie wydusiła. Nie dodała na przykład: *Chcę to zrobić sama. Mogę to zrobić sama.* Nie było takiej potrzeby. Rozczarowanie widoczne na jego twarzy było wystarczającym dowodem, że usłyszał niewypowiedziane słowa.

Tak znalazła się na drewnianej ławie naprzeciw *Noli me tan-gere*, patrząc na pięćsetletni obraz z tęsknotą za kimś, kto mógłby w tej chwili potrzymać ją za rękę i powiedzieć, że wszystko jakoś się ułoży. Zamknęła oczy i spróbowała wyobrazić sobie, jak Daisy wchodzi do galerii i przygląda się temu dziełu, ale obraz był -pusty. Nie znała Daisy, nie wiedziała, jak wygląda, i nie potrafiła sobie wyobrazić, co tamta kobieta mogła w podobnej chwili myśleć. Ta wiedza pewnie przyjdzie wraz z kolejnymi przeczytanymi listami, Claire była co do tego przekonana. Mało tego, czuła w sobie determinację, by tego dopilnować. Nie była w stanie sprowadzić Olivera z krainy mroku, który pogrążył ich oboje,

ale jeśli tylko wyobraźnia jej na to pozwoli, Bóg jej świadkiem, że tchnie życie w Daisy.

Zastanawiała się, kim był ów Charles. Jego postać rozmywała się jeszcze bardziej niż Daisy. Najwyraźniej był jej narzeczoną, kobieta z listu zdawała się pewna, że staną na ślubnym kobiercu. Nie podobało mu się, że Daisy mieszkała w Londynie - przynajmniej tak się Claire wydawało. Być może zdaniem Daisy nie było nic dziwnego w fakcie, że wybrała pracę przed zamążpójściem, ale Charlesa ta myśl przyprawiała o ból głowy. Niektórzy faceci do dziś tak reagują. Zresztą, małżeństwo to także czasem ciężka praca, już Claire coś o tym wiedziała. Na jej oczach rodzice męczyli się ze sobą, aż wreszcie ojciec — na dzień przed jej piątymi urodzinami - z hukem opuścił dom, a zapach pieczonego ciasta pozostawionego zbyt długo w piekarniku szybko zmienił się w swąd spalenizny. Jej starsza siostra często powtarzała: *Nie bądź niemądra, nie ma opcji, żebyś pamiętała te kłótnie. Byłaś za mała.* Laura nie miała racji. Claire pamiętała wszystko, od krzyków po długie ciche dni. I samotność, która stała się na pewnym etapie czymś normalnym. Pamiętała też swoją determinację, by nie powtórzyć znajomego wzorca, pamiętała zapalczywość w reakcji na natarczywe pytania matki, czy jest pewna swojej decyzji w chwili, gdy ogłosiła zaręczyny z Robem. Tej determinacji zabrakło jej dopiero po Oliverze, wielkiej stracie po wielkiej miłości, która poddała okrutnemu testowi wszystko, co uznawała wcześniej za drogie jej sercu.

Wstała i jeszcze raz podeszła do obrazu w poszukiwaniu ostatecznych odpowiedzi w pojedynczych pociągnięciach pędzlem, ale nie potrafiła przeprowadzić aż tak dokładnej analizy. Opuściła National Gallery przez główne wejście i zeszła po schodach w kierunku przytłaczającej szarości placu Trafalgar. Daisy pewnie szła tą samą drogą. Było tak samo tłoczno, zdecydowanie zbyt tłoczno, ale zbiorowisko ludzi było teraz inne niż to opisane przez Daisy

Claire widziała głównie turystów, w ich własnej wersji munduru, czyli dzinsach i koszulkach, na które zarzucone mieli kolorowe płaszcze przeciwdeszczowe, kontrastujące z ciężkimi, listopadowymi chmurami. Zaczęła się zastanawiać, co ich do tego miejsca przyciągnęło. Być może uliczni grajkowie albo słynne gołębie, a może po prostu magnes w postaci ludzi im podobnych. Claire zastanawiała się, czy Daisy była na placu w dniu kapitulacji III Rzeszy, gdy przetoczyło się tutaj morze ludzi pijanych szczęściem, jakiego nie mogła sobie teraz wyobrazić, jakiego nie byłby w stanie wyobrazić sobie nikt, kto nie przeżył pięciu lat wojennej pożogi i kogo nie czekała tak niepewna przyszłość. Okrzyki wyrażające miłość i nadzieję mieszały się z grozą i strachem, tworząc niemożliwy do opisanego hałas. Pograżona w rozmyślaniach zbyt późno zauważyła, że obcas jej buta wtargnął na świeży malunek kredą na chodniku. Przedstawiał on surrealistycznie pokolorowane pola, ogrzewane blaskiem jaskrawego słońca.

- Przepraszam - zwróciła się do artysty siedzącego w pobliżu swego dzieła. W pudełku znajdowały się monety różnych nominałów, w tym sporo zagranicznych. — Nie chciałam.

Zignorował ją i znów poczuła absurdalny napór łez wsparty przez myśli, które ostatnio łączyły się z wybuchem płaczu — poczucie opuszczenia, a właściwie dosłownej, fizycznej pustki. Wokół nie znalazł się nikt, kto zauważyłby jej smutek i zaoferował współczujące ramię, na którym mogłaby się oprzeć. W końcu to Londyn, gdzie tu szukać kogoś, kto zdobyłby się na taki gest? Mogła liczyć wyłącznie na Roba, ale on był daleko, bo tak sobie tego przecież zażyczyła. Stała w miejscu, niepewna, dokąd skierować swoje kroki. Zaczął padać deszcz, co zmusiło ją do pożegnania ulicznego artysty i jego niezbyt oryginalnych pejzaży. Lawirowała wokół plamek różnokolorowej kredy, która powoli zaczęła ściekać między wyżłobienia kostek brukowych. Claire poczuła zadowolenie z faktu, że za kilka chwil znów chodnik wróci do swojego

pierwotnego, jednolitego stanu, wyszlifowanego przez tysiące zelówek. Dzieciaki, które z rozkoszą taplały ręce w zimnej wodzie płynącej z fontann, biegły z krzykiem poprzez mżawkę wprost w ramiona rodziców. Odwróciła od nich wzrok i spojrzała w górę, w kierunku wyszukanych, eleganckich zabudowań Westminsteru. Daisy pracowała w pobliżu, na prawo, gdzie ulica Trafalgar przechodzi w szeroki, owalny bulwar Pall Mail. Ciekawe, czy mogłaby się dowiedzieć, w którym budynku znajdowało się jej biuro. Mimo przenikliwego zimna niesionego przez wiatr, sama myśl o Daisy zaklętej między słowami listu rozgrzewała serce Claire.

Do domu wróciła autobusem, z górnego pokładu obserwując mijane powoli znajome widoki, na których ciemne niebo odcisnęło swoje przelotne piętno. Autobus przeciskał się najpierw w kierunku Picadilly Circus, potem w górę Regent Street i wzdłuż Oxford Street, gdzie niedzielni konsumenci chowali się pod parasolkami i smagani przez ulewę poruszali się szybciej niż pojazdy na ulicach. Spojrzała na nich z góry przez szybę, na której czyjaś zmęczona głowa zostawiła tłustą wyspę o nieregularnym kształcie; ludzie zdawali się na siebie wpadać, przeciskać i tłoczyć przy wejściach do sklepów, w których i tak nigdy nie znajdowali nic istotnego. W końcu natężenie ruchu zmalało i wiedziała, że niedługo będzie już w domu, w Kentish Town, gdzie Rob, nieproszony, zrobi jej filiżankę herbaty. Ot, prosty gest, na który kiedyś sama potrafiła się zdobyć wobec niego. Poda jej napój i koniuszki ich palców zetkną się, a ona z każdym łykiem będzie sobie wyrzucać, że nie pozwoliła mu na nic więcej. Szybciej dojechałaby metrem, ale nie chciała, by Rob zadał jej niewygodne pytanie, dlaczego tak szybko wróciła. Być może to i tak nie ma większego znaczenia. Wyprostowała się. W końcu to dopiero początek jej drogi, niedługo obejrzy kolejne obrazy. Postanowiła ucześcić się tej myśli. Nie podda się, przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie była gotowa na kolejną porażkę.

MISTYCZNE NARODZENIE
-BOTTICELLI

Święta Bożego Narodzenia tym razem postanowili spędzić u rodziców Roba - Priscilli i Nicka. Matka Claire zamierzała wyjechać na kurs malarski, który w założeniu miał stanowić rozrywkę, został jednak przez nią przedstawiony niemal jak kolejna stacja drogi krzyżowej.

— Nie chcę się wam narzucać — powiedziała głosem, który nie brzmiał zbyt przekonująco, gdy Claire spróbowała ją namówić, by ich odwiedziła. — Masz teraz własne życie i nie musisz się o mnie martwić. Organizator kursu twierdzi, że będzie tam wiele osób w moim wieku.

W poprzednich latach Claire próbowała ją przekonać, poświęcając wiele czasu i energii na przełamanie wątpliwości wyrażanych słowami: *Czy jesteś pewna, że nie będę wam przeszkadzać?* W obecnej sytuacji nie starczało jej energii na podtrzymywanie na duchu kogokolwiek innego poza samą sobą, więc po prostu podsumowała:

- W porządku. Baw się dobrze. I zadzwoń, gdybyś chciała pogadać.

Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej matka była akurat na świątecznym targu w Monachium z resztą swojej malarskiej grupy i trajkotała radośnie o jeździe na łyżwach i ciepłych ciastkach imbirowych, ale krążące w żyłach grzane wino

sprawiło, że nie potrafiła ukryć faktu, że wolałaby być razem z Claire i jej mężem.

Zdarzały się takie chwile, że córka zastanawiała się, czy tak ogromne zaangażowanie emocjonalne matki to *wynik* czy raczej *przyczyna* opuszczenia rodziny przez ojca wiele lat temu. Z punktu widzenia córek ojciec zawsze był ciepłym i hojnym człowiekiem, choć ta szczodrość bardziej wyrażała się w prezentach niż poświęconym im czasie, co Claire zrozumiała z wiekiem. No właśnie, tylko skąd miał dla nich wziąć więcej czasu? Bardzo szybko znalazł sobie drugą żonę, która szczerze nie cierpiała swojej poprzedniczki, dorobił się też trojga kolejnych dzieci, choć nigdy nie planował wyjść w tej materii poza pierwszą dwójkę. Claire wraz z siostrą zostały zepchnięte na drugi plan. Gdyby przyrównać ich życie do notesu, to u ojca odnotowywane były jedynie na marginesie i nic z tym faktem nie mogły zrobić.

Gdy kładli się spać wieczorem w przeddzień wyjazdu, Claire chętnie wskoczyła pod kołdrę, ale bardzo szybko poczuła, że nie uda jej się od razu zasnąć. Rozpoznała u siebie niezawodne symptomy nadchodzącego ataku paniki. Całe godziny minęły jej na liczeniu baranów i wsłuchiwaniu się w spokojny oddech Roba. Miała nadzieję, że się poruszy, że wyczuje jej nerwowość i jakoś zareaguje. W końcu nie mogła już znieść tej sytuacji i zaczęła go szturchać, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, aż wreszcie się odwrócił i objął ją ramieniem. Napięcie natychmiast zaczęło z niej schodzić, zrozumiała, że wciąż jak nikt inny potrafił wpłynąć na nią kojąco, zwłaszcza w takiej chwili, gdy w głębokiej ciszy nocy nic nie było w stanie zakłócić ich bliskości. Tu mogła sobie pozwolić na chwilowe puszczenie w niepamięć tego fatalnego wieczoru, gdy Oliver z niej „wyplął”.

- Nie chcę jechać - szepnęła. Nie była pewna, czy już się obudził. -
Chcę tu zostać, z tobą.

Przyrzekła sobie, że jeśli usłyszy: *Jeśli tego pragniesz, to tak zrobimy*, to wszystko mu wybaczy, ale zrobiła to głównie dlatego, że wiedziała, iż Rob polegnie na tym egzaminie. Odpowiedział jej, także szeptem, spowolnionym przez dopiero co przerwany sen.

- Nie bądź niemądra, kotku. Przecież to Boże Narodzenie. Nie da się już tego teraz odkręcić. Moi rodzice na nas czekają, musimy pojechać. Zdawało mi się, że wspólnie zdecydowaliśmy o wyjeździe. Myślałem, że nie masz nic przeciwko.

- A jednak mam, Rob. - W jej głosie czaiło się wyzwanie.

- Dlaczego nic wcześniej nie mówiłaś? - Głos Roba nabrał mocy, co oznaczało, że zdążył się już w pełni przebudzić. W ciemności poczuła opuszczające ją ramiona. Odwrócił się i spojrzał na zegarek. Druga. Trzecia. Czwarta nad ranem. Coś koło tego - zależnie od punktu widzenia, albo za wcześnie, albo za późno.

- Nie chciałam, żeby twoja matka czyniła ci wyrzuty. Nie chciałam usłyszeć, że znów brakuje mi rozsądku.

Po chwili wiele mówiącej ciszy odsunął się od niej.

- Przepraszam, nic na to nie mogę poradzić. Chodzi o to, że nikt nie wie, jak z nami rozmawiać. Ludzie albo są nieczuli, albo na siłę uprzejmi. I wszyscy koniecznie muszą się dowiedzieć, czy znów spróbujemy. I nawet jeśli tego nie wypowiedzą na głos, to właśnie tak myślą. Chodzi o to, że muszę tego wszystkiego wysłuchiwać, kiedy...

Kiedy mam ochotę wrzeszczeć: Darujcie sobie tę waszą empatię i lepiej spytajcie Roba, co tak naprawdę się wydarzyło. Zapytajcie go, jak się czuł, gdy pomagał mi wstać i dopytywał się, czy nic mi się nie stało. „Wszystko w porządku, Claire?” Niech opowie wam tę historię. No tak, nie możecie go zapytać, bo go tam nie było. Dlaczego go przy tobie nie było, przecież mieliście się wtedy spotkać? Tak, to prawda, mieliśmy się spotkać. Co, nie powiedział wam? Czekałam na niego w umówionym miejscu. Dostałam SMS, że się spóźni. Szybki drink z klientem, ale już, już zaraz wychodzi. Więc stałam

tam na chłodzie, czując, jak moje dziecko, Oliver, kopie. Miałam nadzieję, że Rob jedzie już następnym metrem, a na pewno tym kolejnym, albo jeszcze następnym. Za chwilę wyjdzie zza rogu. Ale nie przyszedł, więc koniec końców dałam sobie spokój, zawróciłam do domu i wpadłam na grupę bandytów, którzy powalili mnie na ziemię, twarzą w dół, i zabrali torebkę. To wtedy komórka zabręczczała w płaszczu, dostałam kolejną wiadomość: „Sorry, drink zamienił się w obiad, zadzwonię później”. Komórka wyłączona, klient ważniejszy ode mnie. A ja zbierałam się z chodnika, modląc, by podrapane kolana okazały się najgorszym urazem fizycznym. Ręce cały czas trzymałam na brzuchu, zapewniałam obcych ludzi, którzy pomogli mi wstać, że naprawdę nic mi nie jest. Oczekiwanie na policję, wciąż było mi zimno, czyjeś obce ramię otuliło mnie płaszczem. Wizyta na posterunku, potem szpital. Serduszko Olivera pogrążone w śmiertelnej ciszy, jego ciałko nieruchome wewnątrz mnie. Świadomość, że w moich piersiach może być mleko, ale nie będę miała kogo nakarmić. Podoba się wam ta „Opowieść Wigilijna”? Dziwicie się, że jestem wściekła? Dziwicie się, że go winię?

Rob zapalił lampkę nocną, odruchowo osłoniła oczy przed rażącym światłem. Nienawiść wróciła wraz z nastaniem jasności i w jej płaczu czaił się już gniew, nie żal. Rob objął ją ramieniem, ale tym razem to ona chciała się wyrwać z objęć, przesunęła się na krawędź łóżka. Nie odpuścił, tylko zaczął delikatnie głaskać jej bok, tak jak to robił w dawnych czasach, gdy chciał ją pocieszyć. Gdy spróbował dotknąć brzucha, czyli miejsca, gdzie powinien być Oliver, wierzgający, walczący z czkawką w oczekiwaniu na narodziny, odrzuciła kołdrę i wyszła z sypialni, zostawiając go samego - bladego z niewyspania i pogrążonego we własnej frustracji. Usiadła na jednym z drewnianych krzeseł w salonie, uparcie odmawiając sobie prawa do wygodnej sofy. Naprzeciwko w oczy kłuła srebrna ramka z czarno-białym zdjęciem i uśmiechniętymi twarzami. *Jaki to powód mieli, by się tak cieszyć*

- pomyślała. *I dlaczego ja nie mogę być tak szczęśliwa?* Obok leżał drugi list od Daisy. Przeczytała go już tyle razy, że znała na pamięć jego treść, a mimo to podniosła go, przetarła czerwone od zmęczenia oczy i postanowiła zanurzyć się w nim raz jeszcze. Wiedziała, że na krótką chwilę przeniesie ją to w inny świat, z dala od tego mieszkania, tego życia i niekończącego się bólu.

Grudzień 1942 rok

Droga Elizabeth!

Powiedziano nam, byśmy (znów!) nie wysyłali kartek świątecznych w tym roku, więc musi ci wystarczyć list — choć nawet niewyszukany papier stal się teraz dobrem luksusowym. Miałam ostatnio na głowie delegację z Ochotniczej Służby Kobiet, która zapukała do mnie z pytaniem, czy nie mam przypadkiem jakichś starych książek, które mogłabym przeznaczyć na cele wojenne. Okropna to myśl, gdy zdasz sobie sprawę, że Hitler palił książki, a myje tutaj mielimy na pulpę. Ale nie zamierzam mieć wyrzutów sumienia, że do Ciebie piszę — po prostu postaram się pisać ściśle, małymi literami, co wymaga sporego poświęcenia.

Pamiętasz te Boże Narodzenia, gdy wszyscy ubierali się odświętnie, przynosili pięknie zapakowane prezenty i sącząc kieliszek sherry (albo nawet dwa), nasłuchiwali kościelnych dzwonów? Inaczej to teraz wygląda, a o dzwonach możesz zapomnieć. Jest zimno i ciemno, ludzie nie mają składników nawet na szarlotkę. W sklepach pustki, a i tak Oxford Street jest pełna ludzi. Dorośli mężczyźni dosłownie walczą między sobą o najmarniejsze i o wiele za drogie laleczki. Jakież to niehumanitarne, że ojciec nie może kupić swojej małej córce czegokolwiek, co pozwoliłoby jej go zapamiętać, gdy... gdy stanie się to, co najgorsze. Jedyne typ zabawek, których mamy tutaj zatrzęsienie, to czołgi i samoloty — co za groteska! Mamy nawet mundury w dziecięcych rozmiarach. Dzieciaki ciągle się bawią w wojnę. Nie można ich za to zresztą winić. Niektórzy dorośli wymyślają proste,

świąteczne dekoracje, na przykład przyozdabiają działka przeciwlotnicze łańcuchami choinkowymi. Tak, takie właśnie sceny tu się rozgrywają i przyznasz chyba sama, że nie ma to wiele wspólnego z tym, jak obchodziliśmy święta przed wojną. Łańcuch choinkowy na działku — dasz wiarę? Do tego choinki przycięte tak, żeby można je było wcisnąć do schronów. Dokąd to wszystko zmierza?

W National Gallery najwyraźniej uznali, że potrzebujemy chwili radości związanej ze świętami, bo w tym miesiącu wystawili „Mistyczne Narodzenie”, którego autorem jest Botticelli. Dziwaczny to obraz, ale jest w nim jakiś blask, który potrafi mnie nieco rozchmurzyć. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to że wiele się na nim dzieje. Aniołowie kłębią się wokół maleńkiego Jezuska — trzech z nich siedzi na dachu stajni, a cała masa ciśnie się do izby lub krąży nad stajenką. Wszyscy dzierżą w dłoniach gałązki oliwne, symbol pokoju, jakby były na niego jakiegokolwiek widoki. Mają na sobie różowe, żółte i zielone szaty. Efekt całości jest raczej pompatyczny. Czyż to nie dziwne, że znalezienie przyzwoitej żółtej farby przyszło Botticellemu setki lat temu łatwiej niż współczesnemu artyście? Braki, braki, braki. Wszyscy wciąż o nich mówią. Nie tylko papieru nam tu brak. Ograniczenia dotyczą wszystkiego. To bardzo męczące.

Oprócz aniołów na obrazie widać też pasterzy, trzech króli i zwierzęta, jakich w takiej stajence można by się spodziewać, na przykład osiołek czy wół — wywołały one na mojej twarzy uśmiech. Osiołek pcha się w stronę żłobu, jakby chciał pojąć, o co to całe zamieszanie, a za to wół ma scenę kompletnie gdzieś, przeżuwa karmę z perfekcyjnie obojętnym wyrazem pyska. Najwyraźniej takiemu bydlu trudno zaimponować...

I pomyśleć, że tak wielki rwetes rozpętał się wokół dzieciny, która dopiero za kilka ładnych tygodni będzie w stanie się uśmiechnąć! Można by się spodziewać, że Maria powinna być tym wszystkim mocno podekscytowana. Tak powinna zareagować typowa matka. Tymczasem Maria piastuje dziecko w spokoju,

obdarzając je spojrzeniem, które pewnie Ty też oferowałaś Nickiemu, gdy się urodził. Z tą małą różnicą, że Ty pewnie nie składałaś rąk do modlitwy. Nie to, co inni. Dla nich liczą się tylko dzieci. Gdy rodzi się nowy człowiek, świat niemalże czuje się zobligowany, żeby się na chwilę zatrzymać, a potem tylko dziecko to, dziecko tamto, dziecko siamto. Każdy noworodek zdaje się półbogiem, a przynajmniej tak jest traktowany, i ja takiego zachowania absolutnie nie potrafię zrozumieć. Szczerze mówiąc, nawet nieco współczuję Marii. Myślisz, że ona zdaje sobie sprawę z tego, że jej świat został już na zawsze wywrócony do góry nogami? Przytłaczająca perspektywa. Droga Elizabeth, pewnie trochę się ze mnie śmiejesz, czytając ten wywód, i mówisz sobie, że kiedyś inaczej na to wszystko spojrzę i wszystko zrozumieć, ale nie jestem do końca przekonana, że to się kiedykolwiek zmieni. Zbyt wiele razy widziałam pary całkowicie rezygnujące z życia towarzyskiego po urodzeniu dziecka.

Niech Ci się nie wydaje, że nie wiem, o czym mówię. Doskonale wiem, uwierz mi. Po pierwsze, Maria w ogóle nie wygląda jak ktoś, kto właśnie powił dziecię. Jej spokój jest w tym kontekście nierealistyczny. Brak mi tutaj odrobiny krwi, potu i teź. Odwiedziłam panią Jones, sąsiadkę z góry, dzień po urodzinach jej trzeciego syna i, serio, wyglądała, jakby przejechał ją pociąg. Zresztą do dziś prezentuje się nie najlepiej. Mało tego, gdzie na tym obrazie schowali brudne pieluchy? I jeszcze Jezus leży nagusieńki na białym prześcieradle, co byłoby nie do pomyślenia dla każdej zdrowo myślącej matki. Niemowlę jest zresztą wyjątkowo czyste, a przypomnę, że mówimy tu o brudnej stajni, która, jeśli się dobrze przyjrzeć, niewiele się różni od jaskini. W takich warunkach nie ma opcji, by dziecko prezentowało się w tak rumianej, lśniącej czystością wersji, a tymczasem Jezus wygląda, jakby go właśnie wykapano w sterylnej czystej wanience. Gdzie są ślady po Izach i zasmarkany nosek? Bardzo bym się chciała tego dowiedzieć.

Biedny, stary Józef. Ten to dopiero wygląda na steranego całym tym przedsięwzięciem. Nic dziwnego. Siedzi na ziemi, trzyma głowę w dłoniach i robi wrażenie, jakby cały świat mu się zawalił. Bardziej pasuje do roli tetryka niż świeżo upieczonego ojca.

Nad stajnią dominuje niebo w kolorze złotym, co pewnie ma symbolizować Niebiosą, ale patrząc na ten obraz, wciąż się tylko zastanawiałam, jak bardzo to wszystko jest realne. Bo czy mogło być realne? Pewnie mogło, ale może to po prostu były złote liście? Zapytałam jednego ze strażników muzeum, ale nie miał pojęcia, co mi odpowiedzieć. A propos strażników, to zawsze jest ich tutaj dwóch. Na wypadek nalotu mają za zadanie jak najszybciej zdjąć obraz i zbiec z nim do schronu. Tak się zastanawiam, czy przepuściliby zwiedzających (czyli na przykład mnie) przodem, czy też kazaliby nam czekać. Pewnie sztuka miałaby jednak pierwszeństwo. W końcu galeria już tyle razy ucierpiała podczas nalotów, że naprawdę muszą bacznie pilnować skarbów narodowych.

Na samym dole obrazu widać całą masę różnorodnych stworzeń, które brną przez błoto i wpadają do dziur w ziemi. To takie małe, włochate potworki. Prezentują się dość groteskowo — niektóre z nich mają łuszczące się skrzydełka i kogucie pazury, a inne małe rogi niczym u kozy. Jakoś nie mogłam wykoncypować, co te niezbyt eleganckie stworzenia mogą reprezentować, więc zebrałam się na odwagę i zapytałam mężczyznę stojącego obok, czy wie, jak ten motyw zinterpretować. To był taki typ człowieka, na którego wystarczy spojrzeć, by mieć pewność, że wie, o czym mówi. A przynajmniej będzie brzmiał jak ktoś, kto ma pojęcie. Być może to krój jego garnituru, a może postawa, gdy tak stał przed obrazem. Chcę przez to powiedzieć, że był dystyngowany. Odpowiedział, że te stworzenia to diabły, które zostały przez anioły zepchnięte w otchłań. Cóż, odpowiedź z braku innej całkiem zręczna. Mężczyzna zapytał, czy obraz mi się podoba, na co odpowiedziałam twierdząco, podkreślając rolę woli!

Bardzo go to rozbawiło i wyraził swoje zadowolenie, ponieważ osobiście pomagał przy wyborze dzieła. Oczywiście w tamtym momencie nie skojarzyłam, z kim mam do czynienia, ale tego samego wieczoru ujrzałam jego zdjęcie w gazecie i okazało się, że to Sir Kenneth Clark, dyrektor National Gallery (podaję na wypadek, gdybyś tego jeszcze nie wiedziała). Jak możesz się domyślić, byłam bardzo podekscytowana naszym spotkaniem, choć pewnie uznał moje pytanie za głupie.

Tym razem towarzyszył mi Charles, co było z jego strony bardzo miłe, choć trzymał się nieco z boku. Dostał niespodziewaną, dwudziestoczwierogodzinną przepustkę i postanowił mnie odwiedzić, mimo iż oznaczało to karkołomną podróż do Londynu, bo wszystkie podróże obecnie do przyjemnych nie należą. Nie mam pojęcia, czy obraz przypadł mu do gustu, ale przynajmniej mieliśmy jakiś wspólny temat do dyskusji. Co chyba docenił, tak jak i ja. Ciężko mi jest, gdy widzę go tak rzadko. Zanim zdążę przywyknąć do jego obecności, to już znów go nie ma. Przez chwilę za nim tęsknię, a potem muszę się od nowa przyzwyczajać do samotności. Mam czasami takie myśli, że może lepiej by było go w ogóle nie widzieć i wstrzymać projekt o nazwie „miłość” do czasu, gdy zakończy się ta cholerna wojna. Wybacz mi, Elizabeth. Pewnie myślisz, że zachowuję się samolubnie, gdy piszę te słowa, a Ty i Nicky musicie sobie sami radzić na obczyźnie. Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze Cię tam traktują.

Po obejrzeniu tego dzieła Charles rozpoczął dyskusję o ustatkowaniu się i założeniu rodziny. Nie potrafię nawet opisać, jak ciężko mi się zrobiło na sercu. Biedny Charles. Ewidentnie ma za dużo wolnego czasu i za dużo o tym myśli. Ot i cały problem. Po pierwsze, powiedziałam mu, że powinniśmy poczekać przynajmniej rok ze ślubem. A potem wymknęło mi się, że nie jestem pewna, czy od razu po ślubie chcę mieć dzieci. Obawiam się, że kolejnych tego typu stwierdzeń nie przyjmie najlepiej. To nie był pierwszy raz,

gdy przydarzyła nam się podobna dyskusja (właściwie powinnam użyć staroświeckiego słowa „kłótnia”). On nie potrafi zrozumieć, że moje słowa wcale nie oznaczają, że go nie chcę, tylko że po prostu nie jestem jeszcze psychicznie gotowa na takie życie. A czy Ty mnie potrafisz w tej kwestii zrozumieć? Pewnie nie, ale gdybyś nie spotkała Billa i dalej mieszkała tutaj, w Londynie, to myślę, że przyszłoby Ci to z łatwością.

W każdym razie całą winę za naszą kłótnię spokojnie zrzucam na Botticellego. Wystarczył mi jeden rzut oka, żeby się przekonać, że to zdecydowanie nie dla mnie, a przynajmniej jeszcze nie na tym etapie. Jeśli o mnie chodzi, to przeraża mnie myśl, że miałabym trzymać w ramionach swoje małe dziecko. I bynajmniej widok pani Jones tuż po porodzie nie jest tutaj jedynym powodem. Chodzi bardziej o to, że obyczaje się pozmiały i mnie ten nowy układ odpowiada. Mogę wraz z innymi kobietami chodzić do pracy, nie mamy dzieci na wychowaniu, czasem wydaje nam się wręcz, że to my zarządzamy tym krajem. Obserwuję kobiety — te młodsze ode mnie, ale też i starsze — które podejmują się wszelkiego rodzaju zajęć. Sprzedają bilety w autobusach, biegają po mieście z noszami, prowadzą mobilne kantyny, pracują na kolei. Czego tylko dusza zapragnie. Czuję się częścią wielkiej całości, nawet jeśli moje zadanie sprowadza się do pisania na maszynie. Mam swoje własne życie, które nawet przez większość czasu wydaje mi się dobre. I póki co nie chcę jeszcze z niego zrezygnować dla dziecka, które będzie mi przez wiele następnych miesięcy przepłakiwać całe dnie i noce. Nie chcę tkwić w praniu i pielęgnowaniu dziecka, gdy mój mąż przebywać będzie na niekończących się manewrach. Nie ma mowy, wyraźnie to Charlesowi powiedziałam.

On sam zauważył, że przed wojną nigdy nie stosowałam takiej retoryki. I ma rację! Twierdzi, że gdyby Hitler nie doszedł do władzy, bylibyśmy już małżeństwem. I znów ciężko mu odmówić racji. Pewnie byśmy byli, ponieważ nie miałabym nic innego do roboty. Nie

twierdzą, że nigdy nie wykielkowała w mojej głowie myśl, że miło by było znaleźć przyzwoitego faceta, kupić uroczy domek z ogródkiem i mieć tyle pieniędzy, żeby urodzić mu dwójkę dzieci i wychować je w takim stylu, jakiego my same doświadczyłyśmy. Ale gdzieś po drodze zmieniłam podejście i Charles nie ma wyjścia, jak tylko przyjąć do wiadomości tę zmianę.

Zresztą Charles nie jest jedynym, który uważa, że powinnam się ustatkować. W zeszłym tygodniu spotkałam się z Tatą i potraktował mnie dość surowo. Według niego zaczynam od tej wolności w Londynie dziczeć. Stwierdził, że dwadzieścia dwa lata to dla kobiety półka, na którą mężczyźni bardzo rzadko sięgają. A żeby było zabawniej, równocześnie wciąż postrzega mnie jak swoją małą córunię w słodkiej sukience i dwóch warkoczach udekorowanych czerwonymi wstążkami. Biedny Tatko. Od czasu, gdy umarła Mama, nie ma pojęcia, jak ze mną postępować. Charlesa też mi żal I jakoś wcale nie uważam, że ten żal to coś dobrego dla nas, bo nie ma gorszej sytuacji niż ta, w której kobieta uważa się nad swoim mężczyzną. Za każdym razem, gdy przyjeżdża do Londynu, wydaje się taki nieporadny, potrafi zgubić się w mieście, a do tego nie ma pojęcia, dokąd mógłby mnie zabrać. Zupełnie nie jest do tego miasta przywykły, w przeciwieństwie do mnie. To w sumie nie jego wina, ale czyż to nie zadziwiające, że ja tutaj nasłuchuję świstu spadających bomb, noc w noc, miesiąc w miesiąc, zastanawiając się, czy doczekam poranka, a on w tym czasie siedzi sobie wygodnie w swojej polowej kwaterze, wsuwa trzy posiłki dziennie, które ktoś dla niego zresztą przygotowuje i nic, absolutnie nic nie zakłóca jego snu! Więcej doświadczyłam tej wojny niż on, taka prawda! L jest to dla niego prawda zawstydzająca.

Smutno mi było żegnać się z nim w atmosferze kłótni i dąsów. Zostawia to pewien niesmak, zwłaszcza że on chciałby jedynie, żeby ktoś go odprowadził na dworzec i pomachał na pożegnanie. Ale tak to już musi być, bo żyjemy w czasach, kiedy mężczyzna nie dostanie

przepustki dłuższej niż na dzień albo dwa. Jak tu znaleźć czas na pocałunki? Wyjechał, a ja nie mam pojęcia, kiedy go znów ujrzę. Można od tego wszystkiego wpaść w depresję, więc proszę, napisz jak najszybciej i przekaż mi jakieś wesole nowiny. A tymczasem życzę Ci, żeby te Święta były dla Ciebie najlepsze ze wszystkich, jakie dotychczas przeżyłaś.

Ściskam i całuję, Daisy

- Robercie, jak cudownie cię widzieć. - Rob ledwie zdążył opuścić taksówkę, nie zdążył nawet pomóc Claire przy wychodzeniu z pojazdu, a Priscilla już człapała w ich kierunku, ubrana w gumowce, by ich przywitać. Albo lepiej - przywitać Roba, jak się Claire wydawało.

- Jak podróż? Mam nadzieję, że bez problemów - zapytała, porywając go w ramiona i wyciskając radosne pocałunki na jego twarzy. Jej policzki były czerwone od chłodu, a usta spierzchnięte. Najwyraźniej tak się nie mogła doczekać dźwięku nadjeżdżającego samochodu, że czekając na syna, oddała się jakimkolwiek pracom, które można wykonać zimą w ogródku.

- Wszystko w porządku, ja też się cieszę, że cię widzę.

Zdążył ją objąć ramieniem i ruszyli wspólnie na podjazd eleganckiego wiejskiego domku w sercu Hertfordshire, w którym mieszkał od szóstego roku życia. Nawiasem mówiąc, od wielu pokoleń nikt się tu nie parał farmerską pracą. W mgnieniu oka połączyła ich ta szczególna więź między matką i synem, więź, która została Claire tak brutalnie odebrana. Stała przed wejściem, zapomniana, wraz z walizkami.

- Kochana, należy się osiemnaście funtów. - Jej uszu dobiegł niecierpliwy głos taksówkarza. Zdała sobie sprawę, że prosi ją o to już po raz drugi.

- Proszę wybaczyć - odpowiedziała, grzebiąc w portfelu w poszukiwaniu dwudziestofuntowego banknotu, który powinien znajdować się w środku, ale jakoś go tam nie było.

- Ja się tym zajmę. - Podniosła głowę, z ulgą dostrzegając, że Nick ruszył jej na ratunek. Wciąż mówił z lekkim akcentem, którego nigdy się w pełni nie wyzbył, a którego nie dało się usłyszeć u Roba. Głos nadal zdradzał jego kanadyjskie pochodzenie, i to mimo czterdziestu lat w Hertfordshire.

- Nie trzeba. - Wciąż nerwowo przeszukiwała torebkę. W końcu jeszcze raz podniosła na niego wzrok i widząc uśmiech na twarzy teścia, poddała się. - OK, dzięki Nick. To bardzo miło z twojej strony.

- Żaden problem, dla mojej ulubionej synowej zrobiłbym wszystko.

- Masz tylko jedną synową!

- No właśnie, do tego jest moją ulubioną. Wskakuj do środka i zaczniemy od ginu z tonikiem. Coś mi się zdaje, że nie odmówisz.

Odwzajemniła się delikatnym uśmiechem. Być może będzie miała sposobność wypytać o Daisy. Była kuzynką Elizabeth, przynajmniej tak twierdził prawnik w liście, a zatem Nick musiał o niej coś wiedzieć. Może więc ta wizyta nie będzie całkowitą stratą czasu.

To były jej jedyne słowa wypowiedziane do Roba, gdy szcękając zębami, leżeli pod lodowatą pościelą w oczekiwaniu na cuda, jakie miał zdziałać elektryczny koc. Miał, ale nie zdziałał. W tym domu nigdy nie było ciepło, nawet w środku lata panował chłód, który zdawał się nigdy nie opuszczać tych murów i który atakował ją w chwili, gdy tylko zatrzaskiwały się za nimi drzwi. Chciała się wyżyć na Robie, prowokując go - dlatego powiedziała

to pełne zdanie w miejsce obojętnego „dobranoc”, na jakie normalnie by się zdobyła, zbierając siły na nocną walkę z zimnem.

- Dlaczego uważasz, że wizyta u moich rodziców to strata czasu? - zapytał.

- Bo tak naprawdę w ogóle im na mnie nie zależy. Zresztą czemu by im miało zależeć? Moja rodzina przynajmniej ciebie lubi, a i tak nie zmuszam cię zbyt często, byś ich widywał. Sama rzadko ich widuję, bo ty za każdym razem próbujesz mnie ściągnąć tutaj.

- Przecież to piękny domek, a ty zawsze narzekasz, że chciałabyś się wyrwać z Londynu na wieś. Więc jesteśmy na wsi. Jesteś moją żoną, Claire. Pamiętaj o tym. Czyni cię to częścią mojej rodziny i powinnaś się tutaj czuć jak w domu.

- Nie, Rob. Jestem tutaj wyłącznie gościem. A może zresztą nawet nie chcę się tutaj poczuć jak w domu.

Cisza. Wiedziała, co za chwilę nastąpi. Nie zawiódł jej.

- Jeśli chodzi ci o moją matkę, to bardzo bym chciał, żebyś dała jej szansę. Znalazłabyś z nią wiele wspólnych tematów, gdybyś tylko zdobyła się na wysiłek poszukania ich.

- A dlaczego to ja mam próbować? Jej się jakoś nie chce. - Wiedziała, że mija się z prawdą. Priscilla próbowała nawiązać nić porozumienia, gdy dowiedziała się o spodziewanym dziecku. Claire chętnie podjęła temat, wdzięczna, że zmieniła status z kobiety, która zabrała matce syna, na kobietę, która da jej wnuka. Cóż, teraz nie było już o czym mówić.

Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że kłótnia przyszła im niemal bezwiednie, bez wkładania w nią żadnego wysiłku. Podobne sceny rozgrywały się między nimi setki razy i doskonale znali wzorzec, wedle którego powinny się rozwijać. Przykre słowa przychodziły tak łatwo, jakby rozmawiali o pogodzie. Ten temat powinien stanowić preludium do dyskusji, nawet kłótni o rzeczy o wiele bardziej istotne, a które cały czas

przemilczali, bo tak było łatwiej. Rob zakończył wymianę zdań w najprostszy z możliwych sposobów, przewracając się na drugi bok i wpuszczając między nich strumień zimnego powietrza. Claire też się położyła z myślą, że to wszystko faktycznie stało się niemiłosierną stratą czasu i energii. Jej myśli znów uciekły do Daisy i do słów, że nie chce być żoną tajemniczego Charlesa ani matką jego dzieci. A przynajmniej jeszcze nie. Co ona próbowała tym osiągnąć? Przecież Charles, podobnie jak Rob, usłyszy w tych słowach jedynie obelgę i odrzucenie. Jednak Claire wiedziała, że czasem nie da się powstrzymać najbardziej bolesnych słów i czynów - puszczają wszelkie hamulce, słowa płyną, a dopiero potem przychodzi świadomość, że cisza, choćby ta najbardziej krępująca, byłaby lepszą alternatywą. Poczwała, że rozumie, że współczuje Daisy, i napływ tych uczuć pomógł jej zasnąć.

Na dzień swojej drugiej wyprawy do National Gallery wybrała środę przed Bożym Narodzeniem, gdy galeria była otwarta do późna. Wyszła szybciej z biura. Czyniła tak większość ludzi o tej porze roku, choć Rob wciąż był jeszcze w pracy. Wiedziała zresztą, że nawet jeśli wróci wcześniej, to na jego czole rysować się będą problemy bieżącego dnia. A jeśli nie bieżącego, to następnego. Przestała już nawet narzekać na jego ciągłą nieobecność, bo czuła, że ten układ pasuje im obojgu.

Galeria była niemal pusta, czemu nie należało się dziwić. Większość ludzi o tej porze miała na głowie odłożone na ostatnią chwilę zakupy świąteczne i kupowała produkty, które nagle zdawały im się godne uwagi. Zapewne społeczeństwo w swej znakomitej większości uważało coś takiego za lepszą formę spędzania czasu wolnego niż chodzenie po galeriach i oglądanie starych obrazów. Po drodze minęła Covent Garden, gdzie każdy sklep, choćby taki, który na co dzień świecił pustkami, notował w tym

czasie doskonale obroty. Przy każdym otwarciu sklepowych drzwi przechodnia znajdującego się na zewnątrz zalewały dwie fale, najpierw fala gorąca płynąca wraz z dźwiękami kolęd, a potem ludzka fala taszcząca te wszystkie torby i szaliki oraz, co trzeba odnotować, coraz lżejsze portfele. Przez witryny sklepów Claire obserwowała, jak banknoty i bilon — choć jednak głównie grube banknoty - przechodzą z ręki do ręki i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że na jej oczach rozgrywa się jakieś zbiorowe szaleństwo. Ale jakby na przekór, efektem tego było szczęście, trwające przynajmniej do momentu, gdy ci sami ludzie wracali do domów i próbowali się doliczyć, ile wydali. Claire nie widziała nic zdrożnego w tym poszukiwaniu szczęścia, choć sama dawno zapomniała, jaka ścieżka może ją do niego doprowadzić. Jakiś impuls nakazał jej kupić grzane wino w kubku od przydrożnego sprzedawcy, który rozłożył swój kramik na drewnianym wózku, i pewnym krokiem opuściła tłum otumaniony świątecznymi ozdobami niczym śmy oślepione przez światło lampy.

Ulice stały się nieco cichsze, ale równocześnie robiły bardziej ponure wrażenie. Mimo grubego płaszcza, kapelusza i szalika Claire poczuła, że zaczyna się trząść z zimna. Kurczowo trzymała kubek z winem w obu dłoniach, bo napój pozwalał jej ogrzać ręce. Ostrożnie piła łyk za łykiem, aby uniknąć rozlania czerwonego, gęstego płynu. W czasach Daisy niewątpliwie było o tej porze dnia o wiele mroczniej. Podczas nocnych przerw w dostawie prądu nie znalazłaby drogi do domu, pozbawiona oświetlenia lamp ulicznych. Nie mogłaby też w żadnym wypadku liczyć na takie luksusy, jak drogowskaz w postaci znajomej, rozświetlonej świątecznie witryny sklepowej. Szczytem marzeń było blade światło latarki. Nawet w tej niezbyt dobrze oświetlonej alei Claire nie była w stanie wyobrazić sobie czerni wojennej nocy, w której słychać było jedynie obce kroki i pogwizdywanie albo nagle poczuło się na ramieniu dotyk czyjejś ręki, co pewnie wywołałoby

u Daisy krzyk zagłuszający wycie syren alarmowych. Taki odcień nocnej czerni Claire widywała bardzo rzadko, na wsi, gdy wieczorne niebo szczelnie zasnuwały chmury. W takich chwilach czuła na sobie mocarny uścisk nocy i nie widziała w tym doświadczeniu nic przesadnie ujmującego. Zimowe dni musiały się Daisy wydawać wyjątkowo krótkie, gdy trzeba było zmykać do domu przed zmierzchem. Z kolei wieczory trwały całą wieczność. Claire bardzo chciała wiedzieć, czy tamtego roku Daisy w ogóle dostała jakiegokolwiek prezenty. Miała nadzieję, że tak, w końcu Charles wydawał się bardzo odpowiedzialny - czasem nawet zbyt odpowiedzialny, jak na potrzeby Daisy — i pewnie stanął na wysokości zadania.

Zbliżając się do głównego wejścia do galerii, znacznie przyspieszyła, gnana przez porywy wiatru, które targały choinką postawioną na środku Trafalgar Square tak okrutnie, że lampki poczęły o siebie groźnie uderzać. Dzięki Bogu w środku National Gallery było już o wiele przyjemniej i jej ciało natychmiast się rozluźniło, z rozkoszą przyjmując rozchodzące się ciepło. Claire przez chwilę skupiła się na procesie odtajania, jak gdyby jej ciało pragnęło, by ta chwila trwała jak najdłużej. Pracownik galerii skierował ją do pomieszczenia, w którym wystawiono *Mistyczne Narodziny*, i dorzucił mapę, którą Claire studiowała uważnie przez całą drogę z opuszczoną głową nie tylko po to, żeby dobrze trafić do celu, ale także, by uniknąć spojrzeń obsługi. I tak czuła na sobie ich wzrok — pewnie się zastanawiali, dlaczego samotnie spaceruje przez puste sale, zamiast biegać po domach towarowych Johna Lewisa czy Selfridges albo siedzieć w domu z mężem i pakować prezenty. Wewnątrz królowało ciepłe, pomarańczowe światło, ale gdy spojrzała w górę przez szklaną kopułę galerii, odniosła niemiłe wrażenie, że ciemność bijąca z nieba chce przeniknąć przez ściany muzeum i opasać ją mrocznym uściskiem. Wzdrygnęła się i ruszyła dalej.

Fascynował ją fakt, że Daisy widziała te same obrazy ponad pięćdziesiąt lat temu, a mimo to wciąż wisiały na ścianach National Gallery. *Mistyczne Narodziny*, obraz tak dokładnie opisany przez Daisy, wciąż tam był, z Marią, Józefem i Jezusem w centralnym punkcie dzieła, boskie trio otoczone przez tłum aniołów. Claire zauważyła coś, co autorce listu całkowicie umknęło albo po prostu o tym nie wspomniała, a mianowicie trzy główne postaci były nieproporcjonalnie większe od reszty. Przyjęła założenie, że autor w ten sposób chciał podkreślić znaczenie tej rodziny. Poczowała falę zadowolenia, że sama doszła do takiej interpretacji, licząc po cichu, że była ona słuszna.

Maria, rzecz jasna, była uderzająco piękna — jakżeby inaczej miała wyglądać - w swojej różowej sukni z niebieskim kapturem. Kolory te znaleźć można było także na końcówkach skrzydeł bosych aniołów, które zgromadziły się wokół sceny, kręcąc kółka na niebie i tłocząc się wokół centralnych postaci. Maria, głównie dzięki rysom twarzy i kolorowi włosów, przywołała w pamięci Claire jeszcze jeden obraz Botticellego, na którym malarz umieścił podobną postać - widziała ją we florenckiej galerii Uffizi w czasach, gdy podróżowała pociągiem po Europie. Początkowo cena biletu nieco ostudziła jej zapał do obcowania ze sztuką wyższą, ale gdy wraz z innymi zwiedzającymi stanęła przed *Narodzinami Wenus*, już nie żałowała wydanych pieniędzy. Bogini przedstawiona jest na tym akcie w sposób jednocześnie skromny i naturalny, i unosi się elegancko na wielkiej muszli płynącej po morzu w kierunku lądu.

Obraz ten zrobił na niej wówczas tak ogromne wrażenie, że podobnie jak wielu innych turystów zdecydowała się na zakup plakatu-reprodukcji, który zresztą ledwie dzień później zostawiła na półce bagażowej w pociągu do Rzymu.

Przeniosła wzrok na Józefa, ubranego w niebieską suknię, na którą narzucił zwiewny, żółty płaszcz. Świeżo upieczony ojciec

był prawie całkiem łysy, po bokach zostały mu jeszcze śladowe ilości kręconych, siwych włosów. Daisy wspominała, że wyglądał na wyczerpanego. Claire też mu się uważnie przyjrzała, cały czas rozmyślając, czy faktycznie widać po nim rozpacz z powodu narodzin dziecięcia, o którym wiedział, że nie jest jego, a które teraz trzeba będzie wychować. Nie, to na pewno nie było tak, przynajmniej nie w czasach Botticellego. Nikt nie odważyłby się wtedy na takie postrzeganie tej sceny. Teraz to co innego, teraz ludzie żyją w rozbitych rodzinach, coraz częściej zwanych „patchworkowymi”. Oto mamy świat, gdzie niemalże normalnym stało się, że ludzie starają się wspólnie wychowywać dzieci, które

- choćby nie wiadomo, jak bardzo chcieli nazywać to inaczej
- nie były do końca ich dziećmi.

Być może rozpacz Józefa wynika z innej, prostej przyczyny. Być może zbyt szybko wyczytał w oczach Marii, że od tej chwili jej życie nie będzie się kręcić tylko wokół niego, ale także

- a nawet głównie - wokół tego maleństwa, które szybko stanie się małym chłopcem i mężczyzną. Tymczasem ojcu zarezerwowano rolę po cichu starzejącego się człowieka, który ma pozostać w cieniu. Claire widziała podobny proces wielokrotnie, bo jakoś tak się złożyło, że praktycznie każda jej znajoma postanowiła rodzić dzieci mniej więcej w tym samym momencie, w którym ona swoje straciła. Jak wiele jest par zakochanych w sobie ludzi, którzy przyjmują rolę rodziców, ponieważ uznali, że ten fakt dopełni ich szczęście. Tymczasem z pary kochanków stają się tylko i wyłącznie ojcem oraz matką, z tym dziwnym stworzeniem pośrodku, które już na zawsze ma ich spajać, równocześnie od siebie odpychając. Mąż bardzo szybko zostaje zepchnięty do roli drugiego dziecka, które niepotrzebnie pałęta się między nogami. Potrzebny tylko wtedy, gdy akurat żonie przyda się para pomocnych rąk, stopniowo wycofuje się, bo lepsze już to niż dowiedzenie się, że znów coś zrobił nie tak, jak należy.

Mężczyzna, który desperacko próbuje wskrzesić między nimi iskrę pożądania, tymczasem ona wejdzie w zakres zainteresowania żony dopiero wtedy, gdy w jej głowie pojawi się myśl o drugim dziecku.

Czy podobny los stałby się udziałem Roba? Gdy jeszcze była w ciąży, Claire przyrzekała w duchu, że w jej przypadku sprawy będą się miały inaczej i że nigdy nie skrytykuje jego decyzji lub działań tylko dlatego, że ona zrobiłaby coś inaczej. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak niby miałyby sobie z tym zadaniem poradzić, skoro nie udało się to żadnej kobiecie z jej znajomych. Schemat powtarzał się za każdym razem: ciężka praca przez cały tydzień, wcześniejszy powrót do domu w piątek wieczorem, żeby zdążyć dziecku poczytać do poduszki, a potem cały weekend spacerów po parkach, pilnie obserwowany przez krytyczne oko kobiety, która komunikuje się przy pomocy zdań rozkazujących. *Nie rób tego. Bądź ostrożny. Przytrzymaj główkę. Zmień mu pieluchę. Podnieś go. Odlóż go. Pozwól mu spać. Obudź go. Delikatnie!* Widziała takie sceny setki razy, aż do znudzenia. Józef być może dość szybko pojął swoje przeznaczenie i zrozumiał, że od teraz najbezpieczniejsze miejsce dla niego to pobocze, tło.

Długo odkładała moment spojrzenia na dziecko, doskonale wiedząc, jaką burzę uczuć ten widok u niej wywoła. Ale gdy w końcu przyjrzała mu się bliżej, błyskawicznie zrozumiała, dlaczego Maria - raz spojrzawszy na Jezusa - nie mogła oderwać od niego oczu. Claire też nie mogła się na niego napatrzeć.

To nowo narodzone dziecko wcale nie wyglądało na noworodka. Nie miało czerwonych śladów ani typowych zmarszczek, jakich można by spodziewać się w przypadku małego człowieka, który chwilę wcześniej przyszedł na świat. Leżący na białym prześcieradle Jezus stanowił dla Claire obraz tak piorunujący, że czuła niemalże fizyczny ból, jak gdyby ten niemowlak wpił się w jej skórę malutkimi paznokciami. Patrząc na obraz, nie można

Było uciec od myśli, że jest coś absolutnie właściwego w tym, że noworodek stał się dla Marii pępkiem świata, że wszystko wokół jego promieniejącej twarzyczki nagle poszarzało, straciło blask. Ale czy mogło w ogóle być inaczej? Zmieni każdą sekundę życia matki, wypełni każdy zakamarek pamięci i skradnie najmocniejsze uczucia. Gdzie tu znaleźć miejsce i czas na cokolwiek lub kogokolwiek innego? Claire czuła, że stać by ją było na podobne otwarcie się na dziecko, że przyjęłaby intensywność doznania z otwartymi ramionami i podobnie jak Maria w stosunku do Józefa, sama by też straciła zainteresowanie Robem.

Gdzieś krążyła myśl, że przecież w to Boże Narodzenie razem z Robem powinni ćwiczyć składanie i rozkładanie wózka, zaśmiewając się do łez ze swojej nieporadności, a potem wybrać do sklepu po pierwsze pieluchy i poważnie omówić kwestię najbardziej dogodnego powrotu do domu ze szpitala. Powinna mieć na sobie coś czerwonego, elastycznego, na przykład z jedwabiu i lycry. Sukienkę kupiłaby pewnie w dziale dla przyszłych matek w jakimś centrum handlowym. Na pewno nie zdecydowałaby się na czarną sukienkę, tę samą, co w zeszłym roku. Ludzie dawaliby im rady: *Hej, uważaj, to może być wcześniak* albo *Czyż to nie byłoby cudowne, gdyby urodził się na Gwiazdkę?* I pomyśleć, że w okolicy stycznia zaczęłaby przyjmować te wszystkie pielgrzymki, którym pochwalić by się mogła ich małym chłopczykiem (choć w głębi duszy uważałaby, że jest jej i tylko jej) z komentarzem, że jeszcze nigdy nie czuła takiej dumy, proponując przyjaciółkom, żeby na chwilę wzięły go na ręce, równocześnie licząc na to, że odmówią sobie tej przyjemności. Nie obawiałaby się sytuacji, w której jej wiecznie nieobecny ojciec i trudna matka przez przypadek wpadliby na siebie na szpitalnym korytarzu, bo wszak miałyby już własną rodzinę, o którą trzeba się troszczyć. A poza tym, nawet ci dwoje chyba by nie zawiedli w takim momencie wspólnej radości.

Trudno się pogodzić z bolesnym faktem, że żadna z tych sytuacji nie będzie mieć miejsca, że emocje zostaną w krainie nieziszczzonej baśni, że nigdy nie zostaną przeżyte w rzeczywistości.

Tymczasem Daisy wzdragła się na myśl o dziecku! Claire z trudem przychodziło zrozumienie tego. Tłumaczyła to sobie czystą ignorancją swojej wojennej korespondentki, która nie mogła mieć pojęcia, co to znaczy mieć dziecko, a tym bardziej, jakim wstrząsem staje się jego utrata. Nic bardziej nie pobudza pragnienia posiadania potomstwa, jak katastrofa przy pierwszym podejściu. Utrata dziecka. Nienawidziła tego zbitka słów z całego serca, choć to właśnie takiego określenia ludzie używają, gdy już coś powiedzieć muszą. To tylko słowa, jakich w końcu użyć trzeba. Ale w jej uszach brzmiały absurdalnie, bo kojarzyły jej się z zagubieniem czy porzuceniem Olivera, który wciąż ma szansę powrócić, odstawiony do domu przez policję albo wyczekujący na nią na dworcu autobusowym.

Zmusiła się do skierowania swoich myśli w inny rejon i wybór padł na Daisy - z jej listów wybrzmiewał entuzjazm dla zmieniającego się porządku wszechświata, w którym pojawiło się dla kobiet miejsce w zawodach szczerze przez nowoczesne kobiety unikanych. Zaśmiała się na tę myśl, nie zważając na zdziwiony wzrok ochroniarza, który ją w tym momencie mijał. Koniec końców, gdzie ją życie zaprowadziło? Za nudne biurko, pięć dni w tygodniu, bo mają przecież kredyt hipoteczny, który wymaga dwóch pełnych pensji, żeby stać ich było na spłatę. Tymczasem na drugim końcu opowieści mający postać Charlesa, który oferuje Daisy domek na wsi, ogródek i dzieci, a ona wymazuje ten obraz z listy priorytetów. Z drugiej strony, Daisy była też znacznie młodsza — wedle jej własnych słów miała wtedy dwadzieścia dwa lata - co może do pewnego stopnia odpowiadać za różnicę w poglądach. Dobijając do wieku Claire, czyli do trzydziestki, jej punkt widzenia bez wątpienia uległby poważnej korekcje.

Za wszelką cenę pragnęłyby już tego domku i kogoś, z kim mogłaby go dzielić, równocześnie drząc na myśl o byciu pozostawioną samej sobie.

Nagle poczuła nieodpartą chęć powrotu do mieszkania, które z Robem wybrali, a w którym każda ściana i każdy mebel, łyżka, książka i wazon łączyły się w jeden wielki obraz o nazwie „nasz dom”. Odwróciła się od obrazu Botticellego i opuściła pomieszczenie. Obcasy stukotały rytmicznie po drewnianej podłodze, a dźwięk nasilił się jeszcze bardziej, gdy drewno przeszło w marmur. Wracając w coraz większym chłdzie, tylko przyspieszyła kroku. Gdy przekreśliła klucz w zamku, zdała sobie sprawę, że Roba nie ma w domu, i równocześnie pojęła, jak desperacko w tym momencie potrzebowała jego obecności. Jakże miło było by znaleźć na stole otwartą butelkę czerwonego wina, a wcześniej - już na schodach - poczuć rozkoszny zapach grillowanego kurczaka. Wybrała jego biurowy numer, a kiedy odebrał po pięciu sygnałach, brzmiał, jakby dopiero co nieźle się z kimś bawił. Chciała powiedzieć coś w stylu: *Przestań się tam zaśmiewać do rozpuku, skoro to samo możesz robić w domu. Tam nie jest twój dom, tylko miejsce pracy.* W rzeczywistości wydusiła z siebie tylko tyle, że ma nadzieję, iż nie wróci za późno, a ona spróbuje na niego zaczekać. Nie było sensu brać się za gotowanie, skoro tylko ona zasiadłaby do stołu. Rob na pewno zjadł coś w biurze, mają tam ofertę cateringu do późnych godzin wieczornych. Przygotowała miskę płatków, za późno zdając sobie sprawę, że oznacza to brak mleka nazajutrz, podczas śniadania. Cóż, w tym momencie nic się już z tym zrobić nie dało. Ciężko opadła na sofę, przykryła się kocem i włączyła telewizję. Mając w swoim zasięgu jedynie towarzystwo Daisy w listach, z ulgą przyjęła dźwięki i kolory, które potrafiły zepchnąć inne bodźce na margines.

Nadszedł pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

Zostały już tylko dwa, które Claire spodziewała się odbębnić w takt nieszczerých rozmów i strumieni letniej wody w wannie. Rob obudził ją i wręczył prezent opakowany w lśniący papier z czerwono-nosym reniferem. Było to jakieś opasłe tomiszczce na temat sztuki, które taszczył tutaj całą drogę pociągiem, a czekała go jeszcze z tym ciężarem droga powrotna. Przyznać trzeba, że dokonał trafnego wyboru — książka składała się z rozdziałów poświęconych poszczególnym artystom i jej zawartość dawała encyklopedyczną wiedzę. Znalazła rozdziały poświęcone Tycjanowi i Botticellemu. Przeczytała oba, zastanawiając się, kto znajdzie się w następnym liście. Już bardzo blisko do stycznia i kolejnego listu, jeszcze tylko kilka dni czekania. Ta myśl sprawiła jej radość, więc gdy Rob wyszedł z łazienki, jakoś swobodniej przyszło jej obdarowanie go pocałunkiem.

— Pójdźmy tym razem na poranną mszę zamiast na rodzinną

— zaproponowała. Zdawała sobie sprawę, że to kolejny test, ale przynajmniej dawał on im szansę pobyć przez chwilę sam na sam. Być może dzięki temu łatwiej przetrwałyby resztę tego dnia.

Rob nie wspomniał nawet ani słowem o poprzedniej nocy. Pocałował ją lekko w czoło, jak gdyby była jego dzieckiem, a nie żoną, i odparł:

— Nie ma sprawy, tylko spróbuj dziś wykrzesać z siebie odrobinę radości. Zrób to dla mnie.

Czy już wykrzeszała? Tak jej się zdawało, przynajmniej na tyle, na ile można było od niej tego oczekiwać. Jednak już przy śniadaniu wszystko zaczęło się walić w gruzy.

— Katie i James nie mogą się doczekać spotkania z wami

— nadmieniła Priscilla, krzątając się wokół Roba z kawą i grzankami. - Chcą się pochwalić małą Joy. To takie urocze maleństwo. I prawie w ogóle nie płacze.

Claire miała gdzieś Katie i jej Jamesa, sąsiadów z wioski, których ledwie знаła. I żeby chociaż pojawił się między nimi jakiś wspólny temat, na przykład doświadczenia porodu i opieki nad dzieckiem, które potrafią obcych sobie ludzi zjednoczyć w niekończących się dyskusjach przeradzających się czasem w trwałą przyjaźń. Ale tutaj takich nici porozumienia nie było. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, a już ostatnią rzeczą, na jaką Claire miała ochotę, to oglądać ich dziecko - Priscilla musiała zdawać sobie z tego sprawę. Wspomniana para też musiała wiedzieć o Oliverze, bo w piątym miesiącu ciąży Claire nie była już żadną tajemnicą, z której trzeba by się ludziom specjalnie zwierzać. Nie dało się ukryć, że chłopiec rośnie pod jej sercem, a ona sama i tak nie planowała tego faktu kryć. Miała raczej ochotę powiedzieć o tym całemu światu, w tej radości z ogłaszania dobrej nowiny mając zresztą równą partnerkę w osobie Priscilli. Niestety, niedługo później po ulicach prowincjonalnej miejsciny przeleciał ściszony szept, rosnący z każdym odwiedzionym domem. Claire już nie jest... Priscilla na razie nie będzie babcią, bo Claire póki co nie będzie matką. *Wszyscy o tym* wiedzieli, bez dwóch zdań. Będą się przyglądać i zastanawiać, czy wypada im to jakoś skomentować. Claire skupiła uwagę na misce płatków.

- Powiedziałam im, że pojawicie się na rodzinnej mszy, więc możecie ich tam wypatrzeć.

- Wiesz, mamó — Rob próbował zaprotestować — tym razem wolelibyśmy pójść na mszę poranną, będzie zdecydowanie mniej ludzi, będzie spokojniej.

Claire natychmiast wyczuła niewystarczający poziom zdecydowania w jego głosie i była pewna, że Priscilla z łatwością wykorzysta ten stan niepewności u syna.

- Nonsens, Robercie. Nie uda wam się. Nawet gdybyście wyszli w tej chwili, to i tak nie zdążylibyście na początek, a zakładam, że nie chcecie wpaść do kościoła w samym środku mszy.

A poza tym, co ze mną i ojcem? Nie możemy pójść na rodzinną mszę bez was. Byłaby taka szkoda, gdyby wasi przyjaciele nie mieli okazji przywitać się, gdy wszyscy tam będą.

My tu nie mamy przyjaciół, chciała usłyszeć z ust Roba. Tyle razy jej powtarzał, że chciał uciec jak najdalej od wszystkich rówieśników, wśród których się wychowywał. Zaległa cisza, w której razem z Priscillą czekały na reakcję. Do momentu, gdy czajnik rozdarł się w niebogłosość, jedyny dźwięk, jaki dobiegał uszu Claire, to świst jej własnego oddechu - napięty i szybki - gdy szykowała się do bitwy.

- No cóż, w sumie co za różnica, na której mszy się zjawimy - odpowiedział w końcu Rob. - A ty jak uważasz, Claire?

Nic nie odpowiedziała. Za to Priscillą nie przestawała.

- Proszę, pojedźcie z nami, Robercie. Tak rzadko tu ostatnio jesteście. Kiedy indziej będę się mogła wami pochwalić?

Tak rzadko, a wszystko przez Claire. Taki przekaz krył się za słowami Priscilli. Zanim w jego życiu pojawiła się żona, odwiedzał rodziców regularnie.

Zatem teraz już wszyscy patrzyli wyczekująco na nią, nawet Nick. Claire mogła pójść jedną z dwóch dróg. Jedną opcją było urządzenie sceny, tutaj, od razu, w ich kuchni przy śniadaniu. Drugie wyjście to zrobić to, na co z reguły się decydowała, czyli udać, że jest jej wszystko jedno. OK. Pojedźmy wszyscy razem, Nick może prowadzić, a my siądziemy sobie na tylnej kanapie, obok map i połamanych parasolek. Zróbmy, jak uważacie, nie przejmujcie się mną.

- OK. - To była cała jej odpowiedź.

Wybrali się więc wszyscy razem. Po przecięnięciu się przez wąskie wejście do kościoła, usiedli w zbitej, niewielkiej grupie. Na miejscu wręcz roило się od dzieci. Gdzie tylko Claire nie spojrzała, widziała dzieciaki biegające pomiędzy nawami, targające ze sobą prezenty odpakowane ledwie kilka godzin wcześniej,

które już niedługo zapewne cisną w kąt. Dziewczynki miały na sobie aksamitne sukienki z wielkimi wstążkami z różowego jedwabiu, nabite cekinami. Strój dopełniały lśniące buciki. Kościelna będzie sprzątać pozostałości po tych błyskotkach przez wiele następnych tygodni. Chłopcy, od tych raczkujących wzwyż, nosili pasiaste koszule wetknięte w beżowe spodnie. Tak samo będą wyglądać za kolejnych dwadzieścia, trzydzieści, a w skrajnych przypadkach nawet za czterdzieści lat. Każde dziecko w tym domu modlitwy krzyczało, płakało lub śmiało się — czasem nawet nie do końca dało się określić, którą z tych trzech metod komunikacji właśnie stosowało. Pieśni śpiewano fatalnie, w czym prym wiedli rodzice próbujący równocześnie ogarnąć swoje pociechy, a muzyka jakoś nie mogła tego okropnego konglomeratu ludzkich głosów przebić własnym natężeniem dźwięku. Gdyby mieli swoje dzieci albo Claire była nadal w ciąży, popatrzyłaby pewnie na tę scenę z konstatacją: *Oto i mój świat. Jestem jego częścią.* Ale ponieważ jej dziecka tam nie było, to pragnęła jedynie wykrzyczeć swój sprzeciw. *Błagam*, pomyślała, *czy ktoś może im się kazać zamknąć?* No tak, jakże można było po niej oczekiwać zrozumienia, przecież nie miała własnych dzieci.

Jakoś udało jej się dotrzeć do kazania. Niespodziewanie w sali zapanowało milczenie, ten charakterystyczny rodzaj dziwnej ciszy, która czasem nawiedza gości proszonych obiadów i przyjęć koktajlowych. Głos wikariusza przerwał tę ciszę. Imponując czystością i głębią barwy, nawoływał do przebaczenia.

/ wybacz nam, jako i my wybaczymy naszym winowajcom.

Pan nasz przykazał nam, byśmy byli dla siebie pełni współczucia, dobroci, woli przebaczenia.

Nie szukajmy pomsty, nie karzmy winowajców.

Rob, Rob, Rob. W tym momencie tylko jego widziała i miała już serdecznie dość całej imprezy. W najgorszym z możliwych momentów, czyli dokładnie w chwili, gdy wikariusz zachęcał

dzieci poniżej dziesiątego roku życia, by podeszły do przodu i odebrały tabliczkę czekolady - choć zaznaczył przy tym z fałszywie brzmiącym śmiechem, że w Bożym Narodzeniu nie chodzi

o prezenty - poczuła, że jakaś siła nakazuje jej wstać. Kościelne ławy nieco się poluzowały wokół niej, ale w głównym przejściu tłoczyły się dzieci z rodzicami i to między tę zbitą masę ludzką musiała wejść, by precyzyjnie się w kierunku ciężkich, dębowych drzwi starego kościoła. Chwilę mocowała się z potężną klamką i w końcu wypadła na zewnątrz, gdzie przywitał ją mróz wciąż mocno trzymający w swych okowach teren cmentarza. Zostawiła drzwi szeroko otwarte, pragnąc wlać chłód w sam środek tego cholernego ciepła.

Wybaczyć mu. Gdyby tylko potrafiła. Rana była zbyt głęboka.

Na początku nawet próbowała. To było wtedy, gdy wciąż jeszcze leżała w szoku na szpitalnym łóżku, a żel z ultrasonografu kleił się od wewnątrz do jej ubrań. Wydawało się, że pójdzie łatwo.

- Przepraszam - powiedział z twarzą ukrytą w dłoniach, które chwilę później położył na jej obolałym brzuchu. Usta wciąż miał przebarwione od czerwonego wina. - Powinienem był tam dotrzeć. Powinienem powiedzieć klientowi, że się z tobą umówiłem. I nie powinienem wyłączać komórki. Nie pomyślałem. Czy mi kiedyś wybaczysz?

- Pewnie, że ci wybaczam. Przecież nie mogłeś tego przewidzieć. Nikt nie mógł. Kocham cię.

Czy na pewno? Czy może chciała, żeby to on jej o tym przypomniał? Gdy wymawiała to zdanie, brzmiało prawdziwie w jej ustach. Ale kochała także to nienarodzone dziecko miłością gwałtowną, zachłanną, która przyszła wtedy, kiedy było już na nią za późno. Gdy minął szok, a w jego miejscu usadowił się smutek, zrozumiała, że nie jest mu w stanie niczego przebaczyć. Ten proces się w niej nawet nie zaczął. Za to otrzymała potężną broń,

którą mogła władać w ich małżeńskim życiu, a której nigdy nie pragnęła. Nie była w stanie znaleźć klucza do przywrócenia dawnej harmonii. Obarczanie go winą. Krytykowanie. To wszystko nagle stało się o wiele łatwiejsze niż miłość do Roba.

Stojąc na skrzypiącej od lodu trawie, nad grobami martwych od setek lat przodków tej okolicy, poczuła, jak wokół jej głowy zaciska się pajęczyna migreny. Odruchowo zaczęła masować bolące skronie.

Rob wybiegł za nią, jego kroki po zamrożonym gruncie odbijały się głośnym echem.

- Mówiłam ci przecież, że nie chcę tu przyjechać - zaczęła, odwracając głowę i patrząc szklanym wzrokiem na pola rozciągające się za kościołem. - Dlaczego mnie nie posłuchałeś?

- Przecież już o tym rozmawialiśmy. Nie było innego wyjścia.

- A co z dzisiejszym porankiem? Tu też wyjścia nie było?

- Przepraszam za dzisiaj.

W ostatnich tygodniach wciąż słuchała jego przeprosin. Sama go do nich zmuszała. Te niesłuchane ważne słowa straciły dla niej całą moc.

- Dlaczego kazałeś mi decydować, skoro już wcześniej wiedziałeś, czego chcę? To twoi rodzice. Jeśli czegoś nie chcemy robić, twoim zadaniem jest im o tym powiedzieć. Dlaczego choć raz nie mogłeś stanąć po mojej stronie?

Odwróciła się do niego i zobaczyła, że stoi za nią, rękoma mierzwiąc włosy, z oczywistym wyrazem frustracji na twarzy. Chciała, by jeszcze raz ją przeprosił. Nie tym razem jednak.

- Bo nie mogę tego robić za każdym razem - odparł. - Bo mam już tego wszystkiego dosyć. Nie jestem już w stanie bardziej cię wspierać. Chryste, Claire, kiedy to wszystko wreszcie się skończy?

- Nie mam pojęcia.

Ostry ból wziął nad nią górę i opadła bez sił na jego ramię. Gdy ją tak podtrzymywał, rozszalały się kościelne dzwony, wrota

kościół rozwarły się i niekończąca się fala dzieci wylała się na zewnątrz w szalonym tempie. Ujrzała Katie i Jamesa. Patrzyli na nich z uśmiechem, który miał równocześnie oznaczać rozpoznanie drugiej osoby i przywitanie jej. James nosił Joy w chuście, z której wystawała jedynie głowa małej, udekorowana ręcznie dzierganym kapelusikiem. Katie trzymała paczkę pieluszek, swoją torebkę i prześcieradełko. Wyglądała na zmęczoną. Claire zauważyła, jak z ramienia opada na ziemię kwadratowy kawałek poplamionej gazy. Powoli pochyliła się i podniosła ją.

Rob spojrział na Claire i wykazując się wreszcie jakimś zrozumieniem, zaproponował:

- Chodź, zaczekamy w aucie.

Podczas świątecznego obiadu dołączyli pozostali krewni. Był wśród nich Brian, brat Nicka, z żoną. Do tego ich córka Emma z mężem Mikiem, którzy byli mniej więcej w tym samym wieku, co Rob i Claire. Towarzyszyła im trzyletnia córeczka Poppy. Emmie wyraźnie rósł ciężowy brzusek. I choć nikt nie ośmielił się bezpośrednio tego faktu skomentować, Claire nie mogła od niej oderwać wzroku. Ekipę uzupełniała bardzo już posunięta wiekowo matka Priscilli, którą Nick odebrał z domu starców znajdującego się kilkanaście kilometrów od ich domu. Claire zauważyła, że teść ulotnił się po cichu i jego podróż w dwie strony zajęła więcej czasu, niż powinna. Zastanawiała się, czy ci dwoje aby nie wymknęli się potajemnie do najbliższego otwartego pubu, gdzie Nick wypił małe piwo, a matka Priscilli kieliszek brandy. W trakcie obiadu nestorkę rodu ostrożnie umieszczono w rogu pokoju, niczym antyczny posążek z porcelany, i zasadniczo od tego momentu raczej ignorowano jej obecność. Miała osiemdziesiąt sześć lat i skurczyła się w sobie tak bardzo, że zdawała się znikać pod odświętną suknią. Daisy byłaby teraz

pewnie w jej wieku, gdyby tylko dożyła naszych czasów. Claire uśmiechnęła się do staruszki, ale nie wiedziała, jak do niej zagaić. Ciekawe, jak Daisy mogła się zestarzeć.

Pod koniec dnia Claire wpadła w kuchni na Nicka, gdy ten szykował kanapkę z indykiem, co było równocześnie formą ucieczki od rodzinnych dowcipów i zorganizowanej radości. Pomieszczenie było ciemne, paliła się jedynie lampa na stole kuchennym rzucająca na drewniane belki dziwne cienie. Oboje podskoczyli na swój widok.

- Chcesz jedną? - zapytał, znęcając się nożem do krojenia mięsa nad indykiem i lekko sfatygowanym bochnem chleba.

- Nie, dziękuję.

- Nie odmawiasz przez grzeczność? Może jednak?

- Naprawdę, nie mam ochoty na kanapkę.

Przez chwilę zapadła między nimi cisza. W tym czasie Nick odłożył majonez do lodówki, a nóż wrzucił do zlewozmywaka wypełnionego zimną wodą. Po tak strasznie głośnym dniu chwila ciszy zdawała się błogosławieństwem.

- Czy zamiast tego mogę cię o coś cię zapytać? - zagała. Nick usadowił się na jednym z kuchennych krzeseł, które zaskrzypiało pod jego ciężarem.

- Dawaj.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś na temat Daisy. / Zastygł na chwilę, myśląc. Kanapka zatrzymała się w pół drogi między talerzem a ustami.

- Daisy? A któż to? Mam nadzieję, że to nie jest jakaś była Roba? Nie przypominam sobie dziewczyny o takim imieniu. Tak czy siak, nie musisz się nimi kłopotać, w sumie niewiele dla niego znaczyły.

Claire zdawała sobie sprawę, że teraz przyszła kolej na jej rozbawiony uśmiech, ale silne rozczarowanie wzięło w niej górę. Nie chciała za szybko się poddawać.

- Nic z tych rzeczy. Daisy była krewną *twojej* matki; nazywała się Milton. Pisała listy z Londynu podczas wojny, a twoja matka je wszystkie zachowała. Elizabeth zostawiła je w spadku Robowi. Prawnik pisał, że była kuzynką.

- Ach, tak! To ta Daisy od testamentu. Więc macie jej listy, tak? Coś wspominali, że je wysłał na adres Roba.

- Tak, dostarczono nam je. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej na jej temat.

Czekała, czy zapyta o powód zainteresowania. *Ponieważ zaczyna dla mnie coś znaczyć*, tak pewnie by odpowiedziała. A jednak nie zapytał. Po prostu zatrzymał się, chwilę żuł chleb, po czym odparł.

- Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, by za życia moja matka kiedykolwiek wspominała o Daisy. Wydaje mi się, że po raz pierwszy natrafiłem na jej imię, gdy razem z prawnikiem sprawdzaliśmy testament. A jeśli chodzi o kuzynostwo, to nie znałem żadnego, więc nawet nie mogę potwierdzić, czy były spokrewnione. Gdyby były sobie bardzo bliskie, to pewnie słyszałbym kiedyś o niej. Dziwne, nie sądzisz? Przez tyle lat miała te wszystkie listy, a nigdy mi ich nie pokazała. Tak to już chyba w życiu jest. Ciągłe liczy się tylko to, co teraz. Wciąż mi to powtarzała i miała stuprocentową rację. Ludzie interesują się tylko tym, co się u ciebie wydarzyło wczoraj, dziś rano lub w zeszłym tygodniu, ewentualnie, jakie masz plany na następny tydzień. Dopiero po śmierci mamy zorientowałem się, że nigdy nie zapytałem o jej życie przed moimi narodzinami.

- Tak to już jest z dziećmi, są na wskroś egocentryczne — dodała Claire, próbując się uśmiechnąć.

- Cóż, takie dyrdymały dzieci faktycznie nie interesują. Rob jest dokładnie taki sam, w ogóle sobie tym głowy nie zawraca. Dopiero w późnym wieku, takim jak mój, człowiek zaczyna się interesować tym, skąd pochodzi. I zwykle jest już za późno, żeby

się czegoś dowiedzieć. Coś niecoś mi wspominała, ale chyba wychodziła z założenia, że nic mnie to nie obchodziło. Tak czy inaczej, wraz z przeprowadzką do Kanady praktycznie straciła kontakt ze swoją rodziną. Wówczas świat nie wydawał się tak mały jak teraz, musisz o tym pamiętać, a oni znajdowali się jednak daleko, w przeciwieństwie do rodziny mojego ojca. Praktycznie mieszkali drzwi w drzwi. Urodziła się w Anglii, ale nie wróciła tutaj aż do chwili, gdy obaj z Brianem już się tu zdążyliśmy osiedlić. Pomyśl o tym! Zakładam, że do takich ludzi jak Daisy jeszcze przez jakiś czas pisała, a potem stopniowo traciła kontakt. Listy trzymała pewnie jako pamiątkę z dawnych czasów.

- A czy kiedykolwiek opowiadała o wojnie?

- Zdarzało jej się, ale wiem, że miała kompleks osoby, która czynnie w niej nie uczestniczyła. Mój ojciec był na froncie, to prawda, ale jej nic nie groziło. To były takie czasy, które potwornie ludzi do siebie zbliżały, a ona stała gdzieś z boku. Pamiętam, że lubiła książki historyczne na temat wojny. Nawet sam jej kupiłem kilka egzemplarzy, Londyn podczas *blitzkriegu*, coś takiego. Przykro mi, tyle tylko pamiętam.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go, wyglądając przez kuchenne okno. Na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Wyraz twarzy musiał zdradzić jej rozgoryczenie.

- No nie jestem pewien — odpowiedział. — Wygląda na to, że jednak cię rozczarowałem. Więc może umówmy się, że zrobię małe dochodzenie w tej sprawie? Czy to ci pomoże? Pewnie chwilę mi to zajmie.

- Byłoby super, dzięki — ucieszyła się. - Spokojnie mogę poczekać. W listach wspomniany jest jakiś Charles. Nie znam jego nazwiska, ale facet zdaje się kimś ważnym. Daisy o nim często wspomina w listach. Pojawia się też miejsce o nazwie Edenside.

- A widzisz, przynajmniej w tej ostatniej kwestii mogę pomóc. Edenside to dom, w którym moja mama się

wychowywała. Jej rodzice kupili go, gdy była małą dziewczynką. To była spora rezydencja na północy. Za duża jak na tak małą rodzinę - mama była ich jedynym dzieckiem - mogli się tam bawić w chowanego. Ten dom wciąż stoi. Gdy mama przyjechała nas odwiedzić, zabraliśmy ją, żeby go sobie obejrzała. Robi wrażenie! Teraz wokół tego domu stoi masa bungalowów, ale nawet z daleka widać, że był ponadprzeciętnie duży. Wspominała, że sporo się tam działo, urządzano zawody strzeleckie, tańce. Teraz to sobie nawet trudno wyobrazić, ale jej się chyba to za bardzo nie podobało. Z wielką chęcią się stamtąd wyrwała, gdy poznała tatę.

- Miał na imię Bill, prawda?

— Tak. Hm, zaimponowałaś mi.

— To dzięki listom. Daisy czasem wspomina jego imię.

- Serio? Może powinienem je któregoś dnia przeczytać.

Znów cisza. Claire miętosła papierową chusteczkę udekorowaną liśćmi ostrokrzewu i złotymi oblamówkami na krawędziach. Czekwała na ciąg dalszy historii. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak wtedy czuła się Elizabeth — mężatka z dzieckiem, sama na obczyźnie - gdy otrzymywała listy od Daisy. Musiały być takie chwile, że oddałyby wszystko, byleby do swojej kuzynki dołączyć w Anglii, by wspólnie przeżyć wojnę, zamiast siedzieć bezczynnie i modlić się o bezpieczny powrót męża, czytając codziennie prasę w poszukiwaniu informacji o rodzinnych stronach. Mogła nawet czuć swego rodzaju zazdrość, podziwiać Daisy za jej odwagę w odkładaniu decyzji o ślubie, dzieciach i innych elementach jej własnego życia. Kto wie, może nawet czuła złość, gdy czytała krytyczne komentarze w stosunku do wyborów, których sama przecież też dokonała. Całkiem możliwe, że stało się to powodem odłożenia listów do głębokiej szuflady i rozejścia się ich życiowych dróg z Daisy.

Nick niespodziewanie ponownie przemówił:

- Claire. Chcę, żebyś wiedziała, jak jest mi przykro, jak jest nam obojgu przykro z powodu dziecka. Nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, jak bardzo to przeżycie musi być dla ciebie bolesne.

W jego głosie dosłyszała zarówno szczerość, jak i skrępowanie. Ale przynajmniej mówił to, co naprawdę myśli. Była tego pewna.

- Cóż, takie historie się zdarzają — odpowiedziała. - Nikt nic na to nie może poradzić.

Podobne zdanie powiedziała już tyle razy, że przychodziło jej z łatwością. I gdyby tylko sama była w stanie w nie uwierzyć.

- Rob nam o wszystkim opowiedział. Wiem, że ma okropne wyrzuty sumienia.

I słusznie, Nick. Bardzo słusznie. Nawet nie musiała tego mówić na głos. Wystarczyło popatrzeć na jej wyraz twarzy, by odgadnąć, jak się z tym czuła.

- Priscilla już nawet kupiła jakieś zabawki dla maleństwa. Takiego misia, który wydawał dźwięki. Jakieś ciuszki.

- Przykro mi - powiedziała.

- Niepotrzebnie. Chodziło mi tylko o to, żebyś wiedziała, że ona też to przeżyła.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, gdy odpowiadała:

- Ja też mu kupiłam ubranka. Z kaczką z przodu. W sklepie zapakowali mi to w papier z niebieskimi serduszkami. Wyrzuciłam wszystko, razem z opakowaniem. Nie mogłam znieść myśli, że leży gdzieś w szufladzie.

Nick pochylił się, żeby ją objąć ramieniem, ale odruchowo wycofała się.

Poszła na górę spać, tłumacząc się bólem głowy, który faktycznie jeszcze całkowicie nie odpuścił. Zostawiła go razem z rodziną przy planszy scrabble, której to gry szczerze nie znosiła. Gdy szła po schodach, chwilę zawahała się, przechodząc

obok pokoju, który został przygotowany dla Poppy i jej rodziców. Poprzez uchylone drzwi dosłyszała dziecięce pochrapywanie oraz wiercenie w łóżku, któremu towarzyszył szelest sztywnej pościeli i koców pamiętających jeszcze wczesne dzieciństwo Roba. Gdy dotarła do własnego łóżka i pod zimną pościel wsunęła nogi pokryte gęsią skórką, pomyślała, jak ciepłutka i pełna życia jest taka Poppy i jak bardzo chciałaby ją teraz móc tulić w ramionach.

KOBIETA I SŁUŻĄCA NA PODWÓRKU
- PIETER DE HOOCH

Nie
Powiedziałam: nie.
Nie.

Odpychała go najpierw przez sen, a potem, gdy otworzyła oczy, zorientowała się, że już nie śpi i że dalej to robi. Rob leżał na niej nagi, całował ją i głaskał piersi. Czowała opór swego ciała, a w jej głowie cały czas brzmiał ten sam okrzyk. Nie! Gdy wreszcie całkowicie się obudziła, wypowiedziała dobrze znane słowa:

- Nie, Rob. Nie jestem gotowa. Ile razy mam ci to powtarzać? Czowała jego ciężar na sobie jeszcze przez sekundę czy dwie, po czym jej wzrok napotkał świdrujące spojrzenie. Chwilę później przetoczył się na swoją część łóżka i pomyślała, że musi nią gardzić.

- Zdawało mi się, że pragniesz dziecka.

- Tak, ale...

Miała wrażenie, że się kurczy, aby tylko być jak najdalej od niego, na samym skraju łóżka. Dziecko. Tak. Dziecko z Robem? Tylko „być może”. Nie była pewna. Przynajmniej nie na tym etapie, kiedy ją pochłaniała rozpacz, a jego zżerała frustracja. Czy dziecko poczęte w takich okolicznościach miałoby

jakieś szanse, skoro umarło im pierwsze, zrodzone z wielkiej miłości?

- Posłuchaj, Claire. Nie sądzisz, że pora na poważną rozmowę? Jak długo to ma jeszcze trwać? Muszę to wiedzieć.

Oparł się na poduszkach z rękoma zaplecionymi za głowę, gapiąc się w sufit i tanią, papierową imitację klosza, która już dawno miała zostać wymieniona. Jego nagość odkryła w nim niemożliwą do zniesienia bezbronność. Przykryła go kołdrą.

- Nie wiem. Wkrótce.

Wyciągnęła dłoń, by dotknąć oddalonego ramienia, ale odtrącił ją.

- Czekaj, kiedy ja to już słyszałem? W zeszłym tygodniu. I chyba w poprzednim też. I jeszcze w poprzednim. A jeśli się tak porządnie zastanowić, to słyszę to już od dłuższego czasu.

- Ponaglasz mnie. Nie podoba mi się to.

W jej głosie zaczęła pobrzmiewać histeria. Mówiła prawdę. Sama myśl, że miałby w nią teraz wejść, napawała ją strachem. Nie chciała, żeby to się tak odbyło.

- Cóż, jeśli wciąż chcesz dziecka, to nie zabierasz się za to od właściwej strony. Chryste, gdy próbowaliśmy za pierwszym razem, to nie mogłaś się ode mnie odkleić.

- Nie przedstawiaj tego w takim świetle, proszę.

Cisza. Nadzieja, że się podda i zostawi ją w spokoju. A potem znów dźwięk jego głosu, odbijający się mocnym echem od pomalowanych na kolor magnolii ścian.

- Pamiętasz, kiedy się ostatnio kochaliśmy?

- Jakiś czas temu — odpowiedziała ogólnikowo, bo nie chciała wypowiadać na głos tego, co oboje doskonale wiedzieli, a mianowicie, że minęły cztery miesiące. Od tego czasu ostatnie podrygi lata zdążyły ustąpić jesieni i przysłała głęboka zima. Była wtedy jeszcze w ciąży, żartowali nawet, że nie wiadomo, jak będą to robić, gdy będzie już naprawdę gruba.

- Lekarz powiedział, że musimy odczekać trzy miesiące.
 - Nie rób ze mnie idioty, Claire - odparował. - Lekarz zaznaczył, że muszą minąć trzy miesiące, aż zaczniemy znowu starać się o dziecko. Nie chodziło mu na pewno o to, że mamy się dopiero za trzy miesiące zacząć pieprzyć. Oboje wiemy, że upłynęło o wiele więcej czasu.
 - Możesz nie mówić o tym w taki sposób? Wiesz, że tego nie lubię. Lekarz zalecał cierpliwość, pamiętasz? Zaznaczył, żeby nie skracać okresu żałoby. Mówił, że czasem trwa to dłużej. Nigdy nie wiadomo. Wszystko zależy od indywidualnego przypadku.
 - A mnie się zdaje, że powinnaś zacząć bardziej się starać.
 - Starać o co? O pożądanie ciebie?
 - Tak. - W jego głosie słychać było, że uszło z niego powietrze.
 - A jeśli ciebie nie pragnę, to czy nie jest to twoja wina?
- Czuła, że przechodzi w stan coraz mniejszej kontroli nad nerwami. Gdy Rob odezwał się ponownie, słowa wydobywały się z jego ust ostrożnie, w sposób uporządkowany, jak gdyby ćwiczył w głowie tę przemowę setki razy, ale po raz pierwszy wsłuchiwał się w brzmienie swoich słów.
- Wiem, że uważasz, że cię zawiodłem, Claire. Zachowałem się głupio i bezmyślnie, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale próbowałem już wszystkiego, żeby ci to wynagrodzić. Przez długie miesiące pozwoliłem, abyś traktowała mnie tak okropnie, jak tylko sobie tego życzyłaś, a mimo to nie zrobiło to absolutnie żadnej różnicy. Tobie nic to nie pomogło, a mnie wyniszcza. Więcej już zrobić nie mogę. Teraz to ty się musisz zdecydować. Jeśli planujesz mnie przez całe życie winić, to masz do tego prawo, ale...
- W tym momencie zaciął się. Dotarł do najtrudniejszej części, w której ciężko mu było nie potknąć się nawet podczas wielokrotnych, cichych prób sam na sam ze sobą.
- Ale co? - zapytała.

— Musimy zaakceptować fakt, że nie zostaniemy ze sobą. Nie na zawsze.

Już od dłuższego czasu czekała na te słowa. Słowa, w których on przyjmuje do wiadomości, że to, co się wydarzyło, jest wystarczającym powodem do zrujnowania ich wspólnego życia. A mimo to słysząc je, niemal straciła dech. Niespodziewanie stanął jej obraz samej siebie w sukni ślubnej. Kościół, drewniane ławy, kamienna podłoga wydeptana przez wiernych. Przysięga. Obrączki. Jej ojciec, dumny jak paw, gdy prowadził ją do ołtarza. Jej matka, siedząca nieco z tyłu, w szykownym kapeluszu (to próba pokazania pewności siebie, której fałsz zdradzał niepewny wyraz twarzy), spoglądająca co chwilę na drzwi, czy mimo taktownej odmowy druga żona ojca Claire nie zechce jednak pojawić się na ceremonii. Przyjaciele, których wtedy miała wielu, dodający jej otuchy swą życzliwością. Rob, dziecinnie wręcz promieniejący, w pożyczonym fraku, trzymający jej dłoń, a później namiętnie całujący wśród późnych żonkili i wczesnych tulipanów.

— Czy tego właśnie chcesz? - spytała w końcu ściszym, już prawie spokojnym głosem.

— Nie. I dobrze o tym wiesz. Nadal chcę ciebie, Claire. Wciąż chcę cię kochać. Ale dostrzegam taką ewentualność. A ty? Ty też musisz mnie znowu chcieć. Inaczej to nie zadziała.

Słoneczne wspomnienia wesela zostały teraz zastąpione przez inne obrazy. Lekarza wielokrotnie przesuwającego sondę USG po jej brzuchu, upewniającego się jeszcze w swej diagnozie. Słowa, o których wiedziała, że wybrzmiały. Przykro mi. Świadomość bolesnej prawdy, że już nigdy nie poczuje w sobie ruchów Olivera, że nic w niej nie zostało poza otępiającą rozpaczą.

Rob musiał wyczuć, o czym rozmyśla.

— Claire, niech ci nie przyjdzie do głowy, że ja już o wszystkim zapomniałem. Nie zapomniałem. Myślałbym o tym każdego

dnia, nawet bez twojego wiecznego przypominania. Dlaczego nie wyszedłem z restauracji o czasie, dlaczego ci wcześniej nie powiedziałem, że nie dotrę? Boże, przerabialiśmy to już wystarczająco wiele razy. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nic nie mogę teraz na to poradzić. Każdego innego dnia, zwyczajnego dnia, nie miałyby to większego znaczenia. Byłabyś' na mnie zła, słusznie zresztą, ale na tym by się skończyło. Cholernie dużo wysiłku kosztowało mnie zaakceptowanie rzeczywistości, a ty po prostu tego nie potrafisz. Ale musisz, Claire. W jakiś sposób musisz dojść do momentu, gdzie to wszystko będzie już za tobą. Pamiętasz, co powiedział lekarz? To było nieuniknione. Nieuniknione poronienie, nie można go było powstrzymać.

- Nie - odpowiedziała. - Nie używaj tego określenia. Stało się nieuniknione tylko dlatego, że ciebie tam nie było. Nie było cię wtedy, kiedy powinienesz być nas bronić. Gdybyś tam był, nic złego by się nie wydarzyło.

Tym razem dał się ponieść gniewowi. Do tej pory to była jej domena. Poczowała, że jego ciało się napina.

- Zawiodłem cię, Claire. Na litość boską, wiem o tym. Takie rzeczy przytrafiają się wielu ludziom. Tak się po prostu dzieje. Czy którekolwiek z nas mogło sobie wyobrazić konsekwencje? A gdybym wówczas zdążył, to czy masz pewność, że wszystko potoczyłoby się inaczej? Wiele dałbym, by wtedy móc być przy tobie. Ale to nie oznacza, że możemy całą winę zrzucić na mnie. A co z tą bandą szczeniaków, którzy zabrali ci torebkę? Co powiesz o tym, który uderzył cię w brzuch, albo o tym, który cię popchnął? Skoro musisz już kogoś winić, to może zacznij od nich? A gdyby to i tak miało się wydarzyć i nie miałyby to nic wspólnego ani z nimi, ani ze mną? Pomyślałaś o tym w ogóle? Takie rzeczy się zdarzają w życiu, dobre i złe, zbiegi okoliczności, wydarzenia, których nie da się przewidzieć. Pomyślałaś kiedyś, jak ja się z tym czułem, gdy włączyłem telefon? Wszystkie

te wiadomości. Świadomość, że coś ci się stało. Wreszcie znalezienie cię w szpitalu... Jesteś moją żoną, na niczym mi bardziej nie zależy niż na twoim bezpieczeństwie. Więc tak, czuję się w związku z tym winny. To chcesz usłyszeć? Tak, czuję się odpowiedzialny. Tak, tak, tak! Ale nie pozwolę, byś traktowała mnie jak zabójcę naszego dziecka.

Najchętniej podniosłaby jakiś ciężki przedmiot i cisnęła w niego. Niech poczuje ten niemożliwy do zniesienia ból, który w niej tkwił i którego kompletnie nie pojmował. Nie znalazła jednak pod ręką niczego nadającego się do tego celu, więc jedynie puściła w ruch pięści, odpychając jego nagie ciało, pragnąc, żeby znalazło się jak najdalej od niej. Pomyślała przez chwilę, że przestraszył się tej napaści. Wiedziała też, że agresję mogła równie dobrze skierować na siebie. W końcu to ona nalegała na spotkanie tamtego wieczoru, mimo iż zdawała sobie sprawę, że będzie mu trudno dotrzeć na czas. To ona instynktownie nie chciała puścić torebki, gdy ją zaatakowano. To ona nosiła w brzuchu Olivera i pozwoliła mu odejść, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak kruche było jego istnienie. Ale sama przed sobą nie mogła się przyznać do żadnej z tych win, więc zostały jej tylko fruwające pięści, wściekłość i łzy.

Tak oto wspólnie przywitali Nowy Rok.

Styczeń 1943 rok

Droga Elizabeth!

Wszystkiego najlepszego w nowym, 1943 roku. Wielkie dzięki za słodkie śliwki. Przyszły wczoraj, nawet w nie najgorszym stanie. Staram się, żeby starczyły mi na nieco dłużej, choć przyznam się od razu, że kilka z nich wysiałam Charlesowi. To teraz towar luksusowy, więc trzeba starać się dzielić przyjemnościami z innymi.

Wiele osób twierdzi, że to ma być ostatni rok wojny, ale już to chyba gdzieś słyszałam... I nie wierzę w takie przepowiednie ani

przez chwilę. Chciałabym, ale nie potrafię. Nie chodzi bynajmniej o to, że sprawy idą w złym kierunku — Charles twierdzi, że raporty wojenne napawają optymizmem, ale dla mnie to za mało. Każde posunięcie frontu do przodu od razu przywołuje w mojej głowie obraz żołnierzy, których przy tym straciliśmy.

Obecnie częściej o tym wszystkim myślę, bo Charlesa w końcu wysyłają na front. Chyba chodzi o Afrykę Północną. Nie zdradzam żadnej wielkiej tajemnicy, mam nadzieję. Wszystkich wysyłają teraz w tamtym kierunku. Długo go teraz nie zobaczę, prawdopodobnie aż do końca wojny, nieważne, ile będzie trwała. Piszę do niego aż nazbyt często, tłumiąc tym wyrzuty sumienia, bo w głębi duszy nie chcę, żeby się ta wojna zbyt szybko skończyła. Nie mam pojęcia, jak szybko dojdzie do niego mój Ust, o śliwkach już nie wspomnę. Szczerze mówiąc, spodziewam się, że ich nigdy nie dostanie. Najpewniej wylądują w jakimś magazynie, gdzie będą sobie spokojnie gnić w towarzystwie zainteresowanych nimi szczurów. Mimo to uważam, że warto próbować. Biedny Charles. Pewnie będzie w podłym nastroju. On i pustynia to zdecydowanie niedopasowana para. Przecież on nawet nie lubi chodzić boso po plaży, a słońca unika jak ognia. Wyobrażam sobie, jak bezskutecznie próbuje pozbyć się pustynnego piasku z butów.

Znowu odwiedziłam galerię. Wystarczyło, że przestąpiłam jej próg, a natychmiast przypomniało mi się, że gdy byłam tam w zeszłym miesiącu, towarzyszył mi Charles. Czułam jego opiekuńcze ramię, bawiliśmy się tak dobrze, jak za starych czasów. Cóż, pamiętałam też, że ledwo wyszliśmy na Trafalgar Square, a wybuchła między nami kłótnia dotycząca wspólnej przyszłości. Charles kiedyś powiedział mi, że mam tendencję do zapamiętywania złych rzeczy. Chciałabym być taka jak on. Twierdzi, że zapamiętuje tylko te dobre wydarzenia.

W tym miesiącu wystawiono obraz Pietera de Hoocha, niderlandzkiego artysty z siedemnastego wieku. Tyle wiem z opisu.

Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałam jego nazwisko i nie zrobiłam błędu w zapisie — zawsze możesz to sprawdzić w encyklopedii. Obraz jest zatytułowany „Kobieta i służąca na podwórku” i dokładnie oddaje to, co znajdziesz na płótnie. Służąca ma na sobie długą, szaro-zieloną suknię z białym kołnierzykiem, a na głowie biały czepek, który kryje brązowe włosy. Pochyla się nad talerzem z rybą. Obok znajduje się pompa, z której woda tryska do kamiennego zbiornika, stoi tam też wiadro i szczotka. Ta ostatnia zrobiona jest z gałęzi na grubym patyku i przypomina latającą miotłę wiedzmy. Nad służką stoi jej pani, palec wyraźnie wskazuje, że wydaje polecenia. Nosi czarny żakiet wykończony białymi oblamówkami oraz szarą suknię, która niemalże sięga ziemi. Wygląda na stateczną matronę, taką, która może już mieć dorosłe dzieci. Powagi dodają jej szerokie biodra i ta szczególna aura autorytetu. Odniosłam wrażenie, że to wszystko razem tylko przysparza biednej służce dodatkowej pracy.

Z łatwością wczułam się w jej sytuację. Życie teraz nie jest łatwe, ciągle tylko praca, praca, praca. Czasami można dojść do wniosku, że nic innego nas już tu nie czeka. Moja praca, na przykład, nie kończy się z chwilą opuszczenia biura. Zawsze jest coś do zrobienia, chociażby wykorzystanie starych koców na produkcję nowego płaszcza. Wyobrażasz to sobie! Cała masa dziewczyn biega po Piccadilly ubrana w stare, piknikowe koce, jakby to była jakaś najnowsza moda prosto z Paryża. Radź sobie, naprawiaj. Tak nam radzą. Nigdy niczego nie wyrzucaj, bo zawsze może się później okazać, że da się ze starej rzeczy wyczarować coś pożytecznego. Pomaleńku planuję urodziny Molly. Są w przyszłym tygodniu, więc trzeba przygotować sporą ilość marchewek, ziemniaków i całotygodniową rację jaj, żeby upiec dla niej coś, co choć z grubsza będzie przypominać tort. Czasami mnie to wszystko dość mocno dobija, szczególnie w chwili, gdy przypomnę sobie stare dobre czasy. O nic się wtedy nie musiałyśmy martwić, mogłyśmy przesiadywać całymi wieczorami na tarasie w Edenside, z kwiatami wplecionymi we włosy i lemoniadą w rękę.

to bardzo samolubna, wiem o tym, ale nie mogę się pohamować. Tymczasem ten obraz nieco poprawił mi humor, bo przypomina, że życie nigdy nie było bułką z masłem i że moja sytuacja nie jest wcale gorsza niż naszych przodków. Cóż, w porównaniu z wieloma kobietami mam się zdecydowanie lepiej.

Gdy spojrzysz na obraz, początkowo może Ci się wydawać, że są na nim wyłącznie kobiety, ale przyjrzałam mu się nieco uważniej i dojrzałam tam inną postać — mężczyznę, który zbliża się do wejścia na podwórze. Jest ubrany cały na czarno, takiego koloru jest nawet wysoki kapelusz na jego głowie. Tę czerń przełamuje jedynie drobny element w postaci białego kołnierzyka. A więc dlatego obie panie pracują tak ciężko, pomyślałam. Spieszą się, bo za chwilę nadejdzie pan domu. I podczas gdy kobiety uwijają się jak w ukropie, facet spaceruje sobie niespiesznie z rękami za plecami, jakby cały świat zupełnie go nie obchodził. Podejrzewam, że kobiety nawet nie zdają sobie sprawy z faktu, że on już jest tak blisko, ale mają świadomość, że jest w drodze i gdy tylko przekroczy próg, staną przed nim na baczność. Tak ma wyglądać domowe ognisko... Upewniasz się, że wszystko jest gotowe w chwili, gdy pan i władca wraca do domu. Fartuszek przewieszony przez szyję, kolacja gotowa, gazetka równo złożona czeka na swoją kolej, a zabawki dzieci posprzątane i ułożone w kącie pokoju. Wszystko w oczekiwaniu na łaskawy znak aprobaty. Absurd tej sceny polega na tym, że kobiety doskonale sobie radzą we własnym gronie, a mimo to absencja mężczyzny wywołuje uczucie niepełności obrazu.

Zawsze wszystko kręci się wokół mężczyzn, nieprawdaż? Nawet gdy ich nie ma w pobliżu. Wiecznie robimy coś z myślą o nich: albo pomagamy im, gdy są na froncie, albo zajmujemy się nimi, gdy już z niego wrócą. Pokaż mi kobietę, która nie wyczekuje dźwięku kołatki albo znajomych kroków dźwięczących na schodach — nieomylnych zwiastunów, że mężczyzna, do którego wybiegają jej myśli, właśnie wrócił do domu! Niby prowadzimy tutaj normalne życie,

a tak naprawdę to są tylko wypełniacze czasu zespolone z nerwowym, podświadomym wyczekiwaniem. Znam kobiety, które uważają, że dopóki myślą o swym mężczyźnie, dopóty, siłą umysłu, są w stanie stworzyć mu tarczę, przez którą śmierć się nie przebije. To błąd. Jediną nauką, jaką dotychczas wyciągnęłam z tego szaleństwa, jest to, że gdy śmierć ma przyjść, to po prostu przychodzi, i nic jej nie powstrzyma.

Oczywiście de Hooch takich myśli nie miał, gdy malował swój obraz. Tak mi się zdaje, że pani domu po cichu liczy, że mężczyzna nie wróci zbyt szybko, że da jej jeszcze kilka godzin. Moje skojarzenia są oczywiście związane z obecną sytuacją — wszystko w jakiś sposób odnosi się (czy tego chcę, czy nie) do tej przeklętej wojny. Muszę jednak przyznać, że obraz jest bardzo ładny i przynajmniej tym razem nie traktuje o religii, co stanowi miłą odmianę. Kolory są jasne, obraz wydaje się czysty w takim sensie, że nie widać tutaj kurzu, tynk nie odpada ze ścian, nie ma wyszczerbionych cegieł. Czy Londyn kiedykolwiek też tak wyglądał? Teraz to raczej zbiorowisko ruin, mimo iż władze starają się usuwać skutki bombardowań, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

Obok obrazu pokazano zdjęcia innych dzieł de Hoocha, dzięki czemu w tym miesiącu mamy odrobinę więcej atrakcji. Umieszczone pod nimi opisy stwarzają nieco szerszy kontekst dla pokazywanego dzieła. Dowiedziałam się na przykład, że de Hooch namalował więcej tego typu scen, z podwórzami i służącymi, które mogą jedynie czyścić i polerować bogactwa, ale nigdy ich nie posiadają. Moim zdaniem to kolejny aspekt społeczny, który odchodzi w zapomnienie. Służki, guwernantki — tego typu usługi zanikną, przynajmniej w takiej formie, jaką znamy. Kobiety nie będą się godzić na życie w roli służącej, na łóżko u obcych ludzi, gdy mogą pójść pracować do fabryki i stworzyć własny dom.

A co jeszcze u mnie ciekawego? Jest potwornie zimno i staram się nie spędzać na zewnątrz ani minuty dłużej niż to potrzebne. Nawet

we własnym domu muszę oszczędnie gospodarować ogrzewaniem, bo każdy zbytek w tym względzie powoduje idiotyczne wyrzuty sumienia. Masz szczęście, że Cię to omija. Wczoraj na przykład był straszny mróz. Wracalam do domu, niebo było wyjątkowo przejrzyste i księżyc oświetlał ulice tak mocno, że nie musiałam nawet używać latarki. Do tego ta niezmqcona niczym cisza! Miałam wrażenie, że cała ulica należy do mnie, a blada poświata prowadziła mnie prosto do domu. W tym świetle nawet krater po bombie na rogu mojej ulicy wydawał mi się niemal urokliwy, po raz pierwszy nie przeszłam obok niego z myślą, że mogliby ten bałagan wreszcie uprzatnąć. Najmniejsza drobnostka potrafi mnie teraz podnieść na duchu. Nie muszę chyba wspominać, że kiedy już weszłam do domu, to wrócił mi zdrowy rozsądek i natychmiast skojarzyłam, że tak czyste i jasne niebo to idealna scenografia dla nalotu. Na wszelki wypadek spalam w ubraniu, ale na szczęście tym razem noc minęła spokojnie. Doprawdy, kiedy się jest tutaj, nie można zapomnieć o wojnie ani na sekundę.

Zastanawiam się, czy powinnam postarać się o to, by wysłali mnie w to samo miejsce co Charlesa? Kobiety teraz bez przerwy się przemieszczają i nie ma konieczności, żebym tkwiła tu, czekając na niego w Londynie. Ale nie chcę zostawiać Taty. Wystarczy, że boczy się na mnie za to, że mieszkam sama, w wielkim mieście, zamiast być z nim. Jest wystarczająco samotny, nie chcę mu dokładać trosk wyjazdem w dalekie strony. Ja jednak mam tu przecież swoje życie, nawet jeśli czasem mi się zdaje, że tylko odliczam dni i miesiące. A może gdzieś w głębi podświadomości boję się, brak mi odwagi?

Sciskam i całuję, Daisy

Claire wyszła z domu wyjątkowo wcześniej, gdy Rob brał jeszcze prysznic. Przez szum wody rzuciła mu słowa pożegnania,

wiedząc, że nawet jeśli je usłyszał i zechciałby się pożegnać pocałunkiem, to nie zdążyłby wyjść spod strumienia wody. Tak czy inaczej, żadnej reakcji nie było, nikt nie próbował nikogo całować i rozdzielił ich dźwięk zatrzasniętych drzwi. Na Trafalgar Square przybyła za piętnaście dziesiąta. Oznaczało to, że National Gallery była wciąż zamknięta. Fasada zdawała się bardziej pusta niż zwykle, ciężkie metalowe drzwi przypominające wejście do skarbcza były zaryglowane.

Powoli podeszła do głównego wejścia, niespiesznie stąpając po bruku, by czas pozostały do otwarcia minął nieco płynniej. Starła się nie zwracać uwagi na przenikliwe zimno. Mgła, która szczelnie otulała miasto o poranku, jeszcze nie odpuściła, choć powietrze było o wiele bardziej przejrzyste niż w chwili, gdy rano odsunęła zasłony w sypialni i spojrzała w mglistą powłokę zacierającą wszelkie kontury. Spojrzała w górę na Nelsona, który niął w zimnym mleku, i pomyślała o samolotach, które dziś nie wyleciały z Heathrow, a także o wściekłych pasażerach, którzy krążyć będą po terminalach niczym pszczoły-robotnice po ulu. Następnie skierowała wzrok na posągi lwów, pokryte mglistą rosą, ale jak zawsze dostojnie spoczywające na cokółkach. Opierały się na ogromnych łapach, przez chwilę wolne od dręczących, niezręcznych uścisków przechodniów. Nad placem górowała jednak National Gallery, wsparta na greckich kolumnach wdzierających się w otwartą przestrzeń placu. Claire nagle olśniło, że po raz pierwszy uważnie się temu budynkowi przygląda. Podziwiała kopułę galerii, perfekcyjny okrąg umieszczony w centralnej części, który odcinał się od ostrych krawędzi kwadratów i trójkątów. Kopułę zdobił wzór przypominający pawie pióra, całkiem imponujący i funkcjonalny, ale niezbyt piękny, przynajmniej tak go oceniła Claire.

Zerknęła na zegarek, drzwi galerii powinny być już otwarte. Ruszyła w stronę wejścia, z radością oczekując momentu,

w którym stanie przed obrazem. Chciała znaleźć się w środku jako pierwsza, ale drzwi wciąż były zamknięte, więc dołączyła do reszty oczekujących na schodach, gotowych do zaliczenia pierwszej atrakcji *turystycznej* zaplanowanej na ten dzień. Zajęła pozycję tuż przy wejściu i ostatnie chwile przed otwarciem spędziła na niecierpliwym stukaniu obcasami skórzanych butów o czarno-białą mozaikę na podłodze i liczeniu wyrzuconych na ziemię gum do żucia - część była tam już od dawna i zdawała się wkomponować w scenerię, a niektóre drażniły swoją lepką świeżością. Czerń i biel. Nic nigdy nie było tylko białe ani wyłącznie czarne. Tak przynajmniej zawsze powtarzała jej matka, gdy Claire była mała, dodając przy tym, że sprawiedliwość nie istnieje. I zawsze istnieją jakieś odcienie szarości. Pamiętała oskarżenie, jakie rzucił jej Rob: *Zachowujesz się, jakbym zamordował nasze dziecko*. Czy rzeczywiście tak myślała, czy miała go za mordercę ich dziecka? Nie, oczywiście, że nie, przynajmniej nie w chwilach, gdy była w stanie zmusić się do trzeźwej analizy, gdy żal nie mącił jej umysłu. Żal. Potrafi siać niezły zamęt. Dopiero teraz była w stanie to w pełni pojąć, wcześniej nie było okazji, by zapoznać się z jego dewastującą mocą. Sprawia on, że w człowieku pojawia się desperacka, fizyczna potrzeba szukania w kimś winy, znalezienia kogoś, na kim można się wyżyć — kimś takim stał się dla niej Rob, jedyny człowiek, który zawsze był w takim momencie gotowy nieść pomoc.

Claire w pierwszej kolejności zwróciła uwagę na fakt, że w ukazanej przez de Hoocha scenie dominuje pełna organizacja i kontrola nad sytuacją. Nie zauważyła pośpiechu ani paniki, żadnego bałaganu czy dezorganizacji, widziała jedynie czyste, schludne linie i służkę, która wykonuje polecenia. Pomyślała, że gdyby malarz dodał na tym obrazie mężczyzn spacerujących po podwórzu, to zdawaliby się tylko zakłócać harmonię. Pewnie

znalazłoby się wtedy miejsce na jakieś połamane lub porozrzucane na ziemi, w długim oczekiwaniu na naprawę, przedmioty. Claire miała dziwne przeświadczenie, że mężczyźni niczym honorową odznakę noszą w sobie potrzebę beztroski, która potrafi doprowadzić kobiety do szaleństwa. Gdy wcześniej tego ranka jechała metrem, mężczyzna siedzący naprzeciwko obcinał paznokcie, pozwalając im swobodnie spadać na podłogę, mimo że Claire spoglądała znad gazety dość jednoznacznie. Czynił tak dalej, jak gdyby nigdy nic. I jeszcze długo po tym, jak opuścił wagon, dzierżąc w dłoni bukiet kwiatów dla dziewczyny czy żony — element, który mógł symbolizować niedorzeczne odkupienie winy — Claire nie mogła się pozbyć chrzęszczącego dźwięku obcinarki ani przestać wpatrywać w brudne, obcięte końcówki paznokci. Kobieta nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Najdziwniejsze jest to, że faceci w ogóle się rym nie przejmują. Pamiętała sytuację, gdy biegła po kuchni ze ścierką, nastawiając czajnik na herbatę, zastanawiając się, jak pozbyć się kamienia, który osiadł na kranie, i próbując sobie przypomnieć, czy zapłacili rachunek za gaz, a przez cały ten czas Rob tylko się na nią gapił. Gdy postanowiła go za to skrytykować — w żartobliwym tonie, bo działo się to jeszcze za dobrych czasów — odparł, że w ogóle nie ma problemu z faktem, że nie potrafi tego wszystkiego ogarnąć. Poza tym, większość zadań, które wyznaczała, w ogóle jego zdaniem nie wymagała żadnej uwagi. Teraz by pewnie nie zareagowała śmiechem, tylko krzykiem. Gdzieś po drodze między szpitalem a dzisiejszym porankiem straciła wszelkie poczucie humoru.

Spojrzała na kobiety z obrazu, dbające o czystość gospodarstwa i gotujące obiad, i poczuła w ustach kwaśny smak obrzydzenia. Nic się nie zmieniło. Życie wielu kobiet wciąż wygląda tak samo, w większości przypadków w tle majączy postać mężczyzny, wpadającego do domu po pracy - dokładanie tak samo,

jak pan z obrazu de Hoocha - i czasem nawet wyrażającego wdzięczność, za to niezmiennie oczekującego, że wszystko będzie gotowe na jego powrót. Bezwiednie sięgnęła po telefon i napisała sms do Roba, przypominając o opróżnieniu zmywarki. Wiedziała, że tego nie zrobił, bo tego typu zadania wykonywał zawsze na ostatnią chwilę, słysząc szczęk jej klucza w zamku. Niemniej natychmiast pożałowała decyzji. Doskonale wiedziała, że zostanie to odebrane nie inaczej, jak tylko jako żalosna próba odgrywania się, czym zresztą sama kiedyś gardziła.

Włożyła telefon z powrotem do torebki, najgłębiej jak tylko mogła, z jednej strony usiłując uniknąć jego odpowiedzi, a z drugiej zastanawiając się, czy jego milczenie nie będzie jeszcze gorsze. Przed nią wciąż stały dwie zapracowane kobiety, uchwycone w pułapce własnego podwórka, dodatkowo odgrrodzone złotą ramą obrazu, co skutecznie oddzielało je od innych aspektów życia. Pani domu i jej służąca na pewno miały jakąś nić wzajemnego porozumienia, lecz bez wątpienia każdy zwiastun przesadnego spoufalenia zostałby na koniec dnia zamieciony do rynsztoka wraz z kurzem z podłogi.

Claire nie była w stanie wyobrazić sobie Daisy akceptującej ograniczoność takiej wizji życia, zwłaszcza że byłaby ona daleko od energii, jaka biła z każdej ulicy Londynu. Daisy nie zgodziłaby się na nudę wiecznie tych samych ścian, z wolna odzierających mózg z intelektualnego potencjału. Ciągnęło ją do wielkowiejskiego życia, bo ciągnęło ją do czegoś innego, a kto wie, może nawet do kogoś innego. Musiała zdawać sobie sprawę, że jej przyszłość tak naprawdę pozostawała w jej rękach, że mogła odejść od wyznaczonego schematu, choć na tym etapie konsekwencje były zbyt odległe, by je dostrzec i oszacować. Zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej wojny światowej mężczyźni bili się z wrogiem, a tymczasem kobiety takie jak Daisy *toczyły* swoją wersję wojny, której mężczyźni długo nie potrafili dostrzec, a która

na koniec dała płci pięknej zwycięstwo w postaci wolności, nawet jeśli nie była ona stuprocentowa.

Zadumała się nad postacią mężczyzny i przyszło jej na myśl, że Daisy może się mylić. Mężczyzna w czerni, zbliżający się w stronę kobiet, być może wcale nie był panem domu, tylko na przykład posłańcem niosącym złe wiadomości — co mogły symbolizować ciemne chmury zasnuwające niebo. Tym samym kobiety mogła czekać jakaś hiobowa wieść, której jeszcze w tym momencie nie usłyszały, a która zmieni ich życie, pewnie na gorsze. A może na lepsze, kto wie? Kobiety te, zamknięte wśród ceglanych murów, odcięte były od niebezpieczeństw czyhających za rogiem, w czym - choć nie mogły marzyć o takiej wolności, jaką cieszyła się Claire - całkiem się do niej upodabniały.

Wystraszył ją niespodziewany hałas za plecami, ale na szczęście chodziło jedynie o starszą panią, która upuściła okulary. Claire podniosła je i oddała właścicielce. Po raz kolejny wróciła do niej nurtująca myśl, czy Daisy jeszcze żyje. Miałaby teraz niemal dziewięćdziesiątkę na karku i walcząc z niedołężnością swego wieku, też mogłaby upuścić okulary, martwiąc się, czy aby szkła nie pękły. I pewnie rozmyślałaby o czasach swojej młodości, zastanawiała się, jak potoczyły się losy drogiej Elizabeth i dlaczego urwał się między nimi kontakt. Mogłoby tak być, ale najprawdopodobniej nie jest, wszak ludzie nie potrafią żyć wiecznie. Są też zresztą i tacy, którzy tej długowieczności wcale nie pragną, bojąc się niepełnosprawności, problemów zdrowotnych, świadomości, że wszyscy przyjaciele już dawno wymarli. Przywołała w myślach swoich dziadków. Żadnemu z nich nie udało się dożyć choćby do osiemdziesiątych urodzin, co nawiasem mówiąc dawało niemiłą świadomość, że sama nie powinna się spodziewać długiej, spokojnej starości.

Spróbowała wyobrazić sobie ich spotkanie. Daisy i Claire, stara i młoda kobieta rozmawiające o obrazach i o dawnym

życiu Daisy. Mogłyby nawet razem wybrać się do National Gallery. Wyobraźnia podsunęła jej obraz samej siebie, uśmiechniętej i pchającej wózek, na którym siedziałaby elegancka, choć już podupadła na zdrowiu staruszka. Taki tandem poruszałyby się przez sale wystawowe, odprowadzany życzliwymi spojrzeniami innych gości. *Czyż to nie fantastyczne? Zobacz, zabrała swoją babcię na wycieczkę. Ciekawe, czy to jakaś specjalna okazja?* Nie ma się co łudzić, Daisy raczej już nie żyła, inaczej Nick musiałby coś o niej wiedzieć. Co roku pojawiałaby się kartka na Boże Narodzenie, a czasem życzenia urodzinowe czy list, może nawet prezent, owoc milej fali nostalgii za każdym razem, gdy odżywało jakieś wyjątkowo ciepłe wspomnienie.

Ponownie spojrzała na obraz, tym razem zwracając szczególną uwagę na jego perfekcyjną szczegółowość. Po prawej stronie, tam gdzie stała pompa, znajdował się budynek wyglądający na stajnię. Jego dach składał się z warstw gałęzi ułożonych na rozporkach, drewniane drzwi były szeroko rozwarte. Ściany starannie wybielono, choć bliżej gruntu traciły nieco na czystości, natomiast podłogę ułożone było (niezbyt równo zresztą) z kamieni. Za kobietami znajdował się niski mur, przez który przewieszono kawałek szmaty, natomiast jeszcze głębiej w tle stał kilkupiętrowy dom z czerwonym dachem, przyciemnionymi szybami i kilkoma przybudówkami. Tego elementu nie można było poddać szczegółowej analizie, bo był zbyt daleko, stanowił część świata zewnętrznego, z którego nadchodził beztroski pan domu, podczas gdy kobiety trzymały się obejścia, zajęte pracą. Nie mogły sobie pozwolić na nic więcej niż przelotne spojrzenie na ten drugi świat, w którym co prawda nie uświadczyłyby w tym momencie nikogo innego niż mężczyzny w czerni, ale i tak jawił się jako mocna pokusa. Choćby tylko dlatego, że tak niewiele o nim wiedziały. Z obserwacji życiowych Claire wynikało, że im się mniej na jakiś temat wiedziało, tym bardziej stawał się on interesujący.

Przyszło jej do głowy, że dokładnie tak musiał ten stary świat wyglądać, ale wszystko się zmieniło, odkąd kobiety zapuściły się w każdy jego zakątek. I już nie dało się ich stamtąd przepędzić. Zgodziła się z opinią Daisy, że obie kobiety na tym obrazie na coś czekają, nawet jeśli nie zdawały sobie z tego sprawy. Czyż nie jest z kobietami tak, że nie potrafią zaakceptować bieżącej chwili, bo ich myśli wybiegają już ku następnym wydarzeniom? Z jednej strony łechce je nadzieja, że to, co za chwilę się im przydarzy, na pewno będzie lepsze od ostatniego doznania, a jednocześnie drżą na myśl, że jednak będzie odwrotnie.

Później często się zastanawiała, czy poznałaby Dominika, gdyby tego ranka nie pokłócili się z Robem po raz kolejny. A gdyby zostali w łóżku i oddali się pożądaniu? Wtedy zjawiłaby się w National Gallery znacznie później, spełniona miłością i śniadaniem zaserwowanym przez męża, albo w ogóle by sobie tego dnia obcowanie ze sztuką odpuściła. W jeszcze innym scenariuszu obraz mógłby się jej mniej spodobać, więc odeszłaby od niego szybciej. Albo polubiłaby go jeszcze bardziej i została dłużej. W każdej z wersji nie natknęłaby się na Dominika. Wszelkie ślady jego obecności rozpląnęłyby się w dusznym powietrzu galerii.

Nie musiała też wcale zachodzić do zatłoczonej kafejki znajdującej się obok sklepu z pamiątkami. Mogła równie dobrze odpuścić sobie czekanie w długiej kolejce po kawę i dać odpocząć plecom zmęczonym nienaturalnym, powolnym tempem chodzenia po muzeum. A jednak wszystkie te czynności wykonała. Na pytanie Polki stojącej za ladą, ubranej w bijącą śnieżną bielą bluzkę i czarny fartuch, czy życzy sobie napój na wynos, mogła odpowiedzieć twierdząco. A jednak powiedziała, że chce go wypić na miejscu i przez ten cały splot decyzji stanęła przed rzędem stolików, trzymając w ręku zbyt gorący, porcelanowy

kubek z kawą i pełnym frustracji wzrokiem poszukiwała w hałaśliwym tłumie jakiegokolwiek wolnego miejsca. Odsiewając ludzi, którzy siedzieli w rodzinnym lub przyjacielskim gronie, został jej jedynie wybór nieznanego, któremu przy stoliku akurat nikt nie towarzyszył.

- Przepraszam, czy mogę się przysiąść? Spojrzał na nią zachęcający błękit oczu.

- Oczywiście, nie ma problemu. Odłożę gazetę.

Złożył ją ostrożnie i schował do torby, którą trzymał obok krzesła, na granitowej podłodze.

- Dziękuję, na pewno nie przeszkadzam?

- Na pewno.

Chwyciła kubek obiema rękoma i pozwoliła parze osiąść na twarzy, co natychmiast skojarzyło się jej z zabiegami kosmetycznymi, czyli czymś, co przestało mieć dla niej ostatnio jakiegokolwiek znaczenie. Dmuchnęła na pianę, żeby nieco ostudzić kawę. Wiedziała, że właściciel lazurów oczu przyglądał jej się, widziała to przez półprzymknięte powieki. Poczula, jakby ktoś ukłuł ją szpilką niepewności. Ale było już za późno na dyskomfort, zresztą nie bardzo miała gdzie się przysiąść. Została więc na swoim miejscu, nie podnosząc wzroku skupionego na białych, drewnianych stołach ze złotymi wykończeniami.

- Przyszła tu pani na wystawę Botticellego?

Jego dźwięczny głos świadczył o pewności siebie. I o prywatnej szkole średniej, a także o późniejszych studiach na którejś z uczelni Oxbridge, St Andrews albo Durham. Wiedziała, że długa samogłoska „a” będzie wymawiana w klasyczny sposób, niczym westchnienie zadowolonego z siebie człowieka. Zdawał się zupełnie ignorować fakt złamania konwencji, której normalnie człowiek stara się nie naruszać, a która sprowadza się do ignorowania obecności drugiego człowieka, udawania, że czyta się książkę lub sprawdza coś w kalendarzu. Zaleca się natomiast

unikanie kontaktu wzrokowego i wewnętrzny przymus, by jak najszybciej opuścić stolik, a przynajmniej znacznie szybciej, niżby się to uczyniło, siedząc przy nim bez towarzysza.

Pytanie oznaczało, że Claire powinna podnieść wzrok i zmierzyć się z jego spojrzeniem, choćby tylko i wyłącznie z czystej uprzejmości. Tak to sobie wytłumaczyła. Był szatynem o postrzępionej fryzurze. Włosy nieco zbyt długie w okolicy uszu, choć ten efekt (całkiem udany) bez wątpienia osiągnął celowo i zapewne nie bez wysiłku. Oczy zachęcające do zawarcia znajomości, niegroźne, choć rzucające wyzwanie. Miał na sobie t-shirt z eksplodującym wulkanem, który gdyby tylko nie miał napisu „Vintage”, to pewnie ostatecznie zadowoliliby się słowem „Retro”. Był dokładnie uprasowany, tak samo jak dzinsy. Na pewno nie wyglądał na prawnika. Właściwie to Claire nie była w stanie określić, na kogo wyglądał.

- Nie. Jest taka? - w końcu odrzekła. Ta odpowiedź chyba go zasmuciła.

— Cóż, tak mi się przynajmniej wydawało. Ale pomyliłem daty, zakończyła się w zeszłym tygodniu. Na szczęście w części otwartej jest kilka jego obrazów, więc pójdę obejrzeć przynajmniej te.

Claire powinna była odpowiedzieć zdawkowym „aha” albo „mhm”. Nic więcej. Wtedy wróciłby do czytania gazety albo ruszył w poszukiwaniu swoich obrazów. W najgorszym scenariuszu wyglądałby na rozczarowanego brakiem wystarczającej reakcji z jej strony. Mogła sobie pozwolić na obojętność wobec jego przyjaznych gestów, w końcu był nieznajomym. Postanowiła jednak pójść w innym kierunku.

— Ostatnio widziałam jeden z nich.

- Który?

- *Mistyczne Narodzenie.*

— Proszę mi wybaczyć, wybór raczej osobliwy.

— Dlaczego? To chyba dobry wybór tuż przed Bożym Narodzeniem
— tylko taka odpowiedź przyszła jej do głowy.

Co jeszcze Daisy napisała w swoim liście do Elizabeth? Gdzie były te wszystkie myśli, które towarzyszyły jej podczas oglądania obrazu? Wtedy wydawały się całkiem istotne. W dyskusjach na temat sztuki było coś wyjątkowo trudnego, a może to ten facet powodował, że trudno jej było się teraz wysłowić. Już w pierwszych słowach tworzył wokół siebie atmosferę człowieka, który wie, o czym mówi, zupełnie jak Sir Kenneth Clark, na którego kiedyś wpadła Daisy. Ludzie takiego pokroju roztaczają aurę autorytetu i jeszcze czegoś, co trudno dokładnie zdefiniować, a co zbija z pantofelku.

-A czy wie pani, że to jedyne dzieło Botticellego, jakie oficjalnie podpisał swoim nazwiskiem? - spytał. - Dzięki temu historycy przynajmniej w tym przypadku mogą być pewni, że to on był autorem. Takie małe odstępstwo od odwiecznych sporów: kto jest autorem czego, co się stało z zaginionymi obrazami. I tak dalej. Ludzie potrafią się o takie rzeczy niezłe posprzeczać, proszę mi wierzyć.

— Pan jest historykiem sztuki? Roześmiał się.

— Nie, już nie. Gdy byłem młodszy, faktycznie studiowałem historię sztuki, ale potem olśniło mnie, że tyle czasu spędzam na czytaniu o sztuce, że prawie przestała mnie cieszyć. Ale jednak zostałem blisko tej dziedziny, pracuję w domu aukcyjnym. A pani?

—Jeśli chodzi o malarstwo, to jestem na etapie średniozaawansowanym. - Nie chciała, żeby jej rozmówca pomyślał, że kompletnie nie zna się na sztuce, więc dodała coś, czego nie wiedział o niej nawet Rob. Mimo wielu lat spędzonych z nią nie musiał wszystkiego wiedzieć, zresztą to nigdy nie jest możliwe, żeby znać Wszystkie fakty z życia drugiej osoby, nawet jeśli wspólne lata

mogą tworzyć wrażenie, że zakochani podzielili się każdym jednym wspomnieniem z życia przed związkiem.

- W szkole, dawno temu, trochę malowałam. Ale gdy zaczęły się przygotowania do matury, atelier poszło w odstawkę. Właśnie sobie zdałam sprawę, że od piętnastu lat nie trzymałam pędzla w ręku.

- Nawet w trakcie malowania sypialni? - Uśmiech, bezpośrednie spojrzenie. Jej niebieskie oczy odbijające się w takim samym kolorze tęczęwek.

- Nie, mąż się tym zajmuje, jest dobry w praktycznych zadaniach. Malowanie, tapety, to jego domena. Chyba że akurat musi się zająć swoją pracą prawnika.

Pauza, odrobinę za długa. Claire złapała się na tym, że wpatruje się ze wstydem w swój serdeczny palec ozdobiony obrączką ślubną i pierścieniem zaręczynowym. Obie sztuki biżuterii nie zdążyły się jeszcze wytrzeć. Pojedynczy brylant wciąż lśnił, choć jego blask zdawał się nieco mniej oślepiający niż wtedy, gdy Rob wkładał go na jej palec. Ich dłonie drżały, a gdy nakładał pierścionelek, bez sekundy zawahania odparła: *Tak, oczywiście, że za ciebie wyjdę*. Miała ten brylant dać do czyszczenia. Obróciła oba świadectwa ich miłości wokół palca, a potem z poczuciem winy spojrzała na dłonie rozmówcy. Bez obrączki. Przerwała ciszę, mówiąc nieco zbyt szybko.

- Niedawno podjęłam decyzję, że będę przychodzić do National Galery. Chcę się dowiedzieć czegoś nowego.

Nie wspomniała o Daisy.

Mężczyzna wciąż się jej uważnie przyglądał, a ona skupiła uwagę na kawie. Nieprzyjemnie wystygła.

- Ten obraz Botticellego, który pani widziała — podchwycił po dłuższej przerwie - nie koncentruje się jedynie na narodzinach Jezusa, jak większość obrazów dotyczących tego wydarzenia. Gdy Botticelli go malował, sądził, że nadciąga apokalipsa, że lada

moment świat zostanie doszczętnie zniszczony. Chciał pokazać także i tę stronę naszego istnienia.

- Tego nie wiedziałam — odrzekła. - Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Czuła rozczarowanie, ba, zażenowanie, że przegapiła coś tak oczywistego. Ciekawe, czy Daisy, w samym środku wojennej zawieruchy, zdawała sobie sprawę, że patrzy na obraz przepowiadający globalną, całkowitą anihilację. Na pewno nie. Gdyby tak było, to z pewnością nie uznałaby tego obrazu za dobry wybór na comiesięczną wystawę.

- Ewidentnie się pomylił, bo jakoś wciąż dajemy radę. *Tylko czy na pewno, pomyślała. Nie jestem o tym przekonana.*

— *Pizy okazji, mam na imię Dominie.*

- Claire.

Przy nodze poczuła wibrowanie telefonu. To pewnie Rob, niewielu ludzi do niej dzwoniło. Głównie dlatego, że rzadko odbierała.

— Masz ochotę na jeszcze jedną kawę, Claire?

— Z przyjemnością. Telefon przestał dzwonić.

Dopiero gdy zbliżała się do domu, nerwowo szukając kluczy w torebce, sprawdziła komórkę. Ktoś jej się nagrał, miała też jakąś wiadomość tekstową.

Odsłuchiwała jeszcze na chodniku, podczas gdy wiatr smagał jej nogi piachem niesionym z ulicy. Wiadomość była od Sary, która miała tego wieczoru wpaść do nich na kolację razem z mężem Davidem i jeszcze jedną parą znajomych. Przyjaciółka informowała, że David się rozchorował i nie będzie mógł przyjść, ale że ona mimo wszystko chętnie przyjdzie sama, wyjdzie jednak nieco wcześniej, by nie wracać zbyt późno do domu. *Czyli prawie w ogóle jej*

nie będzie, skostatowała Claire. Zastanawiała się, czy te wymówki to kłamstwa i czy nie powinna oddzwonić z zapewnieniem, że nic się nie stało, i sugestią, by Sara została w domu z chorym mężem. Nie zrobiła tego jednak. Zawsze lepiej mieć jednego gościa, niż nie mieć żadnego. Poza tym Sara i David to ich bliscy przyjaciele, których znali od studiów i z którymi potrafili godzinami dyskutować. Po stracie dziecka zaniedbała kontakty towarzyskie, obserwując, jak znajomi pomaleńku dryfują coraz dalej od ich świata. Niektórzy dzielnie próbowali walczyć z prądem, mając w pamięci obraz Claire jako wspaniałej towarzyszki (nawet jeśli już taką nie była). Pamiętali, że Claire potrafi świetnie się bawić, że zawsze pierwsza ustala daty kolejnych spotkań, że całymi godzinami głądzi o swojej pracy, bo tak bezgranicznie ją kocha. Koniec końców, ich troska zbyt mocno zaczęła jej przeszkadzać, dusząc tak samo, jak żal po straconym dziecku, więc z wielką zajadłością odpychała ich od siebie. Oliver wypełniał ją całą. Nikt tego nie potrafił zrozumieć. Nic nie było w stanie wypełnić emocjonalnej pustki aż do chwili, gdy w jej życiu zawitała abstrakcyjna Daisy. Jej zaletą było to, że odwiedzała Claire tylko wtedy, kiedy ta sobie tego zażyczyła. Równocześnie jednak zajmowała w jej życiu coraz istotniejsze miejsce.

Wiadomość była od Roba. *Załatwione, zakupy też zrobiłem*. Przez sekundę czy dwie nie mogła zrozumieć, o co chodzi, ale po chwili wszystko sobie przypomniała. Miał na myśli zmywarę. A więc wyciągnął naczynia. Dziwna sprawa, ale podczas rozmowy z Dominikiem całkowicie o tym zapomniała. W istocie zapomniała także o wielu innych sprawach. Dominie sprawił, że odłożyła na bok wszystkie troski, które zaprzętały jej głowę. Przez chwilę nie liczył się podatek, który trzeba zapłacić, czy opłacenie abonamentu telewizyjnego. Nawet kwestię Olivera i Roba udało się odsunąć na boczny tor. Nie zapytał jej od razu, gdzie pracuje, tak jak to robi większość nowych znajomych. Nic z tych

rzeczy. Rozmawiali o książkach, wystawach i najnowszych filmach, w czym przypominali innych gości kafejki i ją samą z czasów, gdy z Robem poruszali takie tematy. Nie byli wtedy jeszcze małżeństwem, to były czasy, gdy wciąż zdarzało im się wcześniej wstać tylko po to, by uniknąć towarzystwa innych lokatorów wspólnego mieszkania i zjeść śniadanie we dwoje.

Przed przyjściem do galerii Claire przeczytała wiadomości o sztuce w weekendowym wydaniu jednej z gazet. Znalazła ją porzuconą w wagonie metra. Nieco skrzywiła się na myśl, że ma ją podnieść, ale później tej decyzji nie żałowała.

Pozwoliło jej to popisać się odrobiną wiedzy, mimo że nie miała powodu, by imponować temu nieznanemu. Jeszcze mniej miała powodów, by dać mu swój numer telefonu, co jednak uczyniła, i chętnie przystała na propozycję, by to „kiedyś jeszcze powtórzyć”. Zresztą, na tym etapie nie był już nieznanym. Miał na imię Dominie, pracował w domu aukcyjnym, znał się na Botticellim i pewnie też na Tycjanie. Mało tego, potrafił rysować. Czasami przychodził do National Gallery, by szkicować obrazy tam wystawione. Jak sam podkreślił, średnio mu to wychodzi. Cieszyła się na myśl, że jedyny fakt z jej życia, jaki poznał, to że jest mężatką. Cieszyła się też, że nie wzięła jego numeru. Cieszyło ją to wszystko, bo tak naprawdę nie miało to zupełnie znaczenia. Wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy. A mimo to ich spotkanie wydawało się małym cudem, pozwoliło jej choć przez chwilę poczuć się inaczej, jak gdyby to, co ma do powiedzenia, naprawdę coś znaczyło. Nic więcej.

SMS od Dominika przyszedł w chwili, gdy przekraczała próg mieszkania i gdy znajomy ciężar normalności na nowo zaczął ją przytłaczać. Wiadomość znalazła się w folderze przychodzących tuż obok tej od Roba. *Miło było Cię poznać. Będziemy w kontakcie. Dominie.* A więc teraz ma już jego numer. Mnie też było miło. Napisała tę odpowiedź przy wciąż otwartych drzwiach.

Poczucie winy, że zrobiła to tak szybko, pchnęło ją prosto w ramiona Roba, gdy w końcu weszła do domu i pocałowała go w usta. Zmywarka, zakupy czy poranna kłótnia miały w tym momencie już mniejsze znaczenie.

— A to niespodzianka — zareagował z uśmiechem. Jednak jego oczy zdradzały o wiele bardziej skomplikowane emocje. Była w nich niepewność, lekki szok. Zastanawianie się, czy ten nastrój potrwa długo. Claire nie dojrzała w nich szczęścia. Pocałowała go raz jeszcze w nadziei, że znajdzie w tym geście odrobinę ulgi.

— Powinnam to robić częściej. Tak jak kiedyś.

Gdy całowałam cię dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści razem jeszcze przed wstaniem z łóżka. Gdy każdego ranka przed wyjściem do pracy przypominałam ci, jak bardzo cię kocham. Gdy nie zdawałam sobie sprawy, jak łatwo może mi przyjść zdradzenie ciebie.

- Nie ma pośpiechu. Dziś rano nie chciałem na tobie wywierać żadnej presji. Nigdy bym tego nie zrobił, na pewno nie celowo. Rozumiem, że takie rzeczy wymagają czasu.

Chciał, by to zabrzmiało jak forma nagrody za prosty gest, jakim był pocałunek. Jednak w jego słowach było coś więcej. Reprimenda. Gdy położyła głowę na jego ramieniu, dziękując za zrozumienie, czuła, że z trudem, ale jednak pozwala jej na przedłużenie tej separacji.

Pogłaskał jej włosy.

- Pachniesz ciastem i kawą - powiedział. - Jestem głodny. Natychmiast się odsunęła.

— Nowy obraz ci się podobał? - zapytał i wiedziała, że próbuje zatrzymać tę intymność, którą mu przed chwilą niemalże przez przypadek zaoferowała.

- Tak - pośpiesznie odpowiedziała, choć jedyne, co pamiętała, to ciężkie chmury zwisające nad kobietami. Wzruszyła ramionami, zadrżała. — Był niezły. Ale teraz trzeba się przygotować do kolacji.

Przeszli do kuchni, aby sprawdzić wszystkie produkty, które rozłożył na blacie.

- Pamiętałeś o cytrynach do sernika?

Na chwilę zatrzymał się, a potem odparł niezadowolony.

- Przepraszam. Wiedziałem, że czegoś zapomniałem.

- Pójdę kupić. Powinny być w sklepie za rogiem.

W ostatnich dniach jej naturalną reakcją byłoby odpowiednie zachnięcie się. W przeszłości po prostu by się uśmiechnęła i załatwiła sprawę pokojowo. Wzięłaby go za rękę, poszliby razem do sklepu, a w trakcie spaceru opowiedziałaby mu o swoim poranku, dodając więcej szczegółów, niż byłby gotowy usłyszeć. Dziś po prostu odwróciła się na pięcie, szybko wkładając płaszcz, z ulgą, że choć tym razem go nie ofuknęła. Rob wyczuł jej rozczarowanie i jeszcze bardziej się w sobie skurczył.

Wiadomość od Dominika i swoją odpowiedź przeczytała jeszcze wiele razy przed pójściem spać, sprawdzając przy okazji, czy nie napisał raz jeszcze. Nie napisał. Umieściła go wśród kontaktów pod hasłem „D”. D jak Dominie, nie znała przecież jego nazwiska, ale ten tajemniczy opis wynikał także z przekonania, że jeszcze po ten kontakt będzie sięgać.

APOLLO I DAFNE - POLLAIUOLO

Zróbmy sobie dziś jakąś przyjemność - zaproponował Rob. — Pojedźmy do Kew Gardens albo do Richmond. Te miejsca były dobrze im znane, wiele razy spacerowali tam przytuleni, podziwiając piękno przyrody, wstępując na herbatę do kafejek i robiąc zdjęcia, których nigdy nie wywoływali. Zdarzało im się też kupować pamiątki, które miały przypominać o szczęśliwych chwilach. Uświadomiła sobie nagle, że kiedyś tych wycieczek było naprawdę wiele. Wstając z łóżka, nawet się przez chwilę zawahała, czy się nie zgodzić. Tego dnia obudziła się wcześniej, całe jej ciało rwało się, by wstać, ale powstrzymała się, nie chciała przerwać idealnej ciszy poranka. Leżąc bez ruchu przez dłuższy czas, wsłuchiwała się w rytmiczne stukanie dzięcioła w jedno z drzew w ogrodzie komunalnym. Dźwięk ten przypominał pulsowanie w głowie we wczesnym stadium migreny.

— Przepraszam Rob, ale dziś nie mogę — odpowiedziała i odczekała chwilę, która miała mu dać czas na oswojenie się z odmową. — Mówiłam ci wczoraj, że chcę pojechać do galerii. Czeka na mnie następny obraz z listów Daisy.

— Możesz pójść jutro, galeria jest otwarta w każdą niedzielę. Chyba nie masz innych planów?

— Nie, ale obiecałam sobie, że pójdę dziś, pierwszego dnia lutego.

- Masz jeszcze cały miesiąc, żeby go zobaczyć. Świat się nie zawali, jeśli nie pójdziesz akurat dzisiaj. List nie zniknie, obrazu nie zdejmą.

Powiedział to z przekąsem, chciał ją rozbawić, ale nie zareagowała uśmiechem. Gdy otworzyła usta, w jej głosie słychać było napięcie.

- Nie, Rob. Chcę dziś. Na tym właśnie polega mój projekt. Nie psuj mi tego, proszę.

- Nie zamierzam. Po prostu pomyślałem, że może choć raz zechcesz spędzić czas z własnym mężem w miejscu innym niż nasze mieszkanie. Co w tym złego?

Wciąż się starał, aż za bardzo. Claire zdziwiła się, że jest w stanie nadać swojemu głosowi tak cierpliwy ton. Wiedziała, że w jej przypadku nie można by na coś takiego liczyć.

- Nie ma w tym nic złego. Tylko czy nie możemy wymyślić czegoś na później?

- Oczywiście. Możemy.

Zrozumiała, że pozwoli jej postawić na swoim. Wywołało to na jej twarzy zupełnie niewymuszony uśmiech.

- Dziękuję, Rob. Wiesz, że to dla mnie wiele znaczy.

- Wiem - odrzekł. — Tylko nie rozumiem dlaczego — dodał już ściszym głosem. Spodziewał się, że nie usłyszy, a może nie chciał, żeby ten komentarz do niej dotarł. Nie miała zamiaru się upewniać. Nie miała też czasu na awantury, nie dzisiaj. Przecież powiedziała Dominikowi, że zamierza odwiedzać National Gallery dokładnie co miesiąc, i właśnie tyle czasu minęło od spotkania przy okazji obrazu de Hoocha. A więc to musi się zdarzyć dzisiaj. Jeśli chce ją zobaczyć, to wie, gdzie jej szukać. Podniecenie już na samą myśl o spotkaniu było tak intensywne, że aż ją to zszokowało. Nawet nie próbowała zrozumieć tego rodzaju emocji, ponieważ sprawy już i tak zdążyły obrać niebezpieczny kurs. Matka Claire, której nieudane małżeństwo od lat było

faktem, tuż przed przysięgą małżeńską córki powiedziała: *Samo zamążpójście nie oznacza, że nie będziesz już nigdy żywić żadnych uczuć wobec innych. To, co czyni prawdziwą różnicę, to umiejętność radzenia sobie z tymi uczuciami.* Na koniec dodała: *Postaraj się bardziej niż ja i ojciec.* Nie uwierzyła jej słowom, pomyślała wręcz, że gorzej niż jej rodzice postarać się nie można. Ale to było dawno. Wtedy jeszcze nie potrafiła wyobrazić sobie, jak silna może stać się chęć ucieczki, jak bardzo rozpacz może przejąć kontrolę nad życiem. Później zrozumiała, jak to jest przeżywać w myślach życie, którego nie można doświadczyć w rzeczywistości, gdy myśli zdają się o wiele potężniejsze niż otaczające realia...

Odkryła kołdrę, zostawiając męża samego w sypialni. Ciepło wygenerowane nocą pod pościelą szybko opuściło łóżko w ślad za nią. Będąc przy drzwiach, rzuciła okiem na pokój. Rob położył się z powrotem na poduszkach i wyglądało na to (a przynajmniej Claire miała taką nadzieję), że usnął.

Zjadła szybkie śniadanie w barze przy ich ulicy, unikając tym samym płaczu dziecka sąsiadów z dołu. Ich synek urządzał koncert codziennie, mniej więcej o tej właśnie porze. W pierwszych miesiącach po przeprowadzce w tę okolicę Claire zaprzyjaźniła się nieco z matką chłopczyka. Podczas ciąży Claire omawiały problemy, jakich mogła się spodziewać na kolejnych etapach, i nawet umawiały na wspólne spacerunki do parku, już po szczęśliwym rozwiązaniu. Wyobrażała sobie ich czwórkę, z Oliverem śpiącym w wózku i synem sąsiadki fruującym coraz wyżej na huśtawkach. Od poronienia ich kontakty nie wykraczały poza zdawkowe pozdrowienia. Nie miałyby znaczenia, co naprawdę tamta kobieta próbowałaby powiedzieć, Claire i tak słyszałaby jedynie: *Ja mam dziecko, a ty swoje straciłaś.* Swego czasu chłopczyk sąsiadki najpierw pełzał w jej kierunku, potem raczkował, a w końcu biegł prosto w jej otwarte ramiona. Ale nawet to uległo zmianie. Stał się ostrożny, czujny, gdy pojawiała się w jego

pobliżu, zupełnie jakby o wiele lepiej niż jego mama rozumiał, co wydarzyło się w łonie Claire.

Siedziała na tanim, plastikowym krześle, które zostało tak zaprojektowane i wykonane, by do złudzenia przypominać wiklinę. Popijając herbatę, obserwowała przez szybę z pleksi ludzi przetaczających się przed oknami knajpy. Na szybach jaskrawą zielenią namalowano specjalną ofertę, zaczynając od końca, tak aby ludzie z zewnątrz mogli się z nią zapoznać. W rogu okna zauważyła motyla nieudolnie walczącego z parą wydobywającą się z ekspresu do kawy. Skutecznie utrudniła mu latanie. Im więcej machał skrzydełkami, tym bardziej stawały się wilgotne i ciężkie, a ślad przez nie zostawiony na szybie coraz wyraźniejszy. Pomyślała, że sam się nie wydostanie, nie bez jej pomocy. Gdy opuszczała kafejkę, stanęła na palcach, złapała go w pusty plastikowy kubek i wypuściła na ulicę. Głupio zrobiła. Nie miał szans na przeżycie. Po pierwsze, nie był w stanie wzbić się w powietrze, pewnie zamarźnie — w końcu kto słyszał o motylach w lutym? Ale chyba już lepiej zamarznąć na wolności, niż dać się udusić w parnej, przesiąkniętej ludzkim potem kawiarni. Jeśli czegoś w życiu naprawdę nienawidziła, to było to właśnie poczucie zatrzaśnięcia w pułapce. Gdy była małą dziewczynką, nie lubiła nawet zabawy w chowanego, bo niespecjalnie miała ochotę na zanurzanie się w ciemnościach szaf lub ciasnej przestrzeni pod łóżkiem.

Wyrzuciła kubek do kosza i pospieszyła w kierunku przystanku metra. Gdy zjeżdżała ruchomymi schodami, usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości. SMS od Dominika.

Jadę dziś do galerii. A ty?

Zawahała się. Czy powinna odpisać? Zdecydowała, że nie. Chciała mieć kontrolę, być tą, której zadaje się niepewne pytanie: *Czy dostałaś wiadomość*: W relacji z Robem było inaczej, pozwalała mu prowadzić się przez życie. Tak było od samego początku,

od pierwszego spotkania. Czytała książkę, gdy podszedł do niej student tego samego rocznika, który miał już podpisany kontrakt na staż w jednej z londyńskich kancelarii prawniczych. Był wtedy bardzo pewny siebie, doskonale wiedział, czego chce. Tylko co z tego, skoro teraz znaleźli się w zupełnie innym miejscu i w innych rolach. Chciała, by z Dominikiem było inaczej. Chciała przejąć stery, dominować. Jednak mimo tego postanowienia nie mogła się powstrzymać przed pokonaniem ruchomych schodów biegiem. Wsiadła do pierwszego pociągu, który nadjechał, mimo iż pełen był konsumentów zmierzających na Oxford Street, a następny miał podjechać ledwie za minutę. W normalnych okolicznościach na pewno by zaczekała.

W torebce miała list od Daisy, starannie włożony do oryginalnej koperty. Po raz pierwszy widniał na niej stempel z napisem „Przeczytane przez cenzora”. Ślad cenzury nie zdziwił jej, w końcu list wysyłany był aż do Kanady. A zatem Claire nie była pierwszą nieznaną, która zapoznała się z jego treścią. Ktoś już przebiegał wzrokiem po tekście, palcami po papierze, wiele lat przed Claire i nawet wcześniej, niż mogła to zrobić adresatka. Cenzor szukał tam pewnie tajemnic, podobnie jak Claire czyniła to teraz. Oczywiście, już wcześniej zaznajomiła się z jego treścią — zrobiła to poprzedniego dnia wieczorem, w swoim mieszkaniu -ale chciała przeczytać go raz jeszcze, chwilę przed tym, jak stanie przy obrazie opisanym przez Daisy

Luty 1943 rok

Droga Elizabeth!

Znów zawitałam do galerii. Obraz lutego to dzieło włoskiego artysty. Nazywał się Pollaiuolo. Niezłe wyzwanie dla języka, nie sądzisz? Powstał około 1470 roku, a jego tytuł to Apollo i Dafne". Ciekawa jestem, na ilu ścianach zawisł, zanim pojawił się tutaj,

przed moimi oczami. Pewnie to były dziesiątki miejsc. Spodziewam się, że to jednak koniec jego tułaczki i zostanie w National Gallery na -zawsze.

Obraz jest niewielkich rozmiarów. W rzeczy samej jest tak mały, że nie rozumiem, dlaczego go w ogóle wybrano. National Gallery ma pokazywać sztukę dla mas, ale czasem tego obcowania ze sztuką dyrektorzy galerii nie ułatwiają. Z trudem udało mi się przepchnąć przez tłum, żeby choć na chwilę i pobieżnie rzucić na niego okiem. Z drugiej strony, pewnie łatwiej go było przetransportować, a my nie powinniśmy być w tych czasach nazbyt wybredni.

Tę smutną opowieść zapewne pamiętasz. Apollo szaleje z miłości do ślicznej nimfy o imieniu Dafne. Ona jednak nie chce mieć z nim do czynienia i wzywa na pomoc swego ojca, który ratuje ją przed zalotami, zamieniając w drzewo laurowe. Oto historia nieodwzajemnionej miłości. Czyż nie jest nam ona znana od zarania ludzkości? Ileż to energii marnujemy na pogoń za czymś, co nigdy nie jest nam w pełni dane! Mam czasami wrażenie, że to właśnie te ulotne cele napędzają świat.

Moja matka mawiała, że próżno szukać idealnej harmonii, nawet w małżeństwie. Jedna strona zawsze będzie tej miłości mieć w sobie ciut więcej. Wtedy, rzecz jasna, nie pojmowałam, co próbuje mi przekazać. Wydawało mi się, że miłość to najprostszy mechanizm na świecie, bo kochać kogoś jest tak łatwo. Nie rozumiałam, że to wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane. Weźmy na przykład Charlesa. W końcu mnie usidlił, ale sprawy mu nie ułatwiałam. Jedne oświadczyły nie wystarczyły, musiał je powtórzyć. I dopiero wtedy dopiął swego. A mimo to nadal każe mu czekać.

Ale wróćmy wreszcie do obrazu. Przedstawia Apolla w dość odważnej, skórzanej tunice, która nie sięga nawet potowy odsłoniętych bioder. Złote loki opadają na ramiona, na nogach nosi sandały, także koloru złotego, a szal, którym ozdobił szyję, pokazuje, jak szybko musiał się w danej chwili poruszać. Apollo już prawie dopadł

Dafne, wyciąga do niej ręce, nogami oplatając jej nogi. Nimfa jest bosa, jej długie włosy też są złociste, a gdy przyjrzeć się jej twarzy, przypomina bardziej lalkę niż kobietę. Jej ubiór jest nieco bardziej przyzwoity niż kandydata na kochankę, ciemnoniebieska tunika sięga jej do kostek, ale w okolicy górnej części ud ma lubieżne rozcięcie, ukazujące zgrabne nogi. Na wysokości talii przepasana jest cienką, brązową wstążką, która na pewno by puściła za pierwszym mocniejszym pociągnięciem ręki Apolla.

Najdziwniejszym aspektem tego obrazu jest to, że proces przemiany Dafne w drzewo laurowe już się rozpoczął. Jej ramiona wiją się nad głową, ale tak naprawdę to już nie są ludzkie kończyny, tylko gałęzie i brązowe liście, które, o zgrozo, wielkością równają się reszcie jej ciała. Zakładam, że tak właśnie się to odbyło, że obraz dobrze oddaje istotę mitu, ale ta biedna dziewczyna wygląda zgoła absurdalnie, machając brązowymi skrzydłami przypominającymi trochę rakiety tenisowe. Widok ten zapewne wywołałby u Ciebie co najmniej dyskretny uśmiech. Przyznaję, że u mnie skończyło się to szczerą salwą śmiechu, nie mogłam się powstrzymać. Mówiąc szczerze, Apollo wydaje się godnym rozważenia kandydatem dla Dafne — coś w jej twarzy nawet wskazuje, że jest mu przychylna, ale jest już za późno, zdecydowanie za późno.

Zaśmiewałam się szczerze, gdy poczułam, że ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłam się i moim oczom ukazał się przystojny jegomość trzymający w dłoni moją (dziurawą w jednym miejscu) rękawiczkę, zupełnie jakbyśmy przenieśli się do średniowiecza, gdzie on byłby dworzaniem stojącym w konkury, a ja, jeśli nie jakąś księżniczką, to przynajmniej postacią z kręgu rodziny królewskiej. Można by rzec, że składał mi ukłon i przyznam, że gest ten był przeuroczy. Wzięłam rękawiczkę — upuściłam ją wcześniej, jak to mam w zwyczaju. Ku mojemu zaskoczeniu ów nieznajomy powiedział: „Ma pani przepiękne dłonie. Bardzo chciałbym panią namalować”. Matko Boska, Elizabeth, czy jesteś

w stanie wyobrazić sobie coś takiego? Byłam potwornie podekscytowana, ale równocześnie nie mogłam nie pomyśleć, że ten człowiek ma nie po kolei w głowie. Oczywiście, nie jest to prawdą. On naprawdę jest artystą malarzem!

Zanim się zorientowałam, jadłam z nim lunch kupiony w kantynie, którą zorganizowano przy galerii. Wypiliśmy po filiżance gorącej herbaty i zjedliśmy kanapki z szynką, siedząc na marmurowych schodach i przeszkadzając przy tym innym gościom galerii. Zapytał mnie, czy obrazy mi się podobają, więc powiedziałam mu, że przychodzę tu każdego miesiąca, a potem opisuję w listach do Ciebie, co zobaczyłam. Uznał to za fantastyczny pomysł, po czym dopytał, czy Apollo i Dafne przypadli mi do gustu. Nie bardzo wiedziałam, co mu odrzec, bo miałam świadomość, że musi mieć na ten temat ogromną wiedzę. Nie powiedziałam więc zbyt wiele poza tym, że jestem początkującą miłośniczką sztuki. Chyba go ta odpowiedź nieco rozczarowała, więc dodałam, że obraz mnie rozbawił, a gdy wyjaśniłam dlaczego, sam się roześmiał. Już nie był tak strasznie poważny, jak w pierwszym momencie mi się zdawało. Powiem więcej, wygląda na kogoś, kto umie się bawić. Mimo to nie jestem w stu procentach zadowolona z własnego komentarza, mogłam się nieco bardziej wysilić.

W tej chwili pracuje w Londynie na zlecenie jakiejś komisji. Powołano ją po to, by stworzyć artystyczną dokumentację wojny. Chodzi o to, byśmy po zakończeniu tego strasznego konfliktu nie pamiętali jedynie listy zabitych i najważniejszych bitew. Komisja zatrudniła zatem artystów, by ci dokumentowali w swoich dziełach wszystko, co wydaje im się interesujące. Pojęcia nie mam, jak wygląda proces selekcji, w trakcie którego akceptuje się rzeczy interesujące, a odrzuca mało interesujące, ale całe to przedsięwzięcie zdaje się mieć sporą rangę. Wyraziłam opinię, że trudno znaleźć jakąś artystyczną wartość w czymś tak okropnym i nudnym jak wojna i ta opinia chyba go odrobinę zasmuciła. Odparł, że chętnie udowodni mi,

że się mylę. Nazywa się Richard Dacre. Mogłam to od razu napisać, ale chyba jego nazwisko nie ma aż takiego znaczenia.

Od dawna nie przyszły żadne wieści od Charlesa, wciąż czekam.

Daisy

Siedząc na drewnianej ławie na wprost Apolla i Dafne, Claire miała wątpliwości, czy Daisy trafnie zinterpretowała obraz. Jej zdaniem nie bardzo było się tutaj z czego śmiać. Twarz Dafne wyrażała smutek, wyglądała, jakby za chwilę miała zalać się łzami. Nagły strach związany z nadejściem Apolla, panika niewinnej dziewczynki wywołana przelotnym muśnięciem ust chłopaka mogłaby zniknąć, gdyby dała się na chwilę tej sytuacji ponieść. Zamiast tego biegnie do ojca, szukając u niego ratunku, i nagle jej kończy się obojętna świadomość, że jedyne, co się jej udało, to uwięzienie samej siebie na całą wieczność, i to dokładnie w chwili, gdy uda Apolla przywarły do jej ciała. "Wtedy pewnie pojęła, co tak naprawdę straciła. Nie będzie miłości boga, adoracji ze strony mężczyzny, a nawet pocieszenia w opiekuńczych ramionach rodziców. Od teraz, już na zawsze, skrywać się będzie za tarczą z gałęzi i liści.

Z twarzy Apolla też daje się wyczytać frustrację kogoś, kto desperacko próbuje uczepić się wybranki, wyrwać ją złowieszczemu przeznaczeniu, a przynajmniej na zawsze zapamiętać jej obraz sprzed przemiany. Usiłował ją ratować - dla niej samej i dla siebie — tym kurczowym uściskiem, co może wskazywać, że nie był gotowy poddać się losowi. Wszystko to pozbawione nadziei; w konfrontacji z rozzłoszczonym ojcem nimfy siła młodszej miłości okazuje się niewystarczająca. Ale Apollo przynajmniej próbował i Claire bardzo pragnęła, by na podobny zryw potrafił zdobyć się Rob. *Gdyby tylko sobie tak nie odpuścił. Gdybym mogła mu powiedzieć, że jeśli jeszcze przez chwilę powalczy, to wszystko się*

miedzy nami ułoży... Choć przecież nie do końca byłoby to takie pewne. Miała obawy, że na tym etapie stała się kobietą tak różną od tej, którą Rob wziął za żonę, iż nie miałyby szans się na nowo do niej zbliżyć. Być może jej metamorfoza została ukończona. Jeśli ten scenariusz okazałby się prawdziwy, nie było już dla ich miłości żadnej nadziei. A Dafne? Przyjęła bolesną lekcję, z której wyniosła naukę, by ostrożnie wypowiadać życzenia. One przecież mogą się ziścić ze skutkiem, jakiego nie potrafimy przewidzieć.

"Wróciła myślami do Daisy, która wiele lat temu przyszła w to samo miejsce, by zobaczyć obraz. Przymknęła oczy, niemalże oczekując, że gdy ponownie je otworzy, zobaczy Daisy podchodzącą do niej z wyciągniętą na powitanie ręką i słowami: *Miło cię widzieć. Cieszę się, że tu jesteś.* Wyobraziła ją sobie w eleganckim żakiecie i kapeluszu, siedzącą tuż obok, w poczuciu, że czują się ze sobą, jak gdyby znały się od lat. To wyobrażenie sprawiło, że podnosząc wzrok, wciąż miała na twarzy uśmiech. Daisy przy niej jednak nie było. Za to pojawił się Dominie.

- Cześć, Claire. Widziałem, jak wchodziłaś - zagaił. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że za tobą poszedłem. Bałem się, że się miniemy. Dostałaś moją wiadomość?

— Tak. Przepraszam, nie miałam czasu odpisać, byłam już w drodze. Ale zamierzałam do ciebie później zadzwonić.

Skarciła się w myślach za przeprosiny, które w ogóle nie były potrzebne. Krępowala ją też myśl, że Dominie mógł ją obserwować od momentu, gdy weszła do sali. Jeśli tak było, to zapewne zastanawiał się, co ją tak długo zatrzymało przed dziwnym obrazem Pollaiuola, no i czy poprawiała włosy oraz garderobę z myślą o nim.

- Najwyraźniej takie było nasze przeznaczenie, że się tutaj spotkamy - podsumował. Wybiegła myślami do Dafne. Cóż dla niej mogło znaczyć słowo „przeznaczenie”? Dominie zbliżył się i usiadł tak blisko, że ich ramiona dotknęły się.

— Fajnie znowu cię widzieć — powiedział.

— Ja też się cieszę — powiedziała i zawstydziała się. Zrozumiała, jak bardzo te słowa są zgodne z prawdą. Wciąż trzymała w ręku list od Daisy i dopiero gdy spojrzała w dół, zorientowała się, jak kurczowo ściska delikatny papier. Ostrożnie złożyła kartki i wsunęła do torby wraz z kopertą. Bystry, nieco rozbawiony wzrok podążał za jej ruchami, ale nie uraczyła go żadnymi wyjaśnieniami.

- No więc co cię przyciągnęło do tej sali? — zapytał. - Nie należy chyba do najbardziej popularnych.

— Przyjaciółka opowiedziała mi o tym obrazie. Ma takie hobby, że wskazuje mi nietypowe dzieła, które później przychodzę podziwiać.

Nazwanie Daisy przyjaciółką nie wydało jej się niestosowne. Chyba nie można by tego uznać za kłamstwo. Właściwie to było idealne określenie.

— Interesujący wybór. Twoja przyjaciółka ma dobry gust.

- Być może - odparła, a przed jej oczami mignęło wyobrażenie Charlesa, a później Richarda. - Wiesz coś na jego temat?

Wzruszył ramionami.

- Niewiele. Pollaiuolich było dwóch. To byli bracia, artyści z Florencji, za swoich czasów bardzo uznani. Stali się jednymi z prekursorów renesansu. Wiesz, potrafili nie tylko malować, ale też wyrabiali biżuterię, rzeźbili. Teraz ich sława nie jest tak wielka, jak wśród im współczesnych. Podoba ci się ten obraz?

Patrzył na obraz z uznaniem, co zachęciło ją, by jeszcze raz mu się przyjrzała.

- Nie jestem pewna. Chyba jest dobry. A ty co o nim sądzisz?

— Myślę, że jest w nim coś z żartu. Liście laurowe w chwili malowania obrazu na pewno nie miały takiego dziwnego koloru — to efekt upływu lat. Artysta musiał użyć jakiegoś składnika w farbie, który spowodował, że liście zmieniły kolor z zielonego na ten odcień brunatności. Ale nawet bez tego jest w tym

obrazie coś dziwnego. Spójrz tylko, ramiona Dafne wyrzucone są w gore w ten sposób ze całość daje raczej komiczny efekt. - To samo powiedziała Daisy.

- Daisy? To ta przyjaciółka, o której wspominałaś?

- Cóż, to nie do końca przyjaciółka, po prostu pisujemy do siebie listy.

- Serio? Nie wiedziałem, że wciąż istnieją korespondencyjne przyjaźnie.

Chciała odwrócić jakoś jego uwagę od Daisy, więc zasugerowała:

- Co powiesz na kawę?

Nie tak to miało wyglądać, to nie ona miała składać propozycje. Ale było już za późno, zupełnie jak w przypadku Dafne. Plan, by to Dominie coś zasugerował, a ona odpowiedziała: *Nie dziś. Może następnym razem, dam ci znać*, nie miał już szans na realizację.

- Mamy już chyba porę lunchu - odpowiedział. — Więc może lepiej coś zjemy?

- Dobry pomysł.

Słyszała nerwowość w swoim głosie. Nie byłoby tak, gdyby rozmawiała ze starym znajomym.

- Ależ kawa też będzie w porządku — zreflektował się. — Nie chcę sprawiać problemu.

- Nie, to żaden problem. Zadzwoń tylko do męża, że będę później, niż planowałam.

- Oczywiście.

Sposób, w jaki to powiedział, spowodował, że poczuła się głupio. Zadzwoiła do Roba na komórkę, ale nie odebrał. Dominie cały ten czas stał u jej boku. Pewnie Rob gdzieś wyszedł. Łatwiej było po prostu zostawić wiadomość, choć słowo „kochanie” przyszło jej z trudem, czuła się skrepowana obecnością Dominika. Zapowiedziała, że nie wróci do domu

na obiad, ale nie wspomniała, że planuje go zjeść z kimś innym. Zwłaszcza że był to ktoś, o kim Rob nigdy wcześniej nie słyszał, i w dodatku był to mężczyzna. Zauważyła, że na ustach Dominika błędził delikatny uśmiezek, wiedziała, że się z niej trochę w duchu śmieje. Rozłączając się, sama też skwitowała całą sytuację uśmiechem, nagle poczuła się wolna i swobodna w towarzystwie tego niemal obcego mężczyzny; dziwne, aczkolwiek ekscytujące doznanie. To mogło być szczęście, uczucie, którego dawno nie doświadczała.

— Obraz ci się podobał? - zapytał Rob, gdy tylko przekroczyła próg mieszkania. Zadawał to pytanie za każdym razem, zupełnie jakby czuł się do niego zobligowany.

— Tak - odpowiedziała szybko. Dominie pocałował ją w policzek, gdy się rozstawali. Jego usta delikatnie musnęły jej jasną skórę niczym pędzel płótno obrazu, odrobinę zbyt blisko ust. Wróciła do rzeczywistości i przypomniała sobie o pytaniu Roba.

— Tym razem nawiązywał do mitologii, historii Dafne i Apolla.

— Serio? Tej od drzewa laurowego?

— Skąd o tym wiesz? - zdziwiła się.

— Po prostu wiem. Nie znałaś wcześniej tej opowieści?

— Nie — odpowiedziała. Zdołała zapomnieć, że Rob to nie tylko jego praca w kancelarii i rozczarowanie, jakie jej sprawił. Choć teraz i tak to ją niewiele obchodziło... Właśnie spędziła dwie godziny w towarzystwie mężczyzny, który nie krył swej fascynacji nią. Zamknęła oczy i przywołała w pamięci obraz Dominika. Sprawił, że poczuła się znów atrakcyjna. Po jej wyprostowanych ramionach i rumieńcach na policzkach można było zauważyć, że energia przesyłana jej przez Dominika dodała jej blasku.

— Apollo czuł do Dafne coś więcej niż zwykłe pożądanie — powiedział niespodziewanie Rob. Ona go dręczyła. Trafiła go strzała Erosa, która spowodowała, że kompletnie na jej punkcie

oszałał. Następna strzała trafiła Dafne, ale w jej przypadku oznaczało to jeszcze większe pragnienie uwolnienia się od jego amorów. Według mitu ojciec Dafne najpierw zmienił ją w drzewo, ale to nie wystarczyło. Była tak zdeterminowana, żeby uciec przed miłością Apolla, że gałęzie, które zastąpiły ramiona, odchylały się jak najdalej od niego.

Wzięła głęboki oddech i powodowana bardziej wizją Dominika niż słowami płynącymi z ust Roba, powiedziała:

- Za długo to już trwa. Spróbujmy od nowa. Natychmiast, zanim zmienię zdanie.

Przez chwilę nie zrozumiał znaczenia jej słów, ale gdy je pojął, nie dopytywał, czy jest pewna decyzji. Nie pytał, czy jest gotowa, tylko zaznaczył:

- Jeśli zechcesz przestać, powiedz. Wtedy przerwiemy. Przytaknęła, wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

Następnie zasunęła zasłony, żeby odciąć się od jaskrawych, popołudniowych promieni słonecznych. W pokoju panował chłód, ale to nie on sprawił, że ręce jej drżały, gdy się do niego odwróciła. Niezdarnie odpinała guziki jego koszuli, następnie zdjęła pasek i ściągnęła mu dzinsy. Chciała, żeby to nastąpiło szybko, ale ręce nie nadążały za głową, opóźniając ruchy. Nie miało to na szczęście większego znaczenia, bo Rob jej pomagał. Właściwie to mogła pozostać całkowicie bierna. Potem poczuła jego drżące od desperacji, zimne dłonie na swoim ciepłym ciele. Była naga, on też. Opadli na kołdrę i przez chwilę pozostali w bezruchu, jakby oboje zapomnieli, co powinno teraz nastąpić. Dostała gęsiej skóry na rękach i zdążyła zapomnieć, po co w ogóle się na to zdecydowała. Chciała wykrzyczeć sprzeciw, że już wystarczy, że ma przestać. Ale słowa nie chciały się wydobywać z jej ust, a tymczasem Rob zaczął wykonywać gesty i ruchy, które doskonale знаła z czasów, gdy często się kochali. W jego głębokich pocałunkach, przyspieszonym oddechu i erekcji, którą czuła

na swoich udach, pokazał, że jest w pełni gotowy. Zalała ją fala paniki, jej własny oddech nagle się spłycił.

- Wszystko w porządku, Claire — zapewnił ją, głaszcząc delikatnie jej włosy i patrząc prosto w oczy.

- Nic nie jest w porządku - chciała odpowiedzieć, ale znów słowa uwięzły jej w gardle. Wszedł w nią mocno. Zamknęła oczy, tak jak to kiedyś zwykła robić, ale tym razem cały czas myślała o Dominiku.

Gdy skończyli, Rob uspokojony położył głowę w jej ramionach. Łudziła się, że może zaraz zaśnie, ale to nie nastąpiło. Wdzięczność kazała mu co rusz powtarzać słowa podziękowania, zupełnie jakby zmusiła go do błagania o seks. A może tak właśnie było?

Chciała mu powiedzieć, żeby zamilkł, że nie zrobiła tego z miłości, tylko z poczucia winy. Było jej wstyd, że inny mężczyzna wywołał w niej uczucia, jakich nie powinna do niego żywić. Temu aktowi miłości tak naprawdę nie towarzyszyła myśl o mężu. Oddała mu się tylko dlatego, że chciała spełnić marzenie o innym mężczyźnie, chciała uciec od przykrej świadomości, że już się nie rozumieją. Wcale nie interesowało jej, co akurat chce powiedzieć Rob... Wszystko zaczęło się od Daisy, a teraz dołączył do niej Dominie. Razem pochwycili ją w czułe ramiona. Pomyślała, że Rob powinien być im za to wdzięczny. W końcu dostał to, czego pragnął. Odwróciła się do męża plecami, pozwoliła, by otoczył ją ramieniem, i znów zobaczyła oczami wyobraźni obraz innego mężczyzny.

- Jak tam twój lunch?

Jego głos przerwał ciszę i wytrącił ją z błogiego snu na jawie. Zanim odpowiedziała, uwolniła się z objęć.

— Świetnie. Wybrałam się do włoskiej restauracji.

— Brzmi ciekawie... I dlatego wróciłaś tak późno?

— Pochodziłam jeszcze trochę po sklepach.

Kłamstwo przyszło jej o wiele łatwiej, niż się tego spodziewała. Odsunęła się od niego i wstała z łóżka, zostawiając go samego po raz drugi tego dnia. Czuła się, jakby od porannej dyskusji i wyjścia do galerii minęły całe wieki. Stała w drzwiach, spojrzała na jego samotną sylwetkę w łóżku i zrobiło jej się go żal.

- Chcesz herbaty? - zapytała.

Portfel leżał cały czas tam, gdzie go zostawiła, wchodząc do domu, czyli na kuchennym blacie. Karta, którą wzięła ze sobą, kończąc lunch z Dominikiem, nadal wystawała z portfela. Przez chwilę rozważyła, czy nie powinna jej wyrzucić, ale ostatecznie nie zrobiła tego.

- Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę — zagaiła przy stoliku. Siedzieli naprzeciw siebie we włoskiej restauracji na rogu Leicester Square, która mimo swego położenia nie była w kręgu zainteresowań turystów. Gdzieś po drodze kanapka stała się miską włoskiej pasty, po której na stół wjechało tiramisu z dwiema łyżeczkami, dzięki czemu mogli podzielić się deserem. W trakcie posiłku zauważyła, że podświadomie synchronizują swoje ruchy - ręka przeczesująca włosy w tym samym momencie, symultaniczne sięgnięcie po chleb czy równoczesne odłożenie łyżki. Nawet gdy spróbowała na chwilę zakłócić tę harmonię, po chwili znów wszystko wracało do właściwego rytmu. W psychologii nazywa się to efektem odbicia lustrzanego, natomiast poradnik dotyczący podrywu w kobiecej prasie określiłby to nieco zwyczajniej jako sztukę flirtu.

— Ja także nie byłem pewien, czy się jeszcze spotkamy - odpowiedział.

Gdy zlizywała resztki tiramisu ze swojej łyżki, zastanawiała się, czy była jedyną kłamczuchą w tym duecie.

— Cóż, ten świat jest naprawdę mały - skwitowała. — Moja siostra kiedyś mnie przestrzegła, bym nigdy nie wdawała się

w romans w Londynie, bo zanim się zorientuję, ktoś mnie przyłapie w jednoznacznej sytuacji.

Zbyt późno zdała sobie sprawę z wagi swojej wypowiedzi i zarumieniła się, równocześnie starając się odzyskać rezon.

- Oczywiście mówiła to w żartach. Wtedy jeszcze nie byłam mężatką. Teraz już mnie tak nie poucza.

- Bardzo rozsądna z niej kobieta - odpowiedział, zupełnie nie-zmieszany. Zauważyła, że gdy się uśmiecha, wygląda na starszego, ale równocześnie zdaje się bardziej dystyngowany. Uśmiech ukazywał zmarszczki w okolicy ust i wtedy jego ubiór jakoś mniej do niego pasował. Gdy spotkali się za pierwszym razem, uznała, że jest w zbliżonym wieku do niej, ale teraz nie była już tego taka pewna, mimo że znów miał na sobie dżinsy i t-shirt.

- Opowiedz mi o sobie, Claire — poprosił.

Aż do tej chwili ich rozmowa toczyła się wokół zagadnień neutralnych, które może i były interesujące, ale nie miały rangi zwierzeń. Wyczuła zmianę atmosfery, która mocno się zagęściła, i wiedziała, że to chwila, w której powinna powiedzieć: *Przepraszam, muszę już iść. Mojemu mężowi by się to wszystko nie spodobało.* Tyle że tego nie zrobiła. Opowiedziała mu za to o swojej pracy w organizacji dobroczynnej, o miejscu, w którym mieszka, i rodzinnych stronach. Pomijała tematy najistotniejsze, a mimo to zdawała sobie sprawę, że nie były kompletnie bez znaczenia. Zwierzyła się, na przykład, że praca nie daje jej satysfakcji, ale nie może znaleźć innej, oraz że nie jest zadowolona z wielkości swojego mieszkania. Oliver póki co pozostał tajemnicą, ale już Daisy wypłynęła w rozmowie. Claire obawiała się, że jest jedną z tych osób, które zbyt długo żyły w stałym związku i przez to wpadła w mało ciekawą rutynę. Wiedziała, że przynajmniej historia z Daisy czyni ją nieco bardziej interesującą w jego oczach, a niczego bardziej w tej chwili nie pragnęła, niż właśnie taką pozostać. Cierpliwie siedział,

słuchał, przytakiwał w odpowiednich momentach i zadawał właściwe pytania. Słuchał uważnie. Wydawał się zaintrygowany. A przede wszystkim dawał odczuć, że Claire i jej życie coś dla niego znaczą. Wymyślił nawet trafny kryptonim dla jej nowego zajęcia. „Projekt Daisy”. Dwa słowa, w których trafnie ujął to, co starała się osiągnąć.

Wmawiała sobie, że czuje pewien dyskomfort tylko dlatego, że nie była przyzwyczajona do tego rodzaju uwagi. Rob już dawno jej tak nie adorował. Nie czuła jednak, żeby było to coś niewłaściwego, a przynajmniej na pewno nie było to coś bardzo złego. Mimo to znów pokryła się rumieńcem wstydu. Dotarło do niej, że on przemycił do rozmowy istotne fakty ze swego życia. Wspomniał też o przyjacielu, który pracował w archiwum filmowym i marzył, by pojawił się ktoś, kto z chęcią obejrzy stare taśmy filmowe.

- Może wpadniemy go odwiedzić? — zaproponował. — Jest w swoim archiwum. Masz inne plany?

- Nie mam, ale...

— Nie ma się co zastanawiać. Facet jest naprawdę świetny. Wszystko zostało ustalone, zanim zdołała pomyśleć, czy

w ogóle tego chce. Zostawiła więc kolejną wiadomość na skrzynce Roba, że będzie jeszcze później. Tylko tyle.

— No, skoro mamy to załatwione, to pora na kawę. Napięcie związane z całą sytuacją odbierało jej dech w piersi.

Rozsiadła się wygodniej na krześle i wsłuchiwała w jego opowieść o pracy w domu aukcyjnym. Był to świat o wiele bardziej fascynujący niż przejęcia i połączenia firm w kancelarii Roba. Dominie opowiedział jej też o wynajętym mieszkaniu nad Tamizą, położonym blisko Kentish Town. Zakończył zupełnie nieoczekiwanym wyznaniem.

— Mam pięcioletnią córeczkę, ma na imię Ruby.

- Och, nie wiedziałam, nie wspominałeś o tym wcześniej.

Oznaczało to, że albo jest żonaty, albo przynajmniej kiedyś był w dłuższym związku.

— Powinienem być?

— Oczywiście, że nie. Nie musiałeś.

Claire nagle poczuła, że opuszcza ją pewność siebie. Odwróciła się i rozejrzała po restauracji. Byli jedynymi klientami, zauważyła to dopiero teraz, bo wcześniej całkowicie skupiła wzrok i uwagę na Dominiku. Oprócz niego widziała tylko własne odbicie w oknie, pełne życia i piękne. Prawie nie mogła sama siebie w nim rozpoznać - ujrzała tam kobietę, jaką zawsze pragnęła być. Kelnerzy trzymali odpowiedni dystans, kręcąc się za barem i na zapleczu, i czyszcząc sztućce w nadziei, że ktoś zechce z nich korzystać. Wszystko to razem tworzyło bardzo intymną atmosferę. Dominie też musiał to wyczuwać.

— Nie chciałem cię wystraszyć.

-Wystraszyć? Rany, co masz na myśli?- zapytała ze śmiechem.

— No wiesz. To komplikuje sprawy. Podobnie jak mąż. Przez moment nie wiedziała, co odpowiedzieć. Słowa, które przychodziły jej na myśl, potrzebowały powtórnej weryfikacji, musiała sformułować myśli tak, żeby sama była je w stanie zrozumieć. Czyżby otwarcie i zdecydowanie dawał jej do zrozumienia, że nie będą zwykłymi przyjaciółmi? Sposób, w jaki jej o tym powiedział - bezpośrednio i z uśmiechem - wskazywał, że zwykle dostaje to, czego pragnie. Rob nie brzmiał tak już od dawna. Boże drogi, a więc tak się to właśnie rozgrywa, w taki sposób otrzymuje się otwarte zaproszenie do romansu. Pół roku wcześniej nawet by jej przez myśl nie przeszło, żeby pozwolić sobie na taką sytuację. Sześć miesięcy temu nie doszliby nawet wspólnie do włoskiej restauracji. Mało tego, pewnie nawet nie zdarzyłoby się jej samotnie wybrać do National Gallery. Jej wzrok skupiałby się na Robie, a sny na jawie rozgrywały tylko w kontekście

nienarodzonego dziecka. Gdyby pojawiła się podobna okazja, uciekłyby, gdzie pieprz rośnie. Tymczasem teraz myślała o czymś zupełnie innym, o dziecku imieniem Ruby i o tym, jak pięknie byłoby spacerować któregoś popołudnia po Hyde Parku i czuć w ręku miękką, ale solidną poręcz dziecięcego wózka. A potem usiąść na trawie i wystawić twarz na popołudniowe promienie słońca, posłuchać dziecięcego gaworzenia i śmiać się radośnie na widok obcych ludzi, którzy z aprobatą patrzyliby na tę rodzinną scenę. Claire daleko było do Dafne, nie planowała nigdzie uciekać.

- Nie uważam dziecka za żadną komplikację — powiedziała. - Dzieci są cudowne.

- Szczerze mówiąc, mam na jej punkcie niezłego fioła — odpowiedział. Zabrzmiało to tak szczerze, że natychmiast wyświetliła w głowie film z nim i małą, roześmianą dziewczynką na huśtawce w roli głównej. Jej sukienka faluje na letnim wietrzyku, a wszystko dzieje się wiele mil od londyńskiego zgiełku.

- Gdzie ona mieszka?

- Ze swoją mamą, na wsi, w Suffolk. Widuję ją tylko w weekendy.

A więc jest rozwiedziony albo w separacji. To zdawał się w rym zdaniu przekazać i *tylko to* się liczyło.

Gdy się rozstawali, pocałował ją w policzek, nieco mocniej niż ostatnim razem, i powiedział:

- Powtórzmy to jeszcze kiedyś.

Wciąż mając przed oczami jego córeczkę - był ojcem, czym przeważał nad Robem — zgodziła się bez wahania.

Claire widziała w swoim życiu wiele fotografii Londynu z czasów wojny, ale żadne nie zrobiły na niej takiego wrażenie jak filmy, które oglądała przez całe popołudnie. Być może wiązało się to z faktem, że ruchomy obraz silniej oddziałuje na wyobraźnię,

a może chodziło o Daisy? Claire w tym momencie знаła już kogoś, kto te wszystkie wydarzenia obserwował na żywo.

Na taśmach znalazło się miejsce dla matron o obfitych kształtach, z przytulonymi do siebie dziećmiakami w podartych ubraniach i z poobcieranymi kolanami. Przypominały kobiety z obrazu de Hoocha - silne, grubo ciosane, z brzemieniem odpowiedzialności dociskającym ramiona. To były kobiety, których mężowie być może walczyli na frontach. Wiedziały, że jeśli konflikt potrwa wystarczająco długo, ich synowie podążą w ślad za mężami. Na innym filmie pokazano dziewczęta ubrane w najlepsze suknie, tańczące fokstrotą z żołnierzami, a gdy w okolicy brakowało chłopców, to także z innymi dziewczynami. Każda z nich mogła mieć na imię Daisy, a jej partnerem do tańca mógł być Charles. Wszyscy mieli uśmiechy przyklejone do twarzy, ale czy był to uśmiech wywołany przez szczęście, czy strach — tego Claire nie była w stanie się domyślić.

Filmy pokazywały też zbombardowane budynki, osmolone, brudne, jakby naznaczone bliznami. Były wśród nich budowle stare i nowe, imponujące i skromne, zrównane swym wojennym statusem, zawałające gruzem drogę, przeszkadzające ludziom w drodze do ich zwyczajnych codziennych zajęć. Niektóre miejsca udało jej się nawet rozpoznać, na przykład katedrę Świętego Pawła, która płonąć przy akompaniamencie świstu bomb, zdawała się częścią jakiegoś groteskowego pokazu z cyklu „światło i dźwięk”. Mimo to stała tam niezłomnie, nie dała się całkowicie zrównać z ziemią. Na innym ujęciu widać było dom handlowy John Lewis, który nie zamknął swych podwojów, choć stracił większość szyb. Na jego dachu rozłożyli się zwiadowcy, którzy, gdy tylko zauważyli nadlatujące samoloty, ostrzegali klientów we właściwym momencie, by przerwali zakupy.

Najtrudniejsze sceny to jednak obraz żołnierzy wysyłających wiadomości z dalekich frontów. Mówili o tęsknocie i miłości,

a ci, którym brakowało właściwych słów, ograniczali się do najprostszego „powodzenia”. Liczyli, że ich matki, żony czy przyjaciółki z sąsiedztwa będą potrafiły resztę wiadomości wyczytać z ich oczu. Jeden z filmów kończył się sceną, w której wszyscy chórem zaśpiewali "We'll meet again". Claire szczerze i bez wstydu przepłakała ją całą, od początku do końca, bo dopiero teraz zaczęła rozumieć, jak wiele słowa te musiały wówczas znaczyć.

Oto świat Daisy, przedstawiony w czerni i bieli. Claire zajrzała w sam jego środek, filtrując obrazy przez ścianę łez. To był świat, w którym znudzona Daisy pragnęła przygody, a który Claire jawił się jako przerażający.

PORTRET MŁODEGO MĘŻCZYZNY
- ANDREA DEL SARTO

Szanowna Panno Milton!
„Portret młodego mężczyzny” — 2 marca, 13.00. Czy zechce mi Pani towarzyszyć?
Z poważaniem,
Richard Dacre

To była niewielka pocztówka wetknięta do koperty z marcowym listem, który Daisy wysłała do Elizabeth. Zrobiła to z beztronską nonszalancją, zupełnie jakby przekazywała jej tę kartkę osobiście w Edenside, gdzie usiadłyby sobie przy kominku w porze popołudniowej herbaty. Ewentualnie, gdyby obie wciąż przebywały w Anglii i właśnie miała ją odczytać przyjaciółce przez telefon przy akompaniamencie dziewczęcych chichotów. Autor posiadał wyrafinowany charakter pisma. Zgrabne i duże litery ściśle do siebie przylegały i swym uporządkowaniem stanowiły spory kontrast w stosunku do krótkich, treściwych zdań pisanych ręką Daisy. Na odwrocie nie znajdował się żaden obrazek, jedynie niekompletny adres jednego z ministerstw usytuowanych na placu Pall Mail. Mimo to jakoś do adresatki dotarł i doprowadził ją o wyznaczonej godzinie na plac Trafalgar.

Więcej słów nie było trzeba, by zrozumieć, że w korespondencji od Daisy pojawiło się nowe otwarcie. Claire doskonale sobie z tego faktu zdawała sprawę.

Marzec 1943 rok

Droga Elizabeth!

Muszę zacząć ten list od wyznania, że znów spotkałam się z Richardem. Tak, właśnie tym artystą, Richardem Dacre, którego przypadkiem spotkałam miesiąc temu! I pomyśleć, że do końca ubiegłego roku moje nogi nie przestąpiły progu National Gallery, a teraz mogłabym się po niej przemieszczać z zamkniętymi oczami. Wysłał do mnie krótki liścik, w którym zaprosił do wspólnego obejrzenia następnego obrazu. Zaadresował to zaproszenie do ministerstwa, więc najwyraźniej musiałam mu wspomnieć o swoim miejscu pracy, gdy poznaliśmy się miesiąc temu. Panna Johnson przekazała mi je ze wścibskim wyrazem twarzy. Tak to przynajmniej odebrałam. Wydaje się, że otrzymywanie osobistej korespondencji nie jest w biurze mile widziane, dość wyraźnie to odczulam. Tylko czego tu się wstydzić? Nie bardzo rozumiem. Notka była dość formalna, ale równocześnie bardzo miła. Pozostałam panną Johnson z jej niezadowoleniem i udałam się na spotkanie.

Gdy tylko weszłam do galerii, od razu go zauważyłam. Opierał się o jedną z kolumn w oczekiwaniu na mnie. Bez zbędnych ceregieli zapytał, czy mam ochotę na lunch. Zgodziłam się. Na zewnątrz było zaskakująco ciepło, więc zabraliśmy swoje kanapki i razem z wieloma innymi osobami zjedliśmy posiłek na trawniku przed galerią. Znów zamówiliśmy to samo, czyli szynkę z czatni. Chyba wszyscy lubimy mieć jakąś rutynę, zgodzisz się ze mną? A nam ten nasz zwyczaj szybko wszedł w krew, choć u innych takie zachowanie zaobserwowałabym z rozbawieniem.

Nadszedł moment, bym go wreszcie opisała. Jest blondynem, włosy zaczesuje niezbyt starannie do tyłu. Tu i ówdzie lubią

mu się zwichrzyć, gdy wiatr mocniej zawieje. Nosi nieco zniszczoną marynarkę, a na nosie trzyma poważnie wyglądające okulary. Ciągłe je zdejmuje i znów zakłada, zaczynam podejrzewać, że tak naprawdę wcale ich nie potrzebuje. Ma bystre, inteligentne oczy, które nieustannie za mną podążają. Przy okazji wspomnę, że między wizytą w galerii i napisaniem tego listu spotkaliśmy się raz jeszcze, ale tego się już pewnie domyśliłaś. Wie o Charlesie, którego tak całkowicie ze swoich myśli nie usunęłam! Ale obecność mężczyzny, do tego tak odmiennego, podnosi mnie na duchu. Miło jest dać się raz na jakiś czas porwać, choćby tylko na kanapkę. Mam chyba prawo do odrobiny rozrywki, prawda? Zabrał mnie do klubu Mandrake. Przesiadują w nim różni artyści. W takie miejsce sama bym się nie wybrała, z Charlesem zresztą też nie. Richard zaskoczył mnie tym, że kupił mi kwiaty... Nie był to jakiś imponujący bukiet — trudno teraz o coś większego — ale przynajmniej ładnie wypełniły jeden z wazonów na parapecie. W trakcie dnia cieszą oko niebieskością i fioletem, za to w nocy są tylko mrocznymi cieniami. Od Charlesa kwiatów z pewnością nie mogłabym się spodziewać, on uważa, że taki (romantyczny) wydatek nie jest dziś zbyt rozsądny. Richard nie zastanawia się nad takimi kwestiami, tylko pozwala im zaistnieć.

Naprawdę chce mnie namalować. Zgłosił pomysł malowania portretów kobiet przy pracy i ta jego komisja wojenna plan zaakceptowała. Ja mam być jedną z nich. Ależ to brzmi nadzwyczajnie! Z jego punktu widzenia nie ma to aż takiego znaczenia, to po prostu praca, jednak czy może być coś, co kobiecie mogłoby bardziej schlebić? Mnie w każdym razie trudno to sobie wyobrazić. Zapytałam go, dlaczego akurat ja. „Jesteś pracującą kobietą, prawda?“, odrzekł. Zwróciłam mu uwagę, że nie jestem jedyna, na co on odpowiedział tylko, że jestem inna. „Podoba mi się to, jak wyglądasz“, dodał. Inna. Nadał temu słowu takiej wyjątkowości, jakby było słowem miłszym niż „piękna“. I dopiero po tym, jak się rozstaliśmy,

zaczęłam się zastanawiać, czy to aby na pewno był komplement. Ale nie było już z kim tego roztrząsać. W każdym razie zarumieniłam się jak debiutantka w sztuce kontaktów damsko-męskich. Mieszkam już trzy lata w Londynie, a wciąż nie nauczyłam się, jak być prawdziwą damą.

Wiem, co sobie myślisz, ale proszę Cię, nie oceniaj mnie, nie pisz, że postępuję źle. Jeszcze nic nieprzyzwoitego nie uczyniłam, przysięgam.

Po zjedzeniu kanapek poszliśmy obejrzeć nowy obraz. Tym razem wystawiono „Portret młodego mężczyzny” pędzla włoskiego malarza, Andrei del Sarta. Ciekawa jestem, czy doczekam się kiedyś jakiegoś brytyjskiego dzieła. Być może nawet napiszę w tej sprawie do Kennetha Clarka. Jakoś nikomu w National Gallery nie przeszkadza, że Włosi są teraz naszymi wrogami. Richard twierdzi, że to wynika z faktu, iż sztuka potrafi pokonać granice, uciec konfliktom i wszystkiemu innemu, co przyziemne. A mnie się wydaje, że chodzi o to, że ci wszyscy artyści od dawna nie żyją. Del Sarto umarł ponad czterysta lat temu, na miłość boską! Kogo to teraz obchodzi, z jakiego kraju pochodził?

Obraz wyróżnia się na tle wcześniej wystawionych. Przede wszystkim jest to portret, do tego innego artysty, rzeźbiarza. Widać na nim jedynie głowę oraz ramiona mężczyzny, który siedzi na drewnianym krześle i pracuje w czarnym kamieniu, tak ten blok obrabianego materiału przynajmniej wygląda. Odwrócił się do malarza, żeby mu pozować. Ma na sobie białą koszulę z obfitymi rękawami koloru niebieskiego, na którą włożył czarną kamizelkę. Jego twarz wydaje się zmęczona, przybrała dziwny, jakby zaalarmowany wyraz. Można by rzec, że zaoferował artyście jastrzębie spojrzenie. Tak, to chyba dobre określenie. Mam wrażenie, że nie jest do końca zachwycony faktem, że ktoś go w tej chwili maluje. Del Sarto prezentuje go na ciemnym tle, co daje nieco ponury efekt, ale nie ukrywa urody modela. Niczym najlepsi z arystokratów ma pełne

usta, wysokie kości policzkowe i przenikliwe spojrzenie, którego spodziewać się można z reguły po osobach posiadających jakąś władzę nad innymi. Zakładam, że w swoim czasie potrafił w mgnieniu oka przykuć uwagę kobiety, uwieść ją i równie szybko się jej pozbyć. Spodziewam się także, że był bogaty. Del Sarto nie wybrałby go, gdyby tak nie było. Nie oszukujmy się, jest coś wyjątkowo atrakcyjnego w bogactwie. Muszę jednak przyznać, że mnie ta jego moc odrobinę przytłoczyła, wywołała we mnie dziwne zdenerwowanie.

Takie były moje osobiste wnioski na temat obrazu. Richard opowiedział mi o nim więcej szczegółów. Po pierwsze, bardzo ascetyczne tło miało stworzyć wrażenie, że człowiek na obrazie jest dystygowany. Bez wątpienia ten efekt się artyście udał, bo bohater jego obrazu roztaacza wokół siebie atmosferę wyższości. Ponadto tło jest ciemne. Według Richarda zestawienie ciemnego na z jasnym pierwszym planem miało na celu stworzenie melancholijnego klimatu. Po tym stwierdzeniu jeszcze raz przyjrzałam się obrazowi i moim zdaniem atmosfera jest jednak ponura. Model wydaje się nieszczęśliwy. Ani trochę nie podoba mu się fakt, że stal się obiektem do malowania. Wyczytałam gdzieś, że istnieją pierwotne ludy, które nie pozwalają, by robić im zdjęcia. Niszczą to rzekomo ich dusze. Wydaje się, że ten rzeźbiarz myśli podobnie, jakbyśmy wraz z artystą malarzem odbierali mu coś cennego, co on bardzo chciałby zatrzymać dla siebie.

Poszliśmy później na kolejną wystawę. Richard na to nalegał, a ja się zgodziłam, choć moja przerwa na lunch dawno się już skończyła. Niestety, jest zbyt czarujący, żebym potrafiła mu odmówić. Tym razem była to wystawa sztuki wojennej, którą zorganizowano w kolejnym z pustych pomieszczeń. Powiedział, że chciał mi naocznie uświadomić, że sztuka traktująca o wojnie może być piękna, nawet jeśli temat, który podejmuje, do najpiękniejszych nie należy. Gdy weszłam, nie mogłam uwierzyć, że znajduje się tam aż tyle eksponatów. Skoro znalazło się tam tak wiele obrazów, to znaczy, że artystów zajmujących się tą tematyką musi być naprawdę

wielu. Nie pominęli chyba żadnego potencjalnego tematu, od kobiet zwijających bandażę i plotących siatki maskujące po niemieckie łodzie podwodne zmuszone do poddania się i zestrzelone Messerschmitt. Do tego tuziny obrazów traktujących o Londynie, ulubionym temacie od chwili rozpoczęcia nalotów. Wiele z nich pokazuje falujące balony zaporowe, z charakterystycznym łopotaniem jedwabiu na wietrze, do tego dziewczęta z WAAF próbujące utrzymać ład i porządek w mieście. Wiesz, po co pokazują te balony? Richard mi tę tajemnicę wyjaśnił. Otóż artyści lubią malować rzeczy z materiału. Kobiety obecnie nie noszą falujących sukienek, takich jak Maria Magdalena z „Noli me tangere”, więc taki balon przynajmniej pozwala im ćwiczyć umiejętności. Najwyraźniej zmagania z falującym materiałem to spore wyzwanie dla artysty, więc ci próbują udowodnić, że dalej sobie z tym elementem radzą. Tata pewnie by powiedział, że zwyczajnie się popisują, chociaż akurat on miłośnikiem sztuki nigdy nie był. Co innego Mama. Wciąż mam jedno z jej malowideł akwarelą, na którym w pierwszym planie widać łódkę płynącą po jeziorze, a w tle majaczy sylwetka Edenside. Obraz wisi na ścianie w mojej sypialni. Nie jest to może jakieś rewelacyjne dzieło, ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Do dziś pamiętam, jak bardzo była z siebie zadowolona, gdy go wreszcie ukończyła. I tylko to się naprawdę liczy.

Prawdę mówiąc, niektóre z tych obrazów były dla mnie zbyt realistyczne. Przeniosły mnie w okrutny świat nocnych nalotów i wierz mi, to niezupełnie wygląda tak, jak ci artyści próbują to przekazać. Pamiętaj o tym, gdy następnym razem pokażą w kronice filmowej ludzi śpiewających w schronach przeciwlotniczych. Przez zdecydowaną większość czasu dominuje wtedy okropna atmosfera. Chryste, jak ja się czasem balami Wielu ludzi zginęło tylko dlatego, że słysząc syrenę, pobiegli w niewłaściwym kierunku albo zwyczajnie znaleźli się akurat w niewłaściwym miejscu. Surrealistyczna, pozbawiona jakiegokolwiek sensu śmierć, to kolejny aspekt. Na przykład

głowy obcięte przez szyby wypadające z okien albo ludzie ginący w zatrzaśniętych toaletach, gdy ich dom runął pod naporem bomby. Po co komu upamiętnianie takich wydarzeń? Lepiej po prostu zostawić je za sobą, puścić w niepamięć.

Jedyne dzieła, które zrobiły na mnie większe wrażenie, to rysunki Henry ego Moore'a. Ukazuje on zwykłych londyńczyków, takich jak ja (przypuszczam, że mam prawo już siebie tak nazywać), szukających w nocy schronienia w bunkrach. Ludzie ci ułożeni są wzdłuż torów niczym ciała czekające na odbiór przez zakład pogrzebowy. Rysunki nie są bogate w detale, ale da się spośród tych osób rozróżnić dorosłych od dzieci, pary od samotnych staruszków. Te szkice nie powstały na miejscu, w schronach. Moore robił notatki, chodząc wokół ludzi, by ich później odtworzyć z zapisków i pamięci. Richard zaznaczył, że artysta chciał przez to uszanować prywatność swoich bohaterów. Wie to od samego Moore'a. Rozmawiali kiedyś w pubie i Richardowi ta pogawędka bardzo zapadła w pamięci. Ktoś mógłby twierdzić, że nie ma nic mniej prywatnego niż leżenie w schronie wśród setek innych ludzi, próba przygotowania sobie jakiegokolwiek posiana, a następnie kolektywne chrapanie. A jednak, w takim miejscu odczuwa się wyjątkowe osamotnienie, ludzie budują wokół siebie niewidzialne ściany. Wiem, bo sama tak niejednokrotnie robiłam. Moore nie pokazuje za to szczurów i komarów, których w podziemiach metra można teraz znaleźć miliony. Może to i lepiej, że ten element pomija.

Richard desperacko pragnie, by na tej wystawie znalazło się któreś z jego dzieł. Gdy o tym opowiada, z jego oczu bije blask i cała jego postać staje się przeciwieństwem ponurego artysty z obrazu del Sarta. Powiedziałam mu więc, by się postarał, gdy będzie malował mój portret!

Panna J. udzieliła mi ostrej reprimendy, gdy wróciłam do biura. Ujęła wszystko w takie słowa, że można by odnieść wrażenie, że przez mój późny powrót z lunchu (spóźniłam się godzinę)

przegramy całą tę cholerną wojnę. W tych czasach ludzie czynią wyrzuty sobie i innym z byle powodu, niechby to było nawet wyrzucenie kawałka zakalca. Czasem mnie to naprawdę przybija. Tak czy inaczej, Molly twierdzi, że jutro zostanie mi to wybaczone. Wierzę jej, ona się na takich rzeczach zna, wszak sama co rusz wpada w różnorakie kłopoty w biurze. A nawet jak burza nie minie, to zawsze mogę poszukać sobie innej pracy. Na brak ofert nie możemy narzekać, jest ich cała masa. Zresztą, mała odmiana nie zrobiłaby mi źle. Każdą przyjmę z wdzięcznością.

Ściskam,

Daisy

Del Sarto, kolejny artysta, o którym Claire nigdy wcześniej nie słyszała. Znalazła wzmiankę o nim w książce, którą dostała od Roba na Gwiazdkę, ale na jego temat było w niej zaledwie kilka linijek, więc postanowiła wybrać się do pobliskiej biblioteki i wyszukać więcej informacji na temat artysty. To było w czwartkowy wieczór, kiedy Rob od razu po pracy poleciał na ekskluzywny wieczór kawalerski do Pragi, który został zorganizowany dla kogoś, kogo, zdaniem Claire, Rob nawet nieszczególnie lubił. Zapytała nawet, czy nie wystarczy już z tej okazji wypić kilka kolejek w pubie albo skoczyć na nocną rundkę po klubach. Gdy zignorował jej uwagę, postanowiła odpuścić. Wyjeżdżał, bo chciał od niej odpocząć. Na następny weekend zamierzał wyjechać do rodziców, a tydzień później czekała go doroczna konferencja jego wydziału, w Genewie, na którą partnerzy uczestników nie zostali zaproszeni.

Nie spodziewała się, że biblioteka będzie otwarta do tak późnej pory, ale została mile zaskoczona. Mieli nawet odrębną półkę ze słownikami i encyklopediami, z dala od literatury popularnej. Gdy dotarła do interesującego ją działu, zdała sobie sprawę, że znalazła się w nieznanym jej miejscu, wypełnionym po brzegi

kopiami raportów z kancelarii prawniczych i książkami telefonicznymi, których nigdy nikt nie otworzył. Rozpościerał się przed nią świat pełen starszych mężczyzn, którzy szurali butami w wąskich przejściach między półkami, bez słowa, jedynie poklepywaniem po plecach pozdrawiając innych bywalców i podejrzliwie patrząc na każdego, kto włączył kserokopiarkę lub poprosił o skorzystanie z komputera. Claire powiodła wzrokiem po rzędach drewnianych krzeseł i obserwowała z zaciekawieniem samotnych użytkowników, którzy robili rzeczy zapewne tylko przez nich uznawane za istotne. *Wszyscy tu jesteście sobie równi. Nikt z nas nie chce iść do domu.*

Claire zlokalizowała dział „Sztuka i Dizajn”. Półki ugięły się pod ciężarem upchanych na nich książek, z których żadna nie wyglądała na nową. Wśród nich stało kilka tomów o włoskiej sztuce. Pomyślała, że na pewno znajdzie w nich więcej informacji na temat del Sarta i jej wybór padł na najbardziej opasłe tomy, które przytargała na jedno z biurk. Na meblu przyklejono kartkę pokrytą laminatem, informującą, że jeśli użytkownik pozwoli sobie na zabazgranie stołu przy pomocy graffiti, może stracić kartę członkowską. Jakoś nie powstrzymało to poprzednich użytkowników przed rycinami w miękkim drewnie. Wśród wiadomości pozostawionych niebieskim atramentem, pochodzącym z tanich długopisów, można było odczytać wyznania złamanych serc czy wyartykułowane fantazje seksualne. Było to świadectwo wielu godzin snów na jawie, ukrytych pragnień, które odciągały marzycieli od właściwej lektury. Wiele lat temu zachowywała się podobnie, gdy myślała o sobie i o Robie.

Del Sarto został w tej książce uhonorowany odrębnym działem, choć nie był on zbyt obszerny. Całe szczęście, bo książkę napisano w stylu, jaki wykładowcy Claire określiliby jako pompatyczny. Dowiedziała się zresztą z niej niewiele więcej niż z lektury

książki, którą miała w domu: del Sarto był znaczącym malarzem epoki renesansu, żył między 1486 i 1530 rokiem we Florencji, choć tych dat nie dało się z całą pewnością potwierdzić. Wśród współczesnych malarz ceniony był za przywiązywanie dużej wagi do używanej przez siebie oryginalnej palety kolorów. Wśród najważniejszych dokonań artysty książka nie wymieniała *Portretu młodego mężczyzny*, nie znalazła się w niej także jego reprodukcja. Wyglądało więc na to, że nie było to jego najlepsze dzieło, ale przecież w „Projekcie Daisy” nie chodziło o najważniejsze obrazy poszczególnych malarzy, tylko o kroczenie śladami autorki listów. Jak bardzo wiernie Claire winna to była czynić? Znowu pomyślała o Richardzie. W listach od Daisy rysował się obraz człowieka wywierającego na nią spory wpływ, oferującego mocne doznania. To samo można by pewnie powiedzieć o wszystkich artystach -brak tak intensywnych przeżyć to byłby wręcz zarzut w stosunku do Richarda. Wydawał się też poważnie podchodzić do życia, czym stanowił kontrast wobec swobody ducha, jaką prezentowała Daisy. Myśli Claire wybiegły w tym momencie ku Dominikowi.

Starannie odłożyła książkę. Nie miała powodów, by się spieszyć, w domu nikt na nią przecież nie czekał. Przeszła do działu historycznego i wybrała książkę traktującą o nalotach na Wielką Brytanię. Opisy schronów podane przez Daisy zmusiły ją do myślenia, ponieważ błędne koncepcje, o których wspominała jej wojenna korespondentka, idealnie wpasowały się w jej własne wyobrażenia. Za każdym razem wizualizowała sobie gwarną imprezę londyńczyków, nad głowami których świstały bomby, a komentatorzy prawili o odwadze ludności cywilnej. Nie trzeba było dogłębnej lektury, żeby się zorientować, że rzeczywistość prezentowała się zgoła inaczej. Większość schronów, od tych umiejscowionych na stacjach metra, po betonowe bunkry na ulicach, kościelne krypty czy piwnice domów towarowych to nie były przyjemne miejsca, które odwiedzało się z radością.

Pomyślała o biednej Daisy, pozostawionej samej sobie, opatulonej kocem, leżącej gdzieś noc w noc, obok setek innych mieszkańców. Jeden nieznajomy przywierał do niej plecami, ktoś inny, prostując nogi, kopał ją przez sen. Z każdą godziną atmosfera stawała się gęstsza od smrodu unoszącego się z prowizorycznych toalet-kubłów i zapachu spoconych ciał. Zdała sobie właśnie sprawę, że w tej przygodzie nie było nic wzniosłego ani romantycznego. Twarze pokazane na fotografiach - niektóre uśmiechnięte, inne smutne lub kompletnie bez wyrazu - miały jedną wspólną cechę. Wszyscy mieli na nich wypisane zmęczenie i znój. Przebywanie wśród obcych ludzi, przeżywanie kolejnych dni wojny z dala od rodziny, monotonia i niebezpieczeństwo - w takich okolicznościach na pewno nie było łatwo żyć. Dlatego takim przyjemnym doznaniem stawała się przemiana jednego z tych obcych, na przykład Richarda, w przyjaciela.

Powiedziała Robowi o Dominiku. Pewnie dlatego tak nagle zapalił się do pomysłu samotnego wyjazdu. Starła się go przedstawić w słowach jak najbardziej neutralnych, ale Rob natychmiast ją przejrzał. Zaprzeczała prawdzie w sposób absolutnie nieprzekonujący, do tego nie potrafiła wyrugować triumfalnego tonu z głosu. Nie istniał żaden inny rodzaj wytłumaczenia dla jej wyznania niż chęć prowokacji. Byle głupiec przecież wie, że w takich sytuacjach najlepiej jest przemilczeć temat. Niestety, toczył ją swego rodzaju umysłowy nowotwór, coś w niej nabrzmiewało, stawało się coraz większe i większe, niczym wrzód. Na skutek działania tej niewidocznej narośli chciała z twarzy Roba zetrzeć najdelikatniejszy ślad uśmiechu, gdy tylko się pojawił. Pragnęła w każdej sytuacji przypominać mu, że wcale mu nie wybaczyła. Chciała, by się wściekał. Oczekiwała, że pokaże jej, że rozumie, co dla niej znaczyła utrata Olivera, jej dziecka, jej synka. Jak inaczej może się tego dowiedzieć, jeśli nie zacznie cierpieć tak jak ona?

- Przepraszam, że nie wróciłam wczoraj na lunch - zaczęła dzień po tym, jak po raz pierwszy po długiej przerwie wylądowali w łóżku. Rob wyglądał na najszcześliwszego od wielu miesięcy. Postanowiła wciągnąć go w pułapkę i porządnie nim wstrząsnąć.

- Nic nie szkodzi — odparł, przyciągnął ją do siebie i objął szczelnie ramionami. - Dokąd poszłaś?

Czuła na swoim uchu jego oddech, a także napięcie ramion.

- Do włoskiej knajpki, tuż obok National Gallery - po tym wyjaśnieniu nastąpiła teatralna pauza. - Poszłam tam z kimś, kogo poznałam w galerii poprzednim razem. Spotkaliśmy się wtedy w kafejce, zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

Zawahał się, wyczuł bowiem w jej głosie, że coś nie gra. Odsunął się.

- Bardzo dobrze. Dobrze jest spotkać kogoś nowego, z kim można pogadać. Ostatnio rzadko spotykasz się ze swoimi przyjaciółkami. Nie to, co kiedyś.

- Wiem - odparła niczym automat, myśląc w tym momencie, co powie za chwilę.

- Znow się spotkaliśmy i postanowiliśmy pójść na lunch. On zna się na sztuce...

-On?

Obudziła w nim natychmiastową zazdrość, która niebezpiecznie zabarwiła jego głos.

- Kiedyś nawet chciał zostać historykiem sztuki.

- O kim ty mówisz, Claire? Kto to jest? — W jego reakcji widać było pełną koncentrację, zmarszczył brwi, jakby zbyt długo wpatrywał się w zapisy dokumentu prawniczego, próbując go rozgryźć, i właśnie mu się to udało.

- Ma na imię Dominie — odwróciła wzrok i spojrzała na kwitnące pąki drzew. Wiedziała, że Rob świdruje ją spojrzeniem. — Bez obaw, Rob. On ma córeczkę.

- A ma też żonę albo dziewczynę?

Tym razem to ona się zawahała, bo zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie zna na to pytanie odpowiedzi. Sama dotychczas tego pytania unikała.

- Chyba jest rozwiedziony. A może w separacji? Jedno z dwojga. To ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma, Claire. Nie ma mowy, żebyś spotykała się z jakimś facetem, którego nie znam. I nieważne, jak wielkim jest znawcą sztuki. Nie zgadzam się na takie spotkania.

- Właściwie dlaczego nie, Rob? Ty się czasem spotykasz z kobietami, na przykład z Julią. Dostyc często ją widzisz. Co więcej, nawet kiedyś ze sobą chodziliście.

- Tak, ale to było dziesięć lat temu, a teraz oboje jesteśmy po ślubie. To zasadnicza różnica. I dobrze o tym wiesz.

- A koleżanki z pracy? Masz ich całe zastępy.

- To tylko koleżanki. Nic więcej — zbił jej kolejny argument. Uparła się, żeby nie przyznawać mu racji, choć doskonale wiedziała, że ją miał.

- Zdawało mi się, że chciałeś, żebym wyszła do ludzi, poznała kogoś, rozprawiała się z przeszłością.

W rzeczy samej. Z przeszłością. Nie spodziewała się, że kiedyś będzie używać Olivera do rozgrywek małżeńskich. Wcześniej taka nie była. Kiedyś była troskliwa i kochająca. Co się z nią stało? Gdzie się podziała ta czułość wywoływana w niej za każdym razem, gdy Rob wypowiadał słowa „moja kochana” ?

- Nie o takich spotkaniach mówiłem. Miałem na myśli grupy wsparcia, może nawet wizyty u psychologa. Coś, co miało pozwolić ci spojrzeć na problem inaczej. Chciałem, żebyś spotkała ludzi, którzy przeżyli podobną traumę, którzy też stracili dzieci. Zdecydowanie nie miałem na myśli podrywania faceta w kawiarni, który chwilę później zamawia dla ciebie spaghetti carbonara.

Zacisnęła pięści i ze ściśniętym żołądkiem rzuciła mu prosto w twarz:

- No cóż, bardzo mi przykro. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że od dnia ślubu nie mogę spotkać się z żadnym innym mężczyzną.

- Nie o to mi chodzi — warknął. - Ale wraz z małżeństwem pewne sprawy się zmieniają, nie sądzisz? Ślub oznacza, że jesteśmy sobie oddani, że razem rozwiązujemy problemy i nie musimy szukać wsparcia wśród obcych ludzi.

Westchnęła zniecierpliwiona.

- To nic poważnego, Rob. Chyba mam prawo mieć nowego znajomego? Zresztą, z tobą o sztuce nie porozmawiam.

- Skąd ta pewność? Nawet nie spróbowałaś. Sama się tym też jakoś nigdy wcześniej nie interesowałaś.

Postanowiła go zaatakować z innej strony. Tym razem była już bardziej pewna siebie.

- Co za różnica. Ciebie i tak nigdy nie ma w domu.

- Wiesz, że nie mogę nic na to poradzić, nie wolno ci mnie za to winić.

Zadzwoił telefon i Rob poszedł do sypialni, żeby go odebrać. Po pierwszych słowach zatrzasnął za sobą drzwi, więc Claire domyśliła się, że to jego matka. Liczyła kolejne minuty jego nieobecności, aż straciła cierpliwość i przeszła do salonu. Gdy wrócił, poznała po przygarbionych ramionach i unikaniu kontaktu wzrokowego, że odeszła mu ochota na kłótnię. Udawała zainteresowaną czarno-białym filmem, ale serce wciąż jej łomotało.

- Claire - zaczął, choć wcale go nie zachęcała do dalszej rozmowy. - Czy ty czasem próbujesz przypomnieć sobie, jak cudownie kiedyś było między nami? Bo ja tak, ja niczego nie zapomniałem. A co z tobą? Nie pamiętasz już, jak obchodziliśmy zoo od zewnątrz, tylko po to, żeby ujrzeć żyrafy wystawiające szyje przez ogrodzenie? A pamiętasz, jak zgubiliśmy się w Hampton Court i baliśmy się, że nas tam w środku zamkną?

- Pamiętam — przytaknęła, choć tak naprawdę nie pamiętała żadnego z tych wydarzeń. Wszystkie dobre wspomnienia gwałtownie się w niej zatarły. Teraz na krótką chwilę wróciły, a wraz z nimi śmiech, radość i szczęście, czyli wszystko to, co wraz z nimi dawno już odeszło.

- Dobrze się kiedyś razem bawiliśmy— podsumował. A potem, przetykając łzy, z trudem dodał: - Kiedyś tak łatwo było cię kochać. Wiedziałem, że nigdy nie pokocham nikogo tak jak ciebie. Nadal chciałbym móc cię kochać, pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Dlaczego musisz wszystko tak utrudniać?

- Bo teraz jest inaczej - odpowiedziała krótko.

- Wiem. I dałbym wszystko, żeby nie musiało być inaczej, żeby znów było tak, jak dawniej.

- To niemożliwe, Rob. Na to jest już za późno - czuła, że sama zaraz też się rozpłacze.

- Nieprawda, Claire. Nie musi być za późno. Nie musisz się na to godzić.

Claire wmawiała sobie, że gdyby Rob nie wyjechał na weekend, ona zrezygnowałaby z wyjścia do National Gallery i została z nim w domu. Razem ostrożnie pielęgnowaliby te resztki pięknych wspomnień, które Rob przywołał. Dmuchałyby na nie i chuchali, byle tylko nie umarły, byle tylko znów zdały im się świeże i prawdziwe.

Wiedziała jednak, że sama siebie oszukuje. I tak by poszła do galerii. W gruncie rzeczy nie zamierzała iść na żadne ustępstwa.

W piątek wieczorem siedziała w domu, samotna i znudzona, niezdolna do oglądania beznadziejnych programów w telewizji, a równocześnie jeszcze nie na tyle zmęczona, by położyć się spać. Wyobraziła sobie Roba i jego kolegów popijających czeskie piwo w pubie na praskiej starówce, zachowujących się odrobinę

zbyt głośno. Metalowa obudowa telefonu komórkowego leżącego na stoliku zdawała się z każdą chwilą coraz mocniej odbijać światło lampy. W pewnej chwili zrozumiała, że nie jest w stanie się oprzeć pokusie. Podniosła aparat i napisała wiadomość do Dominika. *Będę jutro w galerii. Znajdziesz mnie przy obrazie del Sarta, w południe.*

Wielu dzieł tego malarza na pewno tam nie ma, więc Dominie nie będzie miał większych trudności z odnalezieniem jej. A jeśli nawet będzie się musiał trochę pomęczyć, to nawet lepiej. Oznaczać to będzie, że warto jej szukać. Palce drżały jej z podekscytowania, gdy stuknęła w klawiaturę. Później, na wypadek gdyby chciał do niej oddzwonić i wyszłoby na jaw, że siedzi samotnie w domu w piątkowy wieczór, zadzwoniła do siostry, Laury, która mieszkała w Hiszpanii. Prowadziła tam jakąś stronę internetową dla turystów i Brytyjczyków osiedlonych na Półwyspie Iberyjskim. Można odnieść wrażenie, że takiego zajęcia podejmuje się każdy jeden obywatel angielski, który postanowił zamieszkać w Andaluzji. Siostra szybko odebrała, więc Claire rozsiadła się wygodnie na kanapie i pozwoliła, by trajkotanie Laury całkowicie ją zalało potokiem informacji. Wysłuchiwała więc relacji o cudownej pogodzie (w Londynie było szaro i deszczowo),

o zbyt dużym ogrodzie, który tak trudno pielęgnować (Claire i Rob nie mieli choćby zadaszonego tarasu) i o niemożliwych do zniesienia sąsiadach (przynajmniej byli trochę oddaleni, a nie mieszkali pod, obok i nad nią). Claire odnalazła w tej dyskusji na znane tematy jakieś pocieszenie, mimo iż sama bezskutecznie czekała na poprawę swojego bytu.

- A jak u ciebie? — siostra w końcu zapytała, choć przez chwilę Claire w ogóle tego nie zarejestrowała. Dopiero po dłuższej ciszy zorientowała się, że coś przegapiła. Zbyt intensywnie czekała na coś zupełnie innego, na dzwonek telefonu lub sygnał wiadomości przychodzącej od Dominika.

- Jak się miewasz? - Laura stała się niecierpliwa, już nie napawała siostry taką otuchą.

- W porządku - odpowiedziała. - No wiesz, po staremu. - A Rob?

- Na wyjeździe.

Dopiero teraz, gdy musiała się do tego przed kimś przyznać, poczuła żal, że jej mąż zostawił ją samą.

- Dlaczego z nim nie pojechałaś?

Wyobraziła sobie siostrę siedzącą w wiklinowym fotelu na werandzie, odkładającą ostrożnie plastikowy kubek z napojem przy krawędzi basenu, opędzającą się od komarów.

- To wieczór kawalerski. Żony i przyjaciółki nie są tam mile widziane. — Żałowała, że nie potrafi wyzbyć się obronnego tonu.

- No, to w porządku. Chyba nie ma w tym nic złego, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie — zaczęła, ale później poddała się. -Wiesz, chodzi o to...

- O co, Claire?

Chodzi o to, że w jej życiu ktoś jest, ten ktoś ma na imię Dominie, interesuje się nią, powoduje, że czuje się wyjątkowa, a jego usta wciąż czuje na swoim policzku. Do tego ten ktoś ma dziecko. Prawdziwe, żywe dziecko. Ma coś, co jej nie było dane. Wszystko razem oznaczało, że *miała kogoś*. To były właściwe słowa do opisanie sytuacji, ale wiedziała, że nie może ich użyć, nawet przy swojej jedynej siostrze. Być może zrobiłaby tak w przeszłości, gdy były ze sobą bliżej. Może wtedy byłoby to możliwe, ale teraz Laura była zbyt daleko, fizycznie i mentalnie. Wspólne dorastanie, szeptem zdradzone sekrety, porywy serca i związane z nim cierpienia — przestały mieć większe znaczenie. Czy było tak dlatego, że Laura miała już siedmioletnią córkę i o dwa lata młodszego syna, których głosy Claire słyszała w tle? Opalając się w ostatnich promieniach wieczornego słońca, właśnie się o coś zażarcie kłócili. Laura próbowała

uciszyć dzieciaki, przypominając im, że rozmawia z ciocią przez telefon.

- Nic takiego - wydusiła w końcu, zamiast zapewnić: *Jestem po prostu zmęczona, będę kończyć. Słyszę, że jesteś zajęta.*

- Na pewno wszystko gra? Trochę się o ciebie ostatnio martwię. Może powinnaś do mnie częściej dzwonić? Przecież wiesz, że jeśli tylko będę mogła pomóc, to zawsze chętnie to zrobię. Możesz też do mnie wpaść, jeśli masz ochotę uciec przed światem.

Nie ma wątpliwości. Laura za chwilę zadzwoni do matki i poinformuje ją, że z Claire nie jest najlepiej. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała, to interwencja matki z jej radami, które płynnie przechodziły w historię o tym, jak jej własny mąż ją zawiódł. Jakby zapomniała, że w tym przypadku ten mąż to równocześnie ojciec Claire. Zebrała energię potrzebną na odpowiedź, która pogodnym tonem miała powstrzymać Laurę przed takim ruchem.

- Wiem. Jeśli będę cię potrzebować, na pewno się odezwę.

- Dobra, mała. Chcesz chwilę pogadać z dzieciakami? Wiedziała, że powinna chętnie na tę propozycję przystać, ale odpowiedziała tylko:

- Nie tym razem.

- Żadnych innych nowinek? — Obie wiedziały, że bardziej miało to zabrzmieć jak zdanie twierdzące niż pytanie.

- Żadnych — odpowiedziała i rozłączyła się. Brak nowinek. Nie zaoferowała nic, co skróciłoby ten ogromny dystans, jaki się wytworzył nie tylko między siostrami, ale także między Claire i resztą świata.

Było już po północy, gdy usłyszała znajomy, ostry dźwięk komórki, sygnalizujący nadejście wiadomości. Przestała już mieć nadzieję, że Dominie jej odpowie. Wiadomość, która wyrwała ją z półsnu, brzmiała: *Kocham cię. Tęsknię.* Od Roba. No tak, pewnie wrócił do hotelu. Było coś symbolicznego w fakcie,

ze oboje leżeli samotnie w łózkach, setki kilometrów od siebie, w duchu modląc się o to, by ktoś pomógł im rozgrzać pościel. Mimo to nie odpowiedziała mu. Chwilę później kolejna wiadomość. Tym razem Dominie. *Będę.*

Na ten SMS odpowiedziała. Serce biło jej jak szalone.

Świetnie.

Gdy stanęła przed obrazem, zdziwiła się, że Daisy określiła jego nastrój jako melancholijny. Claire ujrzała w nim coś zupełnie innego, coś złowrogiego. Spojrzenie anonimowego mężczyzny miało w sobie coś z groźby, seksualnej groźby podszytej przemocą. W sposobie, w jaki na nią spozierał, było coś mrożącego; patrzył przez ramię, jego sylwetka była odchylona. Odbiorca musiał koncentrować się na jego twarzy, bo tylko ona była w tym portrecie w pełni wyeksponowana, jakby chciał ukryć, co w momencie uchwycenia przez malarza robił. Zastanawiała się, cóż takiego chciał utrzymać w tajemnicy przed wścibskimi oczami. Cokolwiek to było, z całą pewnością się tego nie wstydził, wyglądał na człowieka, któremu ze wstydem nie po drodze. W jego ciemnych, wrogich oczach kryła się arogancja, którą podkreślała uniesiona głowa nakryta kapeluszem. Robił wrażenie człowieka, który nie cofał się przed knowaniami. Daisy miała rację - nie miał najmniejszej ochoty tu być, wystawiony na przenikliwe spojrzenia ludzi próbujących wyczytać tajemnice skryte w jego ciemnych oczach. Anonimowość tytułu idealnie pasowała do nastroju tego obrazu. W pierwszej chwili Claire nie rozumiała, o co chodziło krytykom wskazującym na charakterystyczne cechy palety barw używanych przed del Sarta. Do tego obrazu nie użył ich zbyt wielu, choć faktycznie w oczy rzucał się odważny odcień niebieskości na rękawach koszuli. Swoją drogą, odwaga ta dobrze komponowała się z przebojowością, jaka rysowała się na twarzy

mężczyzny i jaką sygnalizował nawet przez tak prosty gest, jak ułożenie ciała na krześle. Sugerowało ono, że w każdej chwili gotów jest dobyć sztyletu i postraszyć błyszczącym ostrzem kogokolwiek, kto zbyt blisko by do niego podszedł. Claire chciała dojrzeć, czy pod fałdami koszuli kryją się mocne ramiona. Zrozumiała, że ograniczenie palety kolorów to celowy wybieg del Sarta. Czarny, szary i niebieski - kolory zmierzchu, nocy i wszystkich rzeczy, które chciałyby się ukryć w ciemnościach. Oto widniał przed nią portret mężczyzny, który pragnął pozostać w cieniu. Jego myśli kryły się pod mrocznym welonem celowo zaciągniętym nad jego postacią przez portrecistę.

Opis sugerował, że obecnie uważa się, iż model czyta książkę, choć wedle wcześniejszej interpretacji miał rzeźbić. Farba zdążyła na tyle wyblaknąć, że współcześni krytycy nie potrafili wydać jednoznacznego werdyktu. Nie miało to zresztą znaczenia, a przynajmniej do takiego wniosku doszła Claire. Przekaz był taki sam. Niebezpieczeństwo. Pilnuj się. Wzdrygnęła się, odwróciła od obrazu i wpadła wprost na Dominika. Przywitał ją z otwartymi ramionami, blaskiem niebieskich, rozpromienionych oczu i pocałunkiem prosto w usta, który mówił: *Teraz jesteś moja.*

- Co ty wyprawiasz? - zareagowała z udawanym oburzeniem.

— Po prostu się witam. To chyba nic nadzwyczajnego?

Nie dał jej wiele czasu na reakcję. Gdy zaczął mówić, wiedziała, że jej czas na wiarygodny sprzeciw już minął.

- Wybacz, że tak późno odpisałem. Z reguły wieczorem wyłączam komórkę. Nie lubię, gdy mnie coś rozprasza.

— Nic się nie stało - małe kłamstwo, z którego oboje jednakowo zdawali sobie sprawę. Wyczuć można było, że dla Claire większym afrontem była późna odpowiedź niż wiele znaczący pocałunek.

— Skończyliśmy już z wyrzutami? To chodźmy stąd.

- Chwila, moment. Zdawało mi się, że interesujesz się sztuką.

- To prawda, ale nie na tyle, by całe dni spędzać w National Gallery. Przejdźmy się nad Tamizę. Słońce dzisiaj pięknie świeci, nie jest zbyt zimno. W taki dzień powinno tam być całkiem ładnie.

- Dobrze - odpowiedziała i pomaszzerowali ramię w ramię, przechodząc z sali do sali w takt szurających butów należących do zorganizowanych grup, które denerwująco spowalniały tempo. Z ulgą dotarli do wyjścia i po schodach zeszli na plac Trafalgar. Claire głęboko wciągnęła rześkie powietrze w płuca, nie czując w nim zanieczyszczenia, choć zdawała sobie sprawę, że na pewno nie było ono czyste. Powiew wiatru poniosł ze sobą kropelki wody z fontann, które przeleciały tuż przed jej twarzą, dekorując na chwilę scenę barwami tęczy.

- Chodźmy szybciej. Nie chcę, żebyś przemokła - powiedział. Zanim się zorientowała, otoczyło ją silne ramię. Pociągnął ją za sobą. Nie odsunęła się, a on nie zamierzał cofnąć ręki.

Przeszli przez plac niczym para, jakich w tym miejscu można znaleźć wiele, a potem lawirowali po niekończących się przejściach dla pieszych, chcąc przedostać się na drugą stronę ulicy. Rytm zakłócała obecność autobusów, taksówek i tłumy turystów. Claire rzadko tędy chodziła i mimo że orientowała się mniej więcej, jak dojść do rzeki, zdziwiła się ogromnie, gdy wyrosła przed ich oczami dosłownie za rogiem - wielka, zamulona i upstrzona łódkami. Przedostali się przez korek wzdłuż Victoria Embankment i Dominie poprowadził ją ku kamiennej balustradzie. Stanęli i wychylili się, patrząc na wodę. Po prawej stronie miała białą karuzelę London Eye rzucającą cienie na pobliskie budynki, a naprzeciwko dumnie stały niewiarygodne cuda architektury, czyli budynki parlamentu.

- Czy to nie romantyczne miejsce? Uwielbiam je.

- Ja też - przytaknęła, pamiętając, że całowała tutaj kiedyś Roba, tuż po przeprowadzce do Londynu. Przyprowadził

ją w to miejsce po tym, jak zjedli tanią kolację w tajskiej restauracji. Powiedział jej, że Tamiza nocą to najpiękniejszy widok w mieście, a ona nie zaprzeczyła, patrząc na refleksy ulicznych latarni i świateł biurowców w nurcie rzeki. Śmieci, które gdzieś tam musiały unosić się przy brzegu, znikły w ciemnościach. Widać za to było biel zębów Roba, gdy uśmiechał się, podziwiając widoki. Ten niewyczerpany entuzjizm, jakim się wykazywał, sprowokował ją, by przywrzeć ustami do jego ust. Rob podniósł ją i obracał jak na karuzeli, mimo jej protestów i zdziwionych spojrzeń przechodniów. Do teraz pamiętała chłód smagający odsłonięte nogi, gdy spódniczka — kupiona specjalnie na tę okazję - podwinęła się i zaczęła wirować razem z nią, oraz oszałamiający zamęt w głowie, gdy Rob ją w końcu postawił na ziemi.

- O której musisz być w domu? - zapytał Dominie, przerywając wspomnienia i sprowadzając ją z powrotem do rzeczywistości, do której w istocie tamte pierwsze pocałunki z innym facetem w jakiś sposób też doprowadziły.

- Mam czas, Rob wyjechał na weekend - odpowiedziała. Błąd. Nie planowała zdradzać mu imienia męża.

- Mieszkam w pobliżu. Dokładnie tutaj, w tym budynku - wskazał na wysoki apartamentowiec, w stylu przypominającym gotycki. Znajdował się tuż za ich plecami.

- Serio? — zdziwiła się. - Naprawdę mieszkasz tuż nad rzeką?

- Zgadza się. To nie jest duże mieszkanie. Ale dla mnie wystarczy. I ma piękny widok z okien.

Nic nie odpowiedziała. Spacerowali dalej i ponieważ zorientowała się, że to było zaproszenie. Spojrzała na wejście do budynku, a on podążył za nią wzrokiem i roześmiał się.

- Nie ma sprawy — zapewnił.

A potem jeszcze mocniej objął ją ramieniem i ruszyli dalej. Wtuliła się w niego, czując zapach dezodorantu albo wody po goleniu, innej niż Roba. Jak naturalnie i dobrze im się

spacerowało. Zastanawiała się, czy Rob lub jakikolwiek inny mężczyzna potrafiłby jej zapewnić to, czego pragnęła, czyli poczucie ciepła i bezpieczeństwa, ucieczkę od samotności.

Ruch uliczny wzdłuż rzeki nieco zelżał, gdy dotarli do Westminsteru. Nagle znaleźli się wśród ogrodów, które oddzielały ich od furgonetek i samochodów pełnych zmarzniętych ludzi jedzących w samotności posiłki. Przystanęli pod jedną z kafejek. Dominie wszedł do środka, by kupić im gorącą czekoladę. Claire czekała na ławeczce i patrzyła na rzekę. Miała wrażenie, że jej życie odpływa wraz z nurtem Tamizy do morza. Na drzewach po obu stronach ławki wykwitły już różowe pąki kwiatów. Po drugiej stronie rzeki widać było budynki szpitala im. Św. Tomasza, gdzie chaotycznie mieszały się ze sobą stara i nowa architektura. Razem z Robem rozważali, czy nie powinna właśnie tam urodzić dziecka. Co prawda szpital położony był daleko od ich domu, ale dali się przekonać dzięki zdjęciom, które po porodzie rozesłała jedna ze szkolnych koleżanek Claire. Na fotografiach robionych na oddziale położniczym widać charakterystyczną sylwetkę Big Bena w tle. Całkiem dobre miejsce na przeżywanie pierwszych chwil dziecka. Może przy następnej próbie?

Wyprostowała się na ławce.

Po raz pierwszy pozwoliła sobie na podobną myśl. Zamiast zastępstwa dla Olivera pojawił się ktoś, kto miałby przyjść po nim. Z pewnością to dobry prognostyk: być może kiedyś wszystko jeszcze wróci do normalności. Tylko jak? Chwilę później zjawił się Dominie z bardzo gorącą czekoladą w papierowych kubkach i zdała sobie sprawę, że nic w jej życiu nie jest normalne.

- Co się dzieje? - zapytał.

Dmuchała ostrożnie, żeby ostudzić napój. Czekolada była tak gęsta, że na górze zrobił się kożuch. Widok ten skojarzył się jej z ostudzonym budyniem, który bez przerwy serwowano jej w szkolnej stołówce, gdy była w podstawówce.

- Wszystko w porządku, pomyślałam tylko o przyjaciółce. Urodziła tutaj swoje pierwsze dziecko. To się dzieje tak szybko... Jednego dnia wychodzisz w piątek po pracy na drinka, a chwilę później połowa twoich znajomych musi zostać w domu, bo opiekuje się dzieckiem.

Dominie rozparł się wygodnie na ławce.

- Myśmy z matką Ruby wyprzedzili całą konkurencję. Gdy nasze dziecko się rodziło, inni jeszcze nawet nie planowali. Wciąż pamiętam te wszystkie prezenty, które dostaliśmy, gdy mała się urodziła. Była ich cała masa, z czego większość kompletnie bezużyteczna. Nikt z naszych przyjaciół nie wiedział, co kupić świeżo upieczonym rodzicom, a my też nie mieliśmy bladego pojęcia,

O co poprosić. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy jedyną taką parą na świecie i nasze tematy nie wykraczały poza nieprzespane noce

1 zmiany pieluch.

- Ale przynajmniej mieliście Ruby. Mieliście swoją małą córeczkę.

— Oczywiście. I tylko to się liczyło - twarz mu się rozpromieniła na myśl o dziecku.

— Co u niej ciekawego?

— U niej? Super. Obecnie marzy o tym, by być księżniczką, która mieszka na zamku i ma własnego kucyka. Chce, żebym jej go kupił. Dasz wiarę? Chodzi jej tylko o kucyka, bo wie, że zamku dostać nie może.

— Cóż, pewne rzeczy się nie zmieniają - Claire odpowiedziała z uśmiechem. - Byłam dokładnie taka sama w jej wieku. Mama, widząc moją fascynację, zapisała mnie nawet na kurs jeździectwa. Przyznanie się, że od pierwszej chwili te lekcje znienawidziłam, zajęło mi całe lata.

Zapadła między nimi cisza. Oboje popijali czekoladę i patrzyli na rzekę.

- Nie macie jeszcze dziecka z Robem, prawda?

Nie podobało jej się, że z ust Dominika słyszy imię męża. Dobry nastrój ją opuścił, tym bardziej, że pomyślała o szerszym kontekście tego pytania.

- Nie. Zastanawiałeś się, czy mam?

Czuła, że słowa w niekontrolowany sposób przyjmują błagalną tonację. Bardzo chciała, żeby odpowiedział twierdząco.

-Tak- odparł. - Ale tylko podczas naszego pierwszego spotkania w galerii. Myślałem, że wyskoczyłaś do galerii, żeby na chwilę zażyć wolności, podczas gdy mąż został z dzieckiem w domu. Inni tak robią. Człowiek czasem musi uciec choćby na chwilę od swojej rzeczywistości. Oczywiście, jeszcze zanim kupiłem ci to ciastko, wiedziałem już, że nie masz dziecka. Kobiety zawsze otwarcie opowiadają o rodzinie, tak samo jak o mężu. Chwilę później pokazują zdjęcia w portfelu lub w telefonie. I zawsze jest to zdjęcie dziecka, nigdy ojca. Tak to już jest, gdy rodzą się dzieci. Później nie liczy się już nic innego.

Claire nigdy wcześniej nie słyszała w jego głosie takiej nutki goryczy. Teraz pojawiła się ona jako przygrywka dla jej własnych, gorzkich myśli o OHverze, które znów zaatakowały jej mózg. Chciała zareagować spokojną, niezobowiązującą odzywką, jednak poczuła, że smutny wyraz twarzy i tak ją za chwilę zdradzi. Dominie mówił dalej, podczas gdy ona czyniła wysiłek, by skupić się jedynie na jego słowach. Na próżno, w końcu się zorientował.

- Co się dzieje, Claire? Powiedziałem coś nie tak?

- Nic z tych rzeczy. Chodzi jedynie o to, że powinnam mieć już dziecko. A nie mam.

- Przykro mi. Chcesz o tym porozmawiać?

No więc wszystko mu opowiedziała, ale nie skoncentrowała się na wydarzeniu, tylko na odczuciach z nim związanych. Opisała, jak to jest patrzeć, gdy wszelkie marzenia przeobrażają się w koszmar, jak się czuła, gdy musiała wszystkim przekazywać informację, że dziecka już nie ma, jak dziwnym doznaniem był

placz w ramionach koleżanek z pracy, których nawet niespecjalnie lubiła.

- Mówiłam do niego po imieniu, Oliver — dodała na koniec. - Wiedzieliśmy, że to miał być chłopiec. Byliśmy już po drugim USG. Uznałam, że zasługiwał na imię.

Rob nigdy nie pojął, dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, żeby mówić o dziecku w taki sposób. Uważał, że przez to będzie jej jeszcze trudniej pogodzić się ze stratą. Nie omieszkał jej tego powiedzieć przy pierwszej okazji, gdy odważyła się wspomnieć przy nim imię synka. Oliver. *Dlaczego musiałaś to zrobić, po co ci to?* — zapytał, gdy zaczynała się jesień i lśniące liście kasztanowców fruwały frywolnie na wietrze, co tylko spotęgowało ich smutek, doprowadzając oboje do gorzkich łez. *Bo to było nasze dziecko!* — wykrzyczała w odpowiedzi. *Bo nie chcę o nim zapomnieć! Nie chcę pozwolić mu odejść!* Wtedy pojęła, że dla Roba Oliver nie był jeszcze żadnym realnym dzieckiem. A tymczasem ona oczami wyobraźni oglądała chrzciny i przyjęcie z okazji pierwszych urodzin, fotografię w rodzinnym albumie, na której widać rumiane, rozpromienione dziecko w foteliku, siedzące przed tortem, na którym pali się jedna świeczka. I inne zdjęcia, na przykład młodego chłopczyka w krótkich spodniach i blezerze, który przez bramę wejściową biegnie do szkoły. Dla Roba najwyraźniej był to jedynie drgający, czarnobiały duch na ekranie, z ekspresowym tętnem i skomplikowanym zbiorem komórek, które przez przypadek składały się na malutkie nóżki, palce i śmieszne uszy.

- Oczywiście, że zasługiwał na imię — mówiąc to, Dominie chwycił jej zimną dłoń. - Każde dziecko powinno mieć jakieś imię.

W sekundę dotarło do niej, że na tę chwilę jest dla niego jedyną osobą na świecie, że to był jedyny dialog, który warto było toczyć. Wyczytała to z jego oczu.

- Dziękuję — wyszeptała.

Tylko tyle i aż tyle potrafiła z siebie wydobyć, by chwilę później pochylić ku niemu usta. Od samego rana, gdy tylko się obudziła, wiedziała, że dziś to nastąpi. Ba, wiedziała to już nawet wtedy, gdy rozstawali się po włoskim obiedzie i wspólnym oglądaniu *Apolla i Dafne*. Czula jego zapach, wyczuwała kontury ust, jego smak, język, twardą szczecinę na brodzie, która ocierała się o jej policzek, a pod dłonią - dotyk jego włosów. Z jaką swobodą potrafił zrozumieć to, co chciała mu przekazać. Doznanie to było zupełnie inne niż pocałunki z Robem. Poczula rozkoszne mrowienie, a już prawie zapomniała, jak to jest. Dała się ponieść, ich intymna chwila trwała.

MADONNA I KOSZ - CORREGGIO

Gdy tylko dotarła do domu, ogarnęła ją fala zmęczenia.

Czuła się bardziej chora niż rozpalona balansowaniem na krawędzi niewierności. Musiała czym prędzej położyć się i poczuć chłód poduszek na policzku. Aby zakończyć jak najszybciej spotkanie, uciekła się do błahej wymówki, którą Dominie natychmiast odczytał.

- Spokojnie, Claire - powiedział. - Nikt się nie dowie. Uwierz mi, takie rzeczy się ludziom przydarzają, szczególnie tak pięknym kobietom. Na pewno nie jestem jedynym, który cię pragnie.

Oczywiście, że nie jesteś jedyny, pomyślała. Jest jeszcze mój mąż.

Wydawał się wyjątkowo spokojny, gdy to mówił. Wyciągnął rękę w jej kierunku i poprawił niesforny kosmyk włosów Claire, wsuwając go za ucho; zmarznięte palce dotknęły przy tym rozpalonej skóry.

- Najlepiej odpowiedz sobie na pytanie, czy jesteś szczęśliwa z mężem - dodał.

Nic nie odpowiedziała, ale jej milczenie mówiło więcej niż potok słów. Wiedział już w tym momencie, że wcale nie jest szczęśliwa, że nawet nie wie, jak ma ku temu szczęściu podążać, a jeśli w ostatnich czasach miała powody do uśmiechu, to tylko dzięki niemu. Cisza trwała i po chwili nie było sensu nic dodawać. Nie mogła uwierzyć, że doprowadziła do takiej sytuacji.

Powinna była uciąć temat konstatacją, że te sprawy Dominika nie dotyczą i że to wszystko było pomyłką, która się więcej nie zdarzy. Tylko dlaczego miała uciekać w stwierdzenia, którym sama nie dawała wiary? Zdawała sobie sprawę, że takie chwile z całą pewnością się powtórzą. Wydarzą się, ponieważ ona tego chce. Dawno już nie czuła takiego pragnienia, by coś mieć, by coś się zmaterializowało. Z całą pewnością nie miała zamiaru rezygnować z tego, co się między nimi działo.

Pochylił się, by jeszcze raz ją pocałować, ale w tym momencie zebrała się w sobie, by wstać.

— Przykro mi, naprawdę muszę już iść.

— Rozumiem. Nie chcę jednak, by to się tak skończyło. A ty?

— Ja też nie - odpowiedziała zupełnie szczerze. Dotknęła delikatnie dłonią jego policzka i ruszyła energicznie w drogę do domu. Gdy się obejrzała, zobaczyła, że poryw zimnego wiatru zerwał pąki kwiatów z drzew. Fruwały one wokół Dominika niczym konfetti.

— Do zobaczenia — zawołał za nią, gdy odchodziła.

Gdy tylko weszła do mieszkania, natychmiast się położyła, szczelnie okrywając kołdrą. W głowie jej się kotłowało, wstyd toczył ciężki bój z radością. Gardziła sobą za to, że uległa dotykowi Dominika. Coś tak magicznego nie zdarzyło się jej z Robem od wielu miesięcy. Z drugiej strony był to dowód, że przynajmniej wciąż coś potrafi odczuwać, że ta część jej kobiecości nie odeszła na zawsze.

Rob i ja właściwie nie jesteśmy już parą. Dzielimy jedynie ze sobą przestrzeń do życia. Nawet nie jesteśmy już przyjaciółmi, bo on przestał mnie rozumieć.

Jakże łatwo przyszły jej słowa usprawiedliwienia dla własnych czynów. Gdy była nastolatką, Claire czytała takie wyświechtane zdania w kolorowych czasopismach i zawsze uważała je za żalosne. A teraz sama się do nich uciekała. Niemal udało się jej

przekonać samą siebie, że w gruncie rzeczy nie zrobiła nic złego. To był tylko pocałunek. W istocie nie czuła zbyt mocnych wyrzutów sumienia.

Z zadumy wyrwał ją natarczywy dzwonek telefonu. Serce natychmiast przyspieszyło swój rytm. Wiedziała, że to Dominie albo Rob. Rob albo Dominie. Nie odebrała, poczekała spokojnie, aż przyjdzie wiadomość głosowa, którą później spokojnie odsłucha. Jakiś głos uporczywie podsuwał myśl: *Nie jestem wcale lepsza od niej. Staję się dokładanie taka, jak ona.* Matka o wygórowanych ambicjach, która nie potrafi zostać sama, wiecznie nieobecny ojciec. I teraz ona — trudna żona i jej nieobecny mąż, powielanie smutnego schematu. Podsumowanie w stylu jej matki dźwięczące w głowie: *Cóż, tak to już jest z córkami, Claire. W końcu wszystkie upodabniają się do swoich matek. To tylko kwestia czasu.*

Wzdrygnęła się i przeturlała w kierunku nocnej szafki, by wyciągnąć starannie ułożony plik listów od Daisy. Zaczynając od pierwszego, jeszcze raz przeczytała wszystkie aż do marcowego włącznie. Potem przewertowała je ponownie, ostrożnie przekładając kartki. Czuła się już absolutnie spokojna. Wróciło uczucie, którego doświadczała, gdy była małą dziewczynką - ssąc wtedy kciuk, potrafiła odizolować się od szumu świata zewnętrznego. Zrobiła sobie herbaty, z pudełka na herbatniki wyjęła trzy czekoladowe ciastka i wzięła do ręki kopertę z listem od Daisy. Nagłówek był taki sam, jak zawsze: *Droga Elizabeth*, ale ona w duchu odczytała go jako: *Droga Claire*.

Kwiecień 1943 rok

Droga Elizabeth!

Richard rozpoczął prace nad moim portretem. Teraz, gdy wchodzę do biura, czuję się bardzo ważna. Nawet gdy nie ma go przy mnie, siedzę wyprostowana na krześle i co chwilę sprawdzam,

czy moje włosy są dobrze ułożone. Wszystkie dziewczyny w biurze oczywiście piekielnie mi tego zazdroszczą, dopytują się nawet, czy jest szansa, że pojawią się na jego kolejnym portrecie. Nie mogą pojąć, dlaczego wybrał akurat mnie. Dotyczy to zwłaszcza tych, które zdają sobie sprawę ze swojej ponadprzeciętnej urody. Jestem więcej niż pewna, że za moimi plecami roztrząsają tę kwestię. Czasami gdy wchodzę do szatni, nagle milkną, a przecież przez większość czasu ćwierkają jak wróbelki. Plotki, ploteczki! Bez przerwy! Właściwie to nawet fajnie jest dać im wreszcie okazję do rozmowy. Jakoś wcześniej się mną nie interesowały...

Richard bawi się nimi okrutnie, a one robią wszystko, żeby je zauważył. Wiedzą przecież, że ma zlecenie na cykl obrazów, więc oprócz mnie załapią się też jakieś inne kobiety. Od kiedy im o tym opowiedział, jakoś nigdy nie narzeka na brak herbaty, nawet jeśli oznacza to, że ktoś inny musi się podczas porannej przerwy obejść smakiem. Biedna panna Johnson jest totalnie skonfundowana całą tą aferą i oscyluje między irytacją oraz krytyką braku koncentracji (uznaje to zamieszanie za sposób na obniżanie produktywności, bo ponoć zbyt wiele czasu zajmuje nam trajkotanie z wypiekami na twarzy) a dumą z tego, że ktoś uznał naszą pracę za godną uwiecznienia. „Mówiłam wam, dziewczęta” - oznajmiła pewnego dnia. Tę wojnę wygrywa się także w tym pokoju. To, co robimy, jest naprawdę ważne”. Za każdym razem, gdy pojawia się ktoś z ministerstwa, nie wypuszcza go bez uprzedniego zapoznania z Richardem. A on nawet wspomniał, że rozważa umieszczenie jej postaci gdzieś w drugim planie mojego portretu. Usłyszawszy to, cała spąsowiała i oczywiście nie protestowała. Nikt by w takiej sytuacji przecież nie oponował.

Richard po raz pierwszy zjawiał się w naszym biurze którejś środy, kompletnie niezapowiedziany, machając całym zwiłkiem pozwoleń na swoją obecność w naszym pokoju. Panna J. uważnie przestudiowała dokumenty, po czym zmierzyła go spojrzeniem znad swoich

okularów. Obejrzała go uważnie od stóp do głów. Jak możesz sobie wyobrazić, nie mogłam wysiedzieć na swoim miejscu. Na koniec nasza szefowa stwierdziła, że papiery najwyraźniej są w porządku i oprowadziła go po biurze, przedstawiając każdego pracownika z osobna, wraz z naszymi funkcjami. Trzeba mu oddać, że starał się uważniej słuchać. Biedny Richard! Po takim wstępie, z uznaniem rozejrzał się po pokoju, po czym powiedział: „Zaczę od niej”, wskazując na mnie, oczywiście! Nikomu nie zdradziłam, że spotykamy się od miesiący (ależ ten czas płynie!), bo przecież zaraz by się odezwały jakieś głosy, że wybór jest nieuczciwy. Poza tym naprawdę zabawnie jest udawać, że w ogóle się nie znamy. Nie chcę, żeby ludzie się dowiedzieli, że Richard wybrał mnie, a nie to biuro. Chcę, żeby wszystkim było miło, a wiem, że panna J. byłaby rozczarowana, gdyby poznała prawdę.

Początkowo pytałam, czego ode mnie oczekuje, czy mam się jakoś konkretnie zachowywać, czy mam spoglądać w którymś kierunku, ale on powiedział jedynie, że mam być naturalna, jakby nic się nie działo i trwał normalny dzień pracy. Zabrałam się zatem do pracy, a wtedy on rozkazał: „Teraz zastygnij w bezruchu”. Itak też zrobiłam, aż znów pozwolił mi na swobodę ruchu. Uwierz mi, takie pozowanie, gdy nie może drgnąć nawet jeden mięsień, jest o niebo trudniejsze niż pisanie na maszynie.

Jego wizyty nie są codziennością, ponieważ okazuje się, że potrzebuje do swojej pracy odpowiedniego światła. Jeśli jest zbyt wcześnie lub zbyt późno, pada deszcz albo jest zbyt duże zachmurzenie, wtedy nie ma sensu malować. Jednak gdy już jest z nami i pracuje, nie mogę przestać się radować z faktu, że jest na świecie mężczyzna, który patrzy na mnie w taki sposób. W jego oczach widać skupienie, zwłaszcza gdy trzyma ołówek w ręku. Gdy tak na mnie spogląda, myślę nawet, że nie robiłoby różnicy, gdybym była naga. Powiedział mi zresztą, że malowanie aktów nie jest mu obce. Kobięcych i męskich. W ogóle mu to nie przeszkadza. Twierdzi zresztą, że jego

modele i modelki nie muszą mieć idealnych kształtów, a nawet lepiej, jeśli mają jakieś niedoskonałości. Czyni to akt bardziej interesującym. Zastanawiam się, jak postrzega moje ciało. On na razie nie poruszył tego tematu, a ja nie mam zamiaru dopytywać. Często oddaję mu spojrzenia, bardzo odważne (tak mi się zdaje), patrząc, jak palcami przeczesuje włosy rozświetlone przez promienie słoneczne albo odrzuca je do tyłu. Od czas do czasu jego spojrzenie staje się dzikie i tak mocno naciska ołówkiem na płótno, że pęka grafit. A z kolei innym razem robi kilka kroków do tyłu i uśmiecha się do mnie. Zawsze odwzajemniam mu uśmiech, nie mogę się powstrzymać. Wtedy marszczy brew, bo, jak mówiłam, mam przecież siedzieć w bezruchu i nie zmieniać wyrazu twarzy. Zostawił mi nawet notkę na biurku, sprowadzając mnie tym nieco na ziemię. Zaczął od tego, że w National Gallery pojawi się „Madonna i kosz” Correggia i że kiedy mnie tam zabierze, to mam zwrócić szczególną uwagę na to, jak spokojnie Madonna na tym obrazie wygląda i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy modelka artysty też się tak wierciła, jakby ją co chwilę gryzły pchły. Zakończył stwierdzeniem, że jeśli nie zacznę tego projektu traktować bardziej serio, to doprowadzę go do szaleństwa.

Na szczęście list nie zawierał jedynie reprimendy, reszta była całkiem miła. Napisał, że bardzo lubi na mnie patrzeć. Zapytał też, czy pozowanie dla niego sprawia mi przyjemność, po czym sam na to pytanie odpowiedział twierdząco. Napisał, że poznał to po charakterystycznym błysku w moich oczach. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Najwyraźniej przed okiem artysty nic się nie ukryje. Richard twierdzi, że oni szybko uczą się odczytywania ludzkich twarzy.

W tej chwili pracuje nad wstępnymi szkicami, tak je nazywa. Nie pozwala mi na nie spojrzeć, co, jak możesz się domyślić, bardzo mnie irytuje. Jest jednak w tej kwestii stanowczy. Jego zdaniem zbyt wczesne spojrzenie na dzieło zepsułoby cały efekt zaskoczenia.

Część dziewczyn ma trochę więcej szczęścia, bo mogą czasem przejść za jego plecami, gdy pracuje. A ja muszę sztywno siedzieć. Twierdzą, że jak na czas, który zdążył mi poświęcić, nie ma tam za wiele do oglądania, ale po prostu pewnie znów przemawia przez nie zazdrość. Nie zmienia to faktu, że chętnie bym obejrzała jakieś inne jego dzieła, żeby zobaczyć, czy jest w tym dobry. Nie chciałabym, żeby wyszedł mu jakiś bohomas zamiast dobrego portretu. Najlepiej, żeby to było tak piękne dzieło, że zostanie wystawione w National Gallery, a zwiedzający będą przystawać przed nim z komentarzem: „Rozumiem, dlaczego chciał namalować tę kobietę. Ciekawe, kim ona jest?”. I potem przeczytaliby opis podający moje nazwisko. Skoro już ma istnieć mój portret, a zakładam, że nie będzie ich więcej niż ten jeden, to w sumie dobrze by było, gdybym wyszła na nim zjawiskowo, nie sądzisz? Tak mu zresztą powiedziałam. Odparł na to, że bym mu nie mąciła w głowie, bo musi zachować pełne skupienie.

Wreszcie mam jakieś wieści od Charlesa. Rany boskie, jak długo musiałam czekać? Wiele miesięcy. O dziwo, brzmiał znacznie bardziej optymistycznie, niż bym się tego spodziewała, ale musimy pamiętać, że to jedynie list i w jego treści niczego nie można być pewnym, zwłaszcza gdy jest napisany ręką mężczyzny. Część moich listów do niego dotarła (śliwki już nie!), ale dzieje się to z dużym opóźnieniem. Twierdzi, że nie może się już doczekać, aż skopie parę szwabskich tyłków, ale póki co wciąż musi czekać. Píše także, że wciąż o mnie myśli, że nie może się doczekać chwili, gdy to wszystko się skończy i będzie mógł porwać mnie w ramiona, a potem przed ołtarz i do małego domku na wsi, gdzie wiciokrzew będzie się piął przy drzwiach, a pokój dziecięcy czekał już przygotowany, ze ścianami pomalowanymi na niebiesko. Takich sentymentalnych zwierzeń znalazło się w tym Uście wiele, były ich w istocie całe strony. To zupełnie niepodobne do Charlesa. Domyślałam się, że tak się dzieje z wieloma żołnierzami skoszarowanymi na pustyni, czekającymi na rozkazy; sny na jawie stają się tam tak

powszechne jak fatamorgana. Swoją drogą, jeśli pobyt na froncie ma w nim obudzić romantyka, to ja mogę jedynie stwierdzić: najwyższy ku temu czas! Wygląda na to, że nie jest mu tam źle. Píše na przykład, że w dużych miastach sklepy wciąż wystawiają swoje towary w witrynach i że wyśle mi pończochy jako dowód, że często o mnie myśli. Ja też o nim myślę. Czasami. O Boże...

Nie myśl sobie, że zanedbuję National Gallery, bo tak nie jest. Teraz pociąga mnie ona nawet bardziej niż wcześniej, skoro jest szansa, że pewnego dnia pojawi się tam mój portret. Jak już wspomniałam, w tym miesiącu wystawiają „Madonnę i kosz” Correggia — to już kolejny włoski artysta, o którym, szczerze mówiąc, nic nie słyszałam. Być może dlatego nie boją się ryzyka, że obraz zostanie uszkodzony podczas nalotu. Obraz jest mały, ale uroczy. Już sam tytuł wywołał na mojej twarzy uśmiech. To tak, jakby mój portret nazwać: „Daisy i maszyna do pisania”. Wspomniałam o tym Richardowi i obiecał, że na pewno tak go nie nazwie. Wolałby mnie widzieć zdaleka od stukotania klawiszy i zaciętych taśm. Twierdzi, że zasługuję na coś więcej, nawet jeśli teraz musi mnie malować w takich, a nie innych okolicznościach.

Spotkałam się z nim w galerii, do której dotarłam sama. Tym razem to on pojawił się pierwszy i to ja poklepałam go w ramię. Odwrócił się powoli i przez chwilę przybrał skomplikowany wyraz twarzy, który przywiódł mi natychmiast na myśl człowieka z portretu del Sarta. Chyba po raz pierwszy w życiu uczę się rozpoznawać w ludziach takie niuanse. W przeszłości jakoś nie chciało mi się studiować twarzy ludzkich ani tym bardziej portretów. Teraz jest zupełnie inaczej. U niektórych ludzi nic nie pozostaje w sferze domysłów. Weźmy na przykład takiego Charlesa, u niego wszystko widać jak na dłoni. Gdy się na niego patrzy, od razu wiadomo, co się dzieje w jego wnętrzu. J na miłość boską, nie ma w tym nic niewłaściwego. Przynajmniej pewne sprawy są dzięki temu łatwiejsze. Z kolei u Richarda to, co widać na powierzchni, jest jedynie uwerturą.

Bardzo mnie to fascynuje, nic na to nie mogę poradzić. Elizabeth, pewnie się domyślasz, do czego to wszystko zmierza? Czuję się, jakbym chodziła wyboistą drogą i kiedy się potykam, to Richard ma mnie wesprzeć na ramieniu. A wszystko dlatego, że Charles w tym czasie tkwi gdzieś na pustyni, opędzając się od muszek. Tymczasem ja pobieram lekcje nauki o sztuce. Wygląda więc na to, że Charles od początku miał rację, powinien był mnie porwać przed ołtarz wiele miesięcy temu i nie byłoby miejsca na to wszystko, co się teraz dzieje. Tyle że nie jestem jeszcze mężatką. Proszę, żebyś o tym pamiętała.

Scena przedstawiona na obrazie jest umiejscowiona w Egipcie, co oczywiście od razu skierowało moje myśli ku Charlesowi i spowodowało jeszcze większe wyrzuty sumienia. Na obrazie przedstawiono Jezusa, Marię i Józefa (no tak, kolejny motyw religijny, jakich tu całe mnóstwo), ale równie dobrze mógłby to być Charles, ja i dziecko, którego on tak pragnie, a którego ja jeszcze nie chcę. Dziecię ma jasne, kręcone włosy, dokładnie takie, jakie miał Charles, gdy był mały. On sam mi o tym nigdy nie wspomniał, dowiedziałam się tego od jego matki podczas ostatniego spotkania, gdy wpadła do miasta na herbatkę do Claridges. Wciąż nosi w portfelu jego zdjęcie z tamtego okresu.

Maria i Jezus siedzą pod gołym niebem. Józef został umieszczony nieco z boku, pracuje przy tokarce. Maria ma na sobie przydymioną, różową suknię, na ramiona zarzuciła półprzezroczysty szal. Tego rodzaju szale są najwyraźniej bardzo popularne wśród artystów, a przynajmniej tak pokazuje moje doświadczenie z ostatnich miesięcy. Wszędzie ich pełno. Richard twierdzi, że to nic więcej, jak próba popisywania się, ponieważ taki efekt bardzo trudno osiągnąć na obrazie, i ja mu wierzę. Maria próbuje włożyć niebieskie wdzianko na wiercącego się Jezuska. Włosy ma ładnie zaczesane do tyłu, ale podczas tej samotności synek stracił kosmyk czy dwa. Och, droga Elizabeth, Maria wydaje się taka troskliwa.

Ty pewnie doskonale wiesz, jakie to uczucie, mnie jest ono zupełnie obce. Obraz ewidentnie skupia się na postaciach Marii i dziecięcia, drugi plan zdaje się kompletnie nieistotny. Charles pewnie marzy o takich scenach: ja w roli matki, podczas gdy on zajmuje się męskimi zajęciami, takimi jak rąbanie drewna. Moim zdaniem tytułowy kosz mówi wszystko o byciu żoną i matką. Znajduje się w nim włóczka i jakieś nożyce, czyli materiały, które posłużyły jej zapewne do dziergania dziecięcego ubranka. Gdy tak to ujrzymy, widać jasno, że praca nigdy nie ma końca! Pewnie komu jak komu, ale Tobie tego objaśniać nie trzeba. Mimo to obraz jest wyjątkowo uroczy. Nie ma w sobie zadęcia, nie ma tu śladu przesadnej pompy. Moje odczucia z nim związane najlepiej Ci będzie zrozumieć, jeśli powiem, że chętnie powiesiłabym go na ścianie, gdyby National Gallery kiedykolwiek postanowiła go wypożyczać.

Muszę kończyć. Ręka mi już nieco ścierpła od pisania, a poza tym wybieram się z Richardem na obiad do pewnej kantyny, którą ktoś szumnie nazwał restauracją. Jego finanse prezentują się dokładnie tak, jak można się tego spodziewać po artyście, czyli jest kompletnie splukany. Ale ja chętnie odpuszczę sobie jedzenie w Ritzu, bo najbardziej liczy się towarzystwo. Nic się jeszcze między nami nie wydarzyło poza malowaniem portretu, ale nie mam wątpliwości, że pewnego dnia coś się stanie. Zawsze zwierzałam Ci się z rzeczy najistotniejszych, więc chcę, żebyś to wiedziała. Postaraj się mnie nie oceniać źle, w końcu wszyscy jesteśmy dorośli, a wokół szaleje wojna. Sprawy mają się teraz zupełnie inaczej.

Ściskam i całuję, Daisy

Aby obejrzeć obraz Correggia, Claire wybrała się do galerii pewnego pięknego dnia, gdy jasne słońce rozświetlało czyste, błękitne niebo, a Londyn prezentował się od swojej najlepszej strony. Rob po raz kolejny wybrał się na weekend

do rodziców. Wyobraziła sobie, jak siedzi przy długim, kuchennym stole, z matką nadskakującą mu, jakby wciąż miał czternaście lat. W ogóle jej ten obraz nie przeszkadzał, bo przecież nie była przy tej scenie obecna. Stąd też i nie miała prawa do wyrażenia sprzeciwu.

- Przecież dopiero co u nich byłeś - zaprotestowała, gdy powiedział jej o swoich planach.

- To wcale nie oznacza, że nie mogę pojechać tam ponownie. Kościół prowadzi w tej chwili zbiórkę pieniędzy na naprawę iglicy i moja matka jest odpowiedzialna za stoisko z ciastami. Obiecałem, że jej trochę pomogę. Wiesz, jakie to dla niej ważne.

- Ale co oni powiedzą, gdy znowu się nie pojawię?

- Dlaczego miałybyś nie pojechać? Powinnaś być przy mnie. Choć to oczywiście twoja decyzja. Nie zmuszam cię.

Zawahała się, mając w pamięci ostatnie Boże Narodzenie. Wspomnienia były tak świeże, że trudno jej było uwierzyć, iż od tego czasu minęły już cztery miesiące. Równocześnie wyobraziła sobie dzień spędzony z Priscillą na sprzedaży kolorowych babeczek, po siedem funtów za kilo. Potem pomyślała o Dominiku. Poczowała obezwładniającą potrzebę jego obecności, objąć i wypowiedania tylko takich słów, jakie chciała usłyszeć.

- Przepraszam, ale nie mam ochoty — odrzekła. - Możesz wymyślić jakąś wymówkę?

- Mogę im powiedzieć, że ci się po prostu nie chciało. Przynajmniej będzie to zgodne z prawdą.

- Proszę, nie rób tego. Nie musisz mnie w taki sposób upokarzać.

- A dlaczego nie, do cholery? Dla mnie to chyba o wiele bardziej krępujące, skoro będę tam bez żony, nie sądzisz? Zresztą i tak widzę, że masz o wiele ciekawsze rzeczy do zrobienia. Chyba już najwyższy czas na kolejne spotkanie z Dominikiem, dobrze myślę?

Widziała, jak bardzo był wściekły i rozczarowany. Powinna mu to jakoś wynagrodzić. Może seks. Nie, tym razem pewnie nie będzie miał ochoty. Był obrażony. Wiedział, że oglądała razem z Dominikiem obraz del Sarta, bo sama mu o tym powiedziała. Ale nie dopytywał, wybierając ucieczkę w milczenie. Za to na dźwięk przychodzącego SMS-a reagował niemal tak samo nerwowo, jak ona. A gdy to ona wysyłała wiadomość, odwracał wzrok albo ostentacyjnie wychodził z pokoju.

Pocałunek z nieznanym oczywiście sporo w jej życiu zmienił. I nie miało znaczenia, że Rob nic o tym nie wiedział. Zresztą mógł sobie wyobrazić rzeczy o wiele gorsze, których Claire jeszcze przecież nie zrobiła. Przez wszystkie poprzednie miesiące to ona była tą, która ignorowała Roba, nienawidziła, odpychała, wraz z jego zbyt oczywistymi próbami bycia dla niej dobrym mężem. Przynajmniej dała mu powód, żeby to on ją znienawidził. I rzeczywiście Rob przestał szukać jej dotyku w łóżku. Teraz oboje mogli mierzyć się z indywidualnym, jakże różnym poczuciem winy. Równowagi jednak nie odzyskali, co więcej, było między nimi jeszcze gorzej, jeszcze silniej odpychali się nawzajem. Tym samym wizje dotyczące Dominika stawały się o wiele bardziej kuszące. Nie potrafiła przewidzieć znaczenia eskalacji wydarzeń, aż zrobiło się zdecydowanie za późno i jeśli teraz istniała jakakolwiek ścieżka powrotu do dobrej małżeńskiej przeszłości, to ona z pewnością jej już nie dostrzegała.

- Masz rację — odpowiedziała po dłuższej pauzie. - Chyba już pora. Od ostatniego obrazu minęły trzy tygodnie.

- Zamierzasz się tam naprawdę z nim wybrać? — Akcentował to zdanie tak, że cała jego wypowiedź przybrała żalospny ton, zupełnie jakby oboje cofnęli się do szkolnych lat i w piaskownicy wyklócili o prawo do posiadania ulubionego kolegi.

- Nie wiem. Pewnie pójde sama albo poproszę kogoś znajomego, żeby mi towarzyszył.

- Wiesz, że zdecydowanie wolę takie rozwiązanie - Rob odrzekł o wiele spokojniej, tłumiąc złość.

- Sprawdzę, czy ktoś miałby ochotę.

Tak, jak tego oczekiwał Rob, Claire spróbowała skontaktować się z przyjaciółmi i choć może nie robiła tego z pełnym przekonaniem, to wiedziała, że nie można było całej winy za porażkę misji zrzucić na nią. Po prostu ludzie w tych czasach wszystko planują z wielkim wyprzedzeniem. Bezdzielnicy robili sobie krótkie wypadki za miasto albo z góry rezerwowali bilety do teatru lub na wystawy. Z kolei rodzice pragnęli spędzać weekendy z pociechami, wybierając się na pływalinię czy do restauracji, które zachęcały do rodzinnych wizyt, oferując specjalne, dziecięce menu. Poza tym, wciąż kłuła ją ta niezręczność, jaka wisiała między nią a większością znajomych. Dotyczyło to nawet tych, którzy z całych sił starali się ją rozumieć i właściwie dobierać słowa, jakby nie pojmowali, że w kwestii Olivera nie ma czegoś takiego, jak właściwy komentarz. W pierwszych chwilach najszczerzej żałoby dopuściła ich tak głęboko do bolesnych wspomnień i myśli, że nikt - ani oni, ani ona — nie potrafił potem tego wyrzucić z pamięci. Miała wrażenie, że jakaś jej część została poświęcona na ołtarzu zwierzeń i choć wiedziała, że wtedy nic by jej nie pohamowało, to jednak żałowała chwil przesadnej słabości.

Zadzwoiła do Dominika z domowego telefonu stacjonarnego, zupełnie jakby był przyjacielem rodziny. Rzecz jasna nie był nim, więc zrobiła to dopiero, gdy Rob już wyjechał i nie musiała się martwić, że podsłucha ich rozmowę.

- Cześć, moja piękna. - Powitał ją nieco zaskoczony, ale zadowolony. Boże, jakie to przyjemne mieć kogoś, kto tak się do niej zwracał. Rob zawsze mówił do niej „kochanie”, ale ostatnio, nawet jeśli to słowo opuszczało jego usta, to tylko przepuszczone przez filtr frustracji wypływającej z niego wszelką przyjemną treść.

- Cześć, co u ciebie? — Zagaiła całkiem zgrabnie, ani zbyt osobiście, ani zbyt ckliwie.

- W porządku. Zastanawiałem się, czy jeszcze do mnie zadzwonisz. Dużo myślałem o naszym ostatnim spotkaniu.

Nastąpiła chwila ciszy. Powróciło wspomnienie chłodnych, złożonych dłoni, płynącej spokojnie rzeki, jego napierających warg, zapachu włosów. To wszystko krążyło gdzieś w zakamarkach pamięci.

- Ja też - w końcu powiedziała. - Mam zamiar wybrać się do galerii. Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Następna stacja „Projektu Daisy” ? Z przyjemnością.

- Kiedy masz wolne? — zapytała odrobinę zbyt skwapliwie.

- W niedzielę, popołudniu. Będę cię potem mógł zabrać na drinka.

- A wcześniej? - Wiedziała, że zbyt łatwo pokazuje mu, jak bardzo pragnie się z nim spotkać.

- Przykro mi, nie mogę. - Nie zaoferował dodatkowego wyjaśnienia.

- Dobrze, w takim razie do zobaczenia przy obrazie Correggia.

- Świetnie. Ciekaw jestem, co wydarzy się później.

Odpowiedział mu jedynie śmiech zdradzający podekscytowanie, który samej Claire wydał się zupełnie obcy. Być może był to śmiech kobiety, która ma romans i może sobie pozwolić na bycie bezwstydną, zamiast martwić się o pokłady miłości potrzebne do małżeńskiego pożycia. Śmiałość tego dialogu pozostawiła w niej trwały ślad, zmusiła do przemyśleń i stwierdzenia, że przecież takie rzeczy dzieją się nie od dziś. Wystarczy spojrzeć na Daisy. Może i nie była mężatką, ale przecież nosiła już zaręczynowy pierścionek, a tymczasem z jej listów wynikało nader jasno, że nie będzie już w nich zbyt wiele miejsca na pisanie o Charlesie, domku na wsi i całej otoczce. *Tak*, pomyślała, gdy odkładała słuchawkę, *wystarczy popatrzeć na Daisy. Nie musisz na siebie.*

Nie od razu odnalazła obraz. Daisy miała rację, rzeczywiście był mały. W zestawieniu z o wiele większymi, bardziej imponującymi wydawał się mało istotny. Początkowo dojrzała jedynie śmiałą ramę z pomalowanego na złoto drewna z wyrytymi kwiatami, które mogły być pierwiosnkami. Dopiero gdy podeszła bliżej, dostrzegła cudowną intymność relacji między matką i dzieckiem i zrozumiała, że artysta wcale nie zamierzał pokazywać jakiejś wielkiej sceny. Miało być naturalnie, prywatnie. Claire zdawało się wręcz, że ma przed oczami zdjęcie, jedno z tych, gdzie obiekt nawet nie zdawał sobie sprawy z obecności fotografa. Maria całkowicie skupia się na blondynku o kręconych włoskach, który pod niebieską kamizelką naciąganą mu przez matkę i białą koszulką przepasaną wokół talii jest zupełnie nagi. Jezusek ma tutaj już około dziewięciu miesięcy i potrafi samodzielnie siedzieć, choć jeszcze nie umie chodzić. Z kolei Maria jest młoda i piękna w swojej zwyczajnej codzienności. Artysta postanowił przedstawić ją zupełnie inaczej niż w tradycyjnych portretach Matki Boskiej. Tak jak pisała Daisy, miała na sobie różową suknię, szal owinięty wokół ramion i zarzucony na starannie upięte włosy. Jedną ręką spoczywa delikatnie na ramieniu synka, a trzy palce drugiej muskają malutką, dziecięcą dłoń. Józef zdaje się kompletnie nie interesować sceną, jakich pewnie widział już wiele. Ale Maria jest w pełni zaangażowana w to, co robi. Nic innego się dla niej nie liczy, tylko kolejne ulotne chwile, które dzieli ze swoim dzieckiem. Nie spogląda w kierunku Józefa, nie czyni nic, by włączyć go do ich magicznego kręgu.

Claire odniosła wrażenie, że w tym obrazie spełnia się przepowiednia z obrazu Botticellego. Tak jak przewidziała, Józef został odsunięty na boczny tor; przyjął rolę jednego z tych mężczyzn, którzy mieli pozostać elementem tła. Dla Marii zadanie ubrania Jezuska ma nieodparty urok, ponieważ to dziecko było jej i tylko

jej. Czy nie tak wszystkie matki postrzegają swoje potomstwo? Oto całe ich życie: ciężko pracujący mąż, czuła matka i wierzgający maluch, który z pozoru jest zwykłym dzieckiem. Claire szybko zwróciła uwagę na fakt, że jego wolna dłoń uniesiona jest w geście błogosławieństwa. Przed jej oczami rozgrywała się scena z zamierzchłej, wyimaginowanej przeszłości, a równocześnie pokazywała przyszłość Claire, a przynajmniej to, jak powinna ona wyglądać.

Daisy polubiła ten obraz, co trochę zdziwiło Claire. Zastanawiała się, czy lubiłaby go tak samo, gdyby przyszła go podziwiać bez towarzystwa. Przecież przedstawiał rzeczywistość, od której Daisy chciała za wszelką cenę uciec. Tyle że Daisy nie patrzyła na niego w samotności, czekała na Richarda, co spychało obraz na drugi plan. Stała pewnie przed nim podekscytowana, udając, że skupia na nim swoją uwagę, bo nie chciała, żeby ją ktoś przyłapał na tym, że się rozgląda za swoim towarzyszem. Pragnęła poczuć na ramieniu jego dłoń i odegrać rolę kobiety, która nie zauważyła jego nadejścia. Łatwo było jej to sobie wyobrazić, bo Claire robiła dokładnie to samo, a przynajmniej próbowała. Jednak w pewnej chwili widziała już tylko blond loki należące do dziecka Marii, a w nozdrzach, zamiast zapachu drewna i pasty do podłogi, poczuła swąd środka odkażającego, jednorazowych rękawiczek i krwi, która nie chciała przestać płynąć.

Patrząc na obraz, pocieszyła się, że nie jest jedyną cierpiącą na świecie. Pomyślała o tysiącach rodzin rozdzielonych przez wojnę, o dzieciach oderwanych od matek - jakoś żadna z tych myśli nie stała się udziałem Daisy. Claire obejrzała kiedyś wywiad, który wywarł na niej wielkie wrażenie. Opowiadał on historię kobiety i dziecka. Zostało ono ewakuowane i w trakcie lat spędzonych u rodziny zastępczej było o wiele szczęśliwsze niż kiedykolwiek później, pod kuratelą własnych rodziców po powrocie. Kilka dekad później ta sama kobieta stanęła przed kamerą

i powiedziała: *Do dziś zastanawiam się, czy nie powinnam jej tam wtedy zostawić, czy dobrze zrobiłam, zgłaszając się po nią.* Przerazająca prawda kryjąca się za tymi słowami przytłoczyła Claire, ale nie poddała się nastrojowi i powstrzymała łzy. Całkiem słusznie, jak się okazało, bo chwilę później poczuła na ramieniu czyjś dotyk. Nie, to nie był Richard, tylko Dominie. Ukryła twarz w pachnących świeżością połach jego koszuli.

Zdawał się w ogóle nie przywiązywać wagi do obrazu, być może rzucił mu tylko przelotne spojrzenie. Liczyła się tylko ona, nic więcej. Jego wzrok był skupiony, spojrzenie pełne oddania.

- Chodź. — powiedział. - Chyba masz już na dziś dość mocowania się ze sztuką.

Wyszli na ulicę.

Ktoś może nas zobaczyć— tak powinna była powiedzieć i puścić jego rękę, ale tego nie zrobiła. Dała się ponieść chwili. Nie zapytała nawet, dokąd ją prowadzi. Zamiast do jednego z barów, jakich mnóstwo było w okolicy, zabrał ją do restauracji umiejscowionej w krypcie pod kościołem St Martin-in-the-Fields, w samym centrum Trafalgar Square. Claire była tam kilkakrotnie z ojcem i jego nową rodziną, a ostatnio także z Laurą i jej dziećmi. Kojarzyła to miejsce z ziemniakami w mundurkach i zupą dnia. Pojawienie się tam z Dominikiem granoczyło z absurdem. Patrząc na niego, podejrzewała przecież, że to człowiek, który najchętniej zamawiałby szampana i przesiadywał w amerykańskim barze w hotelu Savoy. Usadowili się w małej, pachnącej wilgocią alkwie, zamówili butelkę białego wina. Razem z nim na nieduży stolik wjechały kanapki z szynką i musztardą, a całości dopełniało blade światło dochodzące ze świeczki ustawionej na dnie taniej szklanki.

*t Właściwie to dlaczego nie siedzimy w jakimś eleganckim barze i nie zamawiamy drogich koktajli? - zapytała. Już zadając to pytanie, zorientowała się, patrząc na restaurację z innej

perspektywy, że jest to mroczne miejsce pełne ciemnych kątów, w których przesiadywać lubią ludzie szukający dyskretnego cienia.

- Wtedy nie mógłbym zrobić tego — odparł i poczuła elektryzujący dotyk ręki wędrującej wzdłuż jej nagiego uda, ukrytego pod krótką spódniczką, którą włożyła tylko dlatego, że kiedyś, dawno temu, Rob powiedział, że wygląda w niej seksownie. Odsunęła się, ale tylko na sekundę. Po chwili jego dłoń znów rozpoczęła swój marsz. Tym razem nabrała pewności, głaszcząc niespiesznie obie jej nogi, zaczynając od łydek i stopniowo przechodząc coraz wyżej, w kierunku majtek. Poczowała, że są już bardzo wilgotne.

- Ktoś może nas zobaczyć - powiedziała, choć zdawała sobie sprawę, że restauracja była niemal pusta w oczekiwaniu na wieczorne godziny szczytu.

- To nie ma znaczenia. — Zbył ją. Przesunął koniuszek palca pod elastyczny materiał jej majtek i nagle poczuła, że zaczął ją delikatnie masować, wykonując koliste, miarowe ruchy. Pochyliła się ku niemu nad stolikiem i zaoferowała mu głęboki pocałunek. Ich języki zaczęły ze sobą figlować, poczuła na nim kwaśny smak wina. Jego ręce powędrowały do jej piersi, gładko wsuwając się pod koszulę, a palce zaczęły obracać sutki, najpierw jeden, potem drugi, napierając na ciasny materiał stanika. Słyszała, że jego oddech stał się tak samo nieregularny, jak jej. Jedną rękę wciąż zaciskał na kieliszku wina. Przesunęła dłoń w kierunku rozporka jego spodni i delikatnie zaczęła dotykać dżinsu, czując pod nim napór erekcji. Kiedy ostatnio robiła coś, co byłoby choćby w połowie tak podniecające? Na pewno nie pozwoliła sobie na takie zachowanie od czasu, gdy wyszła za męża.

- Chryste - podskoczył nagle jak oparzony, patrząc na zegarek i odsuwając się od niej. - Przepraszam, ale muszę uciekać.

Zerwał się na równe nogi, a ręka Claire opuściła miejsce, które przed chwilą eksplorowała.

- Chodzi o Ruby. Muszę ją odebrać z popołudniowej szkółki. Jest tuż za rogiem. Kompletnie mi to wyleciało z głowy. To zresztą wszystko twoja wina, odwróciłaś moją uwagę.

Claire z miejsca pojęła, że cała jego uwaga przeskoczyła na Ruby, a dla niej samej nie ma już w tej chwili miejsca.

- W porządku - odpowiedziała. - Rozumiem. Nie była nawet pewna, czy ją usłyszał.

- Będziemy w kontakcie - powiedział tylko, i już go nie było. Zmusiła się, żeby nie wodzić rozbieranym, zmieszonym

spojrzeniem po restauracji. Udawała, że wszystko to było normalne, choć i tak chyba nikogo ich scena nie interesowała. Przez chwilę przeszło jej przez głowę, żeby wymaszerować z restauracji z dumnie uniesioną głową, ale jakoś nie potrafiła określić potencjalnego celu. Poprawiła spódniczkę i została na miejscu, z udawaną nonszalancją popijając białe wino, którego od jakiegoś czasu nie można już było nazwać schłodzonym. Nad jej głową wisiał krucyfik, przybity gwoździem do ściany. Zwisiał na nim zakrwawiony Jezus okryty łachmanami, zesłany przez władze kościoła do piwnic. Bez wątpienia krzyż ten nie prezentował się godnie i zapewne dlatego uznano, że na dole, w kafejce może sobie wisieć kompletnie niezauważony. Claire odwróciła wzrok i skierowała go na stół, na którym krawędzie schnących kanapek powoli traciły swoją pierwotną, atrakcyjną, równą linię.

Wraz z upływem czasu obraz ukrzyżowanego Jezusa został wyparty przez wspomnienie dzieła Correggia z matką, dzieckiem i Józefem uwiecznionym w tle. To byli rodzice, którzy oferowali dziecku bezpieczeństwo, lojalność, niezmiennność. Wychowywali swoje dziecko w sposób wzorcowy, ofiarowując mu taką miłość, którą razem z Robem potrafiliby z pewnością kiedyś z siebie

wykrzesać. To była miłość rodzicielska dana w takim nadmiarze, że chętnie się nią podzielili z synkiem. Maria była na obrazie wcieleniem czystości i wiary, a Józef mężczyzną, którego nic nie sprowadzi na manowce. W chwili gdy pożądanie minęło, poczuła wzbierającą falę wstydu i winy. Bez wątpienia te uczucia nie były udziałem Dominika. Jednak mimo wyrzutów sumienia chciała czegoś więcej. Napędzało ją wewnętrzne, nie do końca doprecyzowane, acz potężne pragnienie. Otrząsnęła się z tych myśli i szybko opuściła lokal.

Gdy Rob wrócił wieczorem, stanęła na palcach, objęła go rękoma i przytuliła, pozwalając spocząć swojemu ciepłemu policzkowi na chłodzie jego policzka. Na jego twarzy namalowało się zaskoczenie, gdy zrozumiał jej gest. Z trudem wytrzymała to spojrzenie, bo wiedziała, że jej mąż potrzebuje ochrony, nawet jeśli sobie jeszcze z tego nie zdaje sprawy. Lekko zbity z tropu, zaproponował, że przygotuje kolację, na co chętnie przystała.

- Rozmawiałem z ojcem na temat spadku po babci - zagaił w trakcie siekania marchewki i cebuli na spaghetti bolognese.

Claire siedziała przy kuchennym stole z kieliszkiem wina w ręce. Natychmiast podniosła na niego zaciekawiony wzrok.

- No i? Dowiedział się czegoś na temat Daisy?

- Nie, jeszcze nie. Próbuje, ale nie może namierzyć nikogo z tamtego pokolenia, kto by jeszcze żył i mógł odpowiedzieć na pytania. Za to wybiera się do Kanady za kilka miesięcy, żeby ogarnąć kilka spraw po babci. Ma nadzieję, że znajdzie w nich jakieś cenne wskazówki. Ale chodzi o coś innego - o tę fotografię. Powiedziałem mu o niej.

Fotografia. Wciąż stała na półce w salonie, oprawiona w srebrną ramkę. Claire kątem oka spoglądała na nią za każdym razem, gdy siadała na sofie.

- Co z nią? — W jej głosie słychać było ciekawość.

- No cóż... Wiemy, że to fotka z czasu wojny, bo jest na niej drut kołczasty, tak?

Przytaknęła.

- A to oznacza, że nie może to być zdjęcie moich dziadków - kontynuował - ponieważ w trakcie wojny ani przez chwilę tu nie przebywali. Tak przynajmniej twierdzi mój staruszek. Dziadek Bill poznał babkę w 1937 roku podczas swojego pobytu w Anglii. Zabrał ją do siebie na początku 1939 roku, jeszcze przed wybuchem wojny. Gdy konflikt się zaczął, od dawna byli za oceanem. Dziadek wrócił w roli żołnierza na początku 1942 roku, podczas gdy babcia została w Toronto.

- No tak, ale prawnik twierdził, że zdjęcie przedstawia Elizaberh.

- Coś mu się pomieszało. Zakładał, że na zdjęciu będzie ona wraz z mężem; wszyscy to od razu założyliśmy.

- Daisy — dopowiedziała. - To musi być Daisy.

- Pewnie tak.

- Ależ oczywiście, że tak.

Claire poczuła, że — ni stąd, ni zowąd - rośnie jej klucha w gardle. Jak mogła się tego wcześniej nie domyślić? Uśmiechnięta dziewczyna nad brzegiem morza to musi być Daisy. Czy może być inaczej? Nawet nie musiała się wysilać, żeby przywołać jej obraz, bo widziała ją jasno, jak na dłoni. Pytanie tylko, kim był mężczyzna przy jej boku? Czy to Richard, czy Charles? Odsunęła krzesło i pognała do salonu po zdjęcie. Gdy je chwyciła, miała wrażenie, że ramka parzy ją w rękę.

Rob kroił w tym czasie pomidory i wrzucał je na patelnię, udając, że całe zamieszanie go nie interesuje, ale Claire widziała, że się uśmiecha. Sprawianie przyjemności żonie wciąż było dla niego źródłem zadowolenia.

- Wyjmij zdjęcie - zasugerował. - Może na odwrocie będzie coś napisane albo rama przykryła podpis.

— Bez sensu — zareagowała obojętnie. Jej myśli cofnęły się
0 więcej niż jedno życie wstecz.

- Litości, Claire. Przestań i przynieś mi je.

Podła *mu* ramkę. Otworzył ją tym samym nożem, którego wcześniej
użył do siekania marchewki, i odgiął zaczepy podtrzymujące zdjęcie.
Podał Claire, pozwalając jej pierwszej poznać tajemnicę.

Miał rację. Na froncie znajdował się podpis sporządzony białym,
grubym tuszem na czarnym tle. Na tym etapie Claire знаła już ten
charakter pisma równie dobrze jak swój. *Daisy. Richard*

I ja, lipiec 1943, Weymouth.

- Richard i ja, lipiec 1943, Weymouth - powiedziała wolno, smakując
każdą głoskę, która opuszczała jej usta. Richard i Daisy.

- Kim jest Richard? — Rob zapytał, patrząc jej prosto w oczy. -
Zdawało mi się, że Daisy była zaręczona z kimś o imieniu Charles.

— Bo tak było — odrzekła cicho. — Sprawy przybrały nowy obrót.

— A co do diabła robiła w Weymouth?

Tym razem nic nie odpowiedziała, choć znała odpowiedź albo
przynajmniej się jej domyślała. Teraz już nawet bez czytania reszty
listów wiedziała, jak się to *wszystko dalej* potoczyło.

WÓZ Z SIANEM - CONSTABLE

Sytuacja zmieniła się radykalnie. Claire знаła już nie tylko słowa, których Daisy lubiła używać w listach, charakter jej pisma, ale wiedziała też, jak wygląda. Wcześniej miała jakieś własne wyobrażenia, które pozostawały dość żywe, ale teraz wszystko się zmaterializowało, ożywiło. Łatwiej było jej teraz wyobrazić sobie, jakie to uczucie dotknąć jej włosów rozwianych przez morską bryzę, jakie wrażenie na policzku zostawiały jej usta podczas powitalnego pocałunku. Nieco grubo ciosana postać Daisy, jaka wyłaniała się z pierwszych listów, ulotniła się niczym duch, a w jej miejsce wskoczył ktoś, kto z zachłannością poznawał uroki miłości. Odsuwała na bok myśli, że gdyby Daisy wciąż żyła, na pewno nie wyglądałaby już tak, jak w jej wyobrażeniach i na zdjęciu. Pewnie byłaby teraz malutką, przykurczoną staruszką, ze zmarszczkami żłobiącymi skórę. Claire nie chciała jednak myśleć o niej we współczesnym kontekście, chciała ją postrzegać wyłącznie przez pryzmat zdjęcia zrobionego nad brzegiem morza wiele lat temu.

Odliczała dni do początku maja, gdy będzie wreszcie mogła otworzyć kolejną kopertę. Obiecała sobie, że spotka się z Dominikiem dopiero po zapoznaniu się z nowym listem, nie wcześniej. Do tego dnia miały wystarczyć wiadomości, może jakiś szybki telefon, krótkie, acz intensywne chwile podszyte świadomością,

że się je wykrada rzeczywistości, obładowane znacznie większym ciężarem emocjonalnym, niżby na to mogły wskazywać słowa przepływające od słuchawki do słuchawki. Sama ustanowiła takie zasady. Były one równie arbitralne, jak system rządzący odczytywaniem kolejnych listów. Co ważne, Dominie stał się integralną częścią „Projektu Daisy” i na tym etapie Claire praktycznie nie rozgraniczała między nim a obrazami i Daisy; wszystko stawało się spójną całością. Rob znajdował się na obrzeżach tej rzeczywistości. W dniu, kiedy w końcu mogła przełożyć kartę kalendarza na nowy miesiąc, poczekała, aż Rob wyjdzie do pracy i dobiła plik listów trzymany w pudełku od kanadyjskiego prawnika.

Następny list, powtarzała w duchu. Dzięki Bogu za następny list od Daisy.

Czerwiec 1943 rok

Droga Elizabeth!

Z całego serca dziękuję Ci za list i czekoladki! Dotarły do mnie wstanie niemal nienaruszonym. Coś takiego bardzo podnosi na duchu, tak jak i świadomość, że mam do kogo pisać. Nie chcę obciążać Ci głowy wszystkim tym, co się tutaj dzieje.

Coś się tutaj nie zgadzało. Tylko co? Claire próbowała dojść, o co chodzi. Zaczęła czytać od początku.

Droga Elizabeth! Nic dziwnego. I znów. *Droga Elizabeth!* No tak, wreszcie ją olśniło. *Czerwiec 1943 rok.*

Przecież zamiast czerwca powinien być maj. Drżącymi rękoma dokopała się do *ostatniego*, odpieczętowanego listu, w którym Daisy opisywała *Madonnę i kosz*. Na samej górze widniała data skreślona okrągłymi literami: kwiecień. Szybko sprawdziła pozostałe listy, patrząc na znaczki pocztowe i rozrzucając je po podłodze. A jednak nie było niczego z datą majową. Czy prawnicy

mogli coś zgubić? A może Elizabeth omyłkowo ten jeden list wyrzuciła? W najgorszym scenariuszu to Claire go przypadkiem zapodziała. Może zostawiła go gdzieś, wcisnęła do jakiejś książki albo którejś z torebek? Nie, chyba nie, przecież przywiązuje do tej paczuszki wielką wagę. Poczula przyływ obezwładniającej paniki, po chwili jednak wzięła kilka głębokich oddechów i wytłumaczyła sobie, że to przecież nie ma znaczenia, nie ma się czym przejmować. Zawsze może zrobić coś innego, na przykład przeczytać list z czerwca. Skoro na przestrzeni lat ten jeden majowy list gdzieś się zagubił, to mówi się trudno i akceptuje drobne odejście od ustalonego schematu. Udało jej się zaprowadzić ład we własnej głowie i wróciła do lektury.

Czerwiec 1943 rok

Droga Elizabeth!

Z całego serca dziękuję Ci za list i czekoladki! Dotarły do mnie wstanie niemal nienaruszonym. Coś takiego bardzo podnosi na duchu, tak jak i świadomość, że mam do kogo pisać. Nie chcę obciążać Ci głowy wszystkim tym, co się tutaj dzieje, więc w razie czego mi przypominaj, że bym się nie zapędzała. Wiem, co robię, i wiem też, że w każdej chwili mogę temu wszystkiemu położyć kres, jeśli tylko zechcę. Prawdę mówiąc, wcale tego nie pragnę. Jestem cała i zdrowa, i tytko to się liczy w szalonym świecie, w jakim przyszło mi żyć.

Tytuł obrazu z tego miesiąca mówi sam za siebie. Gdy dowiedziałam się, co pojawi się na wystawie, roześmiałam się głośno, bo tak bardzo wpasowuje się on w moje uczucia wobec Richarda. Jest to dzieło słynne i nawet nieco zdziwiłam się, że odważyli się je wystawić. National Gallery nazywa ten obraz „Toaleta Wenus”, co jakoś niespecjalnie przemawia do wyobraźni, nie sądzisz? O wiele bardziej pasuje mi alternatywna wersja tytułu, czyli „Rokeby Wenus”. Bierze się ona stąd, że obraz wisiał kiedyś w Rokeby

Hall w Yorkshire. Domyślam się, że pierwotni właściciele musieli go sprzedać, by pokryć jakieś zobowiązania finansowe. W gazetach piszą, że obraz przyciąga o wiele większe tłumy niż wszystkie poprzednie. I trudno odmówić im racji. Podczas mojej wizyty było tak tłoczno, że cała wyprawa stała się wręcz mało przyjemna. Kręciły się tam całe zastępy mężczyzn z rozdziawionymi ustami, w liczbie znacznie większej niż zwykle się można w tym miejscu spodziewać. A wszystko dlatego, że — gdybyś tego jeszcze nie wiedziała — „Rokeby Wenus” to przepiękny akt, ponoć jedyny pozostały obraz tego typu pędzla Velasqueza. Inne jego dzieła są o niebo bardziej powściągliwe. Tym samym mamy już wyjaśnienie tej niesłychanej popularności. Kto by pomyślał, że mężczyźni potrafią czerpać aż tyle przyjemności z obrazu, który ma trzysta lat? Wygląda na to, że niedobory papieru dają się we znaki branży pornograficznej tak samo, jak wszystkim innym. Czy to Cię szokuje? Mam nadzieję. Przyjemnie jest wyobrażać sobie, jak zalewasz się rumieńcem, czytając ten list! Obraz wcale nie jest obsceniczny i znajdziesz w nim wiele elementów, które spodobają się żeńskiemu odbiorcy. Wenus jest zaiste cudowna. Namalowano ją leżącą tyłem do widza, podpartą na jednym ręku. Jej kształty, od głowy, poprzez krągłości pośladków i ud są uderzające, aż się chce jej dotknąć.

Malarz tak to sprytnie rozegrał, że mimo iż leży ona tyłem, możemy obejrzeć jej twarz. Na obrazie znajduje się bowiem Kupidyn trzymający lustro, w którym jego mama może się spokojnie przeglądać. I cóż to jest za matka! I jakaż odmiana w stosunku do tych wszystkich Madonn, które widziałam wcześniej. Twarz Wenus jest przepiękna i wcale nie wyniosła, co moim zdaniem jest rozwiązaniem dość oryginalnym, jeśli pamiętać, że jest ona boginią! W takich buziach mężczyźni zakochują się po uszy, bo z jednej strony mogłaby uchodzić za dziewczynę z sąsiedztwa, a z drugiej strony jest w niej coś wyjątkowego. Ma bardzo naturalne oblicze, które zdobi jedynie delikatny róż na policzkach (choć może nawet i to jest u niej

naturalne, tego akurat nie wiem). Powiedz mi zatem, dlaczego godzinami stroimy się, żeby przypodobać się chłopcom, gdy można pozostawać sobą? Robimy tak pewnie dlatego, że czasopisma modowe nam tak nakazują. Te to dopiero są pełne bzdur. Szczerze mówiąc, nie wierzę, że kobieta może się stać atrakcyjniejsza w oczach mężczyzny dzięki temu, że rozsmaruje sobie na ustach sok z buraka, żeby nadać im krwistego kołom. Jednak nie chcę przez to powiedzieć, że tytułowa Wenus całkowicie wyzbyła się próżności. Przecież nie spuszcza oczu z lusterka. Wygląda na taką, która lubi być w centrum uwagi.

Spotkałam się z Richardem przed tym obrazem. Kolejna wyprawa, o której nikt w biurze się nie dowie! Wciąż pracuje nad szkicami. Powinien je wreszcie skończyć. Wydaje mi się, że obecnie pojawia się w biurze tylko dla zabawy i po to, by napić się herbaty. Nie denerwuje się już nawet, kiedy wiercę się w fotelu. Jestem przekonana, że nie robi już nic istotnego, tylko się we mnie wpatruje.

„Czy myślisz, że można by ze mnie zrobić tak ciekawą modelkę do aktu?” — wyszeptałam mu do ucha, gdy tak staliśmy przed obrazem. Rany boskie, robię się coraz bardziej śmiała. „Nie wiem”— odpowiedział. „Będziesz się musiała przede mną rozebrać, wtedy to ocenię”. Odpowiedział tak absolutnie bez pardonu, że poczułam się jak idiotka. Udawałam, że nic się nie stało, ale chyba i tak poznał się na mojej reakcji, bo chwilę później dodał, że komisja wojenna mogłaby nie zaakceptować malowania aktów. Najwyraźniej preferują kobiety mądre, ciężko pracujące, a przede wszystkim w pełni ubrane. Nie rozumiem, dlaczego tak jest. Wystarczy spojrzeć, jak bardzo ta „Rokeby Wenus” potrafi wszystkich rozchmurzyć. Jestem przekonana, że portret dziewczyny z WAAF, która leżałaby w pościeli tylko w swojej służbowej rogatywce, podczas gdy reszta munduru wisiałaby na haku gdzieś za łóżkiem, wpłynąłby genialnie na morale.

Gdy już wokół nas zrobiło się luźniej, Richard przycisnął mnie do siebie i wyszeptał: „Chcę się z tobą kochać! Nie chcę już czekać”.

Dokładanie tak powiedział, przyrzekam. Słowo w słowo. Pierwsza odpowiedź, jaka mi przyszła do głowy, to: „Nie wiem”. Słaba reakcja, pewnie się ze mną zgodzisz. Więc potem dopytałam, czy wszystkim swoim modelkom zadaje podobne pytanie. Całkiem niezła zagrywka, zwłaszcza że możesz sobie wyobrazić, co się ze mną wówczas działo. „Nie wszystkim” — odpowiedział, więc ja mu na to: „ To bardzo dobrze”. To nie był koniec tej wymiany słów, więc jeśli w ogóle mam Ci kiedyś wysłać ten Ust, resztę pozostawię Twojej wyobraźni, o ile masz ochotę sobie cokolwiek dopowiadać. Nie chciałabym, żeby mi jakiś cenzor wycinał fragmenty korespondencji z powodu obrazy moralności. Gdy się rozstaliśmy, długo jeszcze nie mogłam się uspokoić.

Sama nie wiem, co teraz począć. Ludzie zrobili się teraz tacy przesądni w kwestii życia. Co gorsza, nie przeszkadza mi świadomość, że Charles będzie się musiał o mnie i Richardzie kiedyś dowiedzieć. Nawet jeśli nie jest to najmilsza z perspektyw, to jakoś sobie z nią poradzę. Bardziej chodzi o to głupie przeświadczenie, że jeśli między mną a Richardem coś się wydarzy, to zabije to Charlesa. I nie mam tu na myśli metaforycznego „zabicia”, czyli że będzie się czuł zdruzgotany, tylko że naprawdę umrze. Zupełnie, jakbyśmy w jakiś kosmiczny sposób byli wszyscy ze sobą połączeni. I pomyśleć, że obiecywałam sobie, że nie będę jedną z tych wyczekujących kobiet, które cały czas martwią się o przyszłość i przeznaczenie. I popatrz, dokąd mnie to zaprowadziło. Myślę, że będziesz potrafiła mnie zrozumieć. W niewytłumaczalny sposób czuję się przywiązana do Charlesa. Nie potrafię go wyrzucić ze swego życia razem z jego domkiem na wsi, pnącymi krzewami i ogródkiem warzywnym — jakaś część mnie wciąż pragnie tego, do czego przywykłam przez te wszystkie lata, czego oczekiwałam. Chciałam przecież mieć przy sobie mężczyznę, który będzie mi mówił, co zrobimy za chwilę, bez komplikacji czy emocjonalnych huśtawek. Pragnęłam kogoś takiego jak Charles, a nie Richard. Wiele tą zmianą stracę. Szkoda, że nie

mam tu nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Jesteś tak daleko, Elizabeth! Tutaj mam tylko Richarda i z jego strony na współczucie raczej liczyć nie mogę!

Wczoraj po raz pierwszy odwiedziłam go w jego studiu. Twierdzi, że nie będzie to wizyta ostatnia. Będę musiała się teraz pojawiać, by pozować, ponieważ wreszcie zaczął etap malowania. Jego atelier znajduje się na poddaszu i cuchnie terpentyną. Do tego jest okropnie zimno, nawet w czerwcu — wszystko przez to, że jest w nim wiele okien. Richard potrzebuje ich, żeby mieć właściwe nasłonecznienie, ale przez te okna panują tam okrutne przeciągi, które zresztą najwyraźniej w ogóle mu nie przeszkadzają. Wszystkie jego płótna stoją w rzędzie pod ścianami. Moim zdaniem są całkiem niezłe. Jeden z obrazów przedstawia chłopca, który utonął w leju po bombie. Richard zobaczył akcję ratowniczą. Niestety, nadeszła ona zbyt późno. Richard natychmiast pospieszył z powrotem do swojej pracowni, by zacząć malować. Chłopiec leży w wodzie, twarzą do ziemi. Jest ubrany w koszulę w łatki, ma bose nogi. Najwyraźniej zdjął je, żeby popływać. Richard namalował przejrzyste, błękitne niebo, jakby to był zwykły, pogodny dzień. Buty leżą na krawędzi leja i pewnie byłyby nagrzane od słońca. O ten efekt właśnie mu chodziło. W zamysśle miał to być zwykły dzień, bo takie rzeczy zdarzają nam się tutaj codziennie. Pokazał ten obraz komisji wojennej i twierdzi, że kiwali głowami z uznaniem, ale nie zdecydowali się go kupić. Twierdzili, że jest zbyt przygnębiający i że ludzie nie chcą takich wizji oglądać. Ja takie stanowisko rozumiem, Richard za to nie może go pojąć.

Przeglądałam jeden z opasłych tomów o sztuce, które posiada Richard, i znalazłam tam wzmiankę o „Rokeby Wenus”, która powinna Ci się spodobać. Przed pierwszą wojną światową, którą nazywaliśmy kiedyś Wielką Wojną (cóż, nie znaliśmy wtedy większej), jakaś sufrażystka rzuciła się na obraz (wyobrażasz to sobie?) i pocięła na kawałki. Zamknęli ją na pół roku za zniszczenie dzieła sztuki.

Wygląda więc na to, że całkiem nieźle udało im się ten obraz poskładać. Postronny obserwator nigdy by się nie domyślił, że coś takiego się tutaj wcześniej rozegrało. Ja tu sobie podziwiam Wenus, a jakiejś pannie przyszło do głowy, żeby go potraktować nożem! A więc ta sama rzecz może wyglądać diametralnie inaczej z różnych perspektyw!

Opowiedziałam Richardowi o sufrażystce, ale nie był zainteresowany tą historią. Dla niego liczy się tylko sam obraz i to nie obraz Wenus, tylko jego własny. Powiedział, że wyobrażał sobie mnie w roli Wenus, jeszcze zanim razem poszliśmy to dzieło obejrzeć. Wizualizował mnie sobie, leżącą nago na jego łóżku, odwracającą się w jego kierunku, gdy wszedł do studia. Potem podchodzi bliżej, cały czas myśląc, jak dobrać kolory, by właściwie oddać tonację mojej skóry. Mówił, że to było prawie jak sen, do tego jest to sen, który już się niemalże ziścił, skoro właśnie się tam pojawiłam. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał, z tą małą różnicą, że nie byłam naga (słowo honoru!). Miałam na sobie ulubioną letnią sukienkę w kwiaty. Kiedy mu na ten fakt zwróciłam uwagę, to powiedział, że uważa się za najszcześliwszego faceta na ziemi. Chyba już teraz rozumiesz, dlaczego jest dla mnie tak ważny? Szczęście bywa takie ulotne w tych czasach. Musimy się go chwycić, gdy tylko nadarzy się okazja.

W kraterach po bombach rosną teraz kwiaty. Pomyślałam, że chciałabyś to wiedzieć, bo przecież zawsze lubiłaś pielęgnować ogród. Jest ich tutaj cały wachlarz: koniczyna, trybula leśna, wierzbownica i wiele innych, których nazw nie znam. Razem z nimi pojawiły się motyle i pszczoły. Obserwuję je czasem, jak wpadają na gruzowiska i z nich wypadają. Natura potrafi z wszystkich naszych tragedii w miarę szybko stworzyć coś pięknego i tym chyba ocieramy się o groteskę. Wszystko pięknie pachnie, pszczoły bzyczą, a ja przenoszę się myślami do Edenside razem z Tobą, gdzie biegamy po ukwieconych łąkach i przeżywamy nasze pierwsze miłości. Chłopcy, o których tyle wtedy myślałyśmy, teraz już są mężczyznami. Wszyscy wydorośleliśmy, teraz zaczniemy się starzeć i prędezej

czy później odejdziemy z tego świata. Nie zostanie po nas nic, tylko kwiaty, które wyrosną na naszych grobach. To tylko kwestia czasu. Z drugiej strony, niezmiennym jest to bzyczenie pszczół, ten lot motyli i szum wiatru wśród drzew, prawda? Powiedz, że mam rację. Niech przynajmniej to się nie zmienia.

Daisy

PS

Mam wyrzuty sumienia, że nie napisałam w zeszłym miesiącu. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, byłam po prostu po uszy zakopana w różnych sprawach. Praca. Obraz. Richard. Charles. Rozmyślanie o tym wszystkim totalnie mnie wyczerpywało. Nawet nie udało mi się zebrać w sobie tyle siły, żeby pójść do National Gallery, a wystawiali akurat „Wóz z sianem” Constablea. To na wypadek, gdybyś chciała wiedzieć. Ale zakładam, że już go znasz, jak wszyscy zresztą, więc nie muszę Ci go drobiazgowo opisywać.

Claire aż upuściła delikatne kartki na dywan, gdy doczytała list do końca. Ciekawe, jakie myśli gościły w głowie Elizabeth, gdy każdego dnia wyczekiwała na list, a on nie docierał. Daisy mogła przecież odnieść rany albo nawet zginąć. W końcu śmierć zbierała wtedy obfite żniwo. Mogli ją też przenieść poza Londyn do miejsca jeszcze bardziej niebezpiecznego, na przykład do Afryki Północnej. Tak też często robiono, nawet z kobietami, zwłaszcza tymi, które nie miały żadnych zobowiązań. Claire doskonale o tym wiedziała, bo nawet sama Daisy o tym pisała w jednym z listów. W każdym razie Elizabeth na pewno miała powody do niepokoju. Dotąd Claire nie postrzegала Daisy jako egoistki, ale teraz, po raz pierwszy, takie myśli zakiełkowały w jej głowie, gdy zdała sobie sprawę, z jaką nonszalancją Daisy przekazała przyczyny milczenia w zwięzłym postscriptum.

Biedna Elizabeth, pomyślała. A właściwie nie biedna Elizabeth, tylko biedna Claire. To ona poczuła się zawiedziona. Elizabeth

pewnie nawet niespecjalnie to wszystko obeszło, bo miała dość zmartwień na głowie. Musiała zatroszczyć się o małego Nickiego i pewnie martwiła się o Billa. Poczowała nagły przyływ złości. *Nie pomyślałaś choć przez chwilę, jaki wysiłek z mojej strony wiąże się z tymi obrazami? A może ja też jestem bardzo zajęta, co? Może pomyślisz czasem o mnie?* Rzuciła te pytania w pustą przestrzeń, żaden głos jej nie odpowiedział. Listy to tylko papier, a dziewczyna z fotografii nie przestawała się do niej uśmiechać. Przez chwilę zaczęła się zastanawiać, czy tak czują i myślą ludzie, którzy popadają w obłąd? Potem, choć wciąż wściekła, przeszła do kuchni, żeby posprzątać po śniadaniu, z hukiem wrzucając talerze i szklanki do zmywarki. Gdzieś tkwiła w niej złowroga chęć, by jedna się zbiła i żeby mogła winą za to obarczyć Daisy. Gdy skończyła, poczuła ogromne zmęczenie i zrobiła sobie czarnej, mocnej kawy, zmuszając się do jej wypicia. Złość pomалу jej mijała. Pomyślała, że skoro Daisy pozwoliła sobie na złamanie zasad, to jej też takie odstępstwo przysługuje. Dlaczego właściwie ma czekać kolejny miesiąc na otwarcie następnego listu? Co za różnica? Nie znalazła powodu, który miałby ją przed tym powstrzymać. Zostawiła pustą filiżankę w zlewie i rzuciwszy tylko krótkie spojrzenie na zdjęcie (czym chciała pokazać, że mało ją to wszystko obchodzi), wzięła do ręki kopertę ze stemplem z lipca.

Lipiec 1943 rok

Droga Elizabeth!

Wybacz moje koślawe pismo. Piszę do Ciebie z pociągu. Przynajmniej udało mi się wyszarpać dla siebie miejsce siedzące, co wpisuje mnie w poczet wyjątkowych szczęśliwców. Nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić, jak to jest się dzisiaj gdziekolwiek przemieścić. Wszędzie jest tłoczno i nieprzyjemnie. Albo za gorąco, albo za zimno. Po prostu zbyt wielu ludzi próbuje teraz zmieniać miejsce

pobytu, choć zaleca się, żebyśmy się nigdzie nie ruszali, o ile nie ma takiej konieczności. Richard stoi na korytarzu i pewnie tam już pozostanie aż do stacji docelowej, czyli Londynu. Przynajmniej ma przy sobie swoją książkę ze szkicami, nie powinien się zatem nudzić. A ja mam kawałek papieru, więc do Ciebie piszę.

Pewnie się zastanawiasz, gdzie byłam, a raczej: gdzie oboje byliśmy? Mam nadzieję, że ciekawość Cię zżera, boja koniecznie muszę komuś o tym opowiedzieć. Wyjechaliśmy na weekend do Weymouth! Weymouth, dasz wiarę? Jestem przekonana, że żadnej z nas by wcześniej w ogóle nie przyszło do głowy, żeby tam się wybierać. Cóż, znaleźliśmy ku temu wspaniały powód. Otóż, lipcowym obrazem jest kolejny Constable, tym razem to „Zatoka Weymouth”. Artysta namalował go podczas swojego miesiąca miodowego. Mnie on zachwycił. To chyba, jak dotąd, mój ulubiony. Jest taki naturalny, harmonijny. Richard twierdzi, że Constable nigdy go nie dokończył. Można to poznać po tym, że spod farby wciąż przebijają kawałki niezamalowanego płótna. Pewnie bym tego nie zauważyła, gdyby mi o tym wcześniej nie powiedział. Dla mnie całość wyglądała wystarczająco realistycznie.

Jest to pejzaż, na który składają się piasek, morze i niebo. Na dalekim końcu zatoki widać zielone pastwisko, które wznosi się od brzegu klifu po zbocze wzgórza. Jedyne postać ludzka na obrazie jest maleńka i nie zakłóca reszty. W tym obrazie czuje się przestrzeń, po części pewnie dlatego, że niebo jest takie wielkie, a na nim zbierają się chmury, białe i szare, przepowiadając deszcz na tyle wyraźnie, że człowiek mógłby pożałować, iż nie ma na sobie płaszcz przeciwdeszczowego. Patrząc na ten obraz, zatęskniłam za wodą, za scenerią inną niż londyńska. Zapragnęłam skakać po kamieniach, moczyć nogi, poczuć, jak wiatr wicherzy mi włosy. W Londynie jest teraz sucho i duszno, pył wdziera się w każdy zakamarek. Wieje z każdego gruzowiska, kurz dostaje się do oczu i gardła. Zatoka na tym obrazie zdawała się wszystkim

tym, czego nie mogłam dostać. Powiedziałam o tym Richardowi, a on mnie wtedy bez wahania pocałował i powiedział: „Jeśli tak się czujesz, to powinniśmy tam pojechać. Pozwól mi się tym zająć”. W jego ustach to wszystko zabrzmiało jak najprostsze zadanie pod słońcem. Jakby nie istniały pozwolenia, bilety, panna Johnson, ważne sprawy oraz wszystkie te pytania z gatunku „po co”, „gdzie”, „kiedy”. Z miejsca chciałam rzucić mu się w ramiona. Jakoś ostatnio odwykłam od sytuacji, w której ktoś coś za mnie załatwia, ale chyba mogłabym to na nowo polubić.

Zanim się zorientowałam, wparował do biura z jakimiś papierami, które miały zmusić pannę J. do dania mi wolnego (miałam pozować w jego studiu). Pokazał mi pozwolenia na podróż, które zdobył, podając „cele artystyczne” za przyczynę. W takich sprawach jest dość sprytny. Powiedział władzom, że ma zamiar przymierzyć się do namalowania pejzażu z instalacjami obronnymi. Tamci odrzekli jedynie, by się upewnił, że nie namaluje żadnej cholernej instalacji, która akurat jest ściśle tajna. Bo jeśli tak zrobi, to spalą mu płótno. Jak możesz się domyślić, traktują takie rzeczy z wielką powagą.

I tak to się wszystko potoczyło. Dzień czy dwa później już byliśmy w drodze, upchani jak sardynki w wagonie pełnym żołnierzy. Pociąg z głośnym stukotem przemierzał wiejskie krajobrazy, jadąc wzdłuż wybrzeża. Podróż była dość szokującym przeżyciem, na szczęście Richard kupił butelki z wodą i truskawki, których zdobycie to mały cud na Ziemi. Bóg jeden wie, ile go one kosztowały i skąd je w ogóle wytrzasnął. Wręczył mi też bukiet kwiatów, które znalazł gdzieś pośród ruin. Opadły i zwiędły na wiele godzin przed dotarciem na miejsce.

Cudownie było wyrwać się z Londynu, choć na jedną noc. Cieszyły mnie takie drobnostki, jak moment wyjazdu pociągu z peronu i widok oddalającego się miasta. Radość z patrzenia, jak miasto zostaje w tyle za nami, jest trudna do opisania. Wieki całe minęły

od chwili, gdy ostatni raz oglądałam krajobraz inny niż miejski i cudownie jest widzieć, że nadal gdzieś tam są pola i łąki. Wciąż mamy coś takiego, co zważy się, i jak się okazuje, nie wszystko zostało zmienione w fabryki amunicji i lądowiska dla samolotów. Londyn, rzecz jasna, stracił większość swojej zieleni spalonej podczas nalotów lub wyglądającej teraz jak błotne pola uprawne. Tam, gdzie kiedyś rosły aksamitki, obecnie znajdziesz jedynie rzędy kapusty, nawet fosę przy Tower of London wypełniono piaskiem i zasiano uprawy. Robi to przygnębiające wrażenie.

Weymouth to był przystanek końcowy (po dziesiątkach innych stacji), więc razem z Richardem i pozostałymi pasażerami podążyliśmy w kierunku morza, prowadzeni przez nieomylnie powonienie. Okazało się, że brzeg znajduje się bardzo blisko stacji, praktycznie tuż za rogiem. Mieliśmy nieliczną przeprawę z poszukiwaniem lokum. Praktycznie wszystkie budynki stojące frontem do linii brzegowej (i wiele takich, które nie sąsiadują z morzem) zmieniono tutaj w hostele i tanie hoteliki. Wszystkie te, których nie zamknięto na czas wojny, przepelnione są gośćmi w postaci marynarzy i Amerykanów. Już zaczęłam nawet myśleć, że będziemy musieli się poddać i wrócić do Londynu, ale Richard ani myślał zarzucać pomysłu i uparcie pukał od drzwi do drzwi (wszystkie wyglądały tak samo), aż wreszcie udało nam się znaleźć jakiś hotel. Właściciele się nad nami zlitowali albo desperacko poszukiwali zarobku. W każdym razie Richard wypełnił formularz w księdze gości, gdzie wpisał pana i panią... no właśnie, Elizabeth, jak myślisz? Otóż wpisał: państwo Dacre. Nawet to niezłe zabrzmiało. Właścicielowi nie mrugnęła przy tym powieka, choć przecież nie noszę na palcu obrączki ślubnej. Najwyraźniej takie rzeczy są tutaj na porządku dziennym. Ludzie jakoś nie bywają przesadnie wścibscy. Poczulałam się... sama nie wiem. Chyba poczułam się odrobinę winna, bo przecież coś na moim palcu jednak świeci i jest to pierścienek zaręczynowy od Charlesa. Oczywiście, nie mogę nic poradzić na to, że w ten

sposób zawodzę ojca, a przynajmniej on by na to tak patrzył. Nigdy by tego nie zrozumiał.

Pokój był miłym zaskoczeniem, miał nawet widok na morze i kiedy otworzyliśmy okna, usłyszeliśmy szum nadciągającego przyptywu. Kremowa pościel była nieco przetarta od wielokrotnego użycia, ale czysta. Znajdowało się tam jedno łóżko z metalowym wezgłowiem. Jesteś mężatką, nie muszę Ci więc ze szczegółami opisywać, co się wydarzyło chwilę później. Poczulałam, że to początek czegoś nowego i istotnego w moim życiu. Richard był dla mnie dobry, taki delikatny. Wcześniej była między nami jakaś dziwna bariera, która powodowała, że baliśmy się na głos wypowiedzieć nasze uczucia. Teraz już jej nie ma i bardzo jestem z tego powodu szczęśliwa. Mam nadzieję, że spojrzysz na tę sprawę moimi oczami. Cóż, chyba jestem zakochana!

Później wyszliśmy na spacer wzdłuż promenady. Jedyńi inni spacerowicze to ludzie w mundurach, którzy handlowali między sobą papierosami i próbowali wyglądać na radosnych, a przynajmniej na tyle radosnych, na ile można być ze świadomością, że Wey-mouth to praktycznie ostatni przystanek przed dotarciem na front. Na plażę nie mogliśmy zejść, bo jest zaminowana, ale w sumie to nie szkodzi, bo z promenady i tak mieliśmy lepsze widoki. Z tej perspektywy można było nawet spróbować spojrzeć na morze, równocześnie ignorując fakt, że gdzieś po drodze były zasieki z drutu kolczastego i betonowe przeszkody. Morze to potęga, zgodzisz się ze mną? Gdy tak patrzyłam na fale bijące o brzeg, nagle zrozumiałam, że gdzieś tam znajduje się reszta świata, różni ludzi w różnych krajach, połączeni przez prądy morskie i pływy, a równocześnie wiecznie dążący do tego, by być od siebie jak najdalej. Pomyślałam o Tobie, o tym, że dzieli nas tyle mil. Może nawet w tym samym momencie i Ty pomyślałaś o mnie?

Nie mieliśmy żadnego powodu, by się spieszyć. Przepelniało nas poczucie, że nie ma nic złego w tym, że tak po prostu obserwujemy

zmianę koloru nieba i dopingujemy zbliżające się coraz bardziej fale. Tak jak wszystkie piękne chwile, także i ta nie mogła jednak trwać wiecznie; po jakimś czasie zrobiło się zbyt zimno i musieliśmy zawrócić do hoteliku. Tuż obok budynku rozstawił się jakiś staruszek ze sprzętem fotograficznym w małej budce. Powiedział nam, że fotografuje turystów przez całe swoje życie. Poprosiliśmy go, by nas też uwiecznił, na co ochoczo przystał. Powiedział też, że w obecnych czasach najczęściej zdarza mu się fotografować żołnierzy i marynarzy, którzy potem wysyłają zdjęcia swoim matkom. Na ścianach swojego przybytku miał nawet poprzipinanych sporo takich zdjęć, których bohaterowie nie zdążyli odebrać przed wyruszeniem na swoje misje. Chryste, Elizabeth, to zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Wszyscy ci chłopcy! Wyglądali tak poważnie w tych swoich mundurach. Staruszek dodał, że zawsze bardzo się stara wywołać uśmiech na ich twarzach, bo przecież może się później okazać, że jest to ostatnie zdjęcie, jakie kiedykolwiek im zrobiono. W naszym przypadku nie musiał się przesadnie wysilać i wyszło z tego całkiem ładne zdjęcie. Wyglądamy na nim dokładnie tak, jak się w tej chwili czuję.

Wczesnym rankiem następnego dnia wyruszyliśmy na poszukiwanie miejsca, które na swoim obrazie uwiecznił Constable. Przecież w tym celu, przede wszystkim, wybraliśmy się w podróż do Weymouth. Richard zabrał nawet w to miejsce reprodukcję obrazu wyrwaną z jakiejś książki. Żeby je znaleźć, trzeba było odrobinę wyjść poza miasto. Najpierw pomaszerowaliśmy promenadą aż do jej końca, a potem podążyliśmy ścieżką prowadzącą w górę wzgórza, następnie przeszliśmy wzdłuż niskiego klifu, aż dotarliśmy do punktu, gdzie dominował już krajobraz wiejski. Zdaje się, że wycieczka zajęła nam przynajmniej godzinę. Do naszych uszu nie docierały inne dźwięki niż śpiew ptaków i bzyczenie owadów w koniczynach. Poczułam się prawie jak na wakacjach, a Richard przez cały czas prowadził mnie za rękę. Ja też nie chciałam go puścić ani na sekundę. Miejsce, do którego dotarliśmy, nazywa się Bowleaze Cove. Nie mogliśmy zejść w dół

zatoczki, bo znów przeszkadzały nam w tym zasieki i miny. Stąpaliśmy zatem po krawędzi i wtedy Richard zasugerował, bym odwróciła się w kierunku Weymouth. Tak jest, w tej pozycji mieliśmy taki sam widok, jaki ucieszył oko malarza. Być może nie było tak pięknie, jak na obrazie Constable'a, bo plażę pokrywały jakieś śmieci, ale pod wieloma względami widok właściwie niczym się nie różnił od tego sprzed wielu lat. Jedyną dodatkową różnicą to pojawienie się kilku budynków, tu i tam, więc być może teraz teren ten nie wydaje się tak dziewiczy, jak na obrazie, choć i wtedy przecież nie był to krajobraz całkowicie pozbawiony ludzkiej ingerencji. W czasach Constable'a Weymouth też znajdowało się w tle pejzażu, za wzgórzem. Constable lubił matować na otwartym terenie. Richard twierdzi, że to było dla niego istotne. Jestem w stanie zrozumieć dlaczego. Śmiesznie jest pomyśleć, że być może staliśmy dokładnie w tym samym miejscu, co malarz ze swoimi pędzlami i sztalugą, wpatrzony w plażę. Richard wykonał kilka szkiców, a ja zwyczajnie cieszyłam się widokiem. Najcudowniejsza w tym wszystkim była cisza i świadomość, że nikogo tam nie było poza nami. Molly powiedziała mi kiedyś, że przed wojną całe wybrzeże usiane było ludźmi, którzy przyjeżdżali na kemping, ale teraz nie ma tutaj żywej duszy. Przede wszystkim, władze na to i tak nie pozwalają. Byliśmy więc tylko my. Och, Elizabeth, jakież cudne rzeczy mówił mi Richard, gdy przysiedliśmy na skałach, słuchając pisków mew i patrząc w chmury, niemalże bojąc się na siebie spojrzeć. Obawiam się, że jeśli je zapiszę, to po przelaniu na papier stracą swoją magię, ale z drugiej strony, jeśli tego nie zrobię, to być może kiedyś je zapomnę i nigdy nie dowiesz się, jak bardzo mu na mnie zależy.

„Liczysz się tylko ty, już na zawsze. Bez ciebie nie ma dla mnie życia. Jesteś mi przeznaczona. Pragniesz i potrzebujesz mnie. Ja potrzebuję ciebie”.

„A co z Charlesem?” — zapytałam. „Nie jesteś jeszcze mężatką, znajdzie sobie inną”. Oczywiście, ma rację. Znajdzie. Wtedy się roześmiałam, choć nieco przez łzy. Pewnie to przez wiatr, który

wydmuchał je z moich oczu na policzki. Tulił mnie tak mocno, że całkiem szczerze uwierzyłam, iż może tak ze mną być na wieki. W tym momencie świat sprowadził się tylko do nas, fal uderzających o klif i zapachu terpentyny w jego włosach. Chyba naprawdę jestem zakochana. Pewnie zdążyłaś się już tego sama domyślić. Wydaje się to takie proste, nieprawdaż? Ale taki już jest ten mój Richard, że przy nim wszystko staje się łatwe.

Daisy

PS

Dołączam naszą fotografię, żebyś mogła zobaczyć, że czasem się uśmiecham i że życie nie jest niezmiennie takie szare.

Fotografia lata temu powędrowała do Kanady, a teraz wróciła do punktu wyjścia. Tania fotka z nadmorskiej budki stała się spuścizną, częścią historii zamkniętej w srebrnej ramie. Co więcej, nie zmieniało się też jej przesłanie. Tak, jak w lipcu 1943, tak i teraz - jestem zakochana, jesteśmy zakochani.

Claire nieco ostrożniej odłożyła ten list. Oczami wyobraźni wyraźnie ujrzała wyprawę, podczas której Charles odszedł w zapomnienie, a Richard zajął jego miejsce, raz na zawsze. Ciekawe, jak planowała z nim zerwać? Czy kiedykolwiek zamierza mu o wszystkim opowiedzieć? Sięgnęła po następną kopertę, z sierpniową datą, głodna informacji, co wydarzyło się w kolejnych tygodniach. Przyznała w duchu, że pochłonęła ją ta historia. Sierpień. Wtedy wreszcie będzie gorąco, wtedy już nie trzeba się będzie dogrzewać centralnym ogrzewaniem każdego poranka przez dwie godziny, jak to ma miejsce teraz. Jeśli nie będzie wielu opadów, to trawniki pomaleńku zaczną żółknąć. Przemienie jasna zieleń trawy, jak w parku naprzeciwko ~ w pierwszych tygodniach maja kwietniki wciąż upstrzone były tulipanami, którym niedługo przyjdzie zwiędnąć. Między majem a sierpniem tyle się jeszcze zmieni.

Dłoń Claire zawisała nad plikiem listów. Miała wielką ochotę czytać dalej, choć zdawała sobie sprawę, że już i tak zabrnęła zbyt daleko. Widziała zresztą, że niewiele ich zostało w kolejce, więc jeśli chciała kontynuować swoją przygodę, musiała przystopować z czytaniem. Byłaby jedyną oszukaną, gdyby podróż w przeszłość miała się tak szybko zakończyć w ten mokry, sobotni poranek, po którym nastalaby już tylko wielka pustka. W końcu, powoli, ale stanowczo cofnęła rękę i schyliła się, by pozbierać rozrzucone kartki z podłogi. Z lekkim ukłuciem wstydu odnotowała, że na niektórych stronach jej palce odcisnęły swoje piętno — tak było w miejscach, gdzie gniew lub poczucie zawodu powodowały, że zbyt mocno ścisnęła papeterię w ręce. Wybaczyła sobie przedwczesne zapoznanie się z dwoma listami, obiecując równocześnie, że z następnym poczeka na właściwy moment. Poza tym postanowiła obejrzeć *Wóz z sianem* i to nie tylko dlatego, że czuła taką powinność, ale przede wszystkim dlatego, że zwyczajnie miała na to ochotę. Nie ma znaczenia, że Daisy sobie to dzieło odpuściła, nie znaczyło to, że ona też powinna zignorować obraz.

Wysłała wiadomość do Dominika, prosząc o spotkanie następnego dnia. Spotkania z nim stały się naturalnym elementem jej rutyny podczas wizyt w galerii. Oczekiwała, że będzie wtedy przy niej blisko, coraz bliżej.

- Cześć — zadzwonił po upływie niepełnej minuty od chwili, gdy do niego napisała. - Posłuchaj, tym razem nie dam rady dotrzeć do galerii, ale może spotkamy się później? Powiedz tylko gdzie.

W głowie miała pustkę i zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zasugerował:

- A może wpadnę do ciebie? Rob jest w domu?

— Nie — odparła. — Wybiera się gdzieś z przyjaciółmi. Będę sama.

— No to świetnie, widzimy się.

Gdyby Claire miała opisać Dominika, to z pewnością użyłaby słowa: bezpośredni. Czy Daisy uznałaby go za człowieka pewnego siebie? Pewnie zdążył się przyzwyczać do wrażenia, jakie robił na kobietach, ale w przypadku Claire wrażenia opierały się na twardym gruncie. Nagle uświadomiła sobie szereg implikacji związanych z jego obecnością w jej domu, pod nieobecność Roba. Z mętliku emocji, które ją opanowały, wydobyło się tylko jedno, być może powiedziane z lekkim wahaniem, ale wystarczająco wyraźnie słowo:

-Nie.

- W takim razie do następnego spotkania.

Powiedział to takim tonem, że natychmiast pożałowała swojej odmowy. Zapragnęła przez moment zrobić wszystko zgodnie z jego sugestią, otworzyć mu drzwi z dwoma kieliszkami wina przygotowanymi na stole w kuchni. A jednak już postanowiła, niczym Dafne z obrazu Pollaiuola, a Dominie się rozłączył. Wtedy zapragnęła go zobaczyć jeszcze bardziej. Ażeby jakoś odciągnąć myśli od tej sytuacji, zmieniła zdanie i poszła do National Gallery jeszcze tego samego dnia, sama.

Wóz z sianem znajdował się w innej części galerii niż wszystkie poprzednie obrazy. Claire przyzwyczała się do wchodzenia głównymi schodami i skrętu w lewo, w kierunku sal z wczesną sztuką włoską i holenderską. Tym razem musiała skrócić w prawo, kierując się do działu z bardziej współczesną sztuką brytyjską. Owa współczesność jest oczywiście całkiem umowna. Gdy Claire sprawdziła przed wyjściem w internecie daty związane z Constablem, dowiedziała się, że zmarł w 1837 roku. Jego żona, Maria, chorowała na gruźlicę i umarła w wieku czterdziestu lat. Była najpierw przyjaciółką z dziecięcych lat, potem szkolną miłością,

ślub wzięli stosunkowo późno. Podobno Constable nigdy nie otrząsnął się po jej śmierci, do tego stopnia, że od tego smutnego

momentu nosił się tylko i wyłącznie na czarno. *I znów miłość* - pomyślała. A potem rozpacz i żałoba. Być może nie było to zatem jakieś nadzwyczajne zjawisko. Myśl ta przygnała w jej wyobraźni obraz Dominika i nawet rozejrzała się po sali, czy przypadkiem nie ma go gdzieś w pobliżu. Jednak tego dnia pozostawał jej jedynie flirt z rozczarowaniem.

Salę w tej części galerii zdawały się większe i zamiast drewnianych ław miały nabijane guzikami skórzane siedzenia, które najczęściej można spotkać w męskich klubach, do których kobiety mają wstęp jedynie w porze lunchu lub na specjalne zaproszenie któregoś z członków. Natychmiast zauważyła *Wóz z sianem*, ponieważ wokół niego zebrała się jedna z wycieczek z przewodnikiem. Tym samym widziała jedynie fragmenty obrazu wystające spomiędzy głów i plecaków. Dojrzała liście i niebo oraz zasłyszała monolog przewodnika, który objaśniał, że wiejska sielanka ukazana na obrazie, choć dokładna w swoim umiejscowieniu, jest niczym innym, jak tylko wytworem wyobraźni. Takie życie już za czasów Constable'a dawno było jedynie pięknym wspomnieniem. Bardziej uważni słuchacze przytakiwali ze zrozumieniem. Claire widziała tyły ich głów i zdawała sobie sprawę, że w kolejce za drzwiami, niczym sępy, czekają już następne zorganizowane grupy turystów.

Podeszła do obrazu, gdy tylko pierwsza grupka się oddaliła. Stała na wprost niego, może nawet nieco za blisko, tak żeby nikt nie przesłonił jej widoku. Za plecami czuła już zbierający się tłumek, napierający z każdej ze stron z pomrukiem niezadowolenia na widok intruza. Poczowała się odrobinę nieswojo i być może właśnie dlatego w pierwszej chwili obraz zupełnie się jej nie spodobał. Wyglądał, jak zwykły obrazek. Z jednej strony stał mały domek, który wyglądał jak chatka z piernika — kwiaty rosły wokół okien, po jednej stronie było miejsce na ogródek warzywny, dym wydobywał się z komina, a ołowiane okna na piętrze ktoś otworzył

na całą szerokość, wpuszczając do pokoju świeże powietrze. Claire pomyślała, że w czasach współczesnych niejedna bogata para menedżerów chętnie by przepłaciła za taki domek, by zrobić z niego miejsce na weekendowe wyjazdy. I pewnie jeszcze więcej wydaliby, żeby urządzić go dokładnie w stylu z epoki, gdyby tylko udało im się zdobyć odpowiednie pozwolenia na zagospodarowanie. Po czym dowiedzieliby się, że z powodu zbyt wysokiego ryzyka powodzi nikt im go nie chce ubezpieczyć.

Wróciła myślami do Daisy. Ciekawe, czy Charles właśnie o czymś takim marzył dla siebie i dla żony. Życie z dala od brudu londyńskich ulic, jak najdalej od gazet i kronik filmowych prawiących przez cały czas wyłącznie o wojnie i stratach, sielanka pod dyktando mieniących się świeżą zielenią liści i świeżo ułożonych stogów siana. Claire nie widziała w takim życiu nic złego. W istocie, było ono ujęte w ramy, jakich tysiące ludzi obecnie pragną, a czego nie mogą dostać tu, na miejscu, i szukają za granicami kraju. Takie obrazy powielane są na podkładkach pod mysz, notatnikach czy innych kubkach przez setki fabryk na całym świecie. Claire widziała ich już wiele, przez co miała teraz problem z ułożeniem obrazu Constable'a we właściwej perspektywie. Pewnie niewiele lepiej poradziłaby sobie z tym Daisy, gdyby tylko nie odpuściła sobie comiesięcznej wyprawy do galerii. Może zatem dobrze zrobiła, że go zignorowała? Dzięki temu mogła pozostać w prawdziwym świecie, zamiast uciekać w baśniowy.

Zabawne, ale Daisy ten obraz mógł się nawet podobać. Tak wiele pisała w swoich listach o tęsknocie za wiejskim krajobrazem, za łąkami, polami i kwiatami. Wojna budziła w ludziach tęsknotę za takim życiem. I nie ma znaczenia, czy było ono prawdziwe, czy nie (jak to miało miejsce już za czasów Consta-Me'a), ponieważ obiecywało ucieczkę od miejsca, w którym los ich ulokował. Gdy Londyn zdominowały obrazy zniszczonych

domów i pustych witryn, nie było chyba w tej tęsknocie nic zaskakującego. Realne życie, z dnia na dzień, musiało dobijać swoją smutną monotonią, więc nie ma się co dziwić, że ludzie szukali jakiejś ucieczki. Być może jej własny problem z interpretacją i stosunkiem do obrazu wcale nie rozbijał się o samą wartość artystyczną płótna, tylko jej relacje z Dominikiem. Wciąż słyszała echo pełnego irytacji i zdecydowania głosu wypowiadającego ostatnie zdanie przez telefon. Wwiercał się w jej głowę wraz ze świadomością utraty potencjalnej przyjemności, jaka czekała na nią, gdyby inaczej ich rozmowę rozegrała.

Claire odwróciła się od obrazu i ku swemu zdziwieniu zauważyła, że obok *Wozu z sianem* znajdował się inny obraz Consta-ble'a, ten, który Daisy akurat widziała. *Zatoka Weymouth*, obraz ukazujący szeroką plażę, brzeg galopującego morza, zbierające się chmury, które zwiastowały deszcz. Skoro już tu była, to chyba dobrym pomysłem było przyjrzeć mu się bliżej. Tym samym wykona dwie misje podczas jednej wyprawy.

Zatrzymała się i przysiadła. Owiał ją chłód klimatyzacji dobywający się z misternie kutych nawiewów umieszczonych w podłodze. W przypadku tego obrazu była przynajmniej pewna, że się jej podoba, po części może dlatego, że nie był tak popularny, jak *Wóz z sianem*, a po części pewnie też z tego powodu, że tak bardzo przypadł do gustu Daisy. Było coś urzekającego w ogromnych połaciach piasku ciągnących się po sam horyzont, przyciągających wzrok w kierunku odległych klifów. Nagle Claire zapragnęła tam być, biec po plaży boso z sandałami w ręce, poczuć ostre kamyczki pod stopami. Daisy miała tację, wspominając, że ta część obrazu była niedokończona, ale zdaniem Claire nie robiło to większej różnicy. Tak naprawdę to kolor startej cegły, której Constable użył do namalowania piasku, oraz nonszalancki sposób, w jaki nakładał warstwę farby na pierwszym planie, czyniły ten obraz jeszcze bardziej rzeczywistym.

Cienka warstwa koloru nałożonego na płótno nadawała plaży nieokreślony charakter, który przy starannym wykończeniu pewnie by zaginął.

Claire pociągał widok brzegu morza od chwili, gdy jako mała dziewczynka wyjechała do ciotecznej babki i w jej domku na południowym wybrzeżu Anglii spędziła nieco przydługie wakacje. Gdy pierwszy raz się zakochiwała, to też w takt fal bijących o brzeg i chrzęst piasku pod stopami. Miała wtedy czternaście lat i uważała się za niewiarygodnie brzydką dziewczynę, choć teraz, gdy patrzyła na fotki z dzieciństwa, wcale tak nie myślała; w istocie była całkiem śliczna, szczuplejsza niż kiedykolwiek później. Chłopak miał na imię Andrew i przebywał w domku obok, wraz z rodzicami. Pocałowali się raz, bardziej odczuwając skrępowanie niż podniecenie, na dzień przed jego wyjazdem do domu. Potem szybko pobiegł w kierunku grupki kolegów, którzy najpierw się przez chwilę z niego naśmiewali, gdy podchodził, a potem wciągnęli do grupy i Claire już go więcej nie spotkała. Gdy tak patrzyła na obraz, wspomnienie uderzyło ją świeżością i wywołało salwę śmiechu, choć tak naprawdę bardziej miała ochotę zapłakać nad tą nastolatką, którą wtedy irracjonalny strach paraliżował do tego stopnia, że nieomal straciła oddech. Mimo to wspomnienie chwili wciąż miało słodki posmak, nawet piętnaście lat później. Teraz była niby starsza i mądrzejsza, a jednak jej życie skomplikowało się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Odszukała w pamięci wspomnienie ramion Dominika obejmujących jej ciało, jego ust zdecydowanie przywartych do jej ust. Jednak miło by było, gdyby siedział tutaj obok niej. Gra toczyła się dalej, oboje tylko podnieśli stawkę.

Gdy popatrzyła na *Zatokę Weymouth* raz jeszcze, miała wrażenie, że niebo to jedna wielka groźba; wielkie, zwisające ciężko nad ziemią wraz z kłębiącymi się chmurami, które zdawały się wychodzić poza ramę obrazu w jej kierunku, jakby chciały

ją porwać w swe mocarne objęcia. Dzikość natury wyzierającej z obrazu wywołała w Claire poczucie strachu, otwarta przestrzeń nagle zaczęła się wokół niej zacieśniać. Zastanawiała się, czy już podczas swojego miesiąca miodowego Constable chciał pokazać, że nie zamyka oczu na gorzką rzeczywistość. Może chciał udowodnić, że widzi, iż nawet coś, co z pozoru wydaje się idealne, wcale takim nie jest. Być może podświadomie wyczuwał, że jego żona ukrywa przed nim początki choroby, ukradkowo kaszląc i udzielając zdawkowych odpowiedzi, gdy dopytywał, jak się czuje. I czekał na ten moment, w którym zostanie sam i pozostanie mu tylko tworzenie kolejnych obrazów w żałobnej atmosferze. Nawet jeśli Maria wciąż była na tym etapie zdrowa, miesiąc miodowy mógł mieć gorzkawy posmak żalu, że tyle lat zwlekali z decyzją pod naporem konwenansów, wedle których on był zbyt biedny, żeby móc się z nią ożenić, a ona - zbyt bogata, by za niego wyjść.

Claire przerzuciła wzrok po raz kolejny na *Wóz z sianem* i zauważyła, że tłum był nieco mniejszy, pewnie dlatego, że nadeszła pora lunchu. Zorganizowana grupa musi przecież odpowiednio się najeść, żeby zebrać siły na przyjęcie kolejnej morderczej dawki informacji na temat sztuki. Podeszła zatem do obrazu raz jeszcze, tym razem czyniąc wysiłek zagłębienia się w ten pejzaż idealnego, angielskiego, letniego dnia. Niebo może i nie było na nim czyste, ale chmurki zakłócające błękit były niewielkie, do tego śnieżnobiałe, a więc nie groziły deszczem. Pod tym pięknym niebem rozpościerał się równie uroczy pejzaż ukazujący angielską, wiejską idyllę. Płaskie pola oddzielone żywopłotami, szerokie koryto rzeki dominujące w pierwszym planie, wóz ciągnięty przez trzy czarne konie osiodłane czerwoną uprzężą, stojące w płytkiej wodzie, która sięgała im ledwie do pęcin. Przy wozie znajdowało się dwóch mężczyzn, jeden z nich smaga konie biczem. To była scena, której dźwięki stawały się niemal

słyszalne, gdy bliżej się jej przyjrzała: szum płynącej rzeki, skrzywienie kół, pokrzykiwania chłopów poganiających konie - pełne zniecierpliwienia, a później nawet rezygnacji i znów zniecierpliwienia - do tego szczekanie psa przy brzegu.

Cały ten wóz, tkwiący gdzieś pośrodku rzeki, z wodą opływającą go ze wszystkich stron, stał się nagle alegorią rozstaju dróg, chwili, w której można ruszyć tylko do przodu albo do tyłu. Do przodu, ku nieznanemu, lub z powrotem na ścieżkę, którą się doskonale zna. Nie ma miejsca na brak decyzji, na tkwienie w tym samym punkcie niczym zamrożony posąg. Impulsywnej Daisy podjęcie decyzji nie zajęło wiele czasu. Wybrała Weymouth z Richardem. Wszelkie poczucie winy wobec Charlesa rozmyło się w pięknym zachodzie słońca, który oglądała wspólnie z nowym kochankiem. Ścieżka, jaką powinna podążać Claire, już nie była tak łatwa do odzyskania. Gdzieś w głębi duszy czuła, że najszcześniejsza byłaby, gdyby udało jej się pozostać pośrodku i nie musieć nic wybierać. Jednak życie nigdy nie oferuje tak prostych i wygodnych rozwiązań. Już w dzieciństwie każe nam odnosić sukcesy, za wszelką cenę unikać stania w miejscu. Wóz z sianem też nie mógł tam pozostać: trzeba go było jakoś wypchnąć, w tę albo w drugą stronę. To tylko kwestia czasu. A zatem może powinna wrócić do Roba, którego swym bezlitosnym traktowaniem zredukowała do postaci innego mężczyzny niż tego, którego poślubiła. Może też wykonać skok do przodu, w ramiona tajemnicy, jaką oferował Dominie. Wiedziała, że przyjmie ją z otwartymi ramionami, a ona przecież go nie odepchnie.

Z głową pełną podobnych myśli zmusiła się do wstania z fotela i opuściła galerię. Tym razem nie skierowała swych kroków do domu, tylko w stronę Piccadilly i Fortnum & Mason, gdzie postanowiła kupić matce prezent urodzinowy - pachnące mydélka opakowane w marmurek lub eleganckie puszki

z herbatą, które będą się potem ładnie prezentować na półce kuchennej, a może nawet miód, który pracowite pszczoły zrobiły w pasiece na dachu domu handlowego. Claire tak naprawdę uważała, że bardziej stosowną nazwą dla tego miejsca byłby „pałac”. Przechodząc przez przeszklone, drewniane drzwi, które zasługiwały na odzwierne, kupujący przenosili się do świata, w którym każdy wystawiony produkt lśnił w blasku wielkich żyrandoli ułożonych w kształt złotego słońca. Tutaj słoiki z dżemem stawały się klejnotami, a puszki z herbatnikami - skrzyniami ze skarbami.

Nie spieszyła się z zakupami. Pragnęła nacieszyć się pięknem wózka sklepowego, rogiem obfitości z truflami i tureckimi przysmakami, miękkością czerwonego dywanu pod stopami. Wszystko to kontrastowało gwałtownie z brudnym chodnikiem i leżącymi na nim petami, które czekały na zewnątrz. W sam środek tego błogostanu nagle ktoś wkroczył. Wszedł w jej świat i myśli tak nagle, jak zwykła to czasem czynić Daisy. Ponieważ kontekst spotkania był całkowicie odmienny od poprzednich, w pierwszej chwili nie była nawet pewna, czy to na pewno on. Tak, to jednak on, a dziecko, które ścisnęło jego dłoń, ubrane w szkarłatny płaszcz, aksamitny szal oraz srebrne buciki ozdobione wyszytymi kwiatkami to z całą pewnością była jego córka. Oto Ruby. Trajkotała o czymś radośnie, ale Claire była zbyt daleko, by dosłyszeć jej słowa. Dominie uśmiechał się zachęcająco, przyjmując charakterystyczną postawę kochającego rodzica, który chce zrozumieć historię opowiadaną mu przez dziecko. Claire, lekko skonfundowana, rozważała, czy nie powinna odwrócić się i ruszyć w przeciwnym kierunku, do drzwi, ale on w tym momencie podniósł wzrok i głosem niezdradzającym wahania ani zaskoczenia, zawołał wesoło:

— Claire, tu jesteśmy.

— Dominie — zareagowała. - Co tutaj robisz?

- Cześć.

Powiedziawszy to, pocałował ją w oba policzki tak, jak to robią przyjaciele, choć w jego oczach i uścisku ręki wyczuła coś więcej. Z miejsca poczuła, że jej poranne zachowanie zostało jej wybaczone, zrozumiała, że nadal pragnie jej tak samo, jak ona jego.

- Ruby, poznaj Claire. Przywitasz się?

- Cześć Claire - dziewczynka odpowiedziała ze swobodą, która zdradzała, że nie krępuje jej obecność nieznanym. Zareagowała tak, jak powinna, Claire nie lubiła dzieciaków, które wiecznie chowają się za nogami rodziców. Sama taka kiedyś była i obiecała sobie, że gdy zostanie matką, jej pociechy tak się zachowywać nie będą. Jej pociechy. A więc do tego doszło. Patrzy na inne, bo swoich dzieci nie posiadała. Przestała wpatrywać się w dziecięce oczy, które miały ten sam, niesamowity odcień błękitu, co u ojca.

- Właśnie wracamy z kafejki, gdzie zjedliśmy ciacho, łamiąc przy tym wszystkie zasady, prawda skarbie?

Claire podniosła zdziwioną brew.

- Mamusia twierdzi, że nie powinnam się najadać przed kolacją, bo to zepsuje mi apetyt - Ruby szybko wyjaśniła, a Claire kątem oka zauważyła, że uśmiech zniknął z twarzy Dominika, a brwi zmarszczyły się.

- Postanowiliśmy o niczym jej nie mówić - dodał z konspiracyjnym mrugnięciem oka.

- Aha. - Claire nie wiedziała, czy powinna jeszcze coś dodać. Ujrzała tylko natychmiastową zmianę w Dominiku, z kochanka w niedzielного tatusia. Transformacja rozegrała się właśnie przed jej oczami.

- Właśnie wychodziliśmy. Musimy się spieszyć, bo kogoś tutaj niedługo czeka słodki sen - dodał.

- Ja też wracam do domu - odpowiedziała.

- W takim razie pędźmy razem do metra.

To była jego propozycja dla wszystkich i za chwilę byli już w drodze. Ich troje. Sytuacja lawirowała gdzieś pomiędzy niezręcznością a zachwytem. Tak to przynajmniej odczuwała Claire, gdy z wolną ruszyli do metra, utrzymując tempo wygodne dla Ruby, wyglądając przy tym jak zwykła, szczęśliwa rodzinka. Ojciec, matka i dziecko, czyli wszystko to, o czym śniła po nocach. Tyle że to nie było ziszczenie snu, ponieważ była w tym trójkacie ramieniem niepasującym do reszty figury.

- W którą stronę jedziesz? - Dominie zagaił, gdy weszli na stację Green Park. Pytanie uprzejme i niezobowiązujące, jakie zadajemy podczas przypadkowego spotkania ze znajomym. I tak się właśnie poczuła, jak przypadkowa znajoma, mimo iż nadal czuła uścisk jego dłoni na swoim ramieniu i dotyk ust przy policzku.

- Jadę linią Victoria - odpowiedziała automatycznie.

- To tak, jak my. Zgadza się, Ruby?

Maszerowali wzdłuż korytarzy ozdobionych kolorową mozaiką kafelków, przeciskając się przez tłum i unikając fizycznego kontaktu, ponieważ Dominie w jednej ręce ścisnął rączkę Ruby, a w drugiej miał jej torebkę z różowego aksamitu z motylem ułożonym z cekinów. Claire poczuła ulgę, gdy dotarli do peronu i okazało się, że ona kierowała się na północ, a oni na południe.

Podczas chaotycznego, nieco niezręcznego pożegnania Claire pozwoliła sobie na szybkie i ciche:

- Przepraszam.

- Ja też — odparł równie cicho. — Niedługo się zobaczymy, prawda?

- Tatusiu, chodź. Pociąg już nadjeżdża — wtrąciła się Ruby, odciągając ojca, zanim Claire zdążyła powiedzieć:

- Oczywiście, wkrótce.

Zdążył jeszcze pomachać jej na pożegnanie, zanim drzwi wagonu się za nimi zasunęły. Nadal trzymał córkę za rączkę. Odjechali, a Claire została na peronie, bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej.

Gdy weszła do domu, okazało się, że Rob wrócił nieco wcześniej i szykował dla nich kolację. Podziękowała mu z uśmiechem, ale w rzeczywistości pragnęła być sama w pustym mieszkaniu. Miałyby wówczas chwilę na pozbieranie wydarzeń dnia, ułożenie w głowie wszystkich komplikacji, nieporozumień, poczucia zakłopotania i zmieszania oraz późniejszego aktu zgody, zostawiając w sekretnej skrzyni pamięci jedynie same dobre wspomnienia.

ROMBY WENUS - VELASQUEZ

Dominie i Daisy. Daisy i Dominie. A teraz jeszcze Richard.

Towarzyszyli jej myślom niemal na każdym kroku. Byli przy niej, gdy jadła lunch, gdy wracała do domu obładowana zakupami z pobliskiego supermarketu. Jej myśli wciąż wybiegały raz do jednej, raz do drugiej postaci. Czasami łapała się na wewnętrznych monologach, zdarzało się, że wypowiedzianych na głos. Zaśmiewała się, wyobrażając sobie flirt z Dominikiem, swoje prośby skierowane do Daisy o to, by jeszcze raz szczegółowo opisała jej Richarda, i pytania do Richarda związane zmalowaniem portretu ukochanej. Miała wrażenie, że wszyscy oni uchwyceni zostali w jednym mikrokosmosie, połączeni łańcuchem powiązań, zajmując przestrzeń w umyśle Claire do tego stopnia, że nie dało się już ich w żaden sposób stamtąd przepędzić.

Sama na to wszystko im pozwoliła. Osobiście odpowiedzialna była za przeniesienie się do innego wymiaru, gdzie wszystko zdawało się takie rzeczywiste, a problemy związane z jej życiem codziennym stały się zupełnie inne, przyjęły mniej konkretną formę. Pragnęła móc to komuś wyjaśnić, ale jedyną osobą, która mogłaby tego potrzebować, był Rob. Tyle że on akurat był ostatnim, który powinien o tym cokolwiek wiedzieć. Miała przy tym spore problemy w dobieraniu właściwych słów do opisanego tego, co się w jej wnętrzu działo. Te trzy postaci i oczywiście

Oliver pojawiały się w snach, dlatego niechętnie dobudzała się o poranku, byle tylko jak najdłużej zatrzymać je przy sobie. Znalazła swój azyl, źródło ulgi, dzięki któremu udało jej się zmienić zgorzkniałą postawę wobec Roba w obojętność. Tyle i aż tyle.

Taniec godowy, który trwał między nią i Dominikiem ciągnął się już dostatecznie długo. Wiedziała, że gdy spotkają się następnym razem, musi położyć temu kres i albo pójść dalej, albo całkowicie się wycofać. Jak dotąd nie zamierzała z niczego rezygnować. Przypadkowe spotkanie w Fortnum & Mason zaowocowało dziwnym, ulotnym wspomnieniem malej rączki Ruby ukrytej w dłoni ojca i różowej torebki, która huśtała się na jego kciuku; wspomnieniem krótkiej chwili, która pochodziła z nierealnego, trudnego do umiejscowienia świata. Powstrzymywała się przed kontaktem z nim aż do końca czerwca, czyli chwili, gdy uznała, że czas znowu wybrać się do National Gallery. Lojalna część jej osobowości, ta, która przysięgała Robowi miłość i wierność, podpowiadała, że wstrzemięźliwość to ostatnia próba, która mogła uwolnić ją spod uroku i wskazać drogę powrotu do dawnego porządku rzeczy. Jednak równocześnie druga, mroczna strona wiedziała, że jest to jedynie przedłużanie oczekiwania, które dzięki temu stało się jeszcze bardziej intensywne. I chyba tak powinno być, przecież tak powinien wyglądać romans, jej romans. Z jednej strony podniecający, z drugiej nieco zatrwajający. Cały czas miało między nimi iskrzyć. W międzyczasie, za każdym razem gdy chciała go mieć przy sobie, wyobraźnia natychmiast zaczynała działać.

- *Rokeby Venus!* — upewnił się, gdy do niego zadzwoniła. Gdy wykrecała numer, Rob był jeszcze w domu. Leżał przed telewizorem w salonie, a Claire rozmawiała w kuchni. Traktowała całą sprawę z coraz mniejszą dozą ostrożności.

- Spotkamy się przed wejściem. Niedziela ci odpowiada?

- Będę. - Usłyszała zdecydowany głos. To dobrze. Wyczuł determinację w jej głosie, brzmiała zupełnie inaczej niż ostatnim razem.

Następnego ranka powiedziała Robowi, że wybiera się do National Gallery. Siedzieli w łóżku, zajadając świeże croissants, po które specjalnie wybrał się wczesnym rankiem, gdy jeszcze spała. Łamali je palcami tłustymi od masła, zwracając uwagę, by nie ubrudzić pościeli dżemem truskawkowym. Wywoływał uśmiech na jej twarzy, gdy zbierał okruszki z kącików jej ust końcówką języka, ale śmiech nagle zamarł, gdy pomyślała o Dominiku.

- Tylko nie wracaj zbyt późno, dobrze? - powiedział, gdy obwieściła mu swoje plany. Tylko tyle. Nie zapytał, czy wybiera się tam sama. Nie wspomniał o Dominiku. Poprosił jedynie, by wróciła wcześniej. Obiecała być przed czwartą, żeby mogli się razem wybrać na popołudniową herbatę do ulubionej kafejki. Zapadła między nimi cisza, miazdząc radość, która ledwie chwilę wcześniej była ich udziałem. Gdy odkopywała się z ciepłej pościeli, pochyliła się i pocałowała go delikatnie w czoło, jakby był jej maleńkim synkiem. Odwrócił wzrok.

Starannie dobrała swój ubiór, umyła włosy drogim szamponem poleconym jej przez fryzjerkę, po czym spryskała szyję i nadgarstki perfumami, które dostała od Roba. Włożyła nową sukienkę zapinaną z przodu. Gdy ją kupowała, wmawiała sobie, że jej się zwyczajnie podoba, podczas gdy w istocie liczyła na to, że spodoba się w niej Dominikowi. Włożyła też seksowną bieliznę, tym razem koloru czerwonego, a nie białego. Kolejny prezent od Roba. Nie przesadza? Czy jej przygotowania nie stają się zbyt oczywiste? Oczywiście, że tak. Jej mąż przyglądał się wszystkim tym zabiegom, w milczeniu. A ona nie potrafiła się powstrzymać.

Wiedziała doskonale, gdzie szukać *Rokeby Wenus*, bo widziała ten obraz rok wcześniej, gdy wybrała się z koleżanką z pracy przygotowującą pracę magisterską z historii sztuki. Pisała właśnie o Velasquezie. Tym samym Claire nie musiała pytać w informacji,

gdzie znajduje się obraz. Ruszyła prosto do sali zawierającej dzieła datowane między 1600 a 1700 rokiem. Była tak pobudzona, że tempo jej marszu było o wiele szybsze niż zazwyczaj. Nie potrafiła także zapanować nad przyspieszonym oddechem. To był bardzo ważny obraz w historii Daisy, wraz z nim przekroczyła Rubikon. Tak samo miało być z Claire. Odgarnęła włosy, próbując przybrać postawę zrelaksowaną, równocześnie ignorując, że pojedyncze kosmyki zawadzały o jej pierścionek zaręczynowy.

Rokeby Wenus. Ten obraz zdawał się nakazywać: *Położ mnie nagą w swoim łóżku.* Ten sam, który kazał Daisy wybrać Richarda kosztem Charlesa i teraz pchał Claire w ramiona Dominika.

Podchodziła do obrazu z nadzieją, że będzie przy nim pierwsza i że Dominie, wchodząc, zapragnie podejść bliżej, wyszeptać jej coś miłego do ucha albo objąć czule silnym ramieniem. Tymczasem, chyba po raz pierwszy, to on pojawił się wcześniej. Siedział na jednej z ławeczek na wprost obrazu. Pomyślała, że łatwo byłoby zawrócić, wyjść wielkimi drzwiami i dalej wieść normalne, domowe życie z dala od niego, a on nigdy by się nawet nie zorientował, jak blisko była. To nie mogło jednak być aż tak proste. Przed podobnymi dylematami stanęła Daisy, idąc do łóżka z Richardem, ale słowa kochanka szybko rozwiąły wątpliwości i wyrzuty sumienia.

Claire zatem nie zawróciła. Nie mogła. Ale nie podeszła też od razu do Dominika. Zamiast tego po prostu delikatnie zbliżyła się na tyle, żeby móc obserwować portret. Z takiej pozycji zaczęła podziwiać nagą boginię, której ciało zostało widzom cudownie podane, jakby na złotej tacy. Czekala, aż Dominie odwróci się i zacznie jej szukać wzrokiem.

Wenus spoczywała na jedwabnym prześcieradle koloru wzburzonego, sztormowego morza. Prześcieradło zostało narzucone na szeszlony, jej ciało ułożyło się zgodnie z ukrytą linią mebla. Kupidyn z wydatnym brzuszkiem ma na sobie jedynie niebieską

szarfę, przepasaną na jednym ramieniu. Z pleców wyrastają mu białe skrzydła z niebieskimi końcówkami, brązowe loki opadają swobodnie na czoło i kark. Za nim rozpościera się zasłona uszyta z czerwonego aksamitu, a w rękach trzyma zwierciadło w drewnianej oprawie, ozdobione bladoporóżowymi wstążeczkami.

Oblicze Wenus odbite w lustrze wydało się Claire nieco zamazane. Nie można było w nim wyczytać wyrazu twarzy, bowiem rysy były niewyraźne. Claire zaczęła się zastanawiać, jak Wenus oceniała samą siebie. Tak robi chyba każda kobieta, wystawiając sobie laurkę przy spojrzeniu w lustro, nieważne, czy dzieje się to w zaciszu domowym, w szatni w siłowni, czy (udając, że tego nie robi) w windzie. Jedne dostrzegały wyłącznie swoje wady, inne z kolei widziały tylko piękno. Spojrzawszy na Wenus, pojęła, że przynależy ona do drugiej kategorii. Czowała się ze swoją nagością swobodnie, nie było w niej cienia zawstydzenia. O takim podejściu Claire mogła jedynie pomarzyć. Można było odnieść wrażenie, że Wenus nic sobie nie robiła z uważnych spojrzeń artysty ani z niekończącego się strumienia ludzi oceniających teraz jej postać. Każdy ze zwiedzających, niezależnie od płci, przystawał przed tym portretem na dłuższą chwilę, czasem nawet trzykrotnie studiując dzieło przed ruszeniem w dalszą drogę. A więc obraz ten nic nie tracił na popularności, nic się w tej kwestii nie zmieniło od chwili, gdy Daisy przyszła go podziwiać.

Zastanawiało ją, co o obrazie może sądzić mężczyzna, co sobie myślał taki Dominie, porównując to dzieło wyróżniające się spośród pozostałych, mroczniejszych i poważniejszych portretów poważnych jegomości o wydatnych wąsach, których oblicza wisiały wszędzie wokół. Wydawali się patrzeć na boginię miłości z podobnym podziwem, jak w przypadku wszystkich miłośników sztuki odwiedzających to miejsce. *Oto jest kobieta, którą chętnie zaprosiłbym do swojego łóżka. Ale to także kobieta, która pewnie by tu mnie nigdy nie spojrzała. Jest piękna, ale jest w niej jeszcze*

coś. To kobieta, której nigdy bym nie poślubił, ale nigdy bym też nie zapomniał.

Mogła się jedynie domyślać reakcji mężczyzny. Gdy ona patrzyła na obraz, myślała: *Taką chciałabym być.* Wtedy nie musiałaby już być tak niepewna, niezręczna w relacji z Dominikiem. Mając świadomość, że robi takie wrażenie, jak Wenus, byłaby elegancka, zmysłowa, doświadczona i pewna siebie, równie gotowa na uwiedzenie kogoś, jak i na bycie uwiedzioną. Dokładnie w chwili, gdy do takiego wniosku doszła, Dominie odwrócił się, wstał i podszedł do niej. Dotknięcie jego ręki było elektryzujące. Gdy się odsunął, poczuła, że z trudem znosi przerwanie tej bliskości.

- Chodź - powiedział, rzucając ostatnie spojrzenie na Wenus. — Chcę cię jak najszybciej zabrać do domu. Do mnie, nie do ciebie. Weźmiemy taksówkę, będziemy tam za dziesięć minut.

- Dobrze — odpowiedziała, wiedząc, że planował to wszystko tak starannie, jak ona. Wiedziała, że gdy pójdą do niego, czekać ich będzie spełnienie. Oboje tego pragnęli, była tego pewna. Chcieli tego od pierwszego spotkania przy niewielkim stoliku, na którym ktoś chwilę wcześniej rozlał kawę. *Rob*, pomyślała. *Biedny Rob.* Chwilę później jednak zepchnęła tę myśl na dalszy plan.

Mieszkanie Dominika znajdowało się na piątym piętrze, na które zabrała ich bezszelestna winda wprost z głównego, wejściowego korytarza. Mieszkanie było małe, panował tam lekki bałagan, dokładnie taki, jakiego można by się spodziewać po garsonierze samotnego mężczyzny. W głównym salonie nie było żadnych ścian działowych, a kuchnię od salonu oddzielał jedynie bar. Zawahała się przy drzwiach, nie wiedząc, gdzie ma stanąć, podczas gdy Dominie odsunął na bok stertę ulotek i innej niepotrzebnej poczty walającej się po podłodze. Na pierwszej z brzegu korespondencji — był to jakiś katalog - zauważyła jego nazwisko. Travers. Nie wiedziała dotąd, jak się nazywa. Eleganckie,

klasycznie angielskie nazwisko. Patrzyła, jak Dominie Travers zgarniał książki i stare gazety, układając je w bezładną stertę na stoliku kawowym stojącym na środku przestrzeni mieszkalnej. Następnie pozbierał także talerze i szklanki, po czym wstawił je do zlewu. W rogu pomieszczenia zauważyła funkcjonalne, turystyczne łóżko z metalową ramą i zielonym materacem, które stało złożone pod ścianą. Dominie dostrzegł, że mu się przygląda.

- Tutaj śpi Ruby, gdy mnie odwiedza - powiedział. - Nie jest to może szczyt luksusu, ale też i za często jej tu nie goszczę. Mówię jej wtedy, żeby wyobraziła sobie, że jest na kempingu na Saharze, pod gołym niebem, i obserwuje gwiazdy. Pewnie wolałaby łoże z baldachimem i różowymi zasłonkami.

Zniknął w wąskim korytarzu, który prowadził do sypialni. Claire słyszała jego pospieszne przygotowania. Pewnie chował porozrzucone ubrania w głąb dolnej szuflady szafy i usuwał z widoku nieumyte kubki. Nie poszła za nim, tylko bez celu przechadzała się po głównym pomieszczeniu. Na gzymsie kominka stały wyroby ze szkła, do tego w pokoju znajdowało się też kilka mebli, z pewnością starych i drogich. Drewniane półki stojące między dwoma oknami wypełniały książki na temat sztuki i wyrobów antycznych oraz powieści detektywistyczne, z których część Claire kiedyś czytała. Obrazu dopełniały nieco sfatygowane książeczki dla dzieci, pewnie własność Ruby. Na ścianach wisiały dwa obrazy, ale nie było żadnych zdjęć. To jej akurat nie zdziwiło. Mężczyznom jakoś na takich sprawach nie zależało, w przeciwieństwie do niektórych kobiet, które mają zwyczaj stawiać fotki ze ślubu lub zdjęcia dzieci na każdej możliwej powierzchni tak długo, jak tylko mężowie im na to pozwolą.

Na jednej ze ścian wisiało też lustro i gdy się sobie przyjrzała, zauważyła, że jej oblicze jest tak samo trudne do rozszyfrowania, jak w przypadku Wenus. Skoro sama nie potrafiła zrozumieć siebie, swych emocji, to jakże mogłaby tego samego

oczekiwać od Roba, a tym bardziej od Dominika? Przynajmniej jej powierzchowność była w miarę przejrzysta. Pomimo iż tusz do rzęs nałożony rano nie miał aż takiej trwałości, jak podawano na opakowaniu, a lśniący kolor błyszczyka na ustach już dawno znikł, uznała, że wygląda całkiem atrakcyjnie, dokładnie tak, jak powinna i jak tego mógł oczekiwać po niej Dominie. Włożony w to wysiłek odpowiadał natężeniem oczekiwanom, jakie towarzyszyły spotkaniu. Wyobraziała sobie Dominika stojącego przed tym samym lustrem każdego ranka, układającego fryzurę, i podświadomie zażyczyła sobie, żeby nagle stanął za nią i żeby razem z nią podziwiał ich odbicia w lustrze. Ale jego wciąż nie było. Jeszcze nie. Gra w wyczekiwanie wciąż się nie skończyła.

W pierwszej chwili pokój wydawał się jej ciemny, dopuszczający jedynie blade światło dzienne przebijające się przez klasycznie londyńskie chmurne popołudnie. Poczowała zimny dreszcz na ciele i podeszła do okna wychodzącego na Tamizę płynącą w kierunku budynków parlamentu. Za taki widok właściciel musiał sporo płacić. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że Dominie już wrócił z sypialni i patrzył na nią. Teraz to już tylko kwestia czasu. To tutaj się to wszystko miało zacząć. Prawdziwy początek czegoś nowego, z bagażem starego życia wyrzuconym przez okno. Serce waliło jej jak szalone i instynktownie położyła dłoń na klatce piersiowej. Nie była pewna swoich uczuć. Nie wiedziała, czy dominuje w niej podniecenie, czy strach.

Dominie musiał wyczuć jej niepokój.

- Nie ma nic nienormalnego w tym, że się denerwujesz - powiedział spokojnie. - Zrobię ci drinka. Czego się napijesz?

- Wystarczy szklanka wody.

- Nie bądź niemądra. Potrzebujesz czegoś mocniejszego. Może gin z tonikiem?

- Może być - zgodziła się, wiedząc, że ma rację.

Patrzyła, jak wyciąga cytrynę z patery z owocami, z zamrażarki tackę z lodem i dolewa zimnego toniku do ginu. Przesunął szklankę w jej kierunku. Gdy ją podnosiła, zdała sobie sprawę, że ręka jej drży. Piła szybko, podczas gdy on przygotowywał drinka dla siebie. Napój był zimny i mocny, na palcach zostały jej chłodne kropelki z oblodzonej szklanki. Mimo to drżenie rąk nie ustępowało. Gdy spojrzała na Dominika, zorientowała się, że jest absolutnie spokojny.

- To jaki obraz przegapiłem ostatnim razem?

- *Wóz z sianem* Constable'a.

- Co o nim sądzisz?

- Przypominał mi pudełka z mieszanką czekoladową. Można je było kupić w kioskach, gdy byliśmy mali. Pamiętasz? Z reguły rodzice trzymali je poza naszym zasięgiem, więc zbierał się na nich kurz. Pod folią znajdował się zawsze jakiś obrazek z chatką pokrytą słomą. Przez całe wieki potrafiłam oszczędzać, by kupić coś takiego babci na urodziny, a ona udawała, że jest tym prezentem zachwycona, choć tak naprawdę lubiła tylko czekoladki z orzechami laskowymi. Jakoś nie widuję takich pudełek ostatnio, a ty? Teraz wszyscy szukają czegoś o wiele bardziej wyrafinowanego.

Dominie uśmiechnął się.

- Jesteś taka piękna, gdy zaczynasz wspominać. Wyglądasz, jakbyś przeniosła się do jakiegoś innego wymiaru, zostawiając tutaj ze mną tylko małą część siebie.

- Naprawdę? - Claire odwzajemniła mu uśmiech, ten komplement sprawił jej wielką przyjemność.

- Naprawdę. A teraz wracaj na ziemię, bo chcę cię mieć blisko. Dawno już nie spotkałem kogoś takiego, jak ty. Powodujesz, że czuję, że znów naprawdę żyję. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że to mówię?

Jego głos był mocny, zdecydowany, a gdy spojrzała mu w oczy, wiedziała, że mówi prawdę. Takie słowa kiedyś płynęły

z ust Roba, używał nawet podobnych zwrotów. Wszystko to słyszała potem tysiące razy w telewizji, czytała setki razy w książkach i wiedziała, że nie za każdym razem muszą one oznaczać coś prawdziwego. Zapragnęła nagle, by przestał mówić. Lepiej, żeby dał sobie spokój i żeby wreszcie mogli przystąpić do tego, po co tutaj przyszli. Odłożyła szklankę i powiedziała:

- Proszę, nie mów już nic więcej.

-OK.

Odstawił drinka, obszedł bar, który do tej pory ich dzielił, i wyciągnął do niej rękę. A potem przyciągnął do siebie i zaczął całować; napór języka w jej ustach nieco ją zszokował. Chwilę później poczuła jego ręce na piersiach, a następnie na guzikach sukienki. Powoli zaczął je rozpinąć, jeden po drugim. Gdy już zostało ich niewiele, ubiegł ją i uwolnił z sukienki. Odsunął się, chwycił koszulę i wyciągnął ją ze spodni, po czym sięgnął do guzików. Claire zdała sobie nagle sprawę, że to ona powinna była zrobić za niego. Niespodziewanie w mieszkaniu zapanował chłód.

W tym krótkim momencie rozłączenia ich ciał, w tej najkrótszej z przerw, Dominie popełnił błąd. Po raz pierwszy tego popołudnia słońce wpadło przez okna do pokoju, świecąc pełnym blaskiem i rozjaśniając pokój, i wypędziło z niego mroczne cienie. Spojrzała Dominikowi w oczy i nagle, po całym tym czasie, ujrzała wszystko we właściwym świetle. *To powinien być Rob. Dlaczego to nie jest Rob?* Ułamek sekundy później słońce znów skryło się za chmurami, a między nimi wyrosły mroczne cienie i resztką podniecenia ulotniła się z ciała Claire niczym zjawą. Nie pomogło nawet to, że Dominie znów chwycił ją za rękę i próbował powieść za sobą do sypialni. Wyrwała się, wiedząc, że właśnie zaszła najdalej, jak to w jej przypadku było i będzie kiedykolwiek możliwe.

- Przykro mi, Dominiku. Nie tego chcę.

Odwrócił się do niej, zobaczyła jego postać ujętą w ramy framugi drzwi do sypialni.

- Co powiedziałaś?

Powtórzyła, tym razem słowa potoczyły się o wiele łatwiej.

- Nie chcę tego, chcę przestać.

Wciąż stał bez ruchu, obserwując ją uważnie. Zaczęła się cofać, nie odwracając się do niego plecami. Po chwili była z powrotem w salonie, a on obok niej.

- Powiedz to raz jeszcze - nakazał. - Chcę to jeszcze raz usłyszeć.

- Przykro mi. Popełniłam błąd. Tylko tyle. To był błąd. Wyciągnęła do niego dłoń, chciała chwycić jego rękę albo

wesprzeć się na ramieniu. Był jednak za daleko, z każdą chwilą fizycznie coraz bardziej odległy.

- Boże, Claire, co ty wygadujesz? Możesz mi wyjaśnić, co my w takim razie robiliśmy przez te wszystkie miesiące? Zdawało mi się, że właśnie tego pragniesz. Wiem, że tego pragniesz. Myślałem, że cię uszczęśliwiam. A może nie?

- Oczywiście, że tak. I to bardziej niż mógłbyś się domyślać. Ale wydaje mi się, że chciałam czegoś o wiele łatwiejszego. Myślałam, że to będzie łatwe. Tyle że nie jest. Nic tu nie jest proste i łatwe, a skończyło się na tym, że teraz mam jeszcze większy mętlik w głowie niż przedtem. Mam swoje życie. Prawdziwe, inne życie. I jego właśnie potrzebuję, a nie tego.

- A chemia między nami, ona nie istnieje? Wiem, że ją czujesz. Co do tego na pewno się nie mylę.

- Oczywiście, że jest — zapewniła. - Ale czy nie możemy na tym poprzestać? Czy nie mogę po prostu zostać przy mężu i nauczyć się, jak być szczęśliwą z nim?

W tym momencie opadł na sofę, wyraźnie wyczerpany i zrezygnowany.

- Pewnie, czemu nie? Tylko to się może nie udać, Claire. Nieważne, jak mocno będziesz się starać. Uwierz mi, wiem, o czym mówię.

- Ja to nie ty. W moim przypadku będzie inaczej. A nawet jeśli masz rację, to muszę się sama o tym przekonać.

- Nie mam zamiaru cię przed tym powstrzymywać. W końcu kim ja jestem, żeby to robić?

- Dziękuję, że potrafisz mnie zrozumieć.

- Nie jestem co do tego taki pewien.

- Sama niczego nie jestem pewna - zakończyła.

Uśmiechnęła się do niego, ale ten uśmiech wyrażał żal. I jeszcze coś, co chciała przed nim ukryć. W tym uśmiechu tkwiło przesłanie dla Roba. Nagle opanował ją wielki spokój. W końcu mogła normalnie oddychać.

- Będzie lepiej, jak już sobie pójdę - powiedziała.

- Racja, idź już.

Gdy ją odprowadzał, nie było między nimi żadnego dotyku, żadnego dłuższego spojrzenia niosącego obietnicę, której nikt nigdy nie planuje dotrzymać: *Zadzwoń, zostanemy przyjaciółmi*. Wyszła, jak gdyby nigdy nic, a on zamknął za nią drzwi.

Gdy opuściła budynek i wciągnęła w płuca zimne powietrze, poczuła rosnącą radość z tego, że wreszcie zrobiła coś właściwego. Jej miejsce było przy Robie, jej życie było z nim powiązane, a przyszłość wspólna. Przeżyją ją razem. Podjęła decyzję. Nigdy nie mogłaby dzielić z Dominikiem tego, co było jej udziałem w związku z Robem. Była o tym całkowicie przekonana. Dominie był jedynie fantazją, niczym więcej. Przy Dominiku mogłaby się stać osobą bardziej twórczą, bardziej inteligentną i interesującą, ale nigdy nie byłaby wobec niego uczciwa. Nigdy nie śmiałyby się zupełnie szczerze, bez rezerwy lub oczekiwań. Przy Dominiku byłoby to niemożliwe, a przy Robie już przecież tego doświadczyła. Być może umiałyby się z nim dzielić marzeniami, ale już nie obawami. On do tego wszystkiego nie pasował. Uczyniła go częścią swojej historii, ale właśnie zamknęła rozdział z Dominikiem w roli głównej.

Do domu, czym prędzej. Do męża, znajomych rąk, ramion i głosu. Wreszcie w domu. Tak naprawdę i już na zawsze.

Zawróciła jedyną znaną jej drogą, z powrotem w kierunku National Gallery, obok opuszczonej włoskiej restauracji i bukmachera, omijając resztki sobotnich wymiocin zalegających na chodniku, z których większość i tak już rozniosły mniej fartowne obcasy. Na niebie wisiały ołowiane chmury, z rzeki dolatywała chłodna bryza, podnosząc gwałtownie z ziemi opakowania po chipsach i czekoladowych batonikach. Wyrzucone gazety uderzały miarowo o bruk. Były tak mokre, że wiatr był w stanie unosić tylko ich krawędzie. Londyn stał się tego popołudnia brzydki i brudny, a mimo to czuła przypływ szczęścia, ponieważ miała zamiar powiedzieć Robowi, że pragnie tylko jego: *Kocham cię, potrzebuję cię, pragnę cię*. Będzie pachniała perfumami, które jej podarował, a do wspólnych kolacji będzie palić romantyczne świece. Za to on będzie jej robił śniadania i przez cały dzień słał miłosne SMS-y. Znowu będą razem wychodzić na miasto, siedzieć przy stolikach dla dwojga, trzymać się za ręce na ulicy. Będzie tak, jak dawniej. Nic się nie zmieniło, a przynajmniej nie na stałe, wciąż była tą samą osobą. Nie była matką, nie była Daisy, nie była Dominikiem. Była sobą. Tak, wszystko zacznie się na nowo. Nie będzie łatwo, ale poradzi sobie.

Myśli te napędzały ją, szła coraz szybciej, prawie biegła. Gdy dotarła do Trafalgar Square, natychmiast skierowała swe kroki do stacji metra, przeszła przez bramki kontrolne i rozpoczęła długi marsz w stronę peronu. Gdy wreszcie dotarła do ruchomych schodów, ujrzała młodą kobietę, która stała u szczytu, niepewna, którędy iść dalej. U jej boku była mała dziewczynka, a drugie dziecko leżało w wózku. Kobieta z ulgą popatrzyła na zbliżającą się Claire.

- Czy potrzyma ją pani za rękę? - poprosiła. - Nie lubi sama zjeżdżać.

- Oczywiście — Claire natychmiast się zgodziła. Spojrzała na małą i zobaczyła strach w oczach dziecka. — Chodź, szybko będziemy na dole. Nie bój się.

Dziewczynka wsunęła dłoń w jej dłoń i Claire ostrożnie ją uściśnęła. Była ciepła i mokra, nieprawdopodobnie delikatna. Uśmiechnęła się do dziecka, dodając mu otuchy i w spojrzeniu dziewczynki dojrzała absurdalne, niczym niezasłużone pokłady zaufania. Razem weszły na schody, za plecami mając matkę siłującą się z wózkiem. Ruszyły w dół. Nie wiedziała, czy powinna się odezwać do dziewczynki, więc postanowiła milczeć. Jedyne dźwięki, jakie im towarzyszył, to szum poruszających się schodów i ogłoszenia puszczane przez megafony na peronach. Schody zdawały się wolniejsze i dłuższe niż zwykle, a dziewczynka bardziej bezradna niż na szczycie. Jej buzia pomалу formowała się w podkówkę, jakby za chwilę miała się rozpląkać. *Oliverze, pomyślała, to mógłbyś być ty, ubrany w beżowe szorty i czystą, niebieską koszulę, przywierający do swojej mamy.* Myśl ulotniła się tak szybko, jak się pojawiła, a przy niej zostało jedynie to prawdziwe dziecko, bezgranicznie jej ufające.

- Nie płacz - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze, już prawie dojechałyśmy.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Dziecko od granicy płaczu przeszło płynnie w chichot i Claire odpowiedziała radosnym śmiechem. Zanim się zorientowała, były już na dole schodów. Uniosła ją, gdy schody kończyły swój bieg, i postawiła na twardym, solidnym gruncie. Matka dziewczynki podziękowała jej za pomoc i szybko poszła w swoją stronę, ponaglając dziecko słowami, że tata czeka już na nie w domu. Tuż przed miejscem, gdzie korytarz skręcał na drugi peron, odwróciły się i pomachały Claire na pożegnanie, a ona odpowiedziała im tym *samym*.

Gdy otwierała drzwi do mieszkania, wciąż uśmiechała się sama do siebie, mając w gotowości cały potok słów, które Rob przyjmie z radością i które zdejmą z ich barków wielki ciężar.

Na stole kuchennym leżała kartka z wiadomością: Przykro mi, Claire, ale potrzebuję trochę samotności. Zadzwoń.

Schludna notka, napisana starannie i z rozmysłem, na pewno nie pod wpływem chwili.

Claire знаła już to uczucie, gdy coś w jej środku umierało. Miała nadzieję, że już nigdy czegoś takiego nie doświadczy.

ZATOKA WEYMOUTH- CONSTABLE

Czas nigdy wcześniej nie płynął tak wolno, w tak głębokiej ciszy. Jego bieg zdawał się wolniejszy niż nurt zamulonej Tamizy, cichszy niż śnieg padający w środku zimy. Claire nie zarzuciła swojej rutyny, wciąż chodziła do pracy, rano kupowała jedną lub dwie butelki mleka w sklepie na rogu, ale jednocześnie miała wrażenie, że odejście Roba wyciszyło świat wokół niej. Wieczory spędzała w domu, czekając na dźwięk telefonu lub otwierających się drzwi, za którymi stałby jej mąż. Tak mijał dzień za dniem i nie działo się nic. Targał nią niemożliwy do opanowania niepokój, nie potrafiła wysiedzieć na sofie dłużej niż kilka minut, jakaś siła pchała ją do okna, kazała odsuwać zasłonki i wyglądać przez okno na ulicę, po czym przechodziła do kuchni, aby zaparzyć filiżankę herbaty lub wypić kieliszek wina. Czasem opadała bez sił w korytarzu, opierała głowę o ścianę i czekała, wciąż czekała. Stała się kobietą wyczekującą na powrót mężczyzny, zupełnie jak na obrazie de Hoocha, który widziała kilka miesięcy wcześniej. Normalne życie toczyło się w tle, a na pierwszym planie pozostawało owo dręczące wyczekiwanie.

Poznała teraz prawdziwe oblicze samotności. Uświadomiła sobie, że po raz ostatni sama była wiele lat temu, podczas gdy wszystkie ostatnie lata całkowicie wypełniał jej Rob. Dominika w tej układance w ogóle nie brała pod uwagę. Ani on, ani ona

nie dążyli do rozmowy czy choćby wymiany krótkich wiadomości. Nie chciała nawet wizualizować sobie sytuacji, do której niemal udało im się doprowadzić.

Przypuszczała, że Rob wyjechał do swoich rodziców, jedynej przystani zdolnej przyjąć kogoś, kto poniósł taką klęskę, jak ta, która stała się ich udziałem. Była pewna, że nie podzieli się smutnymi wiadomościami z żadnym z przyjaciół. Każdego wieczoru, przynajmniej raz, jej ręka wędrowała w kierunku telefonu, czasem nawet zdarzało się jej wykręcić numer rodziców Roba, ale zawsze na tym poprzestawała. Obiecał przecież, że się odezwie. Miała nadzieję, że kiedyś wróci. Podobną nadzieję przez wiele miesięcy żywił Rob, gdy Claire skazała samą siebie na wygnanie z ich wspólnego życia. Zastanawiała się nawet, czy nie pomogłoby jej wyrwanie się z koleżankami do miasta, byle tylko jakoś skrócić sobie ten czas. Bała się jednak, że rozminie się z Robem, z pewnością nie chciała, by pomyślał, że jej nie zależy, że nie czeka na niego w domu. Przecież zależało jej w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zamiast tego zaczęła coraz częściej wydzwaniać do siostry i matki. Częstotliwość ich rozmów stała się największa na przestrzeni wielu ostatnich lat. Rozmowy były dość schematyczne. Claire cały czas była w słuchawkę, wylewając z siebie desperację, aż w końcu żadna z nich nie wiedziała już, co jeszcze można powiedzieć.

Oprócz pracy (koleżanki zastanawiały się, skąd się bierze jej zapał do pracy po godzinach i wyjątkowo krótkie przerwy na lunch) jedynym miejscem, które odwiedzała, była National Gallery. Tym razem jednak zniknęła w archiwum, do którego prowadziło boczne wejście zarezerwowane dla pracowników, ukryte przed zwykłymi odwiedzającymi. Czytała tam zapiski dotyczące wojny. Ta nowa forma zajęć wynikała z tego, że nie miała już listów Daisy. Zniknęły z szafki nocnej, gdzie do tej pory leżały starannie przewiązane wstążką. Od razu domyśliła się, że to Rob

je zabrał, odchodząc, i być może wyrzucił do kosza albo starannie ukrył, by dać jej nauczkę, by wyrządzić jej przykrość.

Pudełka w archiwum pełne były fotografii pokazujących obrazy przechowywane starannie w podziemnych pieczarach w Walii, kantinę zaimprovizowaną w National Gallery dla pracowników zaangażowanych w przemysł wojenny, codzienne koncerty organizowane przez Myrę Hess, tłumy zwiedzających, którzy jedli lunch na trawie przed galerią. Znalazły się tam także wycinki prasowe, które donosiły o wielkim zainteresowaniu prezentowanymi co miesiąc obrazami. Były tam również minutki z obrad rady zarządzającej National Gallery. Pokrywały się one z listami od Daisy, podawały pozbawione emocji dane dotyczące ryzyka nalotów, strat, jakie ostatnie z nich wyrządziły, czy informacje na temat brytyjskich dzieł sztuki przechwyconych przez wroga poza granicami kraju. Ostatnim typem materiałów były staranne, odręcznie spisane listy gości galerii, podające nazwiska każdego z odwiedzających dzień po dniu, do tego dane sumaryczne za dany dzień, tydzień czy miesiąc, wreszcie także ich średnie. Razem pół miliona zwiedzających. Gdy liczby danego dnia były wyjątkowo wysokie, tu i ówdzie znalazł się komentarz: „Deszczowa pogoda” albo „Pochmurny dzień”. Gdzieś wśród tych anonimowych setek tysięcy znajdowało się nazwisko Daisy, Richarda i Charlesa. Claire rozparła się na drewnianym krześle. Uderzyła ją myśl, że w tym morzu ludzi Daisy była praktycznie anonimowa dla wszystkich poza Claire.

Wreszcie, jednego piątkowego wieczoru, po okrutnych dwóch tygodniach wyczekiwania, gdy jedynym światłem w jej życiu były wizyty w archiwum, usłyszała szczęk klucza w zamku. Zerwała się z krzesła i dobiegła do korytarza, zanim Rob zdążył wejść do mieszkania. Natychmiast wypowiedziała słowa, które uwięzły w jej głowie od pamiętnego popołudnia, gdy opuszczała mieszkanie Dominika.

- Rob - powiedziała - tak bardzo cię potrzebuję. Dzięki Bogu, że już jesteś.

Nie czekała, aż porwie ją w ramiona, tylko sama go pochwyciła, zanurzając dłonie w jego włosach, wachając je i starając się lekceważyć fakt, że nie było z jego strony żadnej reakcji.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, ale jej było mało.

Tego wieczoru ugotowała danie, którego przepis i składniki szykowała specjalnie na tę okazję, otworzyła też butelkę wina i naląła im do kieliszków. Obserwował jej ruchy w kuchni, a ona czekała, aż wreszcie powie coś, co znowu ich do siebie zbliży.

- Robiłem wycieczki do galerii - odezwał się w końcu. - Przeczytałem listy, a potem poszedłem obejrzeć obrazy i bardzo mi się to spodobało.

Zatrzymała się, zszokowana. Kroczył śladami Daisy i jej.

Stał w zupełnej ciszy przed *Noli me tangere* i myślał o tym, co musiał przez nią przejść. Widział demony okupujące krawędzie *Mistycznych Narodzenie* i pewnie zastanawiał się nad ich znaczeniem.

Czy myślał o niej, gdy oglądał samotną kobietę na dziedzińcu w Delft? Czy tak samo jak ona przeżywał obraz *Madonna i kosz*, widząc w ramionach Marii dziecko, do którego Oliver mógł być podobny?

- Nie spodziewałam się, że będzie ci zależało — odpowiedziała. A może tylko jej się wydawało, że coś takiego powiedziała? Wpatrywał się w nią intensywnie, ale potem odwrócił wzrok.

- Nie dawałaś mi szansy — powiedział. Zalała się rumieńcem wstydu, słysząc jego słowa.

- Zawiodłeś się na mnie - podsumowała. Nie zaproponował, powiedział jedynie:

- Uważam, że resztę obrazów powinniśmy obejrzeć wspólnie.

- Byłoby miło — odpowiedziała. - Naprawdę miło.

- Ale najpierw muszę cię dokądś zabrać.

- Dokąd?

- Czekaj cierpliwie, dowiesz się. To niespodzianka.

Claire uśmiechnęła się niepewnie. Zapomniała, jakie to uczucie być mile zaskakiwaną. Zresztą, na taką wycieczkę-niespodziankę zabrał ją wcześniej tylko raz w życiu, w pozostałych wypadkach zawsze wspólnie wszystko planowali, a ona zajmowała się rezerwacjami. Ten jedyny raz to ich podróż poślubna. Pojechali wówczas na Azory, gdzie z pokładu jachtu zakotwiczonego daleko od brzegu obserwowali latające ryby i delfiny, a potem wylegiwali się na fantastycznych trawnikach okalanych żywopłotami z niebieskimi hortensjami w roli głównej.

- Kiedy wyruszamy? - zapytała.

- Jutro. Nie ma na co czekać.

- Dobrze. — Zgodziła się. — W takim razie jutro. Nawet jej przez głowę nie przeszło, żeby odmówić. Wyjechali o poranku, po nocy spędzonej w jednym łóżku.

Claire spała w pozycji, którą rzadko przybierała, z jedną ręką położoną na jego piersi, czując bicie jego serca. On trzymał własną dłoń na jej ręce. Tylko tyle. Musieli wstać wcześniej, żeby zdążyć na stację, co miało ten plus, że uwolniło ich od zbyt długiego, niezręcznego przebywania razem w mieszkaniu. Dopiero gdy dotarli na stację Waterloo, dowiedziała się, dokąd ją zabiera.

- Jedziemy do Weymouth, rzecz jasna. Nie domyśliłaś się? Nie domyśliła się. Sądziła, że jadą do Bath albo do Brighton, ewentualnie do jakiegoś innego miasta, w którym bezdzietni, wykształceni, w okolicy trzydziestki spędzają weekendy, przebywając w drogich hotelach z salonami spa w podpiwniczeniu.

- Natchnął cię obraz?

- Oczywiście! No i do tego jeszcze list od Daisy. Spodobał mi się jej opis. Będąc tam, gdzie ona, zyskamy nowy kontekst sytuacji. Pomyślałem, że ten pomysł ci się spodoba.

-Aha.

Wiedziała, że powinna była mu podziękować, ale nie spodziewała się takiego scenariusza. Pamiętała, że list z Weyomuth pachniał zdradą i podnieceniem, był początkiem czegoś nowego. Co takiego mogło się w tym podobać Robowi? Ogarnęło ją przerażenie, że w tej wycieczce chodzi o Dominika, a nie o Daisy.

Podróż pociągiem zajęła im trzy godziny. Claire miała wrażenie, że nie podróżują wiele szybciej niż za czasów Daisy. Przez większość podróży wyglądała przez okno. Woląла to od dziesiątek szpalt sobotniej gazety, którą Rob przesunął w jej kierunku po laminowanym stole. Wiedziała, że znajdują się w niej te same informacje na te same tematy, co rok czy dwa lata wcześniej. Wciąż nie mogła się przemóc, by spoglądać na Roba, którego twarz oświetlona sztucznym światłem była pewnie tak samo blada, jak jej. Klimatyzację zbyt mocno podkrecono i było jej zimno. Tymczasem za oknem słońce prażyło bezlitośnie, nie było więc mowy, żeby otworzyć okna. Byli uwięzieni wewnątrz wagonu.

Pociąg nigdy nie nabrał na tyle dużej prędkości, by krajobraz za oknem się rozmywał. Miejscami jechał tak wolno, że Claire widziała niemal każdą pokrzywę i wyrzuconą puszkę przy torach. Tam, gdzie nie było przemysłowych parków, marketów budowlanych i nowych osiedli bijących po oczach kolorami rodem z kreskówek, w pejzażu dominowała zieleń świeżo podlana deszczem, czasem poddana starannej uprawie. W innych miejscach był tylko janowiec ciernisty i rozległe trzęsawiska. Przez krótką chwilę stado koni pogalopowało w takt pociągu, ale zniknęły, nim zdążyła je pokazać Robowi. Im bliżej końca podróży, tym bardziej w krajobrazie dominowały rzeczulki, zatoczki wcinające się w głąb lądu, a także pierwsze zwiastuny bliskości morza. W wodzie stały zacumowane statki, na powierzchni unosiły się boje, których kolor dawno zdążył wyblaknąć i z czerwonego stał się różowawy.

Korytarzem przechodziła kobieta z obsługi pociągu, pchając przed sobą stolik z przekąskami. Claire obserwowała jej trudną drogę, blokową co chwilę przez wysunięte plecaki i nogi wyciągnięte na korytarz w poszukiwaniu wygody. Kupiła tabliczkę czekolady, znacznie za nią przepłacając. Podzieliła się z Robem, co wydawało się jej właściwe, ale równocześnie dalekie od stania się symbolem pokoju między nimi. Czekolada szybko zniknęła, zostawiając nieprzyjemne poczucie lepkości na palcach zbierających brud pociągu. Niecierpliwie wytarła palce o dzinsy. Nie mogła skorzystać z toalety na końcu korytarza, bo woda w niej skończyła się mniej więcej po godzinie od wyjazdu z Londynu. Przez chwilę rozważała sens ponownego przeczytania listu od Daisy, tego z wyprawy do Weymouth. Rob, tuż przed wyjściem, wcisnął go do jej torebki. W końcu jednak zarzuciła ten pomysł, uznała bowiem, że okoliczności temu nie sprzyjają. Wokół dzwoniły telefony, dochodziły ją dźwięki gier z urządzeń przenośnych i pogawędki pasażerów. Ten list pochodził ze zbyt odległej epoki, zupełnie innego świata. W tamtym świecie nie było miejsca na wymuskane walizeczki na kółkach i szeleszczące opakowania chipsów. Tam prędzej można się było spodziewać tabunu żołnierzy objuczonych sprzętem, a dominujące głosy byłyby męskie, niskie i zmęczone. To tam Richard stał wciśnięty w okno, gdzie udało mu się zyskać tylko tyle przestrzeni, by wyjąć ołówek do szkicowania, tam Daisy walczyła z męczącym kołysaniem wagonu i próbując złapać równowagę z kartką papieru na kolanie, skubała zębami końcówkę pióra, zastanawiając się, czy powinna użyć słowa „miłość”. Myśli te miały dla Claire moc nieomal równą wspomnieniom, zdawały się puszczać zimny powiew historii wzdłuż wagonu.

Gdy wreszcie dotarli na miejsce, razem z Robem i resztą pasażerów opuściła pociąg. Wszyscy gdzieś się spieszyli i po chwili zauważyła, że wraz z mężem jako jedyni wciąż tkwią na peronie.

- No to jesteśmy — zagaiła.

- Jesteśmy - powiedział Rob.

Przez chwilę oboje się zawahali. Czuli upływający czas, ale było im trudno ruszyć dalej, choć przecież odbyli właśnie męczącą podróż w przyciasnych fotelach i ich kończyny prosiły o rozprostowanie. Gdy Claire poczuła brzęczenie telefonu, instynktownie sięgnęła do kieszeni kurtki. Na wyświetlaczu pojawiła się koperta sygnalizująca, że dostała wiadomość tekstową. To był Dominie, pierwsza wiadomość od niego od tamtej pamiętnej, trudnej chwili: *Kiedy cię znów zobaczę, ślicznotko? Wciąż bardzo tego chcę.* Na końcu wiadomości znalazła się uśmiechnięta buzia. Emotikon mógł świadczyć, że ostateczność jej słów do niego nie dotarła i wytłumaczył sobie, że na pewno coś innego miała na myśli.

- Kto to? — usłyszała pytanie Roba. Wiedziała, że jeśli teraz podniesie wzrok, on ujrzy w nich zarys historii, której nie chciałyby nikomu zdradzać.

- Nikt ważny - usunęła wiadomość i jedyne, na co było ją stać, to uśmiech. Wiedziała przynajmniej, że teraz uśmiecha się do niego zupełnie szczerze. — Gdzie się zatrzymamy? Prowadź!

Rob wyciągnął mapę, którą zdążył wcześniej wydrukować. Opuścili stację kolejową, przeszli obok kafejki oferującej tradycyjną rybę z frytkami, w środy ze zniżką dla emerytów. Następnie dane im było powąchać hipnotycznego zapachu gorącej smoły, której robotnicy używali do naprawy drogi. Wreszcie dotarli do promenady. Nic się tu chyba od dawna nie zmieniło. Wciąż wszystkie kamienice i domy wzdłuż promenady funkcjonowały jako hoteliki o przyjaznych nazwach, na przykład „Przy oceanie”, „Słoneczny promyk”, „Chwila przerwy”. Stały tu pewnie od 1943 roku, a właściwie Bóg jeden wie od jak dawna, być może od pierwszych wyjazdów mieszczuchów, pragnących poczuć słońce, morskie powietrze. W jednym z takich miejsc mieli się zatrzymać Daisy i Richard. Rob zarezerwował pokój

w małym hotelu, który z całą pewnością nie był ekskluzywny, ale za to, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Daisy, oferował widok na morze. Brakowało w nim minibarku, a z przyborów toaletowych w łazience znaleźli jedynie zapieczętowaną kostkę mydła. Za to ściany były świeżo odmalowane, na niebieskie i białe kolory, na stoliku czekał na nich czajniczek, dwie torebki z herbatą oraz dwa opakowania maślanych herbatników. Na ścianie zawieszono szerokie lustro, które w zamierzeniu miało wizualnie powiększyć pokój. Obok niego znajdował się obraz latarni, o którą rozbijały się wyjątkowo agresywne, wielkie fale. Rob zdjął buty i położył się na łóżku pokrytym grubą warstwą pościeli i poduszek.

- Od czego zaczynamy? — zapytał.

Od rozmowy o przyszłości. Czyż nie po to tu jesteśmy? To chyba to, czego potrzebujemy najbardziej. Zamiast udzielić mu takiej odpowiedzi, zasugerowało jedynie:

- Promenada? A może widok Constable'a?

- Zacznijmy od widoku. Jutro może padać deszcz.

- Racja — przytaknęła, ale z myślą, że Daisy i Richard zaczęli od czegoś zupełnie innego. Rob też musiał o tym pamiętać. Najpierw poczuła się niepewnie ze świadomością, że pomyliła im się kolejność, a potem skarciła się za głupotę. Przecież w tej wycieczce wcale nie chodziło o to, żeby odtworzyć życie Daisy. Przynajmniej nie teraz. Przyjechali tutaj dla siebie.

- Dobrze, zróbmy to w tej kolejności - powiedziała tym razem o wiele bardziej zdecydowanym głosem — przecież tak naprawdę nie ma to większego znaczenia, prawda?

- Oczywiście, Claire, to nie ma żadnego znaczenia. A teraz chodź tu do mnie i pocałuj mnie. Poczulem się samotny na tym łóżku, bez ciebie.

Pocałowała go delikatnie w usta. Jego reakcja była o wiele bardziej zdecydowana. Przyciągnął ją na siebie i objął ramionami.

Poddała się chwili, całując go bardziej namiętnie, w uszach szumiały jej fale bijące o brzeg. Daisy wciąż nie opuszczała jej myśli - dla tamtej dziewczyny był to pierwszy raz. Lekka bryza wdarła się do pokoju przez otwarte okno i łaskotała jej nogi, nagie pod letnią sukienką.

-Teraz trochę lepiej, prawda? - powiedział.

Tak, pomyślała, przypominając sobie ten moment olśnienia, którego doznała w mieszkaniu Dominika, gdy pojęła, że musi przestać. *Tak jest znacznie lepiej.*

— Nie przerywaj — zażądała. Nie miał zamiaru.

Upał zaczął już z wolna ustępować, gdy w końcu opuścili pokój i rozpoczęli spacer wzdłuż nabrzeża. Rob przygotował niespodziankę w postaci reprodukcji obrazu oraz kartki, na której spisał informacje z notki przywieszanej obok oryginału w galerii. „Widok na zachód, w kierunku Bowleaze Cove, części Zatoki Weymouth w Dorset”. Wcześniej nie był taki zorganizowany. Zwykle wszystko pozostawiał jej. Zatoka faktycznie znajdowała się poza miastem, tak jak to opisała Daisy, daleko za domkami letniskowymi z ich ręcznie dzierganymi firankami w kratkę, daleko od miejskich klombów usianych begoniami i daliami, kramów sprzedających herbatę i zimne napoje czy lodów rozsmarowanych na betonowym chodniku. Po jakimś czasie nie było już centrów rozrywkowych z automatami oraz sklepów sprzedających krówki i inne słodycze. Ludzie, których mijali, gdy spacerowali po bruku zachwaszczonym na łączeniach kostki, zdawali się należeć do miejscowej społeczności.

Zatrzymali się na chwilę przez pomnikiem upamiętniającym ofiary wojny. W pierwszej kolejności podawał nazwiska mieszkańców Weymouth, którzy zginęli podczas pierwszej wojny światowej, a pod spodem, jakby nieco z wahaniem, upchnięto podobną listę dotyczącą drugiego z globalnych konfliktów dwudziestego wieku. Claire z uwagą przyjrzała się części

nazwisk, odczytując je po cichu, jakby tym samym zaspokajała ich pragnienie, by wciąż ktoś o nich pamiętał. Tuż obok pomnika ułożono dywan z kwiatów, nazywając go Ogrodem Pamięci. Umieszczono na nim krzyże z drewna wybielonego morską bryzą, udekorowane czerwonymi makami z bibuły. Przy tym ogrodzie także przystanęli, by chwilę później skierować swe kroki do docelowego miejsca. Ich ręce bezwiednie złączyły się, gdy zeszli z głównej ścieżki i weszli na kamienistą plażę. Tuż przy brzegu piasek był twardy od ciągle napływającej, słonej morskiej wody, a wodorosty miały jaskrawozielony kolor, przypominający kapustę. Wrony spoglądały na nich z wysoka, drepcząc po niskim klifie sąsiadującym z plażą.

Claire spojrzała przed siebie i dojrzała w końcu cel podróży, czyli niewielkie moło wychodzące w głąb czegoś, co musiało chyba być zatoczką Bowleaze Cove. Tuż za nim stał największy hotel, jaki Claire widziała w życiu, prawdziwa forteca, która zdawała się zajmować całą zatokę. Jakoś przez myśl jej nie przeszło, że to miejsce może teraz wyglądać tak odmiennie. Zastana rzeczywistość wyprowadziła ją z błędu. Rob spojrzał w ślad za nią.

- No tak, tego na pewno nie zbudowali za czasów Constable'a.

- Ani za czasów Daisy — odpowiedziała. - Na pewno by o tym wspomniała. Nie da się tego przeoczyć.

A to było jedynie pierwsze z szeregu rozczarowań. Drugie wyłoniło się, gdy zbliżali się do zatoczki. Przed ich oczami wyrósł pełnowymiarowy park rozrywki, z jaskraworóżową zjeżdżalnią, żółtym torem do gokartów, parkingiem dla wozów kempingowych i kafejką zbudowaną na tyle solidnie, że powinna przetrwać najgorsze zimne wichury. Obok znajdowały się też domy, które mogły zostać zbudowane w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, chociaż tego Claire nie była do końca pewna.

- Ależ tu się pozmieniało - zwróciła się do Roba. - Na pewno za czasów Daisy wyglądało to wszystko zgoła inaczej.

- Pewnie, że tak, ale to chyba nic dziwnego, nie? Parę lat minęło. Trudno teraz znaleźć cokolwiek, co oparłoby się wszelkim zmianom.

- Tak chciałam, żeby było tak samo, jak wtedy.

- Cóż, jeśli na chwilę zapomnisz o gokartach i dmuchanym zamku i odwrócisz się, to stwierdzisz, że aż tak się nie zmieniło.

Odwróciła się i od razu zorientowała się, że miał rację. Od kiedy to on ma rację, a nie ona? Oto przed jej oczami pojawił się niemal ten sam widok, który Constable uwiecznił na swoim pejzażu. Co prawda na wzgórzu wyrosło kilka dodatkowych domów, a brzeg klifu wyglądał na łagodniejszy w miejscach, gdzie skała ustąpiła pod naporem wody, ale już samo morze i plaża wyglądały identycznie. Jeśli chodzi o niebo, to nie było wątpliwości, że prezentowało się inaczej każdego dnia od momentu, gdy Constable namalował swój obraz. Zapewne zmieniało się ono nawet w trakcie samego tworzenia dzieła, z każdym pociągnięciem pędzla na płótnie prezentując się nieco inaczej.

- Widzisz - Rob podsumował widok - chyba nie jest tak źle, co?

- Faktycznie.

- Cieszę się.

W kafejce zamówił im po kubku herbaty na wynos. Usiedli na ławeczce, którą postawiono na cześć kogoś, kto ukochał sobie widok z tego miejsca - taki opis podawała tabliczka przykręcona z tyłu ławki. Zapadła między nimi pełna oczekiwania cisza, w której żadne długo nie odważyło się zacząć rozmowy. Pierwszy przełamał się Rob.

- Początkowo nie rozumiałem, dlaczego ta historia o Daisy tak mocno cię wciągnęła. Nie mogłem pojąć, dlaczego wciąż o niej mówisz. Ale teraz, gdy już znam treść listów, wiem, dlaczego aż tyle dla ciebie znaczą.

- A mnie się zdaje, że przesadziłam z wagą tego projektu i za to cię przepraszam. Całymi miesiącami o niczym innym nie

myślałam. Chodzi o to, że miałam wrażenie, iż ona jest cała dla mnie i tylko dla mnie w chwili, gdy bardzo kogoś potrzebowałam.

Przyznanie się do tego wywołało w niej uczucie bliskie zażenowaniu. Powiedziała przecież, że żywiła uczucia w stosunku do kogoś, kto był tylko złudzeniem, kogo nigdy osobiście nie poznała i, co więcej, kto pisał swoje listy do kogoś zupełnie innego, a nie do niej.

- Nie ma sprawy - odpowiedział. - Chcę powiedzieć, że to rozumiem. Ale teraz chciałbym porozmawiać o przyszłości, a nie o przeszłości. O naszej przyszłości. Te listy to jedynie mały wycinek historii mojej rodziny. Nie powinny być stawać się częścią twojego życia. Gdyby to wszystko miało tak niesłychane znaczenie, to nie sądzisz, że babcia by nam kiedyś o tym wspomniała? A nie powiedziała nic. Daisy nie jest częścią ciebie, nie jesteś taka, jak ona. Przeczytałem te wszystkie listy i uwierz mi: ty jesteś zupełnie inna. Doczytaj je do końca, obejrzyj ostatnie obrazy. Wciąż uważam, że to świetny pomysł. Ale nie miej poczucia, że musisz jej zaimponować. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że tylko dlatego, że ona uważa coś za właściwe, to automatycznie to coś *staje się* słuszne.

- Nic nie poradzę na to, że ją lubię.

- Wcale nie lubisz jej, tylko słowa, które zdecydowała się zawrzeć w listach. Spójrz tylko na ten widok. Ktoś mógłby go równie dobrze przenieść na płótno dzisiaj i wyglądałby niemalże tak samo, jak obraz Constable'a. Tyle że nie dojrzałabyś w nim miasteczka, które masz za plecami, czy autobusu pełnego dzieciaków, który właśnie zaparkował pod parkiem rozrywki. Zobaczyłabyś jedynie część historii, a nie jej całość. I o to chodzi w listach, mają opisać wycinek rzeczywistości.

- Ona była samotna, tak jak ja.

- Być może, przynajmniej na początku. Ale z tego, co zdążyłem się zorientować, długo samotną nie pozostała. Ty też nie

musisz. Daisy miała Richarda, ty masz mnie. Do tego jeszcze są przyjaciele, rodzina. Ona też ich miała. Są zawsze tuż obok, gdy się ich potrzebuje.

Cały czas nie wspominał o Dominiku i Claire zorientowała się, że wcale nie ma zamiaru. Dominie tak ściśle wiązał się z Daisy, że pozwoliła mu stać się częścią historii. Zrozumiała, że jest jeszcze jedna rzecz, za którą powinna cenić Roba: potrafił być dobry i wyrozumiały. Przez chwilę docierały do nich tylko szum morza i dźwięki przejeżdżających samochodów gdzieś w oddali, poruszających się po zatłoczonej nadmorskiej trasie, oraz krzyki mew latających nad ich głowami. Claire wiedziała, że teraz kolej na nią. Powinna coś powiedzieć. Odezwała się wreszcie, wciąż wpatrując się w morskie fale i szare niebo. Zaszurała stopami po piasku, na którym leżał paperek od lizaka pozostawiony przez zmęczone dziecko w drodze powrotnej do samochodu.

— Wiem — zaczęła niespiesznie, ostrożnie ważąc słowa przed ich wypowiedzeniem. — Tylko na krótką chwilę o tym zapomniałam, bo w mojej głowie nie było miejsca na nikogo poza Olive-rem. Czy ja ci kiedykolwiek opowiedziałam, jak to było? Czy powiedziałam ci kiedyś całą prawdę?

- Tak, setki razy. Ale jeśli chcesz, opowiedz raz jeszcze. Tylko spróbuj tym razem nie płakać. Opowiedz mi całą historię, od początku do końca.

Zacząło się na posterunku policji. Zawieźli mnie tam w radiowozie, żeby spisać zeznania, póki jeszcze byłam w stanie opisać tych wyrostków. Nie miałam nic przeciwko, chciałam to mieć jak najszybciej z głowy. A poza tym, nie chciałam być sama. Nie spodziewałam się, że jest jakieś zagrożenie, że może stać się coś naprawdę złego. Byłam trochę obolała przez to uderzenie w brzuch, aie nic więcej. Dominował szok. Oczywiście, powinnam była najpierw pojechać do szpitala. Czy to by zrobiło jakąś różnicę? Lekarz

później stwierdził, że nie. Tylko czy w takich okolicznościach powiedziałby, że to miało znaczenie, skoro i tak było już za późno? Podali mi kubek herbaty. Nikt się nie pytał, jak się czuję. Jakaś kobieta przyniosła mi napój. Mleczko i dwie kostki cukru. Wciąż pamiętam jej słowa. Siedziałam tak przez dłuższy czas, czując się, jakbym marnowała ich cenny czas.

Wiedziałam, że coś jest nie tak, jeszcze zanim zobaczyłam krew. Poczulałam jej ciepło na bieliźnie. Odstawiłam herbatę tak gwałtownie, że się wylała. Widzę ją teraz, jak skapuje po stołowych nogach i tworzy coraz większą kałużę, a wszyscy wokół patrzą na mnie beznamiętnie. Pobiegałam do toalety, przepychając się wśród masy nieznanymi twarzami, i zamknęłam się w jednej z kabin. Wtedy zobaczyłam krew, lepką i pełną dziwnych skrzepów. Tej krwi nie było nawet aż tak dużo. Chryste, tak naprawdę to było jej niewiele. Mniej niż można się było spodziewać. Któż mógłby się domyślić, że w moim dziecku było tylko tyle życia?

Mimo to miałam wrażenie, że krew jest wszędzie: na rękach, na podłodze, że kapie na brudne kafelki, wypełnia wszystkie szczeliny. Nie miałam pojęcia, co począć. Wydaje mi się, że zaczęłam krzyczeć, ktoś chyba pobiegł po pomoc. Jakiś człowiek wezwał ambulans. Pamiętam, że też miał na imię Rob. I jak ja, nie wiedział, co począć dalej. Zabrał mnie do jakiegoś ustronnego pomieszczenia i trzymał za rękę, gdy czekaliśmy na przyjazd karetki. Była tam też jakaś kobieta, pewnie uznali, że to może jakoś pomóc. „ Czy powinniśmy do kogoś zadzwonić?” Wciąż zadawała mi to pytanie. „Jak mogę się skontaktować z pani mężem?” Próbowali cię złapać na komórkę, potem dzwonili do pracy i do domu, na stacjonarny numer. Tak bardzo chciałam, żebyś tam ze mną był. Nigdy w życiu tak się nie bałam. Nie wiedziałam, dokąd mnie zabierają. Potrzebowałam ciebie, Rob, ale ciebie przy mnie nie było. Miałeś ważniejsze sprawy.

W szpitalu posadzili mnie na wózku i zawieźli do gabinetu. Nie musiałam długo czekać. Szybko pojawił się lekarz i zaczął zadawać pytania. Zapytał o zaawansowanie ciąży, odpowiedziałam, że jestem w dwudziestym tygodniu. Możesz sobie wyobrazić, jak to jest, gdy trzeba podawać takie informacje? Boże, byłam przecież wcześniej taka dumna, gdy mówiłam, że jestem w połowie ciąży, w połowie gotowa na przyjście malucha na świat. Zaczął mnie badać. Ktoś tam z nim był, chyba student, bo lekarz informował go na bieżąco, co robi. „Sprawdzam szyjkę macicy, czy się rozszerza”. A potem nie powiedział już nic. Wciąż czułam jego napierającą dłoń, a potem spojrzał na mnie i dodał, że jest mu ogromnie przykro, ale było to późne, nieuniknione poronienie. „Przykro mi. Czy pani rozumie, co to oznacza? Nie możemy nic na to poradzić. Aby się upewnić, zrobimy jeszcze USG. Czy ktoś tu z panią jest? Będzie pani potrzebna obecność kogoś bliskiego”.

Zawieźli mnie do innego pomieszczenia, żeby zrobić usg. Kobieta wyglądała na zmęczoną, jakby była w pracy od wielu dni bez przerwy. Zrobiła zdjęcie, podobne do tych, które mieliśmy wcześniej. Pamiętasz je? Pamiętasz, jacy byliśmy szczęśliwi? Pamiętasz, jak nie mogliśmy się nadziwić, że serce malucha tak szybko bije? Tamte wcześniejsze zdjęcia braliśmy do domu. Rozsmarowała żel na moim brzuchu, przycisnęła sondę, ruszając nią szybko, z kliniczną precyzją. Potem spojrzała na ekran; ja też próbowałam coś dojrzeć, wyginając szyję, bo usunęła ekran z mojego widoku. Było inaczej niż przy poprzednich badaniach. Nie było żadnego ruchu, nic, tylko nierówny zarys czegoś, co powinno być dzieckiem, złączonym ze mną. Dzieckiem, którego nie było. „Bardzo mi przykro” — powiedziała. „Czy chce pani do kogoś zadzwonić?” Wszyscy to pytanie powtarzali, podczas gdy wcześniej zadawali zupełnie inne: „Woli pani dziewczynkę czy chłopca?”.

Powinna użyć takich słów, ale zamiast nich powiedziała jedynie:

- Masz rację. Już wystarczająco wiele razy musiałeś tego słuchać. Nie musimy raz jeszcze przez to przechodzić.

Spojrzeni sobie w oczy, widząc w nich jedynie żal i ból. Claire chciała wyciągnąć rękę w zimną przestrzeń między nimi, by znów chwycić jego dłoń. Zmieniła jednak zdanie. Pochyliła się, zdjęła sandały, odwróciła się do niego z wymuszonym uśmiechem i zawołała:

- Ścigamy się?

Zanim zdążył jakkolwiek zareagować, biegła co sił po słonym, mokrym piasku. Postanowiła zatracić się w tym beztroskim ruchu i jeszcze bardziej przyspieszyła. Chwilę później usłyszała, że biegnie za nią, z każdą chwilą coraz bardziej się zbliżając. Wiedziała, że zaraz ją dogoni, i miała zamiar pozwolić mu się porwać w ramiona pod niebem, które nagle przejaśniło się i cieszyło oczy wspaniałym błękitem. Wrócili potem do hotelowego pokoju, gdzie wraz z ubraniem zrzucili z siebie resztkę żałoby i smutku, by móc ponownie kochać się bez oporów, pełni nadziei i czegoś, co Claire pamiętała jako prawdziwą miłość. Przez cały ten czas firanka fruwała przy otwartym oknie, a Claire na szczęście nie słyszała imienia Dominika w wietrze dochodzącym od morza.

Następny dzień był ciepły i słoneczny, dokładnie taki, jakiego można oczekiwać po letnim wypoczynku nad morzem. Nowy dzień. Ślady stóp z dnia poprzedniego zmyte przez przyływ, ale reszta wciąż w nich obecna, w tym wspomnienie wspólnych łez, gdy po skończonym akcie miłości zasnęli wtuleni w siebie, tak jak to kiedyś mieli w zwyczaju.

Rob pierwszy się obudził. Delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

- Dziś jest dzień promenady, jeśli wciąż masz na to ochotę.

- Tylko jeśli ty też tego chcesz.

- Pewnie, że chcę. Będzie tak, jak mówiłem. Przejdziemy przez to do końca, razem.

Wyruszyli od razu po śniadaniu, które okazało się zaskakująco smaczne. Claire zaczęła się nawet zastanawiać, dlaczego w Londynie trzeba płacić tak wygórowane ceny za coś o wiele mniej smacznego. Tym razem po wyjściu skręcili w prawo, w kierunku centrum miasta, spacerując zwawo wzdłuż brzegu i napełniając płuca świeżym, morskim powietrzem. Claire miała gardło ściśnięte podekscytowaniem. Pomyślała, jak łatwo byłoby wpaść na Daisy i Richarda wtulonych w siebie, niewidzących świata poza sobą. Rob dokładnie w tym momencie ubiegł ją słowami:

— I pomyśleć, że oni spacerowali dokładnie tak, jak my teraz.

- Zrobili sobie też fotkę - zauważyła rzeczowo Claire. - To było gdzieś tutaj. Szkoda, że nie mamy przy sobie ich zdjęcia. Moglibyśmy wtedy stanąć dokładnie w tym samym miejscu.

— W takim razie przynajmniej sami sobie zrobmy zdjęcie. Mam aparat.

Wiatr wiał coraz mocniej i nagle poczuła, że robi jej się zimno. Chłód kazał jej zawrócić w kierunku, z którego przyszli. Chwilę później zaczęła się ulewa. Wielkie, ciężkie krople deszczu uderzały o chodnik, który szybko zmienił kolor na ciemniejszy. Nie mieli kogo poprosić o zdjęcie, ale w końcu trafił im się samotny, starszy spacerowicz wyprowadzający psa. Rob go dogonił, wskazał na kamerę i poprosił, by im pomógł.

Stanęli obok siebie, oparli o poręcz i wtedy poczuła, że Rob otacza ją ramieniem.

- Proszę o uśmiech - powiedział do nich nieznajomy. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że Rob zrobił to samo,

bo deszcz już naprawdę ostro zacinał, a staruszek robił się niecierpliwy. Mieli zatem tylko jedną szansę na dobre zdjęcie. A gdy skończyli pozować, pochyłili się razem nad małym, cyfrowym wyświetlaczem aparatu i z ulgą spostrzegła, że wyglądali na tym zdjęciu na tak samo szczęśliwych, jak na ślubnych fotografiach.

- Spójrz — powiedziała, patrząc na Roba z uśmiechem, za którym kryły się łzy. - Jesteśmy tu szczęśliwi, prawda? - Nie potrafiła wyrzucić nutki zawahania ze swego głosu.

- Tak - odparł, także z uśmiechem. - Chyba jesteśmy szczęśliwi.

Pociąg do Londynu odjeżdżał późnym popołudniem i czekali na niego co najmniej dwie godziny w towarzystwie najbardziej okropnej, ponurej i zimnej brytyjskiej pogody. Spędzili je, siedząc blisko siebie, próbując utrzymać ciepło, w kafejce serwującej rybę z frytkami. Zamiast siedzieć naprzeciwko, postanowili być obok siebie, cały czas czując wzajemny dotyk, jakby przenieśli się do paryskiej kafejki. I patrzyli na świat, który tonął w deszczu.

Gdy już byli w pociągu, Rob poprosił Claire, by sprawdziła w liście od Daisy, co dokładnie pisała na temat widoku.

- Przecież ty go masz - powiedziała. - Widziałam, że masz kopertę chwilę przed opuszczeniem hotelu.

- Nie mam go. Zdawało mi się, że ci go oddałem. Mówiłaś, że chcesz go schować do torebki.

- Ale w końcu mi go nie dałeś, Rob. Jestem tego pewna. Przetrzęsała nerwowo torebkę, wiedząc już, że go tam nie ma, że jakimś cudem zgubili go w hotelu. Pociąg już odjechał, drzwi były zablokowane. Obrzeża Weymouth powoli rozmywały się na horyzoncie.

- Położyłem go na stoliku przy łóżku. Tego jestem pewien. Leżał tuż obok twojej torebki. Trudno go było przeoczyć.

Claire spojrzała na niego, kończąc nieskuteczne poszukiwania podszyte paniką.

- Nie ma go - powiedziała. - Zostawiliśmy go w hotelu. Jak mogłam być tak roztargniona? Trzeba było go w ogóle nie brać. Może jest w walizce? Jak myślisz?

Przerzuciła wzrok na szafkę bagażową na końcu wagonu, gdzie ich walizka ginęła pod stertą innych.

- Nie ma - odpowiedział, uważnie obserwując jej reakcję. — Oboje o tym wiemy. Jeśli naprawdę zechcesz, żebym sprawdził, pójdę i to zrobię, ale najpierw chciałbym, żebyś mi odpowiedziała, co się takiego złego, najgorszego stanie, jeśli się okaże, że na amen go zgubiliśmy. Weź głęboki oddech i pomyśl o tym, co najważniejsze.

- Stracimy część tej historii. Zgubimy coś historycznego, coś cennego.

- Tak, ale z drugiej strony to tylko kawałek papieru. Nic więcej. Znasz już tę historię na pamięć, czytałaś list tyle razy. Czy będziemy mieć list, czy też nie, nie zmieni to tego, co się już wydarzyło, prawda? Daisy wciąż będzie tą samą dziewczyną, nic tego nie zmieni. Nie musisz mieć tych listów, przynajmniej już nie teraz.

- To prawda — przytaknęła. A potem powtórzyła swoją odpowiedź, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Świetnie. A teraz zadzwonię do hotelu i sprawdzę, czy go znaleźli. Na pewno wciąż tam jest.

Miał rację. List leżał na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie Rob go położył. Recepcjonistka obiecała, że wyśle go pocztą następnego dnia rano. Claire usłyszała końcówkę rozmowy, gdy Rob wracał korytarzem do ich wagonu. Poprosił o wysłanie go poleconym, ponieważ miał dla nich ogromne znaczenie. Gdy skończył, podziękowała mu za to, że rozumie, jaką ten list miał dla niej wagę. Pocałowała go, czując morską sól na ustach. Opatia głowę na jego ramieniu i spoglądała przez okno na zmieniający się krajobraz, marząc o tym, żeby gdzieś tam właśnie być, biec po trawie bez celu, z Robem przez cały czas będącym u jej boku.

AUTOPORTRET - REMBRANDT

Kiedy tydzień później zadzwonił Nick, Claire była akurat sama. Zwykle podawała słuchawkę Robowi, jeśli ten był w domu, lub szybko stwierdzała: *Przekażę mu, że dzwoniłeś*, i się rozłączała. Tym razem Nick przerwał jej, nim zdołała to uczynić. Od razu oznajmił, że spędził ostatni tydzień w Kanadzie (Rob chyba mówił, że udaje się tam załatwić sprawy związane ze sprzedażą domu po matce). Był tak podekscytowany, że nie potrafił skupić się na rozmowie i w rezultacie opowiadał o nieistotnych detalach, takich jak cena parkingu na lotnisku, opóźnienia lotu czy kiepskie jedzenie w samolocie. Niespodziewanie jednak ta szczegółowa i zdawałoby się nieistotna relacja zabrała ją w podróż do domu jego matki. Claire mogła oczywiście przerwać, wytłumaczyć się brakiem czasu, ale ku swemu zaskoczeniu chętnie podążyła biegiem tej narracji. W opowieści dotarli wreszcie do stopni wiodących na ganek i pod drzwi, które się zaklinały, więc Nick musiał otworzyć je kopnięciem. Weszli razem do domu, który na krótko przed przyjazdem Nicka został starannie wysprzątny przez zatrudnioną w tym celu firmę.

Nick zaczął teraz mówić szybciej, wciąż skrupulatnie relacjonując synowej, jak błąkał się po pustych pokojach, których prawie nie znał; jego matka przeprowadziła się do tego domu tuż przed śmiercią, ponieważ wydał się jej odpowiedni dla samotnej

starszej kobiety, która nie chce już użerać się z wadliwą hydrauliką czy brudnymi dywanami.

Ekipa przeprowadzkowa ustawiła wypełnione różnymi przedmiotami kartony oraz pozostałe meble na środku każdego pokoju, dzięki czemu Nick mógł w miarę szybko zdecydować o ich losie — „wyrzucić” (w większości przypadków), „sprzedać” lub „wysłać do Anglii”. Ostatnim ze zwiedzanych pokoi była sypialni matki. Właśnie tam trafił na antyczne, mahoniowe biurko. Kiedy uchylił karton, którym było zabezpieczone, ujrzał pochyłą powierzchnię do pisania obitą skórą i ozdobioną złoceniami. Mebel wyglądał niezwykle szlachetnie, jakby pochodził z innej epoki. Nick wiedział jednak, że takie biurka najczęściej należały do wojskowych i swego czasu podróżowały po wielu frontach.

W biurku znalazł zdjęcie swojej matki i jakiejś nieznaney mu kobiety. Zostało zrobione w Edenside, kiedy były jeszcze dziewczynami; przypomniało mu to opowieść o tym, że po ślubie matka przywiozła do Kanady tylko biurko i skrzynię ubrań, z którymi miała rozpocząć nowe życie. Postanowił wówczas, że zabierze mebel ze sobą do motelu, w którym się zatrzymał, i poleci z nim do Anglii, oznaczając jako bagaż delikatny. I choć lot znowu się opóźnił, a jedzenie było okropne, Nick dotarł już wreszcie do domu, a biurko stało w korytarzu...

— Co o tym sądzisz? — spytał w końcu.

Claire myślała tylko o tym, że może znajdzie tam jakiś ślad Daisy, równie żywy, co jej listy, więc zapytała:

- Kiedy możemy cię odwiedzić? - zapytała.

Gdy odpowiedział, wydawał się zaskoczony i ucieszony:

— Kiedy tylko chcecie. Może w ten weekend?

- Mam nadzieję, że nam się uda. Spytaam Roba.

Kiedyś często słyszała te słowa w ustach Roba: *Spytaam Claire*. Dziwnie brzmiały w odwrotnej sytuacji.

Claire zabrała ze sobą do Hertfordshire wszystkie listy Daisy - od pierwszego aż po ten z sierpnia, którego nie zdążyła jeszcze przeczytać. Nie czuła już jednak, że musi mieć je przy sobie, tak jak kiedyś; nie były już jedyną ważną rzeczą w jej życiu, odkąd wrócił Rob. Przyjechali na miejsce w piątek wieczorem, akurat na późną kolację. Biurko stało w korytarzu, wciąż w kartonie. Claire zobaczyła je, kiedy tylko weszli. Nick naprawdę na nich poczekał. Rob powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i stwierdził:

- Teraz już na to za późno. Zaczniemy jutro.

- Może dziś poczytamy listy? - odparła. - Możemy robić to na zmianę, żeby twoi rodzice dowiedzieli się wszystkiego.

Usłyszał to Nick, który właśnie nadchodził z dwoma kieliszkami chłodnego, białego wina.

- To dobry pomysł, Claire. Zacznijmy od razu. Zawołam Priscillę.

Czytanie trwało do późnej nocy. Claire nigdy wcześniej nie kładła się tak późno, przebywając u rodziców Roba. Tym razem nie potrzebowała wymówek, których używała zazwyczaj, chcąc wykręcić się od ich towarzystwa. Podawali sobie listy i czytali je na zmianę w kolejności chronologicznej - Claire robiła to płynnie, podczas gdy reszta, nieznająca treści listów aż tak dobrze, zacinała się, przerywając czytanie. Nick siedział w fotelu z zamkniętymi oczami. Domyślała się, że jej teść stara się wyobrazić sobie swoją matkę za młodu. Matkę, która wiele lat temu zdążyła przemienić się w przykurczoną staruszkę. Claire widziała, że podobały mu się fragmenty, w których Daisy wspominała o nim lub Elizabeth — prostował się wtedy oparty o zamsz fotela i przysłuchiwał bardzo uważnie.

To Priscilla jako pierwsza zabrała głos, kiedy Claire dotarła do fragmentu, gdy Daisy poznała Richarda.

- Powiedziałaś, że jak miał na imię? Richard?

- Richard Dacre.

- Richard Dacre - powtórzyła Priscilla. - Nick, pamiętasz zamieszanie, kiedy urodził się Robert? Twoja matka chciała, żebyśmy dali mu na imię Richard, ale ja się nie zgodziłam. Bardzo ją to poruszyło i nigdy nie dowiedzieliśmy się dlaczego. Przeważnie nie przywiązywała wagi do takich rzeczy. Pamiętasz, prawda?

Nick otworzył oczy. Claire i Rob patrzyli na niego z wyczekiwaniem.

- Tak, faktycznie, przypominam sobie - odparł. — Byliśmy uparci i w końcu ona powiedziała... Jak to było? Niech sobie przypomnę... Stwierdziła, że to bez różnicy, bo inicjały będą te same. Robert Dawson. R.D.

- Chciała dać mu imię po ukochanym Daisy! - stwierdziła z triumfem Claire.

- Ukochanym Daisy? - Priscilla znowu powtórzyła, wykrzywiając usta w niedowierzaniu.

- Sama zobaczysz - zaśmiała się Claire. - Rob, teraz twoja kolej.

Kiedy dotarli do końca, zbliżała się północ, jednak Claire wydawało się, że jest później, gdyż wraz z rozwojem opowieści poczuła narastające napięcie. Czuła się dziwnie, słuchając, jak relacjonują ją inne osoby. Przywykła do tego, że jest ona opowiadana głosem Daisy, który stworzyła w swojej głowie.

- Może przeczytamy teraz następny? Ten z sierpnia? — spytał Nick.

- Dobrze - odparła, i z trudem dodała: - Priscillo, może ty to zrób?

- Z radością - odparła tamta, a Claire wyczuła szczerłość w jej głosie. Pili teraz kawę, więc Priscilla dokończyła filiżankę, odchrząknęła i zaczęła.

Sierpień 1943 rok

Droga Elizabeth!

Chcę Ci przekazać, że obraz jest wreszcie ukończony. Byłam przy tym, jak Richard odłożył pędzel i oczywiście nie mogłam się doczekać, by ujrzeć efekt jego pracy; a przy tym bardzo się bałam tej chwili. Wcześniej nie rzuciłam na niego nawet okiem. Richard kazał mi to przyrzec, a ja dotrzymałam słowa. Okoliczności były idealne — piękny zachód słońca w letni wieczór. Studio było oświetlone ciepłym, pomarańczowym światłem. Kiedy pozuje się artyście (jak to poważnie brzmi!), ma się czas na zauważenie takich rzeczy; można wtedy tylko przyglądać się i rozmyślać.

Richard wziął mnie za rękę i zaprowadził za sztalugę. (To było jak wkraczanie w jego prywatną przestrzeń, tylko on tam wcześniej przebywał, a na podłodze widniały ślady stóp należące do niego, odcisnięte w kredzie i farbie). Następnie z rozmachem zdjął materiał, który wisiał na płótnie, i pokazał mi mój portret. Najpierw byłam zszokowana. W końcu nikt nie wie, jak widzą go inni. Z początku nie miałam pojęcia, co myśleć. Było to przerażające i cudowne zarazem. Pomyśleć, że mam teraz dowód na to, jak wyglądam dziś, 4 sierpnia 1943 roku! W przyszłości będę mogła pokazać swój portret dzieciom i wnukom, by zobaczyły mnie bez zmarszczek. Na obrazie mam delikatne, nieco pofalowane włosy. Uśmiecham się. Krótko mówiąc, elegancka i całkiem ładna młoda kobieta. I ważna — przynajmniej dla Richarda. Trudno mi doprawdy ów portret dobrze opisać, bo choć widzę, że to ja, kolory są nieco inne, podobnie jak kształty. Jednak kiedy traktuje się to jako całość i odejdzie kilka kroków, obraz niewątpliwie układa się we mnie. Richard jest nim wprost zachwycony. Twierdzi, że udało mu się uchwycić mnie taką, jaką jestem naprawdę. Mam na sobie szal, który podarowałaś mi na osiemnaste urodziny. Pamiętasz? Ten w kwiaty. Ciągle narzekałaś, że musisz oszczędzać, by mi go kupić. Teraz będziesz mogła się cieszyć, że to zrobiłaś.

Wracając jednak do opisu — siedzę za biurkiem i wyglądam na bardziej dumną z pracy, niż w rzeczywistości jestem. To mile z jego strony - zarówno ze względu na mnie, jak i na panią Johnson, która codziennie pyta, czy obraz jest już ukończony. Na biurku stoi maszyna do pisania i zatemperowane ołówki, a na parapecie znajduje się zwiędła roślina. Te przedmioty naprawdę są w moim biurze, chociaż Richard namalował je nieco jaśniejszymi. Żałuję, że roślina na obrazie nie jest nieco bardziej żywa, bo teraz wszyscy dowiedzą się, że nigdy jej nie podlewałam. Mógł to przecież zrobić

— artyści mogą sobie pozwolić na wszystko, gdy tworzą. Richard powiedział jednak, że podobała mu się właśnie taka, jaka jest

— zielona, ale jednocześnie z zasuszonymi fragmentami. To chyba symbol tego, że wszystko jest zarówno dobre, jak i złe, taki symbol życia, które wciąż trwa, mimo że czasem jest bardzo trudne. Kiedy mi to wytłumaczył, zrozumiałam zamysł, ale czy inni to pojmą?

Okno za mną jest częściowo zasłonięte brązowym papierem; ma mnie to chronić przed odłamkami szkła na wypadek uderzenia bomby. Na obrazie wygląda to znacznie lepiej — przypomina witraż. Na zewnątrz widać ruiny budynku, który stał naprzeciwko. Te wciąż są brzydkie, chociaż ostatnio zaczęto tam odbudowę. Richard nie namalował rosnących na ruinach kwiatów. Mówi, że to też ma symboliczne znaczenie.

Teraz Richard zanieś obraz do biura, chce go pokazać pannie J. i dziewczynom. Potem uda się do komisji wojennej i będziemy trzymać kciuki, żeby im się spodobał. Jeśli obraz trafi na wystawę, Richard z pewnością będzie wniebowzięty. Zabawne. Ja też tego chciałam, ale teraz nie jestem tego taka pewna. Przez tyle czasu obraz był czymś intymnym, czymś, co istniało tylko między mną a Richardem, że nie chcę się nim już dzielić. Jednak wiem, że Richard nigdy nie planował, by był on tylko dla nas.

W tym miesiącu udało mi się obejrzeć obraz z National Gallery, mimo że pracowaliśmy ciężko nad portretem. Zbyt mocno

przywykłam do tych odwiedzin. Tym razem studiowałam autoportret Rembrandta. Okazuje się, że artysta namalował ich wiele, w różnych pozach i ubraniach. Wspaniale byłoby obejrzeć je razem, posortowane chronologicznie, by zobaczyć, jak Rembrandt zmieniał się przez lata (a w każdym razie, jak wydawało mu się, że wygląda, bo przecież nikt nie ma pewności, że wyglądał on tak, jak na autoportretach, prawda?). Oczywiście galeria nie działa teraz w ten sposób. Obraz, który pokazywali, był ostatnim z serii - Rembrandt ma na nim sześćdziesiąt trzy lata, co oznacza, że namalował się w roku, w którym umarł. Wydawało mi się, że w tamtych czasach ludzie dożywali najwyżej czterdziestki. Twarz Rembrandta wylania się z ciemnego, ziemistego tła. Artysta ma na sobie płaszcz, zapięty i obszyty czymś, co przypomina futro, jednak ciężko to rozpoznać z powodu wszechobecnego brązu. Według mnie wyszło niezbyt wesoło, jakkolwiek utalentowany by ten Rembrandt nie był. Szczerze mówiąc, obraz jest ponury. Zdaniem Richarda kolor brązowy nie był tak drogi, jak żółty czy niebieski, a pod koniec życia artysta nie cierpiał na nadmiar gotówki, więc musiał trzymać się tanich materiałów. To smutne, że nasze życie — nawet w przypadku sławnych osób — kończy się tak mrocznie... Wolalabym, by kres mego był bardziej kolorowy.

Uznałam, że Rembrandt namalował obraz dla własnej przyjemności. Ciężko bowiem wyobrazić sobie, że ktoś chciałby go kupić. Na co komu portret artysty, skoro może mieć własny? Jego kochanka i syn już nie żyli, więc jedyną osobą, która mogła docenić dzieło, był sam autor. To smutna wizja — siedział opuszczony we własnym domu, za kompanów mając wyłącznie obrazy. Mam wrażenie, że twarz Rembrandta z obrazu wyraża wszystkie jego troski. Zdaje mi się, że celowo podkreśla swój wiek — to za sprawą worów pod oczami i zmarszczek na czole oraz siwych, rzędzących włosów. Ma też szare wąsy, które z pewnością pamiętają lepsze czasy, oraz mizerną brodę. Cóż, każdy z nas prędzej czy później tak kończy. Mnie też zapewne nie uda się wywinąć od zmarszczek. Rysy Rembrandta

są dość niewyraźne, jak gdyby artysta pomału się rozmywał i doskonale o tym wiedział — ale może to tylko moja wyobraźnia.

Zacząłam się zastanawiać, jak będzie wyglądał w tym wieku Richard. Czy osiwieje jak Rembrandt, czy wyłysieje? Pewnie wciąż będzie wysoki, chyba że zacznie się garbić. Przypuszczam, że ciągle będzie nosić tę samą, tweedową marynarkę, tylko bardziej poplamioną. A ja? Spytałam o to Richarda, a on odparł, że namaluje mnie, żebyśmy zobaczyli, na ile — i czy w ogóle — się zmieniłam. To miłe z jego strony. Wiele to dla mnie znaczy. Bardzo wiele.

Nie mówiłam Charlesowi o Richardzie. Oczywiście, że nie. Od tygodni nie miałam od niego wieści. Chyba się nie domyślił, prawda? Nie chcę go zawieść (nie wtedy, gdy jest w ogniu walki). Jeszcze nie musi się dowiadywać. To może poczekać.

Wyrazy miłości, Daisy

Następny dzień zapowiadał się wspaniale. Przynajmniej tak opisano go w porannej audycji w radiu. Rzeczywiście świeciło słońce i nawet chłodne kamienie, z których zbudowano dom, wydawały się dość ciepłe. Claire chyba po raz pierwszy dostrzegła urok tego miejsca. Gdy otworzyła okno, odetchnęła świeżym powietrzem z ogrodu. Czy to właśnie próbował uchwycić Constable w *Wozie z sianem*? Rozumiała już, dlaczego tak bardzo zależało mu na osiągnięciu swojego celu, gdy chciał oddać piękno wiejskiego poranka. Róże, które wspinały się po ścianie, były w pełnym rozkwicie, tworzyły feerię kolorów i oszałamiały bogactwem zapachów. Poniżej znajdowały się późno kwitnące maki, chwiejące się od gorąca; po ich płatkach widać było, jak wiele kosztuje je samo przetrwanie.

Mila atmosfera sprawiła, że na śniadanie małżonkowie postanowili udać się do ogrodu. Jedli croissanty i bagietki z dżemem truskawkowym. Wszystko smakowało przepysznie, ale

przypominało Claire, że kiedy ostatnim razem jadła croissantsy, leżała wówczas z Robem w łóżku, a potem udała się do Dominika; gdy wróciła do domu znalazła list od męża... Nie zdołała zmusić się do wypicia świeżej kawy, gdyż ta pachniała jej zbyt intensywnie. Zastanawiała się, ile wiedzą rodzice Roba.

- Nic - zapewnił ją. - Zupełnie nic. Nie pojechałem do nich, kiedy...

Rob nie chciał kończyć tego zdania, ale Claire dopowiedziała sobie sama w myśli: *Kiedy odszedłem. Kiedy cię zostawiłem. Kiedy myślałem, że już nie wrócę.*

- Więc dokąd... ? - spytała.

- Zatrzymałem się w hotelu — odparł. - Byłem sam. Tylko ja i telewizor. Obsługa hotelowa. Ciepłe białe wino z minibarku.

Claire zastanawiała się, czy kiedyś będą śmiać się z takich absurdów. Uznała, że nie. Raczej nie. Żadne z nich nie będzie się bawić przy tej opowieści, nie zapomną ani sekundy z tego okresu - może to i lepiej. Będzie im to przypominać, że trzeba dbać o to, co się otrzymało.

Wkrótce dołączyli do nich teściowie i we czwórkę rozmawiali o listach Daisy. Po raz pierwszy coś ich łączyło i żadne z nich nie chciało tego stracić. Spekulowali, co stanie się dalej aż do chwili, gdy kawa wystygła i w powietrzu unosiło się już tylko nikłe wspomnienie jej aromatu. Zastanawiali się, czy zostanie z Richardem, a jeśli tak - co stanie się z Charlesem? Jak wyglądał obraz Daisy? Gdzie się teraz znajduje? Co myślała o tym wszystkim Elizabeth? Nikt nie zadawał sobie pytania, które nękało Claire, ilekroć brała kolejną kopertę: *Dlaczego listy przestały przychodzić?*

- Nie moglibyśmy przeczytać kolejnego listu? - spytał prosiącym tonem Nick. Rob zdecydowanym głosem odparł, że muszą poczekać do września.

W końcu spekulacje ustały — w pełnej wyczekiwania ciszy Nick i Rob przydźwigali karton, a Priscilla wzięła nożyczki,

by rozciąć taśmę klejącą. Razem podnieśli biurko, które kiedyś znajdowało się w Edenside i przy którym mogła siedzieć Daisy, pisząc kartkę z życzeniami lub zaproszenie na kolację, opierając delikatne dłonie o skórzane obicia. Nick otworzył je, podniósł blat do pisania i ujawnił wszystko, co było w środku.

Najpierw rzuciło im się w oczy zdjęcie dwóch młodych, uśmiechniętych dziewczyn. Miały spięte w nieładzie włosy; siedziały na stole z kutego żelaza, a w tle leżała para rowerów. Nosiły krótkie swetry i bawełniane koszulki, a spódniczki do kolan wyglądały na zbyt ciężkie, jak na tę porę roku. Wyglądały prawie jak bliźniaczki - ubrane i uczesane tak samo; z pewnością były to Daisy i Elizabeth; Claire rozpoznała tę pierwszą po uśmiechu. Za nimi znajdowały się mury kamiennego domu, po których wspinał się bluszcz. Wiedziała, że to Edenside. Czy to Elizabeth napisała ich imiona z tyłu z dopiskiem „Edenside, 1937 rok” ? Czy to Charles stał po drugiej stronie aparatu i naciskał spust migawki? Obok znajdowała się złożona kartka papieru. Nick rozłożył ją na stole. Claire od razu rozpoznała, że to drzewo genealogiczne - narysowane raczej w pośpiechu jednego popołudnia, a nie starannie wykaligrafowane z myślą o przyszłych pokoleniach. Zauważyła, że imię Nicka jest połączone linią z jego matką; niżej znajdowała się data urodzin Elizabeth (1920 rok) oraz jego (1942 rok); tuż obok widniało imię jego brata, Briana. Po dacie urodzin całej trójki były myślniki i pusta przestrzeń. U braci oznaczało to, że jeszcze żyją, zaś w przypadku matki, że nikt nie zapisał jeszcze daty jej śmierci. Kątem oka zauważyła spojrzenie Nicka i uznała, że tak jak ona pomyślał: *Musimy to później wypełnić*. Nie było tu informacji o małżeństwie Nicka z Priscillą, a co dopiero o Robie. *Znaczyło to, że Elizabeth nie zaglądała do biurka od lat.*

- Gdzie jest Daisy, Nick? - spytała. — Nie widzę jej imienia. —
Zaczęła podążać wzrokiem za jego palcem, którym wiódł

powoli, z wahaniem po kartce. A jednak była tam! Daisy to przecież „Marguerite Milton”. Do tej chwili Claire nie przyszło do głowy, że Daisy to nie jest prawdziwe imię. Oczywiście, że był to skrót od Marguerite; w tamtych czasach imię to często skracano w ten sposób. Pełne imię sprawiało, że Daisy wydawała jej się doroślejsza.

Tak, jak w przypadku Elizabeth, jej życie zaczęło się w 1920 roku. Data śmierci zaś, zapisana czarnym, pogrubionym pismem, brzmiała: 8 listopada 1943 roku.

Zanim jeszcze dotarło do niej, co widzi, Claire instynktownie zasłoniła ręką usta; przez chwilę pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Rob zauważył jej poruszenie i automatycznie objął jej ramię ręką. Spojrzała na niego.

- To dlatego nie było więcej listów. O Boże! - Claire po raz pierwszy powiedziała na głos to, co instynktownie czuła.

Rob wciąż ją obejmował.

- Zawsze podejrzewaliśmy, że ona już nie żyje, prawda?

- Ale miała tylko dwadzieścia trzy lata, Rob. Nie spodziewałam się, że umarła aż tak młodo.

Priscilla i Nick patrzyli na nich ze zdziwieniem. Oni nie dbali o Daisy tak, jak Rob i Claire. Nie spodziewała się zresztą, by mogli to rozumieć. Była dla nich tylko jednym z imion w drzewie genealogicznym, mniej ważnym niż inne, jak Elizabeth czy Bill, których Nick tak kochał; byli przecież jego rodzicami.

Teraz sama powiodła palcem do imienia Daisy, a następnie Elizabeth; przeszła w górę strony, podążając za liniami oznaczającymi małżeństwa i dzieci. Natrafiła na wspólnego dla obu kobiet przodka - prapradziadka. Po drodze zatrzymała się przy rodzicach Daisy, czy raczej Marguerite - Edmundzie i Alicii. Staroświeckie imiona ludzi, którzy urodzili się w zupełnie odmiennych czasach. Alicia umarła w 1935 roku, kiedy Daisy miała

piętnaście lat. Claire zrobiło się żal dziewczyny, mimo że z listów wiedziała już, że w 1942 roku miała tylko ojca.

- Co to znaczy, tato? - spytał Rob. - Jakie było pokrewieństwo między Daisy i Elizabeth?

- Wygląda na to, że były dalekimi kuzynkami. Spójrz, babcia Daisy była siostrą babki Elizabeth.

- Wstyd mi - stwierdził nagle Rob - kiedy widzę to wszystko na piśmie. Ci ludzie to moja rodzina. Nigdy nie znałem nawet ich imion, a teraz już nie żyją.

Miał rację. Claire widziała to, przesuwając palcem po imionach. Nie chodziło tylko o Daisy. Wszyscy przed nią, w tym Elizabeth, obrócili się już w proch. Daisy znaczyła dla nich więcej z powodu listów, które wydobyły ją z przeszłości, ale to wszystko. Żadna gałąź drzewa nie odchodziła od jej imienia, nie było dzieci czy wnuków, które mogłyby wypełnić pustą przestrzeń. Zostały tylko listy, strony zapisane przez kogoś, kto umarł tak młodo.

- Mama ucieszyłaby się, że przeczytaliście listy i obejrzelście te obrazy. Z radością wysłuchałaby tej historii — skonstatował Nick.

Nie byłabym tego taka pewna, pomyślała Claire. *Gdyby nie te listy, nie poznałabym...* Tym razem ona nie chciała kończyć myśli. Potrząsnęła głową. To już przeszłość. W tej samej chwili Priscilla nachyliła się i dotknęła Nicka, mówiąc:

- Zrobiłeś, co mogłeś. Nie spodziewała się niczego więcej. Ten odwrócił się do niej i odparł:

- Wiem, ale tęsknię za nią.

- Oczywiście, że tęsknisz. Zawsze tak będzie — odpowiedziała Priscilla. - A teraz zrób nam wszystkim jeszcze trochę kawy.

Lepiej nie płakać przy dzieciach. Tak chyba należało odczytać jej słowa i Claire natychmiast zorientowała się, że faktycznie Nick był bliski płaczu. Zebrał zastawę i poszedł w kierunku kuchni. Dopiero w tym momencie, mimo iż znała ich już od kilku lat,

zauważyła, że pomiędzy teściami wciąż tli się miłość i czułość. Tli to określenie, które nie oddawało jednak do końca istoty ich uczucia. Ta miłość nie tliła się, tylko paliła płomieniem wystarczającym, by razem przetrwać kolejne, wspólne lata. Mieli wyjątkowe szczęście, teraz to rozumiała.

W jednej chwili, próbując otrząsnąć się ze złych myśli, wszyscy przerzucili wzrok na biurko. Rob przejął dowodzenie. Zaczął wyciągać papiery wszelkiej maści, stare rachunki, wyblakłe kartki i bilety. Wszystko to nie miało dla nich większego znaczenia. Te niepotrzebne bibeloty nagromadziły się przez całe dekady i zostały tam pewnie tylko dlatego, że Elizabeth nigdy nie zebrała się, by je stamtąd wyrzucić. Z biegiem lat nabierały dla niej jakiegoś znaczenia, przynajmniej na tyle, by ich nie usuwać ze swojego życia. Pośród tych drobiazgów znalazło się także czasopismo „Burlington”, z pozaginanymi rogami, nadgryzione przez ząb czasu. Cały ten zbiór rzeczy mało istotnych odłożyli na bok, miały czekać na swój moment. Najbardziej interesujące okazały się zdjęcia. Nie było ich wiele. Swego czasu nie pomieszczono ich ani w ramkach, ani w albumach, ale najwyraźniej zasługiwały na to, by je przechować. Przyjrzeni się im bliżej. Na dwóch nieco rozmazanych fotkach kiepskiej jakości rozpoznali Elizabeth z małym Nickiem. Na innych fotografowi pozowała już cała rodzina, połączona po zakończeniu wojny. Bill, weteran wojenny, stał dumnie wyprostowany, otaczając swą ukochaną żonę ramieniem. Obrazu dopełniał osesek - tym razem Brian - a także Nicky, który stał z boku, trzymając ojca za nogawkę spodni.

Rob i Nick wciąż się tym rodzinnym zdjęciom przyglądali, podczas gdy Claire raz jeszcze podniosła pierwszą fotografię, z której były wspomnienia niebędące jej udziałem. Daisy i Elizabeth przyjaźniły się, były ze sobą bardzo blisko. Widziała to wyraźnie: wszystkie te wakacje spędzone razem, zabawy, zwierzenia, listy. One naprawdę miały ze sobą coś wspólnego, budowały swoją

historię. Nic takiego nie mogło jej nigdy połączyć z Daisy, która pisała swoje listy z myślą o kimś innym. Claire nie miała prawa zaistnieć w jej głowie. Dla niej prawdziwymi, żywymi postaciami byli Elizabeth i Richard, Charles i Molly, inne dziewczęta z biura. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby jej ktoś wówczas powiedział, że pewnego dnia nieznajoma młoda kobieta będzie czytać jej listy, że podąży jej śladami i obejrzy te same obrazy. Claire nigdy się tego nie dowie. Nie mogła tego wiedzieć, choć w duchu podejrzewała, że Daisy zareagowałaby śmiechem.

W mahoniowej skrzynce na listy znajdowała się tylko jedna zapisana kartka papieru, która przetrwała od czasów Daisy i Richarda.

- List od Edmunda. Kim był?

- To ojciec Daisy - odparła Claire. - Nie pamiętacie? Wystarczy spojrzeć na drzewo genealogiczne, jest dokładnie nad nią.

Czy Elizabeth domyśliła się treści już po pierwszych słowach listu, od razu po „Droga Elizabeth” ? Rob wziął list i zaczął czytać.

12 listopada 1943 rok

Droga Elizabeth!

Bardzo długo zastanawiałem się, jak zacząć ten list. Tak trudno jest mi o tym pisać, zwłaszcza Tobie, która byłaś jej tak bliska... Daisy nie żyje. Moja córeczka nie żyje.

Im częściej muszę te słowa wypowiadać, tym większej nabieram wprawy, nikt jednak nie pojmie, jaki ból temu towarzyszy. Pewnie będzie Ci to wszystko trudno zrozumieć, trudno w to uwierzyć, ale ja niestety widziałem jej ciało, dotknąłem jej delikatnej dłoni, z której uszło całe życie.

Daisy zginęła w nalocie bombowym. I pomyśleć, że od miesięcy nie było ani jednego! Wszyscy tutaj chyba zaczęliśmy wierzyć, że syreny już nigdy nie zawyją. Jak bardzo się myliliśmy! Bomba wybuchła tuż obok niej, burząc wielką ścianę z cegieł. Grad gruzu

spadł na nią i na innych ludzi, którzy znaleźli się w tym miejscu. Wszyscy oni wpadli w śmiertelną pułapkę. Powiedziano mi, że zginęła na miejscu, nie męczyła się. Być może mówią to wszystkim rodzicom pogrążonym w rozpacz. Najgorsza jest wizja bezbronnej dziewczyny, której ciało uległo pod naporem wszystkich tych cegieł. Świadomość, że nie mogła się stamtąd uwolnić, jest okrutna.

Wciąż miałem nadzieję, że może zaszła jakaś pomyłka, że moja córeczka żyje. Ta mrzonka trzymała mnie przy życiu podczas drogi do Londynu. Na miejscu skierowano mnie do kostnicy, żebym zidentyfikował ciało. Mój umysł wizualizował ją sobie jako małą dziewczynkę, śpiącą w łóżku. Zapomniałem, że zdążyła dorosnąć.

Obmyli jej ciało, ponieważ wiedzieli, że przyjadę. To bardzo uprzejmy gest. Innych ciał nikt nawet nie przykrył. Ich twarze były nieme, pokryte pyłem gipsowym. Przypominały zmarłych z czasów starożytnych. Pył wysuszył ich niczym ofiary wybuchu wulkanu w Pompejach. Gdzieś pomiędzy nimi leżała ona, moja jedyna córka, moja śliczna dziewczynka. Wyglądała na spokojną, tak to sobie przynajmniej wytłumaczyłem. Nie było żadnych śladów krwi. Zginęła od obrażeń wewnętrznych. Miała na sobie szal, który podarowałaś jej na urodziny, ten w kwiaty. Tak bardzo go lubiła...

Gdyby to tylko było możliwe, pochowałbym ją obok matki, ale teraz strasznie trudno zorganizować transport zwłok. Trzeba załatwiać mnóstwo pozwoleń, nikt na to nie ma czasu. Zatem pogrzeb jest jutro, na cmentarzu w Highgate. Nie spodziewam się wielu żałobników, nawet nie bardzo wiem, kogo poinformować. Otrzymałem kondolencje od jej koleżanki z biura imieniem Molly i od szefowej, panny Johnson. To były miłe gesty. Mam nadzieję, że pojawią się na pogrzebie. Ta dziewczyna, Molly, zapytała w swoim liście, czy poinformowałem niejakiego Richarda. Jej zdaniem powinien się o tym fakcie dowiedzieć. Czy wiesz, kogo miała na myśli? Nie

podala jego nazwiska, a Daisy nigdy mi nie wspominała o żadnym Richardzie. Wysłałem wiadomość do Charlesa. Rzecz jasna, będzie to dla niego bolesna strata. Przykro mi, że okoliczności nie pozwalają mi poinformować Cię szybciej. Dowiesz się, kiedy już będzie po wszystkim. Dla Daisy to już nie ma znaczenia. Mam nadzieję, że któregoś dnia odwiedzisz jej grób, że nie zapomnisz o mojej córeczce.

Wszyscy tutaj przywykliśmy w ostatnich latach do widoku śmierci, ale nie spodziewałem się, że przyjdzie mi pochować jedyne kobiety, które w życiu kochałem, najpierw żonę, a teraz Daisy. Nie powinienem był się zgadzać na tę przeprowadzkę do Londynu. O niczym innym nie myślę, wciąż sobie wyrzucam, że pozwoliłem jej opuścić rodzinny dom. Ale znałaś ją przecież. Gdy się na coś uparła, nie było sposobu, by ją od tego odwieść. Więc może po prostu chodzi mi o to, że jej los nie powinien był tak się potoczyć. Moja biedna Daisy...

Jeszcze kilka dni temu uważałem się za człowieka w miarę młodego, zdrowego, teraz moje ciało skrzypi pod naporem ogromnego ciężaru, jakim jest żaloba po ukochanej córce. Sam przeszedłem wiele podczas poprzedniej wojny, dwadzieścia pięć lat temu. Dobry Boże, dlaczego moja ukochana Daisy nie mogła przeżyć tej wojny?

Elizabeth, wybacz mi, proszę, te wynurzenia. Zdaję sobie sprawę, że będziesz miała swoją żalobę do przejścia, nie musisz jeszcze brać na barki mojej. Biedne moje dziecko, nie pozostawiła po sobie wiele rzeczy na tym świecie. Trochę ubrań, trochę papierów. Nic więcej. Spakuję wszystko, co może mieć dla Ciebie znaczenie, i wyślę w paczce razem z tym listem. Nie chcę odkrywać sekretów mojego dziecka, to nie byłoby uczciwe. Zresztą, pewnie jestem za stary, by to wszystko zrozumieć.

Serdeczności, Edmund

- Dlaczego nie wysiał telegramu? — zapytała Claire, gdy Rob doczytał list do końca. — Elizabeth miała prawo dowiedzieć się natychmiast.

- Może nie chciał wydawać pieniędzy — zasugerowała Priscilla.

- Raczej uznał, że to nie ma aż takiego znaczenia - powiedział Rob. - Śmierć to śmierć. Nic tego nie mogło już zmienić.

Claire nic nie odpowiedziała. Zdała sobie sprawę, że wolny bieg listu dał Daisy kilka dodatkowych tygodni życia, tak samo jak fakt odnalezienia listów w czasach współczesnych w pewnym sensie wskrzesił ją na kilka miesięcy.

W pociągu powrotnym do Londynu żadne z nich nie miało ochoty na pogawędkę, oboje te nowe fakty nieco przytłoczyły i wyczerpały. Claire zapadła się w fotelu. Czowała na włosach nieprzyjemny dotyk dywanowego obicia i zastanawiała się, ile łysiejących głów opierało się na tym fotelu przed nią. Rob złapał ją za rękę, a ona położyła głowę na jego ramieniu. Razem wsłuchiwali się w stukot kół toczącego się pociągu.

- Pójdiesz obejrzeć ze mną obraz Rembrandta, prawda? - powiedziała w końcu, podnosząc wzrok.

- Oczywiście. Nie musisz o to pytać - odpowiedział. Oparła się o niego raz jeszcze i wtedy otulił ją sen. Nic się jej nie śniło. Żadnych koszmarów. Zwykła, zdrowa drzemka.

Autoportret Rembrandta obejrzelik zaraz następnego dnia, pod wieczór, gdy w galerii praktycznie nie było już żadnych odwiedzających. Początkowo dziwnie się czuli, jakby byli na jednej z pierwszych randek, gdzie szybkie, skrępowane wymiany zdań przeplatają się z nagłym, dziwnym milczeniem. Przeszli przez galerię ramię w ramię. Buty głośno stukały o podłogę. Wiedzieli, że nie mają dużo czasu, że galeria za kilka chwil będzie zamknięta. Na szczęście obraz Rembrandta można było łatwo znaleźć w dziale obrazów z lat 1600-1700.

Rembrandt wydawał się Claire niezbyt przystojny, przynajmniej nie w wieku sześćdziesięciu trzech lat, z bulwiastym nosem i pulchnymi rysami, które przez lata straciły na wyrazistości. Mały trójkąt brody na podbródku wyglądał żałośnie, jego złożone ręce były zbyt duże. Do tego, dokładnie tak, jak opisała to Daisy, cały obraz tonął w ponurych barwach. Wisiał pomiędzy dwoma innymi, o wiele bardziej atrakcyjnymi dziełami Rembrandta, co zdawało się swoistym bluźnierstwem. Na jednym z tych obrazów widniała kobieta kąpiąca się w strumieniu, z bielizną na wysokości ud, z kolei na drugim - kobieta strojna w złoto i klejnoty. Obie były piękne i młode. Z opisów dowiedzieli się, że w obu przypadkach modelką była kochanka Rembrandta. *Biedna Daisy* - pomyślała Claire. *Myślała, że będzie jeszcze wiele razy pozować Richardowi...*

Rob stał tuż obok, przekazując jej informacje płynące z audioprzewodnika, który wziął przy wejściu. Zasadniczo powtarzał on to wszystko, czego Claire dowiedziała się już wcześniej z listu Daisy, ale podawał także, że Rembrandt nie tylko nie potrafił się pozbierać po stracie kochanki i syna, ale także po bankructwie. Z upływem lat stracił dom, kolekcję wydruków i obrazów, własne prace, a na koniec nawet reputację. Zlecenia, których nie było wiele, pozyskane od nie do końca przekonanych mecenasów sztuki, zostały kiepsko przyjęte i Rembrandt z osoby powszechnie szanowanej zmienił się w starca schowanego w mrocznym świecie biedy, gdzie chleb i ser zastąpiły mięso i wino, a palona umbra musiała być coraz oszczędniej nakładana na płótno. Claire zastanawiała się, jak te wydarzenia wpłynęły na jego postrzeganie świata. Gdy tak wpatrywał się godzinami w swoje odbicie w lustrze, z pędzlem w ręce, czy myślał o tym, że niewiele już go czeka? Czy wspominał swego zmarłego syna? A może modlił się o przetrwanie, nawet bez pieniędzy na farby, bo choćby nie

wiadomo jak rozczarowujące było życie, było przynajmniej jakąś egzystencją.

Fascynowały ją pewne siebie oczy Rembrandta. Bez wątpienia chciał żyć, bo przecież wszyscy tego pragną. Spróbowała sobie wyobrazić, jak będzie się czuła w takim wieku, spoglądając na swoje odbicie w lustrze, widząc zmarszczki, suche usta, upstrzone starczymi plamami ręce. Czy wtedy wciąż będzie szukać zarysu Olivera w tle, wiedząc, że już niedługo będzie mogła poczuć jego paluszki zaciskające się na jej dłoni? Dobrze by było, żeby Rob stanął wtedy razem z nią przed lustrem, żeby pogłaskał jej przerzedzone włosy. Ta myśl o wspólnej przyszłości pozwoliła jej ujrzeć samotność w oczach Rembrandta, ukrytą za buńczuczną postawą.

Jednak Rembrandt przynajmniej miał okazję zestarzeć się razem ze swoimi obrazami. Malarz przetrwał w ludzkiej pamięci. Ludzie go rozpoznawali, w przeciwieństwie do postaci z wielu zdjęć i obrazów, których po latach nikt już nie pamiętał. Ich poważnych twarzy nikt nie był w stanie połączyć z konkretnym imieniem. To tylko twarze z fotografii, daty na rodzinnym drzewie genealogicznym. Widziała to w oczach tych wszystkich postaci, które znalazły się wśród pamiętek Elizabeth. Tymczasem sława Rembrandta zachowała go w umysłach ludzi, w ich galeriach i księgarniach. A może wolałby to wszystko zamienić na jeszcze jeden wesoły zjazd rodzinny, na jeszcze jedno piękne wspomnienie, nim odłożył pędzel i na wieki zamknął oczy?

Gdy Claire jeszcze raz spojrzała na obraz, zdała sobie sprawę, że Rembrandt wcale nie musiał namalować takiej zmęczonej, pomarszczonej wersji siebie. Wszystko było w jego rękach, mógł się przedstawić jako silnego mężczyznę, który cały czas gotów jest trzymać świat w garści. A jednak tego nie uczynił. Postanowił namalować szczery obraz. Zawarł w nim prawdę, z której wszyscy zdajemy sobie sprawę, najbardziej chyba u kresu

życia. To moment, gdy zbliżamy się do końca naszej drogi i już nie ma nic do ukrycia. Bogactwa, klejnoty - nic wówczas nie ma znaczenia. Rembrandt obnażył prawdę o sobie, celowo ukazał siebie jako człowieka złamanego przez życie.

PORTRET MAŁŻONKÓW ARNOLFINICH
JAN VAN EYCK

Rob odnalazł portret Daisy. Oznajmił to Claire, ukrywając emocje, więc ta początkowo nie zrozumiała, co jej mąż ma na myśli.

- Portret Daisy, namalowany przez Richarda - wyartykułował ponownie. - Znajduje się wśród zbiorów Imperial War Museum. Nie jest wystawiany, trzymają go gdzieś w archiwum. Z tego, co się dowiedziałem, taki sam los spotkał większość obrazów poświęconych wojnie. Pokażą nam go, Claire. Możemy się tam pojawić w sobotę.

Serce zaczęło jej bić jak szalone. A zatem „Projekt Daisy” jeszcze się nie zakończył. Znalazły się inne powody, by go nie przerywać.

- Jak ci się udało go odszukać? - zapytała.

- Poprzytałem tu i tam, zadzwoniłem do kilku miejsc. To nie było aż tak trudne.

Słyszając podekscytowanie w jego głosie, zrozumiała, że Daisy stała się ważna także dla Roba. Dzięki temu oboje mieli poczucie, że coś ich jeszcze łączy. I była mu za to bardzo wdzięczna. Dziwne podniecenie, graniczące ze strachem, nie pozwoliło jej zasnąć w nocy. Po długiej walce poddała się, wyslizgnęła cicho

z sypialni i usiadła w salonie. W rogu pokoju dostrzegła plecak Roba, porzucony na podłodze po ich powrocie z weekendowej wyprawy do Hertfordshire. Żadne z nich nie miało dość energii, by go rozpakować. Claire była wyczerpana nadmiarem emocji, który towarzyszył ostatniej wyprawie. Wiedziała, że wewnątrz znajduje się czasopismo, które Nick wcisnął im przed wyjazdem. Pomyślała, że właśnie teraz jest dobry moment, by zagłębić się w lekturze. Noc była taka cicha. O takie spokojne noce zapewne modliła się Daisy.

Niespiesznie przeglądała kolejne strony. Tak samo mogły robić swego czasu Daisy i Elizabeth, choć za ich czasów szpalty na pewno nie miały żółtego koloru i nie zostawiały na palcach czytelnika zapachu starej gazety. Claire oglądała z uwagą stare reklamy mundurów i pokrowców na maski przeciwgazowe sąsiadujące z reklamą lemoniady czy pasty do zębów, ogłoszenia dotyczące wakatów na terenach wiejskich i odezwy od wikariuszy zachęcających do dawania datków na rzecz ofiar bombardowania. Pół strony oddano rozsierdzonym paniom domu, które bez wahania gotowe były zaatakować każdą kobietę, która postanowi wyrzucić spódnicę, zamiast ją zacerować. Ziewając, Claire pomyślała, że Daisy i jej współcześni żyli w świecie, w którym wszystko było poprzestawiane do góry nogami. Znacznie bardziej niż teraz. To musiało być męczące.

Jej wzrok przykuła jedna z reklam umieszczona mniej więcej w środku czasopisma. Dotyczyła dostaw materiałów dla artystów. Narysowano na niej paletę i pędzel na dowód, że niczego im nie brakuje, mimo że od rozpoczęcia wojny minęły cztery lata. Obok znajdował się dedykowany tej tematyce artykuł: „Miłość i życie w czasie wojny: obserwacje z National Gallery”. Autorem był niejaki Richard Dacre. Claire aż się wyprostowała w fotelu. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Chwilę później zrozumiała, że to właśnie ten artykuł był powodem, dla którego Elizabeth

trzymała periodyk przez tyle lat. Zapewne czasopismo znalazło się w paczce, którą Edmund wysłał do niej wraz z resztą pamiątek po Daisy.

Uważnie przeczytała tekst. Było to studium obrazów, które ona, Daisy, Dominie i Rob widzieli w galerii, napisane bardzo formalnym językiem, który zapewne nie przyszedł z łatwością człowiekowi bardziej przyzwyczajonemu do trzymania pędzla niż stukania w klawiaturę maszyny do pisania. Richard opisywał techniki malarskie, style, medium użyte do malowania, rodzaje pigmentów, ale poświęcił też nieco miejsca na opisanie artystów i obiektów, które uwiecznili na swoich płótnach. W tych słowach Claire wyczytała coś więcej. Richard rozumiał, że te obrazy opowiadały pewną historię, większą niż z pozoru mogłoby się wydawać, a mianowicie, że wszelka sztuka prawi o życiu, ale też o miłości. Wszyscy oni - Rob, Claire, Daisy - doświadczyli tego na sobie.

Nagle zapragnęła towarzystwa, nie chciała być sama. Zakradła się po cichu z powrotem do sypialni, trzymając w ręku czasopismo, już w progu nasłuchując miarowego oddechu męża, wiedząc, że w końcu go obudzi.

- Co się dzieje, Claire? Która godzina?

— Późna - wyszeptała. - Ale na pewno zechcesz to zobaczyć. Gdy wręczała mu czasopismo, wypadła z niego kartka, lądując

na kołdrze pomiędzy nimi, obrazkiem do góry. Natychmiast rozpoznała dzieło, mimo iż kolory dawno zdążyły wyblaknąć. To *Portret małżonków Arnolfinich* Jana vanEycka, ukazujący męża i żonę stojących przed artystą; dłoń kobiety spoczywa na ręce mężczyzny, druga dłoń mężczyzny podniesiona jest w geście powitania. Natomiast kobieta trzyma swoją drugą rękę na brzuchu. Oboje ubrani są w piękne, podszyte futrem szaty. Kobieta ma na sobie ubrania w jaskrawych kolorach, niebieskim i zielonym, co tylko podkreśla jej urodę w zestawieniu z ciemną peleryną i czarnym kapeluszem mężczyzny. Na drugim planie widzimy elementy

wyposażenia domu, oddane ze staranną szczegółowością, świadczące o bogactwie domostwa. W oknie widać wyroby ze szkła, na parapecie w pewnym bezładzie leżą pomarańcze, jakby utrata jednego czy drugiego nie miała żadnego znaczenia. Z tyłu widać wyszukany żyrandol, a przed parą stoi mały, kudłaty piesek, który z pewnością nie został kupiony do roli obronnej, tylko do umilania czasu gospodarzom. Z boku znajduje się łoże posłane czerwoną pościelą i zasunięte czerwonymi zasłonami. Claire ze szkolnych czasów pamiętała, że obraz ukazuje małżeństwo, kupca i jego ciężarną żonę. Van Eyck ujął ich pozujących w sztywnym geście, pokazującym niepewność ich miłości. Lustro na ścianie za nimi odzwierciedlało te uczucia. Można było odnieść wrażenie, że ono jeszcze bardziej oddala od obserwatora tę parę ludzi, których życia dawno przeminęły.

Przez chwilę żadne z nich nie ruszyło się po pocztówkę. W końcu Rob sięgnął po nią, odwrócił i obejmując Claire, zaczął czytać w bladym świetle nocnej lampki.

Najdroższa Daisy!

Napisałem do Sir Kennetha Clarka z pytaniem, czy National Gallery planuje wystawić „Portret małżonków Arnolfinich”. Ten obraz należy do galerii. Jeśli odpowie twierdząco, mam zamiar Cię tam zabrać i stojąc przed obrazem, pocałować.

Czekając na to wydarzenie, mam inną propozycję: Czy wyjdiesz za mnie? 8 listopada w urzędzie stanu cywilnego w Chelsea. To będzie poniedziałek. Wszystko jest gotowe. Wystarczy, że się tam zjawisz. Bardzo Cię proszę, byś wplotła kwiaty we włosy.

Z wyrazami dozgonnej miłości, Richard

8 listopada 1943 roku. Ta sama data, którą widzieli na drzewie genealogicznym rodziny Elizabeth. Ostatni dzień życia

niesfornej, acz wrażliwej Daisy. Niewiele zostało do dopowiedzenia, a mimo to oboje zaczęli mówić.

- Myślisz, że...

- Zastanawiam się...

-Przed?

- Po?

Nie była w stanie dokończyć żadnego ze zdań wartych wypowiedzenia, bo nie było na nie gotowych odpowiedzi, ale Claire najbardziej paraliżował strach, że usłyszy coś, czego nie chciała słyszeć. Daisy mogła nie dotrzeć do urzędu stanu cywilnego. Czy zginęła samotnie? Być może była dopiero w drodze po kwiaty albo czekała na autobus, który miał ją zawieźć do Chelsea. Być może nigdy nie usłyszała słów wypowiedzianych przez Richarda: *Ja, Richard, biorę sobie ciebie, Marguerite, za żonę*. Choć może wtedy formułka ta brzmiała nieco inaczej. Oświadczyły to dowód, że Richard naprawdę ją kochał, że wszystko, co mówił, było prawdziwe, że chciał być z nią po kres życia. *I że cię nie opuszczę aż do śmierci*. W tych słowach zawierała się wspólna przyszłość, całe życie szczerze i bez strachu. Czy liczyło się cokolwiek innego?

W sobotę Claire wzięła oba zdjęcia Daisy, jedno z Richardem i drugie z wcześniejszych lat, na którym była razem z Elizabeth.

- Będziemy mogli ocenić, czy portret wiernie ją oddał - wyjaśniła. Rob zabrał ze sobą aparat, by mogli zrobić zdjęcie i oprawić je w ramki.

Metrem pojechali aż do stacji Lambeth North w tej części Londynu, do której rzadko się zapuszczali, i ruszyli wzdłuż niezbyt urokliwej Kennington Road. Natężenie ruchu było tu spore, a po obu stronach, jak to ma miejsce w przypadku wielu innych londyńskich ulic, znajdowały się dyskonty spożywcze, sklepy

z winem, zakłady bukmacherskie. Tu i ówdzie właściciele próbowali odświeżyć swoje przybytki, żeby rozruszać biznes. Claire czuła spore zmęczenie, Rob też nie tryskał energią. Choć powietrze stało, mieli wrażenie, jakby wiatr zawiewał pył z ulicy prosto w oczy. Claire wciąż myślała o artykule napisanym przez Richarda, ułożonym w wąskie, długie kolumny tekstu, z jego wytłuszczeniami, słowami przenoszonymi do następnych linii, czekającym na każdego, kto miał ochotę się z nim zapoznać. Na drugim końcu tej historii majaczyła intymna kartka, napisana prostymi słowami, zarezerwowana tylko dla oczu Daisy.

Maszerowali szybko, pragnąc czym prędzej znaleźć się w muzeum. Omijali rodziny holujące płaczące dzieci i pary szukające lokali gastronomicznych. Imperial War Museum pojawiło się przed ich oczami, gdy tylko skręcili w Lambeth Road. Muzeum mieściło się pośrodku parku nazwanego imieniem kogoś, o kim Claire nigdy wcześniej nie słyszała i o kim pewnie dawno już zapomniano. Przy głównym wejściu ulokowano dwa ogromne działa, wokół których zebrała się spora grupa odwiedzających, szukających dobrego ujęcia do pamiątkowej fotki. Claire trzymała dystans, ale Rob podszedł bliżej; jak wszyscy inni mężczyźni postanowił tym działom przyjrzeć się nieco bliżej. Zaczekała na niego w środku, siedząc na metalowym krześle, które strasznie skrzypiało, gdy tylko próbowała się na nim oprzeć. Stopy spoczywały na pokrytej kafelkami podłodze, która przywoływała skojarzenia ze szpitalem. Żaden z wystawionych eksponatów nie przykuł jej uwagi, zależało jej tylko na obrazie. Całej reszty mogłoby równie dobrze w ogóle nie być. Zresztą, łatwo można się było domyślić, co się w tym muzeum znajdowało, nim w ogóle spojrzano się na ściany. Kartki na żywność, maski przeciwgazowe, plakaty propagandowe, długie listy poległych, listy pisane niepewnymi, dziecięcymi rączkami, które z trudem utrzymywały ołówki, zaadresowane do ojców, którzy

nigdy nie odpisali i nie wrócili do domu. Wszystkie te dobrze znane, niekończące się historie. Jej wystarczyła tylko jedna, w której główne role odegrali Richard i Daisy.

Kustoszka podeszła do nich i przywitała przy recepcji.

- Oczekiwaliśmy państwa — powiedziała. — Czy artysta lub osoba portretowana to ktoś z państwem spokrewniony?

Pytanie było zaadresowane do Claire. Zawahała się... Powinna chyba zaprzeczyć.

— Nie - odpowiedziała. — To znaczy, tak. To daleka rodzina mojego męża.

Męża. Kiedy po raz ostatni wypowiedziała to słowo na głos? Jedno słowo, które implikowało tyle znaczeń. Uśmiechnęła się, a gdy spojrzała na Roba i na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Zgadza się - powiedział Rob. - Ustaliliśmy, że bohaterka portretu to kuzynka mojej babci.

— Proszę tędy. Portret znajduje się w dziale obrazów olejnych. Kobieta poprowadziła ich przez labirynt pokoi nieudostępnianych publicznie, najpierw po szarych dywanach położonych w pomalowanych na szaro korytarzach i przez szare gabinety, do pokoju wydruków, gdzie w dużych szufladach trzymano akwarele i szkice węglem. W tym pomieszczeniu mocno pachniało drewnem i pastą. Zagłębili się jeszcze bardziej w ukrytych czeluściach muzeum, aż dotarli do ogromnego archiwum tak jaskrawo oświetlonego lampami zwisającymi z sufitu, że Claire początkowo nie potrafiła nawet dojrzeć zarysu obrazów. Gdy jej wzrok w końcu przyzwyczaił się do ostrego światła, zdała sobie sprawę, że są ich tam setki, może nawet tysiące. Były oprawione w złote ramy, powieszono je jeden obok drugiego na ciężkich, metalowych siatkach, które można było swobodnie wyciągać dzięki kółkom zamontowanym na spodzie.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała kustoszka. — Nazwisko Dacre, dobrze pamiętam? Wszyscy są tutaj posegregowani alfabetycznie.

Zrobiła kilka kroków w kierunku zaciemnionej części pomieszczenia i wyciągnęła jedną z metalowych siatek; kółka robiły przy tym spory hałas.

Nagle, o wiele szybciej niż Claire się tego spodziewała, po odsunięciu białego, przykurzonego brezentu, ich oczom ukazała się Daisy. Od razu rozpoznała jej radosny uśmiech. Sposób, w jaki została namalowana, sprawiał, że zdawała się jeszcze bardziej śmiała niż na fotografiach. Claire nie musiała nawet wyciągać starych zdjęć, by potwierdzić, że obraz perfekcyjnie oddał jej postać. Po raz pierwszy ujrzała Daisy w kolorze, wcześniej mogła ją sobie tylko wyobrażać. Richard świadomie użył kolorów jaśniejszych, niż w rzeczywistości mogły one być, co tylko wzmocniło efekt. Rozświetlił w niej wszystko, nie tylko uśmiech. Oczy urzekały błyszczącym błękitem, tego samego koloru był szal, prezent od Elizabeth, który na obrazie zdobił jej szyję. Policzki były koloru różowo-czerwonego i znalazły kolorystyczną parę w postaci czerwonego notatnika, który leżał przed nią na biurku. Maszyna do pisania zajmowała spory obszar pierwszego planu; wydawała się ogromna i nieporęczna. Praca przy niej zapewne była ciężka, stukanie w klawisze musiało męczyć, ale Richard namalował delikatne dłonie dziewczyny, jak gdyby bardziej nadawały się do podawania popołudniowej herbatki. Cóż, do takiego życia Daisy się przecież za młodu sposobiała. Jednak wybuch wojny skomplikował wszystko. Przeprowadziła się do Londynu, dostała pracę i jej życie zaczęło się układać zupełnie inaczej. Daisy pisała w jednym z listów, że Richard bardzo lubił jej dłonie. To one zwróciły jego uwagę, gdy spotkali się po raz pierwszy i gdy podał jej upuszczoną rękawiczkę.

Spojrzała jeszcze raz na portret i zauważyła, że roślina przedstawiona na nim była zielona, pełna kwitnących pąków. Wcale nie wyglądała tak, jak opisywała ją Daisy; nie umierała, nie więdła. Do tego teren po bombardowaniu, znajdujący się za oknem, nie był szary i pusty. Richard namalował kwiatki, które, jak pisała Daisy, rosły tam, przebijając się spod zwałów gruzu.

- Spójrz, Rob - odezwała się Claire. - Poprawiał obraz. Dlaczego to zrobił? Daisy inaczej go opisywała.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział, po czym zwrócił się do kustoszki.
- Może pani coś wie? Opis obrazu, który otrzymaliśmy, był nieco inny.

- Tak się czasem dzieje. Bywa że artysta nie jest do końca zadowolony z końcowego efektu i nie potrafi się powstrzymać przed drobnymi korektami. To mogło nim powodować. Dość częsty przypadek.

Claire, choć wiedziała, że kobieta zapewne miała rację, nie była do końca zadowolona z odpowiedzi.

- Czy obraz kiedykolwiek wystawiono? - zapytała szorstko. Kustoszka spojrzała na nią.

- Sprawdziłam to przed państwa przybyciem. Tak, był wystawiony. W National Gallery rotowano obrazami z wystawy wojennej i ten obraz został włączony do projektu. Nie udało mi się za to znaleźć dowodów, by później gdziekolwiek go prezentowano. Część obrazów jeździła po kraju, część wywieziono na wystawę w USA, by egzemplifikować brytyjski wysiłek wojenny. Nie ma zapisków świadczących o tym, że ten portret był częścią takich objazdowych wystaw.

- Dlaczego nie, do cholery? — powiedziała Claire, zadając pytanie takim tonem, że od razu poczuła, iż pozwoliła sobie na ostry afront. Rob ostrzegawczo uściśnął jej ramię.

- Cóż, pewnie uznano, że standardem odbiegał od innych dzieł — kustoszka odpowiedziała nerwowo. — W tym biznesie

istniała ostra konkurencja. Tylko najlepsze z obrazów mogły wziąć udział w takich prezentacjach. Henry Moore, Stanley Spencer — było z czego wybierać. A ten artysta, Richard...

- Dacre - szybko dopowiedziała Claire.

- No właśnie, Dacre. Obawiam się, że nie zdobył za swoich czasów wielkiego uznania. To nie o nim mówiono, gdy roztrząsano tuż po wojnie, kogo powinny zapamiętać następne pokolenia.

Kobieta w końcu chyba zauważyła reakcję wypisaną na twarzy Claire, bo spróbowała załagodzić sytuację.

- Rzecz jasna, był jeszcze młody, gdy malował obraz. Nie miał zbyt wiele czasu, by zyskać sławę. Gdyby tylko dostał szansę...

- Nie rozumiem, co pani chce przez to powiedzieć?

- Cóż, zginął w 1943 roku.

- Co??? — głos Claire wyrażał niedowierzenie.

- Przepraszam. Myślałam, że państwo o tym wiedzieli. Może powinnam była to od razu powiedzieć. Wiedząc, że państwo się u nas zjawia, trochę poszperałam w historycznych zapiskach. Tak, niestety, zginął podczas wojny, zdaje się, że w trakcie jednego z nalotów. To smutna historia, przecież cała ta operacja z komisją artystów wojennych była wymyślona właśnie po to, by twórców trzymać jak najdalej od linii ognia, choć oficjalnie nikt by tego nie potwierdził. Nawet przy takich środkach ostrożności wielu z nich nie udało się dożyć końca wojny - kustoszka westchnęła. - Okropieństwo. Ponieśliśmy wielkie straty.

Zatem Richard też zginął. Tylko tyle Claire zrozumiała z jej wypowiedzi. Jego życie dobiegło kresu w 1943 roku, tak jak Daisy. A może zginął razem z ukochaną? Poczula, że robi jej się słabo i wsparła się na Robie. Nie musiała wypowiedzieć ani jednego słowa.

- Moja żona źle się czuje - powiedział do kustoszki. - Czy możemy znaleźć dla niej jakieś krzesło?

Krzesła nie było, tylko role folii z polietylenu, zwały folii bąbelkowej i drabina oparta o ścianę. Koniec końców doprowadzili Claire do drewnianego wózka, którego używano do przewożenia obrazów. Ciało wydawało się jej ciężkie, gdy na niego opadła. Ale już po chwili odczuła ulgę. Rob zaczął robić zdjęcia obrazu, a ona postanowiła jeszcze raz przyjrzeć się portretowi dziewczyny. Nie był wystarczająco dobry, żeby ktokolwiek zechciał go wystawić poza Londynem podczas wojny, nie jest na tyle dobry, by Imperial War Museum zechciało go wystawić w czasach współczesnych. Został zdegradowany, spakowany i odłożony do archiwum razem z setkami innych, będących jedynie numerkami w indeksie. Nikt na niego nie czeka, nikt go nawet nie chciał oglądać, aż do teraz. Biedna Daisy, wiązała z nim takie nadzieje. Myślała, że przetrwa wieki. Chociaż... Właściwie to tak jest, tyle że trwa w ciemnym, zakurzonym pokoju, do którego nikt nie zagląda.

To nie była wina Richarda. Claire nie godziła się na tezę, że cała odpowiedzialność ciąży na nim. W pewnej mierze za los obrazu odpowiadał także temat, który podejmował. Claire widziała to wyraźnie, gdy uważnie przyjrzała się obrazowi. W końcu artysta pokazywał jedynie sekretarkę siedzącą przy maszynie do pisania. Wagą przekazu nie mógł się równać z innymi obrazami z tej epoki, które Claire wcześniej oglądała. To były dzieła odzwierciedlające trud i znój, pokazujące mężczyzn i kobiety pracujących w stoczniach, szpitalach. Na innych samoloty przebijały się przez chmury dymu w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Tymczasem tutaj widzimy jedynie wycinek nudnej rzeczywistości wojennej, podporządkowanej mało atrakcyjnej rutynie. W portrecie Daisy nie było dramatu. Zdała sobie sprawę, że Richard świadomie zrezygnował z malowania arcydzieła. On po prostu chciał namalować ukochaną kobietę. W taki sposób wyraził całą swoją miłość.

Do domu wrócili na tyle wcześnie, że Claire mogła jeszcze raz wyjść, tym razem do biblioteki. Była zdeterminowana, by znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o Richardzie. Chciała się przekonać, czy ktokolwiek uznał jego nazwisko za warte choćby najmniejszej notki. Nie łudziła się, że znajdzie dział „Dacre, R.” w encyklopedii otrzymanej od Roba, pomiędzy takimi nazwiskami, jak Cranach i Degas. Rob postanowił jej towarzyszyć. Zostawiła go przy biurku w dziale czasopism, a sama pośpieszyła do działu Sztuka i Dizajn. Potrzebowała jakiejś książki na temat brytyjskich artystów. Wyciągnęła pierwszą i przejrzała na szybko indeks osób. Żadnej wzmianki. Przebiegła palcami po półkach, powoli, bo nie chciała niczego pominąć. Wiedziała, że na pewno gdzieś tam musi być książka, której poszukuje. Jedna czy dwie linijki. Richard i Daisy zasługiwali choć na tyle. W końcu znalazła to, czego szukała. Książka na temat artystów z czasów drugiej wojny światowej.

Jest, znalazł się w indeksie osób.

Strona 186. Tylko jedna wzmianka, ale zawsze coś. Powoli wertowała strony, zastanawiając się, jak często ktoś po tę książkę sięgał - bez wątpienia rzadko. I całkiem możliwe, że na stronę 186 nikt nigdy nie zajrzał.

To Richard!

DACRE, RICHARD Urodzony w 1915 roku. Artysta zatrudniony przez Komisję Doradczą Artystów Wojennych. Jego dzieło wystawiono razem z pracami innych malarzy w National Gallery. Należał do niewielkiej grupki artystów nazywających siebie Chelsea Group. Większość jego prac zaginęła podczas drugiej wojny światowej.

Brak zdjęcia, brak przedruków. Żadne z dzieł nie zostało wymienione z tytułu.

Przypis dolny numer 32, na dole strony, wciśnięty małą czcionką, podający najbardziej dociekliwym czytelnikom, że Richard Dacre zginął w czasie wojny.

To wszystko. A więc było tak, jak od początku przypuszczała. Richard i Daisy, zakochani, już po ślubie albo tuż przed, oboje giną tragicznie. Ich życie kończy się wiele lat przed narodzinami Claire. Żadne przepisy dotyczące zachowania w bibliotece nie mogły jej powstrzymać przed głośnym przywołaniem Roba. Gdy do niej podbiegł, wciąż tam stała, książka wypadła jej z rąk.

CÓRKI MALARZA W POGONI ZA MOTYLEM - GAINSBOROUGH

Claire trzymała informację o ciąży w tajemnicy przed wszystkimi, a nawet - w pewnym sensie - także przed samą sobą przez kilka tygodni. Bóle głowy i zmęczenie można było dość łatwo wytłumaczyć. Wiadomość o śmierci Daisy mocno ją przygnębiła, z trudem przyszło jej zaakceptowanie tego faktu. Takie same uczucia bez wątpienia targały Elizabeth wiele lat wcześniej, gdy dowiedziała się o tragedii. Do tego dochodziła jeszcze kwestia Roba i radość małżonka przez wysiłek, jaki trzeba było wkładać w odbudowanie ich wzajemnej relacji. Claire miała więc wystarczająco wiele powodów, by czuć się zmęczoną. Nie dało się jednak nie zauważyć, że w przewidywanym terminie nie pojawiła się kolejna miesiączka, a kolejna też się spóźniała. Nie pozostało jej nic innego, jak wybrać się do pobliskiej apteki, modląc się, by nikt ze znajomych nie zauważył, jak bierze z półki biało-niebieskie pudełko z testem ciążowym, podchodzi z nim do kasy i potem upycha głęboko w torebce.

Zrobiła test, gdy tylko została sama w domu. Właściwie to nawet nie musiała tego robić, bo doskonale czuła, co się dzieje. Po kilku sekundach blady, niebieski krzyżyk pojaśniał i wyostrzył swój kolor, po czym został tam już na stałe, wysyłając jej dreszcz

cudownego podniecenia, podobnego do tego, które było ich wspólnym udziałem za pierwszym razem. Długo wyobrażali sobie, jak to będzie, gdy zajdzie w ciążę. Wtedy Rob był tuż obok, czekając na nią pod drzwiami łazienki. Tym razem był nieobecny i Claire zastanawiała się, jak zareaguje, gdy przekaże mu nowinę.

Postanowiła jednak, że pierwsza dowie się o tym Daisy, że zanieśie jej ten sekret do National Gallery, szepcząc słowa w cichą pustkę muzeum. Zresztą, najwyższa już pora poznać treść kolejnego listu. Wyciągnęła go z pudełka. Po nim będzie tylko jeden, ostatni, z października, po którym Daisy nie napisała już żadnego. Otwieranie listów od przełomowego momentu, gdy poznała los Daisy, stało się dla Claire swego rodzaju odliczaniem do bolesnego końca, choć to przecież zwykła ułuda - w końcu Daisy nie żyła od dawna. Tyle że kiedy Claire zaczynała „Projekt Daisy”, nie o wszystkim wiedziała.

Wrzesień 1943 rok

Kochana Elizabeth!

Zaczynam od razu od opisu obrazu. Później dowiesz się reszty. W tym miesiącu wystawiono dzieło Gainsborougha, w którym przedstawia swoje dwie małe córeczki, Mary i Margaret. Czyż to nie cudowny moment, gdy artysta postanawia uwiecznić własne dzieci? Wydaje się to nieść ze sobą o wiele mocniejsze przesłanie niż obraz żony czy kochanki, typowych modelek malarzy. Chciałabym wierzyć, że w tym obrazie każde pociągnięcie pędzla pokazuje miłość ojca do swoich dzieci. Jestem pewna, że więź między rodzicem a dzieckiem to coś wyjątkowego. Zresztą Ty to wiesz najlepiej, w końcu masz swojego Nicka. Ja jeszcze tego nie potrafię w pełni zrozumieć, jeszcze nie teraz. Ale wiem, że to nie jest możliwe, dopóki się człowiekowi ten cud osobiście nie przydarzy. Dopóki nie pojawi się maleństwo, które pragnie się tulić i zapewnić mu bezpieczeństwo. Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem,

Mama chciała malować moje portrety, ale nigdy jej na to do końca nie pozwalałam. Raczej nie lubiłam pozować. Pamiętam, że pewnego razu schowałam się za zasłonkami w pracowni, a gdy zza nich wychyliłam, zobaczyłam, że Mama kieruje we mnie pędzel i się śmieje. Nie rozumiałam wtedy, że to mogło być dla niej ważne. Sama też przez to wiele straciłam: szansę na trzymanie jednego z tych portretów w ręku ze świadomością, iż powstał z najczystszej miłości.

Richard wyjaśnił mi, że Gainsborough namalował kilka portretów swoich córek i za każdym razem pokazywał je obie. Na tym biegają po ogródku, trzymając się za rączki. Margaret, ta młodsza, wyciąga rękę w kierunku motyla z czarnymi kropkami na krańcach skrzydełek, który usiadł na oście. Mary ją powstrzymuje, najwyraźniej troszczy się o młodszą siostrzyczkę! Takie zachowanie wydaje się wręcz niemożliwe, jeśli się weźmie pod uwagę, jak rodzeństwo się zazwyczaj wzajemnie traktuje. W prawdziwym życiu Margaret pewnie by przemyciła ostrzeżenia w stylu: „Nie rób tak, bo powiem mamusi”, charakterystyczne dla starszych sióstr. Nawiasem mówiąc, Margaret pewnie by i tak tego motyla nie złapała — odfrunąłby, nim zdążyłaby się do niego zbliżyć. Jedyna pamiątka, jaka zostałaby dziewczynce, to ukłuty paluszek i łzy, które ojciec musiałby otrzeć chusteczką poplamioną farbami.

Elizabeth, muszę to wreszcie napisać, choć może już się domyślasz.

Będę miała dziecko!

Trudno mi wyznać to komukolwiek, tym bardziej że nie jestem mężatką. Mam na sobie jedynie pierścionek zaręczynowy od Charlesa, co jest jeszcze gorsze, niż gdybym nie miała nic. Poza tym, po wycieczce do Weymouth przestałam go nosić. Kłulby mnie w oczy, lśnić w blasku promieni słonecznych. W tej chwili tylko Ty o tym wiesz. Jeszcze nie pisałam ani słówka Richardowi, bo paraliżuje mnie strach, gdy pomyślę, jak może zareagować na wieść o dziecku. A może raczej, czego nie powie. Co, jeśli nie stać go będzie na to,

żeby mi powiedzieć, że choć to zaskoczenie, to na pewno sobie poradzimy, weźmiemy ślub i będziemy szczęśliwi? A jeśli zapadanie tylko wiele mówiąca cisza, połączona ze smutkiem, i każde z nas pójdzie w swoją stronę? Jeśli zapomni o tym, że kiedyś wyznał mi miłość? Tylko nie myśl sobie, że chciałabym usunąć ciężę. Dziewczyny w biurze czasem o tym dyskutują, opowiadają, jak takie rzeczy można zorganizować. Cóż, to kompletnie nie w moim stylu. Kocham Richarda. Jak mogłabym wyrzucić krzywdę jego dziecku? Jak można wyrzucić krzywdę SWOJEMU dziecku? To maleństwo mnie potrzebuje.

Kiedy się dowiedziałam o ciąży, pomyślałam naiwnie, że jeśli nie Richard, to zawsze jest jeszcze Charles. Mogłabym za niego wyjść podczas jego najbliższego przyjazdu, na pewno zgodzi się uznać dziecko za swoje. Takie rzeczy przecież się zdarzają. Cóż, okazało się, że byłam bardzo nierozsądna, tak sądząc. Wczoraj, po długiej przerwie, wreszcie przyszedł list od niego. Spotkał kogoś; dziewczynę, która naprawdę pragnie zostać jego żoną. Ujął to wszystko w uprzejme słowa. Zawsze był uprzejmy. Przepraszał, jeśli mnie tą wiadomością zranił, ale wyraził nadzieję, że będę go potrafiła zrozumieć. Wreszcie ma to, czego pragnął, a poza tym, oboje wiemy, że nie rwałam się do zamążpójścia. Na koniec listu dodał, że zawsze będzie pamiętał te dobre czasy i że ja też tak powinnam zrobić. Nie ma sensu żywić urazy.

Teraz już wiem, dlaczego nigdy nie wysłał mi obiecanych pończoch. Bardzo chciałabym się umieć z tego śmiać, ale zwyczajnie nie potrafię. Mają wziąć ślub, gdy tylko załatwi wszystkie konieczne pozwolenia. Będą już po miesiącu miodowym, gdy dostaniesz ten list. Czy pozostaje mi cokolwiek innego, niż odpisać, że życzę mu szczęścia? Im częściej czytam jego list, tym bardziej mnie on dotyka. Tekst nie zajął mu nawet jednej strony. Nie ma w nim żadnych wykreślonych, zmienionych zdań, tylko dobrze przemyślane słowa, linijka pod linijką, tworzące dziwną

miksturę przeprosin, żalu oraz (i to chyba najgorsze, ale pewnie nie potrafił się powstrzymać) radości. Gorzej mogłoby być tylko wtedy, gdybym wciąż go kochała lub przynajmniej tak by mi się zdawało. Cóż, jakieś uczucia wobec niego wcześniej może żywiłam, ale one dawno się ulotniły. Poza tym, trzeba też pamiętać, że sama nie byłam mu wierna. Nie bardzo mam prawo o cokolwiek go winić.

Zatem przyszłość spędzę u boku Richarda lub jako samotna matka. Jeśli zwycięży ta druga wersja, będę miała spore kłopoty. Zakładam, że Tatko nigdy się już do mnie nie odezwie. Nie będzie tego w stanie zrozumieć. Jemu wciąż się wydaje, że jestem jego małą córeczką, która goni za marzeniami, podczas gdy on chciałby dla mnie stabilizacji. Biedny Papcio. Nic mu nie powiem do chwili, kiedy już naprawdę będę musiała. Szkoda, że Mamy nie ma już z nami. Ona by na pewno wiedziała, co począć. Zawsze tak było. wybacz mi, Elizabeth. Gdy tylko o niej pomyślę, natychmiast się rozklejam, choć może to po części wina hormonów. Zrobiłam się ostatnio strasznie płaczliwa, rozkleja mnie każde okropieństwo związane z naszą marną egzystencją, każde nowo narodzone dziecko porzucone w drewnianej skrzynce pod szpitalem bez choćby najmniejszej informacji, jak ma na imię. Pragnę tego dziecka. Już nie mogę doczekać się chwili, gdy będę je tulić w ramionach i darzyć miłością do ostatnich dni mojego życia. Pamiętasz, jak pisałam o „Mistycznym Narodzeniu”? Zarzuciłam Cię wtedy jakimś stekiem bzdur, konstatując, iż to nie fair, że Jezus jest w centrum uwagi i że spycha to miłość Józefa i Maryi na dalszy plan. Pewnie śmiałaś się z tych dyrdymałów. Teraz już wiem, że jest inaczej. Zdaję sobie sprawę, że się myliłam. Po prostu zrozumienie tego wszystkiego zajęło mi odrobinę więcej czasu niż innym. Jawi mi się to teraz jak tajemnica, do której nikt wcześniej mnie nie chciał dopuścić, a nawet jeśli próbował, to byłam głucha jak pień. Teraz jest inaczej, mój umysł ulega przemianie wraz ze zmianami zachodzącymi w moim ciele.

Gdybyś mnie zobaczyła, zapewne nie zorientowałabyś się, że coś się dzieje. To dopiero drugi miesiąc — pamiątka po wycieczce do Weymouth, rzecz jasna. Odrobinę tracę wcięcie w talii, ale ta zmiana jest jeszcze niezauważalna dla nikogo poza mną. Jednak panna Johnson wciąż mnie za coś gani, bo faktycznie jestem mocno zdekoncentrowana, a do tego często mam mdłości. Widzi, że coś nie gra, nie jest przecież głupia.

Nie mogę się powstrzymać i wciąż wyobrażam sobie, jak to dziecko będzie wyglądać. Czasami marzę o tym, że kiedyś zabierzemy je razem z Richardem do Weymouth. Będziemy pchać wózek po piasku nad brzegiem morza, gdzie nie będzie już zasieków z drutu kolczastego, i wtedy zwrócę się do Richarda ze słowami: „I pomyśleć, że to tutaj...”. Modłę się o to, by wojna się skończyła, zanim moja dziecina przyjdzie na świat. Nie chcę, żeby rodziła się przy akompaniamencie syren alarmowych. Już nie mogę się doczekać, kiedy Richard zacznie malować jej portrety. Może nie od razu, gdy będzie cała pomarszczona niczym wysuszone jabłko, ale wtedy, gdy już zacznie chodzić i będzie mógł ją zawołać, a ona przybiegnie wprost w jego ramiona.

Myślisz teraz pewnie, że to może być chłopiec, więc dlaczego mówię o dziecku w formie żeńskiej? Cóż, pewnie dlatego, że po obejrzeniu obrazu Gainsborougha i jego córek, w głowie siedzą mi same dziewczynki. Zresztą, to będzie dziewczynka. Czuję to.

Elizabeth, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że obejrzałam ten obraz. Teraz myślę o tym maleństwie, które rośnie pod moim sercem i które pewnego dnia będzie małym dzieckiem, biegnącym po leśnej ścieżce za motylem, i będzie robić wiele innych rzeczy, o których jeszcze nie mam pojęcia. Nagle, dzięki temu obrazowi, wszystko wydaje mi się prawdziwsze. Warto było. Kiedy o tym myślę, jestem nawet gotowa uwierzyć, że czeka nas jakaś przyszłość, jeśli nie naszą trójkę, to chociaż dwójkę. Co Ty o tym sądzisz? Napisz, co Ci serce podpowiada. Tylko o tyle Cię proszę.

Zanim dotrze do Ciebie następny list, mam nadzieję, że zdążę zebrać się na odwagę i powiem o wszystkim Richardowi.

Ściskam Cię, Daisy

Szok był tak dojmujący, że Claire przed dłuższą chwilę nie potrafiła dostrzec obrazu, choć był tuż przed jej oczami. W dłoni mocno ściskała list Daisy. A więc ona też spodziewała się dziecka, myślała o nowym życiu, które się w niej rozwija. I odczuwała coś z pogranicza szczęścia i strachu, przytłoczona trudnościami i niepewnością. Wtedy gardło ścisnęła jej myśl, że pod gruzami nie tylko Daisy wydała ostatnie tchnienie. Jej dziecko zginęło razem z nią; ledwie uformowane, maleńkie serce ustało wraz z pulsem Daisy pod naporem walącej się ściany budynku. Wcześniej Claire zakładała, że ostatnie myśli umierającej dziewczyny wybiegły ku Richardowi, ku ojcu, którego miała zostawić samego na świecie, lub matce, którą być może za chwilę było jej dane ponownie ujrzeć. W tym momencie była jednak absolutnie pewna, że Daisy myślała wyłącznie o swoim nienarodzonym dziecku. Gdy w kostnicy oczyszczono jej twarz z pyłu, co można było z niej wyczytać? Pogodzenie z losem, smutek, panikę? Czy odczytano, jaki sekret krył się za tą martwą twarzą?

I co z Richardem? Czy znalazła w sobie wreszcie siłę, by powiedzieć o dziecku? A jeśli tak, to jak zareagował? Nie miała zbyt wiele czasu. Wyobraziła sobie Daisy, skuloną na łóżku z papeterią w ręce, na granicy łez, zastanawiającą się, co robić, podczas gdy Richard, niczego nieświadom, kończył swoje dzieło. Mógł też właśnie kupować pocztówkę i zastanawiać się nad doborem słów, jakich powinien użyć, by się oświadczyć. Gdyby choć o tym jego planie wiedziała, pewnie oszczędziłoby to jej wielu ciężkich chwil.

Claire wciąż miała nadzieję, że Daisy zdążyła jednak powiedzieć ukochanemu, że spodziewa się dziecka. W końcu to był

dopiero list z września. Artykuł i oświadczenia miały przyjść nieco później, w listopadzie, tuż przed bolesnym końcem tej historii. Czy pomiędzy tymi datami w życiu Daisy nie było miejsca na nic innego, tylko niepewność i łzy?

Obejmując umysłem te wszystkie zawiłości, zapragnęła jak najszybciej powiedzieć Robowi, że otrzymała drugą szansę na macierzyństwo. Włożyła list do torebki i postanowiła jeszcze przyjrzeć się obrazowi. Grupa szkolna, dzieci nie starsze niż siedem lub osiem lat, robiły niezły harmider, z bezustannym hałasem przemieszczając się przez salę. Jeszcze niedawno mogłoby ją to nawet zdenerwować. Teraz pomyślała jedynie: *Pewnego dnia moje dziecko też tu przyjdzie ze swoim nauczycielem i będzie odliczać sekundy do przerwy na lunch, zastanawiając się równocześnie, z czym dziś mama zrobiła kanapki. Nie ma wątpliwości, to będzie dziewczynka, tak jak to sobie wymarzyła Daisy, tak śliczna, jak siostrzyczki na obrazie Gainsborougha.*

Znalazła obraz z dziewczynkami. Daisy doskonale go opisała. Claire przypomniała sobie siebie i swoją siostrę Laurę, gdy były w podobnym wieku i gdy ojciec wciąż przy nich był, uczył jeździć na rowerku, kupował lody. Jak szybko mijają te beztroskie chwile! Margaret Gainsborough miała najwyżej cztery lata, ubrana na jasnoniebiesko, z fartuszkami przekreślonymi na jedną stronę w wyniku pośpiesznego marszu. Mary mogła mieć siedem lub osiem lat, strój w tonacji żółtej, z fartuszkami częściowo przewiązanymi w talii i przerzuconymi przez ramię. Sukienki dzieci przywodziły na myśl ubrania, które współcześnie wkłada się dziewczynkom noszącym bukiety kwiatów na ślubie. Obie dziewczynki miały kasztanowe włosy związane w warkocz wokół głowy, a zarumienione policzki przydawały nieco koloru ich bladym buziom. Od razu widać, że to siostry, choć miały zupełnie inne oczy. Krawędzie tła pozostały niewykończone. Gainsborough zapewne pojął, że jedynym istotnym elementem tego

obrazu jest para dziewczynek. Trzymały się za rączki, co świadczyć może o prawdziwym, szczerym uczuciu łączącym siostry. *Pewnego dnia, pomyślała Claire, / to już w całkiem nieodległej przyszłości, też będę mieć takie dzieci, na pewno nie poprzestanę na jednym, a może nawet nie na dwojce.* Serce urosło jej na samą myśl o tym.

- Będę mieć dziecko - powiedziała bez zbędnej zwłoki, gdy tylko Rob otworzył drzwi, wracając z pracy. Gdy ostatnio mu to oznajmiała, użyła zaimka liczby mnogiej, a nie pojedynczej, „my” zamiast „ja”. Słowa wypowiedziała z rozważą, nie było w nich nerwowego pośpiechu.

Cisza. Jego twarz nie zdradzała żadnej reakcji.

- Chcę tego - dodała. Samo brzmienie tych słów uświadomiło jej, jak bardzo tego pragnęła i jak owo pragnienie głęboko w niej tkwiło.

Cisza.

Chwilę później, choć z wolna, na jego twarzy zaczęło rysować się coś, co rozpoznała jako zwiastun nadchodzącego uśmiechu. Nie chciała ryzykować, że przedwcześnie zgaśnie, więc rzuciła się w jego ramiona ze słowami:

— Dziękuję. Dziękuję ci za to, że też się cieszysz. Objął ją czule ramionami.

— Oczywiście, że się cieszę - odpowiedział. - Sądziłaś, że mógłbym się nie cieszyć?

Bo przecież był Oliver.

I to, co się ze mną później działo.

I jak cię traktowałam.

Bo był jeszcze Dominie.

Bo na to nie zasługuję.

Nie użyła żadnego z tych argumentów, gdyż Rob powstrzymał ją pocałunkiem.

Później, znacznie później, powiedział jej, by podeszła do stołu kuchennego. Pomyślała, że znajdzie tam kwiaty, ale leżała tam tylko brązowa koperta zaadresowana na Roba.

- Co to? - zawołała do niego z kuchni. Usłyszała jego kroki, stanął w drzwiach.

- Dokumenty urzędowe, o które poprosiłem. Odezwałem się do General Record Office i poprosiłem o wyszukanie oficjalnych dokumentów związanych z Daisy. Obiecali, że coś podeślą. Pomyślałem, że możesz być zainteresowana.

Claire pamiętała, jak desperacko chciała poznać zawartość biurka Elizabeth, ale teraz wahała się, myśląc o Daisy leżącej w ciemności, przygniecionej śmiertelnym ciężarem, z płucami wypełnionymi duszącym, gęstym pyłem. Śmierć jest zawsze gdzieś za rogiem, w jednej chwili jesteśmy pełni życia i energii, a sekundę później już nas może nie być. I to nie jest abstrakcja zarezerwowana dla anonimowych ludzi, tylko coś, co dotyka wszystkich.

- Otwieramy? - zapytała.

Dał jej taką odpowiedź, na jaką po cichu liczyła.

- Nie, zaczekajmy. Poczekajmy do momentu, gdy przeczytamy ostatni list.

Zatem zostało im jeszcze trochę czasu, zanim będą musiały na zawsze się pożegnać. Odrobina wytchnienia, choć zdecydowanie zbyt krótka. Nigdy nie miałyby dość, nigdy nie znudziłaby się towarzystwem Daisy. Ale życie tamtej dziewczyny dobiegało kresu. Dziwne, ale ta powracająca myśl tym razem nie przygnębiła Claire aż tak bardzo, jak to miało miejsce wcześniej, czyli zanim się dowiedziała, że rośnie w niej nowe życie.

ZŁOŻENIE DO GROBU - BOUTS

Październik 1943 rok

Droga Elizabeth!

Bardzo mnie ucieszyły wieści od Ciebie. Twój list dotarł tak szybko, że niemal wierzę gazetom, które twierdzą, że szala wojny przechyla się na naszą korzyść. To miło, że zapraszasz mnie do siebie, ale obie wiemy, że nie miałyby to sensu, nawet jeśli zdołałabym zdobyć bilet na statek. Ty musisz zająć się Billem i Nickiem.

Ciąża daje już o sobie znać, nie sądziłam, że będę aż tak wyczerpana. Najgorsze są mdłości! Pewnie coś o tym wiesz. Molly twierdzi, że to minie. Na razie powiedziałam tylko jej. Właściwie nie musiałam nawet mówić — sama się domyśliła i kiedy zapytała wprost, nie potrafiłam skłamać.

Mimo kiepskiego nastroju i ciężowych dolegliwości nie zapomniałam o National Gallery. Choć muszę przyznać, że tym razem dość długo odkładałam oglądanie obrazu. W końcu jednak uznałam, że to mój obowiązek. Na siedzenie w domu przyjdzie czas, kiedy urodzę. Obraz z tego miesiąca to „Złożenie do grobu”- namalował go Dieric Bouts. Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym artyście. Na obrazie znajduje się Jezus składany do grobu przez dwóch mężczyzn. Przypuszcza się, że to Józef z Arymatei i Nikodem, czyli towarzysze Jezusa; pomagają im Maryja i Maria Magdalena; ta druga

wygląda na o wiele bardziej nieszczęśliwą niż w „Noli me tangere”. W tle znajdują się inni ludzie, wszyscy w żałobie. To smutny obraz, przyznam, że wolałabym coś pogodniejszego. Dość już mam widoku śmierci. Odnoszę wrażenie, że czasy, w których nikt nie ginął i nikt nie był ranny, były tylko dobrym snem.

Na domiar złego sam obraz jest w opłakanym stanie. Namalowano go na płótnie, a nie drewnie, więc jest bardzo delikatny. Poza tym Bouts nie używał farb olejnych. Nie wiem, czym malował, ale z pewnością nie był to wytrzymały materiał. Przez te wszystkie wieki kolory wyblakły albo się po prostu zabrudziły. Szaty Marii Magdaleny wyglądają na mocno poplamione, nie sądzę, by takimi chciał je uczynić.

Na samej górze znajduje się fragment nieba, który zachował oryginalny kolor, bo osłaniała go ramka, ale reszta ma błądy, zielono-brązowy odcień, który sprawia, że Jezus wygląda na jeszcze bardziej martwego. Jestem przekonana, że nie miał aż tak szarej twarzy, gdy Bouts go namalował.

Kiedy powiedziałam o tym Richardowi, odparł, że oczywiście kolory wyblakły, a płótno się zabrudziło. To z powodu wieku obrazu. Kiedyś jednak postrzegany był jako arcydzieło, więc czy nie jest nim nadal? Jego wyjaśnienia wcale nie poprawiły mi humoru. Po prostu widzę to, co widzę. Nie obchodzi mnie, że pięćset lat wcześniej ktoś dostrzegł tu coś innego. Liczy się teraźniejszość. Moim zdaniem to jest kiepski wybór obrazu miesiąca. Kto w dzisiejszych czasach chce oglądać takie sceny? Pochowaliśmy ostatnio dość ludzi, by nie chcieć już więcej patrzeć na zwłoki w miejscu publicznym.

Przyglądając się Jezusowi, myślałam o tysiącach mężczyzn i kobiet opuszczanych do grobów; zimnych, martwych, niewiedzących, kto wysyła ich w drogę. I dzieci. Boże, biedne dzieci, niektóre zupełnie małe, włożone do grobów, nim jeszcze nauczyły się uśmiechać. Nie tylko tu, ale też w Niemczech, Francji, Polsce, Włoszech, Birmie, Japonii... Wszędzie na świecie. To szaleństwo nie ma końca. A może właśnie dlatego wybór obrazu jest trafny?

Muszę się przyznać, że zrobiłam sobie kiedyś listę osób, które znałam, nawet przelotnie, a które zostały ranne lub zginęły. Szybko jednak dałam sobie spokój. Było w tym coś makabrycznego, Usta robiła się coraz dłuższa. I chociaż nie znalazł się na niej nikt naprawdę mi bliski, to wcale nie poprawiało mi to samopoczucia. Gdy patrzyłam na listę, czułam się, jakby śmierć krążyła bardzo blisko, jakby chciała się do mnie zbliżyć, wyrzuciłam ją więc do ognia i patrzyłam, jak płonie.

Niestety, w ostatnich tygodniach mamy ciągle naloty na Londyn, przez co listy ofiar wciąż się wydłużają. Jestem tym już bardzo zmęczona. Schrony przepelniają się co noc; ten najbliższy mego domu jest zalany, więc tym razem zdecydowałam się zostać w łóżku, ale nawet kiedy nie słyszałam syren, śniły mi się. Wczoraj bomba wybuchła na drodze, którą co dzień zmierzam do pracy. Musiałam przejść przez wszystkie te gruzy. Wyobraź sobie mnie, idącą w czystym ubraniu, starającą się nie pobrudzić, nie zahaczyć o węże z wodą; strażacy dookoła wciąż wyciągają ofiary, krzyczą, by iść dalej — wszyscy brudni i zmęczeni po nocy wśród dymu i pyłu. Ostatnio przekonałam się, że najlepiej wtedy nie oddychać, nie wdychać smrodu spaliny i nie myśleć o tym, co znajduje się pod dymiącymi cegłami. To najważniejsze. Wyobrażasz sobie, jakie to musi być uczucie, zostać pochowanym żywcem? Nie ma chyba nic gorszego. Nie chcę o tym myśleć.

Desperacko staram się nie dopuszczać takich myśli do siebie, ale one i tak dopadają mnie znienacka. To kolejny powód, dla którego nie lubię „Złożenia do grobu”. Patrzenie na to, jak ciało opuszczane jest do szarego grobowca, sprawiło, że wstrząsnęły mną dreszcze. Pomyśl, jak ciemno i duszno musiało być w środku po zamknięciu drzwi. Jezusowi pewnie to nie przeszkadzało. Miał za kilka dni stamtąd wyjść. Jednak mnie to jakoś mocno rusza.

Być może nie jestem ostatnio najpogodniejszą osobą, ale nie oznacza to wcale, że powinnaś się o mnie martwić. Naprawdę wiem, jak

zadbać o siebie, a poza tym mam Richarda. Kiedy jest przy mnie, czyli niemal bez przerwy, nie obawiam się niczego. Często siadamy w nocy, patrzymy przez okno i nasłuchujemy dźwięku uderzenia kolejnej bomby. Opowiadamy sobie różne historie z naszego dzieciństwa, by podnieść się wzajemnie na duchu, trochę poprawić humor; czasem jednak kończy się to wszystko Izami. Później, kiedy Richard już zaśnie, szepczę mu do ucha, że będziemy mieć dziecko. Na razie nie mówię o tym głośno...

Wkrótce wysyłają go zagranicę, aby narysował naszych chłopców w trakcie natarcia. Nie ma wyboru — ale nawet gdyby go miał, wiem, że by nie odmówił. Chce być przydatny. Nie winię go za to, wszyscy mężczyźni są tacy. Pod tym względem Richard nie różni się niczym od Charlesa. Oczywiście, nie chcę, by znalazł się w niebezpieczeństwie, podczas gdy ja będę się robiła coraz grubsza i czekała na wiadomości. Został nam tydzień do jego wyjazdu. Wystarczająco dużo czasu na spakowanie się, ale zbyt mało na pożegnanie. Czy jeśli będzie wiedział, że ma dla kogo żyć, to pomoże mu to przetrwać? Czy będzie dzięki temu ostrożniejszy? A może lepiej spędzić czas, który nam został, nie myśląc o przyszłości, nie niepokojąc go? Chryste, jakże się o niego boję.

Muszę się wziąć w garść. Dość smutków. Na szczęście mam powód, by się rozchmurzyć. To z powodu życia, które rośnie we mnie. Moje dziecko jest tak małe — nie wiem, jakim cudem jest na tyle silne, by opierać się szalejącej na świecie śmierci; jednak udaje mu się to, i dzięki temu wiem, że Richardowi nic nie będzie.

Mam też dobre wieści. Komisja artystów wojennych zdecydowała się wystawić mój portret. Richard wciąż się uśmiecha do siebie. Jest szczęśliwy. A dla mnie nie ma nic lepszego, niż patrzeć na jego radość. Musi teraz stworzyć opis obrazu. Ciekawe, co napisze. Myślisz, że wymieni moje nazwisko? Panna Daisy Milton. Mam nadzieję, że tak. Zastanawiam się, czy powiesz go w jakimś

muzeum. Trzymaj kciuki za to, by trafił do National Gallery. To dla mnie niemal drugi dom. Przyjemnie będzie go tam oglądać.

Za miesiąc prezentują obraz Renoira, „Parasolki”. Richard mówi, że muszę go zobaczyć (nawet jeśli jego nie będzie w Londynie), bo jest zupełnie inny od „Złożenia do grobu” i na pewno mi się spodoba. Chce pewnie, żebym miała co robić i nie rozkleiła się za bardzo bez niego. Oczywiście pójdę. Będę miała o czym pisać do Ciebie i do niego.

Do zobaczenia i powodzenia. Wszyscy zaczęli tak do siebie mówić, kiedy spadły pierwsze bomby, nawet zupełnie obcy ludzie. Teraz znowu tak się żegnamy. Myśl o mnie i życz nam szczęścia.

Z miłością, Daisy

Kiedy tylko Rob podał Claire kopertę, od razu się domyśliła, że jest w niej coś jeszcze. Była grubsza niż zwykle. Rzeczywiście, korespondencja Daisy tym razem zawierała więcej stron. Były to listy Daisy do Richarda, niewysłane, lecz ciągle czytane, składane i rozkładane, a następnie przekazane dalekiej kuzynce przez ojca zmarłej tragicznie dziewczyny, który nie odważył się poznać ich treści.

Październik 1943 rok

Mój Drogi Richardzie!

Mam Ci tak wiele do powiedzenia. Nie chcę, byś wyjeżdżał, ale wiem, że to Twój obowiązek, że nie mógłbyś postąpić inaczej. Nie śpię, odkąd mi o tym powiedziałaś, bardzo chciałabym móc udać się z Tobą w tę podróż, ale niestety teraz to niemożliwe. Zostanę tutaj i będę myśleć o Tobie bez przerwy, będę czekać na Ciebie.

Niedawno zdałam sobie sprawę, że gdyby nie Ty, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Pewnie wyszłabym za mąż za jakiegoś przystojnego młodzieńca z bogatego domu i nie musiałabym się

o nic martwić. I kto wie, może nawet byłabym szczęśliwa. Nie wiedziałabym przecież, co tracę, bo nie znałabym Ciebie.

Moje nowe życie, u Twego boku, jest zupełnie inne niż to, do którego przywykłam. Nie tak spokojne, dostatnie i bezpieczne. To życie pachnie farbą, terpentyną i letnim wiatrem, wpadającym przez otwarte okno nad oświetloną ulicą. I wiem to z pewnością, że nie zamieniłabym go na żadne inne.

Ale co najważniejsze, to nowe życie przyniosło mi coś, co w życiu najważniejsze — wielką miłość. Niestety, niesie też strach. Przez cztery lata wojny nigdy nie bałam się tak bardzo, jak teraz. Dotąd myślałam, że w całej tej wojnie chodzi o Anglię, o naszą wolność i właściwie to chciałam tylko, żeby się jak najszybciej skończyła. Teraz jest coś więcej - teraz ta wojna toczy się o naszą miłość, o Ciebie, o mnie. O nas.

Będę walczyć o naszą przyszłość, Richardzie— zmagając się z każdym dniem i mając nadzieję, że wkrótce się spotkamy, cali i zdrowi. Przymknij, że będziesz ostrożny, wracaj do mnie jak najszybciej.

Wdzięczna jestem losowi, że postawił Cię na mojej drodze, że mogłam spędzić z Tobą ostatnie miesiące. Wdzięczna jestem za Twoją miłość. Chcę, żebyś wiedział, że kocham Cię całym sercem.

Richardzie, wkrótce urodzę Twoje dziecko.

Daisy

Październik 1943 rok

Kochany Richardzie!

Zostawię ten list w Twoich rzeczach — mam nadzieję, że szybko go znajdziesz, bo chciałabym, żebyś wiedział, że myślę o Tobie. Może włożę go do skarpety? Albo do pudełka z ołówkami?

Wierzę, że nasza rozłąka niebawem się zakończy. Będę modlić się o bezpieczeństwo Twoje i wszystkich, którzy tam z Tobą będą. Pisz

do mnie jak najczęściej, każdego dnia będę wypatrywać listu od Ciebie, nawet jeśli miałyby to być nudne relacje z frontu. Wojna już wkrótce się skończy. Czekaając na tę chwilę, będę chodzić do National Gallery i postaram się nie myśleć, że nie ma Cię przy mnie blisko.

Kocham Cię, wiem, że i Ty mnie kochasz. Nic więcej się nie liczy.

Całuję i czekam na Twój bezpieczny powrót.

Daisy

Dwa listy, dwa różne sposoby pożegnania. Daisy nie wiedziała, który z nich wolałby Richard. Wyznanie miłości i brzemie odpowiedzialności za nią i dziecko, które zawarła w pierwszym, czy krótkie pożegnanie, mające sprawić, że nie będzie się zbyt przejmował, ufając, że świetnie da sobie radę. Claire nie sądziła, że Daisy może być tak niepewna. Wcześniej wydawała się jej bardzo zdecydowaną osobą. Cięża jednak wszystko zmieniła. Kiedy Claire przeczytała listy, Rob usiadł przy niej, by zająć jej przez ramię na ostatnie linijki. Przez chwilę trwali w milczeniu.

- Myślisz, że on wiedział? — spytała w końcu. — Myślisz, że powiedziała mu, że będzie ojcem?

- Pewnie tak. Kiedy przeczytała jego oświadczenia. Nie sądzę, żeby po czymś takim wciąż się wahała.

- Ale nigdy nie wysłała mu tych listów.

- Co nie znaczy, że nie powiedziała. Pomyśl, ilu ważnych rzeczy nigdy nie zapisała. Listy są tylko fragmentem rzeczywistości.

- Wolałabym po prostu być pewna. To ważne. Richard powinien był wiedzieć, jak każdy na jego miejscu, na wypadek gdyby coś się stało.

Jego ręka przesunęła się na jej dłoń - wiedziała, że rozumiał, o co jej chodzi, jak zawsze.

- Nic się nie stanie. Nie tym razem. Nie masz czego się bać - to zupełnie inna sytuacja. Wracając do Richarda - oczywiście, że wiedział. Przecież był artystą. Znał każdy centymetr jej ciała.

Na pewno zauważył, jak się zmienia. A całe to szeptanie mu nocami do ucha. Na pewno wszystko słyszał.

Claire znowu zaczęła płakać. To przez ciążę. Hormony sprawiały, że wszystko wydawało się gorsze, niż było naprawdę.

- Jesteś pewien? - spytała.

- Oczywiście. Jeśli mi nie wierzysz, spójrz na zdjęcia jego obrazu. Jak myślisz, dlaczego przemalował roślinkę i dodał wszystkie te kwiaty? Wiedział. Jestem o tym przekonany.

- A wiedzę zawarł w obrazie. - Stała teraz przed zdjęciem portretu Daisy, które zrobił Rob, a ona oprawiła i umieściła obok zdjęcia Daisy i Richarda w Weymouth. Gdy patrzyła na pąki kwitnące na żalostnej roślince w biurze, wiedziała, że jej mąż ma rację i znowu poczuła napływ łez. Rob wytarł je palcami, co sprawiło, że poczuła się bezpieczna.

- Na dziś już wystarczy — powiedział. - Mamy cudowny dzień, słońce świeci. Dość tego płakania.

- Nic na to nie poradzę. Liczyłam na to, że wszystko skończy się dobrze. Miałam nadzieję, że ostatni list będzie bardziej optymistyczny, ale jest ponury i pełen cierpienia, tak jak obraz. Nie chcę myśleć, że Daisy spędziła ostatnie dni, siedząc sama w pokoju i zastanawiając się, co powinna zrobić.

- Tacy są ludzie, Claire. Nie zawsze wiedzą, jak postąpić. Czasem muszą sobie coś przemyśleć.

- Wiem - odparła i mimowolnie odwróciła wzrok. - Ale żałuję, że ta historia nie kończy się tak, jakbym tego chciała.

- To dlatego, że to nie fabuła. Daisy tego nie wymyśliła. To prawdziwe życie. Ona i Richard nie wiedzieli, co się stanie. Pewnie myśleli, że czeka ich długie życie i wystarczy im czasu na powiedzenie sobie wszystkiego.

Tak jak my - pomyślała i powtórzyła to na głos w formie pytania.

- Tak - odparł. - Tak jak my.

Gdyby miała siłę, pewnie znowu by się rozpląkała.

— Przejrzyjmy lepiej te dokumenty, które przesłali nam z General Record Office, ok?

Rob poszedł po nie do kuchni, a kiedy wrócił, usiadł przy niej. Następnie zabrał się za rozdzieranie koperty. Claire powstrzymała go w ostatniej chwili.

— Ja to zrobię. Muszę. -Jesteś pewna?

— Tak - odparła i nie zostawiając sobie czasu na wahanie, otworzyła kopertę i wyciągnęła trzy kartki, które były w środku. Położyła je na stoliku jedna na drugiej. Miała wrażenie, że przesiąknięte były śmiercią.

Poświadczona kopia aktu zgonu. Czas i miejsce zgonu. Przyczyna śmierci.

Słowa przytłoczyły Claire, podczas gdy Rob analizował dokumenty i wreszcie stwierdził:

— Tak, to stanowczo nasza Daisy. Patrz. Marguerite Milton. Dwadzieścia trzy lata, zawód - maszynistka.

— To nieważne szczegóły.

— Wręcz przeciwnie. Nie chcemy się przecież pomylić.

Oboje wiedzieli, że to ona. Na dokumencie zanotowano przyczynę śmierci: „Z powodu działań wojennych”, oraz datę: 8 listopada 1943 roku. Geoffrey Smith, oficer służb przeciwlotniczych, poinformował o tym wydarzeniu odpowiednie władze. Zapisane czarno na białym wyglądało beznamiętnie.

— Ale gdzie umarła? Tego jeszcze nie wiemy.

— Jest. Elm Park Gardens, Chelsea.

— Chelsea? Tam znajdowało się przecież studio Richarda. Musiał być z nią.

— Sprawdźmy to - odparł Rob, podnosząc drugą kartkę i porównując je. Claire nie musiała niczego potwierdzać. Już wyobrażała

sobie scenę, jak umierają razem — nie natychmiast, przygniecieni cegłami, ale też nie trwało to długo; zapewne nie przypuszczali, że to ich ostatnie chwile. Obejmowali się, a Daisy ostatkiem sił szeptała: *Richardzie, jestem w ciąży*, na co on odparł: *Tak się cieszę*, i uśmiechnął się po raz ostatni. Oczywiście mogło być zupełnie inaczej, Claire doskonale o tym wiedziała. Prawdopodobnie byli przerażeni i cierpieli, uwięzieni w niewygodnej pozycji, nie mogąc się ruszyć, a co dopiero przytulić, powiedzieć czegokolwiek. Ale tej drugiej wersji nie chciała brać pod uwagę, wybrała tę, która bardziej jej odpowiadała; zakończenie, na jakie Daisy z pewnością zasłużyła.

- Mam rację? - spytała.

- Tak - odparł Rob. - Byli razem.

Przyjrzeni się teraz trzeciej kartce, za którą Claire miała ochotę dziękować Bogu. Był to akt ślubu z urzędu stanu cywilnego w Chelsea; wyglądał podobnie jak ich akt, sporządzony zaledwie dwa lata wcześniej. Potwierdzał zawarcie ślubu przez dwu-dziesięcioletnią Marguerite Milton z Richardem Dacre. Podpis Richarda wyglądał tak samo jak ten na obrazie; ten należący do Daisy także był rozpoznawalny, mimo użycia imienia „Marguerite”. Akt pochodził z 8 listopada 1943 roku i potwierdził, że Daisy i Richard byli razem przed śmiercią, szczęśliwi. Przynajmniej przez tę krótką chwilę strach przed rozłąką, wojną i przyszłością ustąpił miejsca radości, którą Claire widziała na ich twarzach na zdjęciu z Weymouth czy na obrazie, który znajdował się teraz w Imperial War Museum.

- Chcę zobaczyć, gdzie zginęli — powiedziała.

- Na pewno?

- Tak — odparła stanowczo, w głowie wciąż mając wizję, którą sobie stworzyła. - To będzie dopełnienie tej historii.

Elm Park Gardens wciąż widniała w książce telefonicznej, którą Rob miał na półce. Była to ulica podobna do wielu innych,

które mijali, by dotrzeć na miejsce. Kiedy się tam wreszcie znaleźli, Claire zdała sobie sprawę, jak rzadko rozglądała się dookoła. Choć mieszkała w Londynie, nigdy nie przyglądała się ulicom i nie zastanawiała się, dlaczego wśród starych budynków stoją nowe, nie zdawała sobie sprawy, że spadły tam bomby, które zmusiły ludzi do ucieczki lub zamknęły w pułapce, zabijając. Wiele biur czy bloków stało tu, bo wybudowano je w miejscach, gdzie kiedyś stały domy, a teraz nie pozostało po nich nawet wspomnienie.

Akt zgonu nie mówił, gdzie dokładnie znaleziono Daisy, ale gdy Claire przyjrzała się ulicy, od razu zauważyła miejsce, które wyróżniało się na tle pozostałych. Większość domów wciąż wyglądała tak, jak wówczas — z tarasami w stylu georgiańskim; w każdym razie powstały jeszcze przed wojną. Tylko jeden budynek był nowszy i nie pasował do reszty - jego fasada była szara od deszczu. Kiedy go zobaczyła, ruszyła biegiem, nie mogąc się powstrzymać. Pęd i wysiłek sprawiły, że w uszach zaczęło jej dzwonić - słyszała dźwięk syreny przeciwlotniczej, ostrzegającej Daisy, by szukała schronienia. Kiedy Claire dotarła do budynku, przytuliła się do jego brzydkiej fasady; dyszała z wysiłku, czując beton na policzku. *Boże, byle się znowu nie rozplakać.*

Rob podszedł do niej. Gdy biegła, słyszała, że podążał za nią.

- To musiało być tutaj, prawda? To tu umarła? - spytała płaczliwym tonem, szukając u niego wsparcia.

- Tak mi się wydaje.

- Nic nie zostało.

- Nie mogli tego tak zostawić. Wyobraź sobie, jak wyglądałby wtedy Londyn. Odbudowę zaczęto niemal natychmiast, jeszcze przed końcem wojny. Pamiętam, że tata o tym opowiadał. - Claire odsunęła się od ściany, wciąż dotykając jej jedną ręką.

- Żałuję, że to miejsce nie jest jakoś oznaczone.

- Od tego jest jej grób. Nie można uczcić każdej śmierci tablicą czy ławką. Zginęły wtedy tysiące osób — delikatnie odsunął

ją na bok. - Tu są jakieś' ławki. Chodźmy, złapiesz oddech i zdecydujemy, co dalej.

Pozwoliła poprowadzić się przez drogę i żelazną bramę do parku. Kiedyś być może był zadbane, te czasy jednak minęły. Zauważyli boisko do koszykówki, jego powierzchnia zarastała mchem, a ogrodzenie porastała trawa. Metalowe elementy były popękane, a z ich środka wyglądała rdza. Claire pomyślała, że niewiele miejsc jest dobrych, by umrzeć; przypomniała sobie brudną podłogę, krew, zapach szpitala i własnego strachu. Nad jej głową jesienne liście hałasowały niczym grzechotniki. Zadrżała i poczuła, jak Rob obejmuje ją i przytula.

— Czujesz jej obecność, Rob?

— Nie — odparł. - To było dawno temu.

— Ja też nie - powiedziała ze smutkiem.

Atmosfera stała się przygnębiająca, zapadał zmrok, a oni kroczyli po miejscach, gdzie kiedyś spadły bomby. Najważniejsze było to, że Daisy i Richard odeszli.

Jeszcze tego samego wieczoru udali się do National Gallery. *Złożenie do grobu* jednak nie poprawiło Claire nastroju. Tak, jak twierdziła Daisy, kolory obrazu mocno wypłowiwały i przeszły w ponury brąz. Nie było na nim widać mocnych pociągnięć pędzla Dierika Boutsy, zwanego teraz Dirkiem, przyglądającego się swemu obrazowi, a następnie z pasją kontynuującego malowanie. Postaci dookoła ciała Jezusa wyglądały płasko, podobnie jak krajobraz w tle. Gdzieś tam w oddali majaczyły drzewa, pola i wzgórza.

Maria Magdalena, która znalazła się na drugim planie, ma czerwone ubranie, ale kolor ten mocno już wyblakł; na ramiona zarzuciła zielony płaszcz. Jej bladą twarz przesłania biała chusta, przypominająca kwef zakonniczy. Wygląda tutaj zupełnie inaczej niż piękność, którą Claire widziała w *No li me*

tangere. Tutaj, o dziwo, pozwolono jej dotknąć Jezusa — kobieta podtrzymuje ręką jego udo, gdy opuszcza się go do zwykłego, prostokątnego grobowca. Maryi także pozwolono na ostatnie pożegnanie — trzyma ręce na nadgarstku syna, podtrzymując go i wskazując ślad po gwoździu ze *sceny* ukrzyżowania. Nie przypomina już postaci namalowanej przez Correggia. Ale też przedstawiona scena jest tu zupełnie inna.

Sam Jezus wygląda szczupło i bezbrinnie, owinięty jest płótnem. Na głowie ma cierniową koronę, zaplątaną w ciemne włosy, pod żebrami widnieje rana, pod którą uformował się ślad zaschniętej krwi. Są tam też inne postaci o niewyraźnych rysach, które mają dodać scenie żałobnego charakteru, ocierają łzy szatami i chustami. Jednak to przede wszystkim te dwie kobiety zwróciły uwagę Claire — matka i prostytutka, nietypowe towarzyszki połączone w żałobie po mężczyźnie, który zginął w kwiecie wieku i zostawił im na głowie uroczystości pogrzebowe. Muszą teraz brnąć przez puste i zimne niczym nagrobek życie bez niego.

Uderzyło ją, że kobiety często stanowiły ramy, w które wpisywało się życie każdego człowieka - płakały z radości, widząc pierwszy oddech dziecka, lamentowały nad ostatnim tchnieniem, kołysząc się w żałobnym ubraniu, rozrywając je i z żalu orając swą twarz paznokciami. Zrozumiała też, że choć większość widzianych przez nią obrazów namalowali mężczyźni, przeważnie najważniejsze w nich były kobiety.

Cierpienie, lojalność, siła i słabość nieprzerwanie mieszały się ze sobą. Przerażenie, lęk przed przyszłością czekającą dziecko łączyły się, tak jak w *Mistycznym Narodzeniu* Botticellego czy *Madonnie i koszu* Correggia. Były też ból i radość, związane z wszelkiego rodzaju miłością - od nieodwzajemnionego uczucia Apolla do Dafne, po zmysłowość Wenus. W tle zaś istniały kobiety, które dzień w dzień wykonywały powszednie czynności,

jak pokojówka z obrazu de Hoocha czy kobieta Constable'a, ukryta na obrzeżach *Wozu z sianem*.

Patrząc na dzieło Bouts'a, Claire zapragnęła znaleźć się jak najszybciej w ciepłym domu, usiąść na wygodnej sofie, przytulić do Roba i rozmyślać o ich nienarodzonym jeszcze dziecku.

PARASOLKI- RENOIR

To był taki rodzaj nagrobka, który mógł przykuwać wzrok ludzi spieszących na groby swoich bliskich. Być może na chwilę przy nim przystawali i wzdychali: *Zmarła tak młodo* lub *Biedni rodzice, którzy musieli pochować własne dziecko*. Potem odchodzili i pewnie nigdy już o tym nie myśleli. Claire też miała podobne uczucia, gdy stała nad grobem, czytając słowa starannie wygrawerowane w kamieniu, który trzymał się twardo, jeszcze nienaruszony przez bluszcz czy porosty. W porównaniu do innych nagrobków, nie był jeszcze stary.

MARGUERITE ABIGAIL MILTON Ukochana, jedyna córka Edmunda i Alicji Milton. Odeszła z tego świata 8 listopada 1943 roku w wieku 23 lat. „Jaskier i stokrotki, Piękne wasze pąki, Jasnych dni zwiastuny, Cud wiosennej łąki”.

Odnalezienie grobu zajęło im sporo czasu. Najpierw przebiegali palcami po niekończących się listach nazwisk w oficjalnym rejestrze przechowywanym w cmentarnym archiwum. Gdy

ten etap zakończył się powodzeniem, Claire długo przemierzała alejki cmentarne, odkopując stosy kory i liści, aż wreszcie trafiła na właściwą ścieżkę, skąd już była tylko chwila do grobu Daisy.

To tylko jeden spośród setek nagrobków, a ciało Daisy jedno z tysięcy pochowanych; po prostu kolejna ofiara wśród ludności cywilnej, jeszcze jeden wpis na długą listę. Claire pamiętała, że w jednym z listów była wzmianka o kwiatach i umieraniu. Co to było? W torebce miała je wszystkie. Przewertowała kartki, a że znała je już prawie na pamięć, szybko odnalazła to, czego szukała. Czerwiec 1943 roku. *Prędzej czy później będziemy martwi i nie pozostanie nic innego niż kwiaty, które rosnąc będą na naszych grobach.* Zapewne napisała to bezwiednie, nie myśląc o tym, że może to być dla niej samospełniająca się przepowiednia. Biedna Daisy, miała nadzieję, że jeśli nie ekstrawagancją róż, to jej pamięć uczczona będzie przynajmniej purpurą wierzbownicy i kremową bielą trybuli leśnej. Tymczasem na jej grobie i wokół niego nie rosło nic poza kępami trawy i nie zdobiło go nic prócz opadłych liści. Nie było śladu kwiatów, żadnej wskazówki, że komukolwiek zależy na utrzymaniu pamięci o Daisy, a co najgorsze, zdaniem Claire, najmniejszego śladu po nazwisku Richarda.

Żałowała, że nie wzięła ze sobą sadzonek kwiatów, na przykład przebiśniegów czy żonkili. Mogłaby je wtedy wsadzić w mokrą ziemię (choć to pewnie niedozwolona praktyka) i byłaby to z pewnością trwalsza pamiątka niż bukiet goździków zawiniętych w folię. Tak naprawdę, to nie przepadała za goździkami, ale to był jedyny wybór w kiosku znajdującym się obok przystanku autobusowego. Na otwartej przestrzeni kwiaty wydały się jej jeszcze brzydsze niż w chwili, gdy wyciągała je z plastikowego wiadra. Mimo wszystko położyła je przed nagrobkiem, zdając sobie sprawę, że będą powoli więdnąć, aż ktoś życzliwy zlituje się nad nimi i wyrzuci do kosza na śmieci. Lepiej by było

zdać się na jaskier i stokrotki, tak jak to podawał krótki wierszyk ujęty w proste słowa przez ojca, który nadal uważał swoją córkę za małą dziewczynkę.

Nie trzeba było wiele, by się domyślić, że Edmund nie miał pojęcia, iż jego córka wyszła za mąż. Machina biurokracji związanej ze ślubem była zbyt wolna, żeby zdążyć dotrzeć w odpowiednie miejsca przed aktem zgonu i pogrzebem, więc na nagrobku wyryto jej panieńskie nazwisko. Claire zastanawiała się, jak często ojciec Daisy powtarzał słowa: *Gdybym tylko...* tworząc różne scenariusze przyszłości córki. Ale tak naprawdę chodziło mu tylko o to, żeby w tym najważniejszym momencie Daisy była jak najdalej od Elm Park Gardens.

Czy Elizabeth myślała tak samo? Czy to możliwe, że nigdy nie otworzyła czasopisma i nie zauważyła kartki od Richarda? A może właśnie znalazła, lecz miała wątpliwości, czy powinna zmieniać nazwisko Daisy w drzewie genealogicznym rodziny? Najgorsze, że w mrocznej kostnicy Daisy nie leżała sama, gdzieś obok musiało znajdować się ciało Richarda. Ktoś musiał przecież się po niego zgłosić - może rodzice, może rodzeństwo - i podobnie jak Edmund ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, że zamiast zupełnie obcych sobie osób, gdzieś blisko siebie leżeli mąż, żona i ich nienarodzone dziecko. Rodzice Richarda mogli się nawet minąć z Edmundem w obskurnym korytarzu, wchodząc lub wychodząc, mogli przytrzymać mu drzwi, gdy wchodził do kostnicy w rozpacz, przez którą nie był w stanie rejestrować nic innego tylko kolejne fale potwornego smutku.

Claire ruszyła dalej, przechodząc obok dziesiątek krzyży i nagrobków, nad którymi z każdej strony rozpościerał się majestat drzew. Prawie wszystkie miejsca wiecznego spoczynku zawierały takie słowa, jak: pokój, sen, miłość, wieczny odpoczynek, strata, tęsknota. Pomyślała, że jedno słowo byłoby absolutnie wystarczające. „Zapomniani”.

Rob czekał na nią przy wejściu. Siedział na niskim, mokrym murku, mając za plecami ciężkie, wyglądające jak świątynie grobowce, które bogaci ludzie wykupują po to, by krewni nie musieli za daleko taszczyć wieńców. Chciała, by tym razem pozwolił jej pójść samej, żeby mogła w spokoju ducha pożegnać się z Daisy. Dobrze wiedziała, że Daisy nie było teraz nigdzie; nigdzie poza stronami listów, które po sobie zostawiła.

Zeskoczył, gdy zobaczył, że się zbliża.

— Znalazłaś? Jak wygląda?

— Normalnie. Trochę zaniedbany. — Głos drżał jej lekko.

- Możemy się nim opiekować, jeśli chcesz. Skoro już wiemy, gdzie jest.

Przytaknęła głową, ale nic nie powiedziała.

— Możemy też przyjść tu z naszym dzieckiem, gdy już się urodzi.

- Możemy - odpowiedziała z wahaniem, bo perspektywa toczenia wózka z małym dzieckiem po polu kryjącym nagie kości i zmurszałe trumny nie była specjalnie zachęcająca.

Uśmiechnął się do niej.

- Tylko jeśli sobie tego zażyczysz. Bałem się, myślałem, że będziesz płakać. Cieszę się, że tak nie jest.

Jakoś nie przyszło jej to nawet do głowy. Być może dlatego, że w końcu zrozumiała, iż opłakiwanie Daisy najlepiej jednak zostawić Edmundowi, Elizabeth i Richardowi, czyli ludziom, którzy byli jej prawdziwą rodziną.

— Wracamy do domu? - zapytała.

— Jeśli chcesz. Myślałem, że zechcesz obejrzeć ostatni z obrazów. Chyba powinniśmy?

- Jaki obraz? Przecież widzieliśmy już wszystkie.

- A ten, który zamierzała zobaczyć? Obiecała Richardowi, że to zrobi.

- Ach, masz na myśli Renoira. Więc chodźmy jeszcze dzisiaj, jeśli tego chcesz. Ale na tym kończymy. Oboje kończymy, dobrze?

- Dobrze — potwierdził i się uśmiechnął.

Obraz Renoira *Parasolki* okazał się inny od wszystkich poprzednich - stylem, tematyką; inny pod każdym względem. Tematem był Paryż skąpany w deszczu, choć na samym obrazie nie widać kropeł. Jedyna wskazówka, że mogą tam już być albo za chwilę się pojawić, to postać kobiety częściowo widocznej w centralnym punkcie obrazu, która rozwija lub zamyka parasolkę przed burzą albo po niej. Prawie wszyscy na tym obrazie mają w rękach parasole, ich krawędzie i szkielety odmalowano w szarych i niebieskich barwach. Sala, w której obraz wystawiono, była pełna odwiedzających, którzy za cel obrali sobie malarstwo impresjonistyczne, czyli Moneta, Maneta i całą resztę grupy, by zaraz po wizycie pobiec do sklepiku i nabyć pocztówki-reprodukcje za pół funta.

W tłumie postaci kryjących się pod parasolami można było wskazać kilkoro wyróżniających się ludzi. Przede wszystkim dwie kobiety, z których jedna spogląda na wprost, poza przestrzeń obrazu, z przewieszonym przez ramię koszykiem, z którego wyziera czarna pustka. To brunetka, z lekko falującą grzywką i resztą włosów zaczesanych do tyłu, przy czym w okolicy jednego ucha zawieruszył się niesforny kosmyk. Ma na sobie szarą spódnicę sięgającą ziemi i czarną koszulę. Ten strój podkreśla jej silny charakter, dziewczyna wydaje się nieustępliwa. Tuż za nią stoi mężczyzna w kapeluszu, z równo przystrzyżoną brodą i wąsem, wyraźnie mierzący wzrokiem jedną z pań. Ma on na sobie beżową marynarkę, czarne, skórzane rękawiczki i krawat, który wygląda na jedwabny.

Druga z kobiet ubrana jest w płaszcz z ciemnoniebieskiego aksamitu. Na głowie ma bardzo wyszukany czepek, który

wygląda na uszyty z piór, osadzony wykwintnie na złocistych włosach i przewiązany niebieską wstążką pod podbródkiem. Ubrana w mniej formalny strój niż pierwsza z kobiet, wydaje się znacznie łagodniejszą osobą. Ostatnie postaci, które Claire wpadły w oko, to dwie dziewczynki. Młodsza z nich ma około pięciu lat i ubrana jest w elegancki, dwurzędowy płaszcz wyszyty koronką wokół szyi i mankietów. Spod bladoniebieskiej sukienki przebijają białe elementy, a całość wizerunku dopełnia wypełniony piórami czepek. W rękę trzyma kółeczko do toczenia i drewniany patyk. Za nią stoi starsze dziecko, być może jej siostra, która ostrożnie trzyma jedną dłoń na ramieniu młodszej dziewczynki. Ubrana jest w płaszcz podszyty futrem, ciemną suknię i biały kapelusz, którego rondo udekorowane zostało kwiatami.

- Chodź, posłuchaj tego, Claire - powiedział w pewnej chwili Rob, który odsłuchiwał informacje z audioprzewodnika. - Mam tu coś interesującego. Spodoba ci się.

Odwróciła się od obrazu i spojrzała na niego.

- Opowiedz mi o tym - odpowiedziała.

- Spójrz raz jeszcze na obraz. Wszystko ci pasuje w tych dwóch kobietach?

- Nic tu dziwnego nie widzę. Moim zdaniem obie wyglądają całkiem normalnie.

- A ich *stroje*?

- Sama nie wiem. Do nowoczesnego stylu nie pasują, ale to akurat dziwne nie jest. Powinny wyglądać staroświecko. W końcu obraz ma ponad sto lat.

- Coś jeszcze?

Spojrzała ponownie. Wciąż nic szczególnego.

- Już mówię. W przewodniku podają, że kobieta z lewej strony ma na sobie strój, który stał się modny po 1885 roku, a z kolei ta z prawej nosi się według mody sprzed 1885 roku. Spójrz, od razu widać, że się różnią. Ta z lewej, ta z rozmarzonym

wyrazem twarzy, ma na sobie elegancką, szarą suknię, natomiast kobieta po prawej jest ubrana w coś bardziej barokowego. Widzisz? Ciemnoniebieski aksamit, czepek z niebieską wstążką.

Nie musiała się specjalnie przyglądać, by to dojrzeć. Różnica była oczywista.

- Sam sposób malowania też jest różny. Mam rację? — dopytała.

- Tak. Podobno Renoir zaczął malowanie obrazu od kobiety z prawej strony, potem wyjechał do Włoch w poszukiwaniu inspiracji i dokończył go dopiero wiele lat później, po powrocie z wojaży. Moda zdążyła się zmienić, a on sam przekonał się do techniki impresjonistów. Dlatego właśnie dwie połowy obrazu mają różny styl. Ciekawe, chyba przyznasz?

- Faktycznie.

Jeszcze raz spojrzała na obraz i tym razem ujrzała w nim Daisy i siebie, dwa pokolenia kobiet połączone ze sobą, na skutek dziwnego splotu okoliczności, ulotną przyjaźnią. Zauważyła też, że brodaty mężczyzna nie zwraca uwagi na nikogo innego poza jedną z kobiet, był więc niczym Richard dla swojej Daisy. Claire była z kolei jak ta druga kobieta. Wydawała się bardziej samotna, nie mogła oderwać wzroku od małej dziewczynki przypominającej... może Ruby, a może każde inne dziecko, którego Claire pragnęła i które wreszcie będzie mieć.

Nagle zaczęła się śmiać, zupełnie bez przyczyny, jak to kiedyś często robiła. Rob spojrzał na nią zaskoczony. Chciała wyjaśnić, że chodzi o to, że to już koniec, że to ostatni obraz. Była tego pewna. Pora na zawsze pożegnać się z „Projektem Daisy” i zacząć kroczyć ku przyszłości, razem z Robem.

- Już dość się naoglądałam — wykrztusiła w końcu. - Idziemy?

- Dobrze, ale najpierw zjedzmy coś słodkiego. Tutaj zdaje się jest jakaś kafejka.

Aby dojść do kawiarni, musieli przebić się przez jaskrawo oświetlony sklepik, upchany po brzegi produktami wszelkiej

maści. Odwiedzający ma być dzięki temu pewien, że można tam znaleźć upominek dla każdego. Usiedli przy jednym ze stolików i Rob rozgadał się o wystawach, książkach, najnowszych filmach, a ona zastanawiała się, gdzie i kiedy znalazł czas, by się o tym wszystkim dowiedzieć. Równie dobrze mogła tu teraz być z Dominikiem albo jakimś innym mężczyzną. Ale nie była. Przyszła tutaj z Robem i nie była już w stanie przypomnieć sobie, za co tak go nienawdziła. Tak, chodziło o Olivera, oczywiście. Nawet nie o niego, raczej o żal, rozpacz, poczucie samotności. Rob się nie zmienił, za to ona - tak. Wreszcie zaczęła dostrzegać i czuć, że wraca prawdziwa Claire.

- Kocham cię - powiedziała nagle, gdy ciastko zostało już zjedzone, herbata wystygła, a Rob zapytał, czy już skończyła.

- Wybacz mi.

- Ja też cię kocham - odparł. - A teraz wracajmy do domu.

- Dobrze, pójdę jeszcze tylko do toalety.

Wstała, zostawiając go pochylonego nad gazetą, którą ktoś wcześniej porzucił. Pchnęła ciężkie drzwi oznaczone kółkiem i odszukała wolną kabinę. Wszystkie ściany wyłożone były białymi i czarnymi kafelkami, od podłogi do sufitu. Z pewnością dzięki temu można było je łatwo czyścić

Wtedy zauważyła, że krwawi.

Panika ścisnęła jej gardło, wiążąc w nim krzyk. *Tylko nie to, znowu. Boże, tylko nie to.* Próbowwała opanować oddech, ale nie była w stanie. Sprawdziła jeszcze raz. Nie myliła się. Na szczęście tym razem Rob był blisko. On będzie w stanie myśleć logicznie, nawet jeśli ona już nie potrafiła. Chwiejnym krokiem wyszła z toalety i podeszła z powrotem do stolika. Rob wstał, gdy tylko zobaczył jej papierową twarz, której biały kolor wyraźnie było widać nawet w żółtozielonym, sztucznym świetle.

- Krew - wydusiła z siebie, kurczowo chwytając jego rękę.

— Mam krwawienie.

— Pojedziemy taksówką do szpitala. Tak będzie najszybciej. Szybko. Nic się nie bój.

Opadła na niego całym ciężarem. Podtrzymując ją, poprowadził na ulicę. Po kilku sekundach zatrzymała się przy nich taksówka. Ruszyli i, niczym za dotknięciem magicznej różdżki, zatłoczone na ogół londyńskie ulice stały się puste. Wciąż przywierała do Roba kurczowo, a on ją obejmował, oboje napędzani przez strach. Gdzieś w tle słyszała komentarze taksówkarza, który zastanawiał się, który najbliższy szpital miał dziś ostry dyżur i jak do niego najszybciej dojechać. Odcięła się od tego szumu i skupiła na powtarzaniu swemu dziecku, by nigdzie się nie ruszało.

— Proszę spojrzeć, oto państwa dziecko. Proszę spojrzeć. Nie ma się czego bać. Jest tutaj, całe i bezpieczne.

Wpatrywała się w ekran, ale obraz kompletnie nic jej nie mówił. Nie potrafiła skupić uwagi ani na Robie, ani na lekarce.

— Jest pani pewna? Na sto procent?

Kobieta odrobinę mocniej nacisnęła sondą na jej brzuch.

— Może się pani sama przekonać. Tutaj mamy ramię, tutaj jest drugie. I główka. Kręgosłup prezentuje się dobrze. Dwie nóżki. Wszystko na swoim miejscu. Czy chce pani posłuchać bicia serduszka. Wszystko wygląda idealnie. Nie widzę żadnych problemów.

— Nie ma się czym martwić?

— Absolutnie niczym.

— A krwawienie? — Rob odezwał się po raz pierwszy.

— Takie rzeczy się czasem zdarzają. Na tym etapie może się pojawić delikatne plamienie, to wynik burzy hormonalnej. Plamienie ustaje po jednym, dwóch dniach.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu — z Roba zeszło napięcie i Claire wiedziała, że próbuje powstrzymać się przed płaczem. Objęła go

ramionami, pocałowała w czoło i wtedy faktycznie zaczęła głośno łkać, co może kiedyś wprowadziłoby ją w zakłopotanie, ale teraz była za te łzy wdzięczna.

- Już w porządku, Rob, *wszystko* będzie dobrze - powtarzała, głaszcząc go po głowie. Przy skroniach włosy wciąż były wilgotne od potu, który pojawił się wraz z pośpiechem i paniką.

- Straciliśmy już jedno dziecko — zwróciła się do lekarki. Teraz łatwiej było jej o tym mówić i nawet nie zebrało się jej na płacz. Łzy były niepotrzebne, gdy na ekranie widzieli żywe dziecko, które za wszelką cenę postanowiła donosić do końca ciąży.

- Oczywiście, rozumiem. Proszę się mną nie przejmować. Chcą państwo poznać termin?

Claire przytaknęła. Wszelkie pomiary i ich wpisanie do komputera trwało dłuższą chwilę.

- Wygląda na to, że dziecko urodzi się koło 15 marca. Proszę posadzić jakieś sadzonki, zakwitną akurat na przyjście dziecka na świat.

Usiedli w parku naprzeciwko szpitala. Był tu wcześniej jakiś kościółek, bo przy ścianach z czerwonych cegieł znajdowały się stare nagrobki, na tyle stare i zniszczone, że nie można było nawet odczytać nazwisk zmarłych, a w jednym z rogów widać było samotny posąg anioła z rozpostartymi ramionami. On też nie prezentował się zbyt okazale. Twarz Roba wciąż była czerwona, a oczy mokre od łez.

- Myślałem już, że je straciliśmy. Myślałem, że stracimy drugie dziecko.

- Na szczęście to nieprawda. Wszystko jest w porządku, słyszałeś sam, co mówiła lekarka.

- Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy.

- Wiem o tym, zrobiłeś wszystko tak, jak należy.

Ujęła jego dłoń w swoją. Poczwała, że odpowiedział uściskiem.

- Ono jest prawdziwe, to nasze dziecko — powiedział. — Dopiero teraz powoli pozwalam sobie w to uwierzyć. Tak bardzo na nie czekam.

- Wiem, Rob.

- Pomyślałem, że gdyby to była dziewczynka, to może damy jej na imię Daisy. Co o tym sądzisz?

Claire przywołała w myślach plik listów leżących na dnie torebki, wciąż przewiązanych delikatną, wyblakłą wstążką, proszących o to, by historia, którą opowiadają, znów odżyła. Postanowiła, że gdy tylko wrócą do domu, schowa je do szuflady, by przynajmniej na jakiś czas wróciły do swoich duchów.

- Nie — powiedziała. — Może lepiej nie. Dajmy jej jakoś inaczej na imię.

Wsparała się na nim raz jeszcze, a on czule objął ją ramieniem. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc przed siebie. Zimny wiatr rzucał pod nogi liście, które ozdabiały ciemną, twardą ziemię. W tle bez ustanku wyły syreny szpitalnych ambulansów, ale Claire w ogóle nie zwracała na nie uwagi. Czowała jedynie ciepło bijące od przytulonego do niej Roba i wyobrażała sobie, jak pod jej sercem harcuje nowe, wspaniałe życie.